

KATARZYNA GACEK

Pies ogrodnika



Agencja Detektywistyczna Czajka

KATARZYNA GACEK

Pies ogrodnika

**Wydawnictwo Znak
Kraków 2022**

PROLOG

Ostatnia niedziela stycznia przyniosła temperaturę poniżej zera i porywisty wiatr, który szarpał gałęziami drzew w miejskim parku, łopotał reklamowymi banerami i przenikał przez najgrubsze okrycia nielicznych, kulących się z zimna przechodniów. Żeby opuścić dom w taką pogodę, trzeba mieć naprawdę ważny powód, toteż ulice Milanówka, w ciągu dnia opustoszałe, wieczorem wymarły zupełnie.

Zbliżała się dwudziesta, kiedy na Modrzewiowej pojawiła się dziewczyna. Szła szybko, zgarbiona, jedną ręką przyciskając do ciała cienką puchową kurteczkę, a drugą przytrzymując na głowie kaptur. Wiatr jednak niewiele sobie robił z jej wysiłków. Kilka razy udało mu się wśliznąć pod ubranie, zatrzepotać krótką spódnicą w czerwonej kratę i podrażnić szczupłe nogi w nierozsądnie cienkich rajstopach.

Było jasne, że dziewczyna marznie, jednak gdyby ktoś przyjrzał jej się z bliska, nie zauważyłby na jej twarzy irytacji czy zniechęcenia, tylko radosne podekscytowanie.

Justyna owinęła się szczelniej kurtką i przyspieszyła. Nie dlatego, że bała się spóźnienia, wyszła z domu wystarczająco wcześnie. Nie dlatego też, by rozgrzać się ruchem. Po prostu nie mogła się już doczekać, kiedy go zobaczy. Pierwszy raz mieli być ze sobą sam na sam i ta perspektywa bardzo ją podniecała.

Na tę chwilę czekała od dawna i trochę już straciła nadzieję, że się wydarzy. Aż tu nagle, zupełnie niespodziewanie, on zaproponował, żeby się spotkali. Co prawda miejsce, które wybrał, było dość dziwne, jednak kiedy sama próbowała wymyślić inne, lepsze, nic nie przychodziło jej do głowy. Przecież żadna kawiarnia czy

restauracja nie wchodziły w grę. Nie mogli pozwolić, żeby ktoś zobaczył ich razem. Jeszcze nie teraz.

Dziewczyna pokonała kolejne kilkadziesiąt metrów i zatrzymała się przed zardzewiałą furtką, przytwierdzoną grubym łańcuchem do krzywego słupka. Łańcuch, spięty kłódką, sprawiał solidne wrażenie, jednak płot, którym otoczona była działka, składał się głównie z mniejszych i większych dziur. Można się było przez nie bez trudu dostać na posesję, w głębi której majaczyła ciemna bryła zrujnowanej willi Krysin. To miejsce, nieprzyjemne za dnia, teraz, wieczorem, mogło przejmować grozą, ale Justyna widziała w nim tylko oryginalne miejsce sekretnej schadzki.

Dziewczyna znalazła w płocie dziurę na tyle dużą, by ostre druty siatki nie podarły jej kurtki, i ostrożnie się przez nią prześliznęła. Słabe światło ulicznej latarni wydobywało z mroku fragment ponurego, zapuszczonego ogrodu i rozpadający się drewniany garaż. Justyna minęła ruderę i po popękanych płytach starej ścieżki ruszyła w kierunku willi. Nie zamierzała na razie wchodzić do środka, pomyślała jednak, że ściany budynku osłonią ją od wiatru.

Zatrzymała się przy drzwiach domu, wypaczonych i obdrapanych. Rozejrzała się szybko, żeby sprawdzić, czy on się już czasem nie pojawił, a ponieważ nikogo nie zauważyła, sięgnęła do opalizującej jak skóra węża nerki, którą miała przypiętą w pasie, wyjęła z niej komórkę i sprawdziła godzinę.

Do spotkania pozostało jeszcze osiem minut. Długie osiem minut, w czasie których będzie umierać z niepewności, czy on na pewno się pojawi, co będzie miał jej do zaproponowania i przede wszystkim – czy ją pocałuje.

Włączyła aparat w telefonie, zmieniła ustawienie na selfie i zaczęła przyglądać się krytycznie swojej twarzy. Ocena wypadła zadowolająco – makijaż, który za dnia byłby zdecydowanie zbyt mocny, teraz sprawiał interesujące wrażenie. Mocno podkreślone oczy, grube od tuszu rzęsy i pociągnięte intensywną, czerwoną szminką usta ładnie wydobywały jej twarz z półmroku.

Na wszelki wypadek sięgnęła znowu do torebki, wyjęła z niej pomadkę i szybkim ruchem poprawiła wargi.

– Idealnie – szepnęła, wrzucając szminkę z powrotem w czarną czeluść nerki.

Miała tam również odłożyć komórkę, ale w ostatniej chwili cofnęła dłoń i ponownie włączyła telefon. Ikonka galerii zdjęć zamrugała do niej prowokująco i choć Justyna czuła, że to nie jest dobry moment, otworzyła album z ostatnio nagranyymi plikami. Przerzuciła szybko kilka banalnych selfie i zatrzymała się na filmie, na którego początkowej klatce widać było fragment nagiego, dziewczęcego ciała. Jej ciała.

„Jak dobrze, że puściłam to tylko do Dominiki”, pomyślała z ulgą. Gdyby się pospieszyła i rozesłała nagranie reszcie klasy, ich relacja mogłaby się popsuć nieodwracalnie.

Justyna przesunęła palec na ikonkę kosza i właśnie miała usunąć plik, pozbywając się w ten sposób dowodu swojej desperacji i głupoty, kiedy tuż za sobą usłyszała kroki.

Serce zatrzepotało jej w piersi w ten charakterystyczny dla zakochanych, słodko-bolesny sposób. Jednocześnie zalała ją fala ulgi i uniesienia. Oto spełniało się jej marzenie. Przyszędł! Nie wystawił jej do wiatru! Zależy mu na niej!

Zdążyła pomyśleć, że właśnie zaczyna się nowy rozdział w jej życiu, kiedy na głowę dziewczyny spadł cios.

Nie był na tyle mocny, żeby uszkodzić czaszkę, właściwie nawet Justyny nie ogłuszył, spowodował jednak okropny ból, który natychmiast rozlał się na kark, szyję i ramiona. Dziewczyna jęknęła i, oszołomiona, osunęła się na kolana. Do oczu cisnęły jej się łzy, ale irracjonalna myśl, że płacząc, zrujnowałaby sobie makijaż, kazała jej rozpaczliwie zaciskać powieki.

Chwilę potem poczuła dotyk czegoś miękkiego. Zanim zrozumiała, co się dzieje, było za późno – na jej szyi zacisnął się miękki materiał i stojący za nią napastnik zaczął ją dusić. Szarpnęła się gwałtownie, próbując się wyrwać. Zdołała

wygiąć ciało na tyle, żeby sięgnąć ręką za siebie i przeorać paznokciami policzek kogoś, kto właśnie odbierał jej życie, ale sił, żeby się uwolnić, nie wystarczyło.

Ostatnie, co poczuła przed śmiercią, to intensywny zapach ulubionej wody kolońskiej swojego ukochanego mężczyzny.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Tynk odchodził od muru wielkimi, nierównymi płatami, pozostawiając po sobie czerwone jak otwarta rana plamy cegieł. Gaja przesunęła lunetę w prawo. W wizjerze mignęły deski, którymi zabito okno, a potem popękane betonowe tralki tarasu.

Zrujnowana willa na posesji naprzeciwko chyliła się ku upadkowi, co przejmowało Gaję niewypowiedzianym smutkiem. Może dlatego, że domu, w którym sama teraz mieszkała, o mało nie spotkał podobny los?

Powoli prowadziła lunetę dalej. Nagle na pierwszym planie mignęło jej coś ciemnego i opierzonego, jednak kiedy spróbowała przybliżyć obraz, ptak zniknął z pola widzenia. Nie dlatego, że odleciał, po prostu przesadziła z powiększeniem.

Po raz kolejny przekonywała się, że nie jest łatwo ustawić tak precyzyjny sprzęt. Z poprzednią lunetą radziła sobie świetnie, ale ta była nowa i Gaja potrzebowała czasu, żeby się do niej przyzwyczaić. Teraz musiała poświęcić dłuższą chwilę, żeby dobrać odpowiednią ostrość i kąt nachylenia, aż w końcu się udało – w lunecie pojawił się dzięcioł duży.

Jeszcze odrobinę podkręciła ostrość i ptak w wizjerze nabrał barw. Czerń beretu na jego głowie stała się głęboka i połyskliwa, a czerwona plamka na potylicy rozbłysła jak namalowana lakierem do paznokci.

Dzięcioł bujał się na drutach wypełnionego słoniną karmnika i co chwila zanurzał dziób w tłuszczu. Gaja mimowolnie się uśmiechnęła. Uwielbiała obserwować ptaki. Pociągało ją nie tylko to, jak wyglądają, ale też jak się zachowują. I podczas gdy jej koledzy ptasiarze jeździli po kraju, uganiając się za kolejnymi rzadkimi gatunkami, by z dumą odhaczyć je na swoich listach, Gaja

wolała poznawać fascynujące zwyczaje tych pospolitych, które miała na wyciągnięcie ręki. Czy raczej lornetki.

Ten akurat osobnik pojawiał się w ich ogrodzie przez całą zimę dość regularnie, najczęściej o tej dziwnej, popołudniowej porze. Kiedy Gaja po powrocie z pracy szła do sypialni, żeby zamienić garsonkę na dzinsy i sweter i choć na chwilę przyłożyć oko do lunety, prawie zawsze udawało jej się go namierzyć.

Od strony rosnącej niedaleko jodły nadleciała sikorka bogatka. Choć dużo mniejsza od dzięcioła, niewiele sobie z niego robiła. Przycupnęła po drugiej stronie karmnika i bezstresowo przystąpiła do konsumpcji.

Nagle oba spłoszone ptaki poderwały się gwałtownie, pozostawiając po sobie nerwowo kołyszącą się konstrukcję. Na ulicy zaparkował samochód – luksusowy czarny mercedes o nobliwym wyglądzie. Za kierownicą auta siedział mąż Gai, Artur.

To, że nie wjeżdża na posesję i nie wprowadza samochodu do garażu, oznaczało, że wpadł do domu tylko na chwilę. Artur, prezes funduszu inwestycyjnego, pracował dużo i intensywnie, w domu bywając rzadko, co Gai właściwie nie przeszkadzało. Ani organizacyjnie, bo ze wszystkim sama świetnie potrafiła dać sobie radę, ani emocjonalnie – szesnaście lat po ślubie trudno mówić o czymś takim jak tęsknota.

Mimo że nie widywali się często – a może właśnie dlatego – Gaja uważała, że są stosunkowo szczęśliwym i zgranym małżeństwem. Jeżeli zdarzały się między nimi nieporozumienia, to głównie z powodu niechęci Gai do pudrowania rzeczywistości. Wszystko, co jej się nie podobało, komunikowała natychmiast, prosto w oczy. Kiedyś takie konfrontacje kończyły się kłótniami, a kłótnie – seksem, teraz działa się to coraz rzadziej, ale i tak ich układ funkcjonował całkiem nieźle.

„Ciekawe, po co wrócił”, pomyślała. „Pewnie skończyły mu się świeże koszule w biurze i przyjechał, żeby się przebrać...”. Na szczęście droga z centrum Warszawy, gdzie mieściła się siedziba jego firmy, do Milanówka zajmowała niecałe

pół godziny. Oczywiście autostradą, bo przebijanie się przez Pruszków drogą krajową numer 719 wydłużało podróż o dwa, czasami trzy kwadransy.

Odruchowo przesunęła lunetę w stronę auta. Przybliżenie było tak duże, że nagle poczuła się, jakby siedziała w środku. Tuż przed jej oczami wyrosła kierownica i wskaźniki deski rozdzielczej. Pojawiły się też dłonie jej męża, mocne, męskie, które tak bardzo lubiła, i fragment ekranu jego komórki. Właśnie pisał esemes. Kiedy skończył, wysłał tekst, który automatycznie przesunął się na ekranie w górę. I choć całego nie można było odczytać, w polu widzenia lunety znalazła się ostatnia linijka, składająca się z czerwonych emotikonowych serduszek.

Gaja sięgnęła po swój telefon, pewna, że wysłana przez męża wiadomość zaraz wyświetli się na ekranie jej komórki. „Jakie to miłe – pomyślała – że po tylu latach małżeństwa ciągle przydarzają mu się takie romantyczne drobnostki”.

Artur sięgnął na tylne siedzenie po marynarkę. Zamiast ją założyć, narzucił tylko na ramiona i nie zważając na przenikliwy chłód, ruszył w kierunku furki, a Gaja wciąż wpatrywała się w trzymaną w dłoni komórkę, która nie dawała żadnego znaku życia.

Mąż wszedł do ogrodu.

Pewnie nie mam zasięgu, pomyślała Gaja. Orange w ich okolicach działał dość niemrawo. Włączyła telefon, żeby to sprawdzić. A kiedy zobaczyła na górze ekranu solidne trzy kreski sieci, zaczęło do niej docierać, że być może serca wysłane przez Artura wcale nie były adresowane do niej.

Gaja nigdy nie unikała konfrontacji. Jeśli tylko wyczuła tłący się gdzieś pod powierzchnią konflikt, prowokowała, by doprowadzić do odkrycia kart, a zaatakowana, potrafiła odpowiedzieć ostro i celnie. Postępowała tak i w życiu zawodowym, i prywatnym, dlatego teraz postanowiła po prostu zapytać Artura, do kogo przed chwilą wysłał esemes. Nie bała się tego pytania. Była pewna, że usłyszy racjonalną i wiarygodną odpowiedź. Wyjaśnianie takich sytuacji natychmiast i niedawanie pola wyobraźni było taktyką, która od początku ich małżeństwa świetnie się sprawdzała.

Zeszła więc do połowy schodów i przechyłona lekko przez barierkę obserwowała, jak mąż wchodzi do przedpokoju i odkłada kluczyki do ciężkiej ceramicznej misy, na której brzegu przycupnęły dwie szkliwione na szaro figurki wróbli.

– Artur – odezwała się spokojnie.

Mężczyzna odwrócił się, a pytanie, które miała zadać Gaja, uwięzło jej w gardle. Bo na twarzy męża przez moment zobaczyła coś, czego się nie spodziewała – wyraz błęgiego rozmarzenia. I choć błyskawicznie wrócił do rzeczywistości, intuicja podpowiedziała Gai, żeby wiedzę o esemesie na razie zachować dla siebie.

– Ja tylko na chwilę – uprzedził Artur, ruszając w kierunku schodów. – Za godzinę muszę być z powrotem w firmie.

– Co masz? – starała się, żeby jej głos zabrzmiał normalnie.

– Spotkanie z Biskupskim. Jest w Polsce tylko do końca tygodnia, a mamy sporo rzeczy do omówienia.

Artur wyminął ją, nie dotykając. Patrzyła, jak wchodzi na piętro, przeskakując po dwa stopnie, jakby nagle ubyło mu lat, i znika w sypialni, a potem bez zastanowienia ruszyła za nim.

Ich sypialnia była jasnym, przestronnym pomieszczeniem, w którym oprócz podwójnego łóżka mieściły się również: toaletka Gai, dwa fotele, stojak na marynarki i zamontowana przy oknie luneta.

Kiedy Gaja weszła do pokoju, Artur stał tyłem do drzwi i właśnie zdejmował krawat. Na łóżku leżała rzucona niedbale marynarka, a obok niej – telefon komórkowy. Gaja ukradkiem wyłączyła swój i wsunęła go do kieszeni dzinsów.

– Nie widziałeś mojego telefonu?

Artur popatrzył na nią z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Nie – nieznacznie wzruszył ramionami.

– Zadzwonisz?

Mąż wzniosł oczy w górę, żeby podkreślić, jak bardzo nie na rękę jest mu poświęcanie czasu na duperele, po czym podszedł do łóżka i jedną ręką rozpinając koszulę, drugą włączył swoją komórkę i wybrał numer. Gaja zmarszczyła brwi, udając, że nasłuchuje. Ale, co oczywiste, odpowiedziała jej cisza.

– Gdzie ja go posiałam?

– Znajdzie się. – Artur ruszył w stronę łazienki, ciągle z telefonem w dłoni. Gaja zastąpiła mu drogę.

– Mogę na chwilę? – spytała.

Udał, że nie rozumie.

– Możesz co?

– Twoją komórkę. Inaczej nie znajdę swojej.

Podał jej iPhone z wyraźnym ociąganiem.

– Tylko mi zaraz odnieś. Czekaam na ważny telefon.

– Jasne. Jaki kod?

Artur, ostrzeżony kiedyś przez znajomego komputerowca, że telefon komórkowy jest jak klucz do firmy, co kilka tygodni zmieniał symbol dostępu. I nie były to litery N, Z, M czy W, tylko wyjątkowo skomplikowane kombinacje, na których rozszyfrowanie w pięciu próbach Gaja nie miała szans.

– Wpiszę ci.

Przejechał palcem po kropkach tak szybko, że nie udało się jej zapamiętać wzoru. Ale nie musiała. Miała teraz w ręku odblokowany aparat, wystarczyło go tylko utrzymać w stanie aktywności. Spokojnie ruszyła do wyjścia i dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi sypialni, gwałtownie przyspieszyła. Zbiegając po schodach, zastanawiała się gorączkowo, gdzie najlepiej się ukryć, żeby w spokoju przeszukać telefon męża.

Wpadła do salonu, wcisnęła swoją komórkę między poduszki kanapy, potem wróciła do holu, chwyciła z wieszaka kurtkę i wysliznęła się na ganek, który znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie domu niż sypialnia. Kiedy stała

w tym miejscu, przyklejona plecami do ściany i dodatkowo ukryta pod półokrągłym daszkiem, nie było szans, żeby Artur ją z góry zobaczył.

Ściskając iPhone w drżących ze zdenerwowania dłoniach, wzięła głęboki oddech, zupełnie jakby miała wskoczyć do basenu na główkę.

Nigdy wcześniej tego nie robiła. Nigdy nie szpiegowała męża. Nie dlatego, że była aż tak pewna swojego związku, bo doświadczenia jej bliższych i dalszych znajomych uczyły, że niczego nie można być pewnym stuprocentowo. Po prostu uważała, że pewnych rzeczy się nie robi. Uczciwość i otwartość – tych reguł starała się przestrzegać. Mimo to teraz, postawiona nagle w tak zaskakującej sytuacji, bez wahania obie te zasady schowała w kieszeń. Dlaczego? Bo chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć. Nie mogła pozwolić, żeby jej wyobraźnia zaczęła na tak idealnej pożywce wyprawiać harce.

Z ciężkim sercem otworzyła folder wiadomości.

Bała się, że mąż usunął esemesa, i równocześnie miała nadzieję, że to zrobił.

A jednak nie, nie zdążył.

Ostatnia wiadomość z komórki Artura została wysłana pod numer „KSIĘGOWA” i rzeczywiście kończyła się linijką czerwonych serc. Gaja odruchowo je policzyła. Osiem. Osiem pieprzonych serduszek.

A wcześniej tekst, który nie pozostawiał złudzeń: „Tęsknię. Całuję. Będę wieczorem”.

Na informację o zdradzie męża można zareagować różnie.

Można dostać hysterii lub popaść w otępienie, można teatralnie zemdleć lub udawać, że nic się nie stało. Natomiast Gaja zareagowała wkurwem. Straszonym, kosmicznym wkurwem. W pierwszym odruchu chciała po prostu pobiec na górę, rzucić się na Artura i wydrapać mu oczy. Tylko że wtedy nieodwołalnie zaprzepaściłaby szansę na odkrycie tożsamości KSIĘGOWEJ. A to z tej całej historii interesowało ją najbardziej.

– Jeden, dwa, trzy... – słowa chrzęściły jej między zębami jak piach z nieumytej sałaty, mimo to liczenie trochę ją uspokoiło.

Udało jej się dzięki temu powstrzymać przed zaatakowaniem męża, jednak kolejnego impulsu opanować już nie potrafiła i – choć nie było w tym krzty konsekwencji – z całej siły walnęła telefonem Artura o ziemię. Czuła, że tylko jakaś forma dewastacji sprawi, że sama nie rozpadnie się na kawałki.

Niestety gest okazał się pusty i jałowy. iPhone w pancernym etui odbił się od kafli, którymi wyłożony był ganek, podskoczył raz, potem drugi, i znieruchomiał, wystawiając do góry, niczym szczęśliwy kociak, podbrzusze nienaruszonego ekranu.

Gaja w pierwszym odruchu chciała dobić telefon obcasem, na szczęście w ostatniej chwili się opanowała. Zdała sobie sprawę, że zniszczenie komórki Artura nic jej nie da. Bo tak naprawdę nie są jej potrzebne zwłoki telefonu, tylko informacje na temat KSIĘGOWEJ, które być może uda się z niego wydobyć.

Właśnie miała się schylić, żeby podnieść aparat z ziemi, kiedy usłyszała trzaśnięcie furtki i energiczne:

– Cześć, mammo!

Ścieżką prowadzącą do domu zbliżała się Helena, ich córka.

Helena była szczupła i wysoka. Miała długie blond włosy związane w koński ogon, a na nosie okulary w grubych czarnych oprawkach. W krótkiej, intensywnie żółtej puchowej kurtce, czarnych wąskich dżinsach i czarnych traperach wyglądała jak jakiś egzotyczny ptak brodzący.

Chodziła do ósmej klasy prywatnej podstawówki, która mieściła się po drugiej stronie torów. Bliskość szkoły – Gaja rano pokonywała ten dystans samochodem w dziesięć minut, a i to głównie dlatego, że na jedynym wiadukcie w okolicy często tworzyły się korki – w znaczący sposób ułatwiała im życie. Praktycznie od dwóch lat Helena wracała do domu sama, co dawało Gai dużą elastyczność w organizowaniu swojego czasu pracy.

Dziewczynka była coraz bliżej. Gaja z przyklejonym do ust sztucznym uśmiechem patrzyła, jak córka wchodzi na ganek.

Helena zatrzymała się przed matką i wyjęła z uszu słuchawki, stały element życia nastolatka i przedmiot nienawiści rodziców i nauczycieli. Nie istnieje chyba nic bardziej denerwującego niż próba nawiązania kontaktu z młodym człowiekiem, który ma uszy zapchane dźwiękami, wypluwanymi prosto na bębni.

– Wychodzisz gdzieś? – zainteresowała się córka.

Pytanie oznaczało, że po pierwsze, nie zauważyła, jak matka ciska telefonem o ziemię, a po drugie, że jest w wyjątkowo kontaktowym nastroju. To pierwsze bardzo Gaję ucieszyło, to drugie – średnio. Za żadne skarby nie chciała przeciągać tej rozmowy.

– Nie idę – wyjaśniła szybko. – Szukam komórki – postanowiła trzymać się swojego kłamstwa.

– Tutaj? – zdziwiło się dziecko.

Gaja rozłożyła ręce.

– Chyba mi wypadła z kieszeni, kiedy wracałam do domu.

Córka popatrzyła na matkę z niedowierzaniem. Dla kogoś, komu telefon praktycznie przyrósł do dłoni, zgubienie go musiało się wydawać co najmniej dziwne. Ale rodzice są od tego, żeby się zachowywać w niezrozumiały sposób.

– Widziałam samochód taty. Jest w domu?

Gaja tylko skinęła głową. Bała się, że każde słowo dotyczące Artura, które padnie z jej ust, będzie miało siłę eksplozji.

– Super! To mi przejrzy esej z anglika – ucieszyła się Helena. – Jutro ostatni termin oddania.

I weszła do domu.

Gaja natychmiast schyliła się po komórkę męża, ale kiedy ją podniosła, ekran był już ciemny i martwy. W ciągu tych kilku bezcennych minut, które poświęciła na rozmowę z córką, telefon zdążył się z powrotem zablokować.

„No nic – pomyślała. – Następnym razem”.

Bo do rozmowy z Arturem na temat KSIĘGOWEJ postanowiła się przygotować w sposób perfekcyjny.

ROZDZIAŁ 2

Na biurku przed Matyldą leżała kartka w kratkę, wyrwana ze służbowego notesu, na której rano jak zwykle wypisała sobie listę zadań. Metoda była trochę archaiczna, takie listy świetnie można przecież robić w Excelu, ale Matylda lubiła mieć rozpiskę na papierze. Wykreślanie kolejnych punktów mocnym, zdecydowanym ruchem długopisu działało na nią motywująco.

Teraz, kwadrans przed końcem pracy, z dziesięciu punktów do wykreślenia pozostał już tylko jeden. Przez chwilę przyglądała się linijce, którą wypisała swoim zamaszystym, bogatym w ozdobniki charakterem pisma: „Telefon komendant materiały do biuletynu”. Bowiem do obowiązków Matyldy, szefowej i aktualnie jedynej pracownicy Zespołu do spraw Komunikacji Społecznej, należało między innymi przygotowywanie Miejskiego Biuletynu Informacyjnego.

Odkąd rok wcześniej przejęła go po odchodzącej na emeryturę koleżance i zaczęła wprowadzać swoje pomysły, rozdawana za darmo gazetka stawała się coraz bardziej popularna, a im lepiej rozchodził się jej nakład, z tym większym zapalem Matylda oddawała się pracy nad kolejnymi numerami.

Objętość biuletynu wynosiła zaledwie osiem stron, jednak Matylda czuła się jak wydawca jakiegoś prestiżowego magazynu, umieszczając obok suchych i nieatrakcyjnych urzędowych informacji takie perełki jak wiersze lokalnych poetów, przepisy kulinarne czy... kronikę kryminalną.

Z tej ostatniej pozycji była szczególnie dumna. Co miesiąc otrzymywała od komendanta komisariatu wykaz wszystkich policyjnych interwencji, do których doszło na terenie miasta, a następnie opracowywała je w tak sensacyjnej formie, że „Kronika kryminalna” wyrosła na najbardziej popularną rubrykę biuletynu.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer komisariatu. Prawie natychmiast w słuchawce rozległ się mocny kobiecy głos.

– Policja Milanówek, słucham!

Te trzy słowa, wypowiedziane w rytmie musztry, sprawiły, że Matyllda poczuła nieodpartą potrzebę stanięcia na baczność.

– Cześć, ciociu, to ja! – oświadczyła zamiast tego dziarsko. – Mogę z komendantem?

Choć oficjalnie Zdzisława, młodsza siostra jej matki, pełniła w milanowskim komisariacie funkcję sekretarki, nieoficjalnie w hierarchii służbowej plasowała się dużo wyżej, trzymając całą instytucję silną ręką.

– A ty mu po co głowę zawracasz? – burknęła, jednak zanim Matyllda zdążyła się wytłumaczyć, odpowiedziała za nią. – Pewnie znowu te głupoty do gazetki... Jakby mało miał na głowie.

– Ciociu, ja wiem, ale to moment jest. Zresztą gdyby nie miał czasu, mógłby poprosić kogoś innego, żeby przygotował materiały... – Jeszcze nie skończyła mówić, a już czuła, że się zagalopowała. Bo „kogoś innego” zabrzmiało zupełnie jak „ciebie, ciociu”. A sugerowanie, że Zdzisława miałaby poświęcić choć minutę swojego cennego czasu „gazetce”, zakrawało na świętokradztwo.

Bo ciotka od początku, odkąd Matyllda wymyśliła kryminalną rubrykę, kręciła nosem i narzekała, że dodatkowa robota, że komendant przemęczony, a w ogóle to, co się dzieje na komisariacie, powinno na nim pozostać. Komendant początkowo również nie był zwolennikiem dokładania sobie obowiązków, jednak kiedy Matyllda pokazała mu projekt rubryki z jego zdjęciem przy tekście, nagle zapalał chęcią współpracy i nawet negatywne nastawienie Zdzisławy nie przeszkodziło w realizacji projektu.

– Poprosić – prychnęła kobieta. – Poprosić to on może o kawę. Zresztą i tak bez sensu rozmawiamy, bo go nie ma.

– A kiedy będzie? – nie poddawała się Matyllda.

– Nie wiem. Ale przekażę mu, że dzwoniłaś – zapewniła Zdzisława łaskawie.

Tyle że Matylda nie ufała ciotce za grosz.

Więc najpierw się rozłączyła, a potem wybrała numer komórki komendanta. Trzeba było od razu dzwonić bezpośrednio do niego, pomyślała, wsłuchując się w przerywany sygnał w słuchawce...

Niestety po sześciu piknięciach włączyło się nagranie: „Tu Jerzy Chabior, komendant policji w Milanówku. Proszę o pozostawienie wiadomości. Dziękuję”.

Odchrząknęła.

– Panie komendancie, Matylda Żukowska z tej strony, urząd miasta – starała się mówić miło i stanowczo zarazem. – Za kilka dni chciałabym oddać biuletyn do druku, dlatego się przypominam w związku z materiałami od pana. I gdyby mi pan mógł podesłać jeszcze wasz komunikat o zaginięciu Justyny Wysockiej, to też byśmy go umieścili w numerze. Pozdrawiam.

Odłożyła komórkę na biurko. Miała nadzieję, że komendant wyrobi się do końca tygodnia. Inaczej musiałaby przesunąć druk. Nie mogła przecież wypuścić biuletynu bez kryminałków. A tym bardziej bez ogłoszenia o zaginięciu tej dziewczyny.

Cały Milanówek interesował się tą sprawą. Co prawda Justyna sprowadziła się do miasta całkiem niedawno, ale chodziła przecież do miejscowego liceum, miała tu już znajomych, sporo osób ją kojarzyło. I choć Matylda nie łudziła się, że informacja na temat jej zaginięcia wydrukowana w biuletynie coś zmieni, to chciała pokazać, że jako urząd miasta trzymają rękę na pulsie i aktualne problemy mieszkańców są im bliskie.

Przez uchylone drzwi swojego pokoju zauważyła zbliżającego się korytarzem burmistrza. Natychmiast się wyprostowała i dyskretnym ruchem przesunęła kartkę z listą zadań na sam środek blatu, tak żeby dziewięć wykreślonych punktów nie umknęło uwadze szefa. Bo choć sama przed sobą niechętnie się do tego przyznawała, temu między innymi służyła lista. Czyli codziennemu udowadnianiu innym, jak wydajną, skuteczną i niezastąpioną jest pracownicą.

Burmistrz Milanówka, niski, korpulentny mężczyzna pod pięćdziesiątkę, o zgorzkniałym wyrazie twarzy, wszedł do środka zaskakująco energicznym krokiem. Matylda chciała wstać, ale powstrzymał ją gestem ręki.

– Szybkie pytanie – powiedział dziwnie zachrypniętym głosem. – Kiedy puszcza pani biuletyn do druku?

– W przyszłym tygodniu. Czekam już tylko na materiały od komendanta – usprawiedliwiła się.

– No właśnie z tym przychodzę – odchrząknął. – Komendant nie żyje.

Zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

– Ale jak to? – jęknęła, kompletnie zdezorientowana. – Przecież... przecież... – zacięła się.

– Też jestem w szoku – przyznał burmistrz.

Matylda szybko uporządkowała myśli.

– To musi być pomyłka – powiedziała stanowczo. – Dzwoniłam przed chwilą na komisariat, tam nic nie wiedzą.

– A ja właśnie dostałem informację z Grodziska. Wypadek samochodowy. Śmierć na miejscu – westchnął burmistrz, a Matylda dopiero teraz zauważyła, że jest błąd jak ściana. – W biuletynie musimy puścić nekrolog. Plus krótki życiorys, zdjęcia, wspomnienia współpracowników...

Matylda skinęła głową.

– Oczywiście – zapewniła.

Burmistrz położył jej rękę na ramieniu.

– Dziękuję. Na panią zawsze mogę liczyć.

I odszedł, a Matylda poczuła, że po policzkach spływają jej łzy.

Nie, nie znała komendanta aż tak dobrze, żeby po nim płakać, ale świadomość, że w czasie kiedy słuchała jego głosu nagranych na sekretarce, mężczyzna już nie żył, kompletnie ją rozbiła.

Wyciągnęła z pudełka kilka chusteczek naraz, wytarła nos i policzki i wzięła do ręki kartkę z listą rzeczy do zrobienia. Przez chwilę przyglądała się ostatniej

pozycji. Potem sięgnęła po długopis i zamiast przekreślić ostatnie zdanie, zaczęła starannie rysować wokół niego grubą ramkę. „Jakie to straszne – pomyślała ze smutkiem. – Człowiek jest, jest... i nagle go nie ma”.

ROZDZIAŁ 3

Podczas gdy Artur szykował się na wieczorne wyjście, Gaja krążyła po kuchni. Kreśląc ósemki jak zwierzę w klatce, próbowała znaleźć odpowiedź na pytanie: co teraz?

Instynkt podpowiadał jej, że musi działać natychmiast. Żadnego odkładania, przeciągania, nic z tych rzeczy. Sprawę trzeba jak najszybciej wyjaśnić i uciąć w zarodku. Choć pewności, że to zarodek, niestety nie miała.

„Tęsknię. Całuję. Będę wieczorem”...

Dziś wieczorem.

Taka okazja, żeby namierzyć KSIĘGOWĄ, mogła się prędko nie powtórzyć.

Ale śledzenie męża wielkim, czerwonym, rzucającym się w oczy jak pryszcz na nosie panny młodej land roverem, którego zresztą sam jej kupił, było pomysłem karkołomnym.

„Co zrobić? – zastanawiała się gorączkowo. – Co zrobić?”

Szukając natchnienia, wyjrzała przez okno, a jej wzrok padł na płot oddzielający ich ogród od ogrodu sąsiadów. Parkan składał się z drewnianych sztachet, w prześwitach między deskami mignęło coś srebrnego...

Gaja sięgnęła po telefon.

Zbliżała się osiemnasta. Matylda właśnie skończyła przeczesywanie internetu w poszukiwaniu informacji o komendancie i postanowiła wreszcie iść do domu, kiedy jej telefon komórkowy, leżący obok klawiatury, zaczął się trząść. Zawsze wchodząc do biura, wyciszała go, ustawiając wibracje, więc kiedy ktoś dzwonił, całe biurko wpadało w dygot.

Spojrzała na ekran. Gaja. Przez sekundę korciło ją, żeby odrzucić połączenie; kompletnie nie była w nastroju do rozmowy. I natychmiast zrobiło jej się głupio, że w ogóle mogła tak pomyśleć. Szybko sięgnęła po aparat.

– No hej! Jestem! – zameldowała się skwapliwie.

– Mogę pożyczyć twoje auto?

Pytanie, zadane takim tonem, jakby chodziło o tusz do rzęs, zaskoczyło Matyldę.

– Moje auto? – upewniła się. – Ale po co?

– Potrzebuję. Na już.

– A twoje? Popsuło ci się?

– Nie. Potem ci wytłumaczę – Gaja mówiła szybko, wyraźnie zdenerwowana.

– Jasne, bierz, bierz – zgodziła się Matylda. – Maciek jest w domu, da ci kluczyki.

– Dzięki.

I rozłączyła się, pozostawiając przyjaciółkę w stanie lekkiego oszołomienia.

Gaja jeździła imponującym land roverem, przy którym auto Matyldy, osiemnastoletnia toyota, wyglądało jak opos przy nosorożcu. Co mogło się stać takiego, że Gaja nagle potrzebowała jej gruchota?

Matylda zamknęła za sobą drzwi urzędu i poprawiła szalik wokół szyi. Był miękki i ciepły – zrobiła go na drutach z grubej zielonej włóczki Alpine Maxi – i sprawdzał się idealnie nawet w tak przejmujący ziąb jak dzisiaj. „Przynajmniej nie zmarznę”, pomyślała i ruszyła energicznym krokiem przed siebie.

Nie lubiła wracać na piechotę do domu po zmroku. Bo choć plac wokół urzędu miasta był dobrze oświetlony, podobnie jak przylegające do niego ulice, to im dalej od centrum, tym słabiej świeciły latarnie, a miasto stawało się bardziej niepokojące i tajemnicze.

Szła więc szybko, zamaszystym krokiem, a długa, obfita spódnica trzepotała wokół jej nóg, swoim furkotem dodając Matyldzie odwagi.

Kiedy skręciła w Modrzewiową, przyspieszyła jeszcze bardziej, bo poza pełzającymi po chodniku cieniami ulica straszyla również wielką, zarośniętą parcelą, w głębi której niczym zmęczony starzec tkwiła niegdyś elegancka, teraz chyląca się ku upadkowi willa Krysin. Latem miejsca takie jak to niczym magnes przyciągały lokalnych meneli, których Matylda odrobinę się bała, i choć zimą nikt tutaj nie zaglądał, kobieta, zbliżając się do działki, przeszła na drugą stronę jezdni. Tak na wszelki wypadek.

W momencie gdy od jej własnego domu dzieliło ją nie więcej niż pięćset metrów, spod bramy sąsiadów ruszył samochód, potężny czarny mercedes należący do Artura, męża Gai. Siedzący za kierownicą mężczyzna uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a Matylda odmachala mu energicznie, może nawet zbyt energicznie.

O niczyją sympatię nigdy tak nie zabiegała jak o sympatię Artura. W jakimś sensie było to zrozumiałe – z mężem najlepszej przyjaciółki warto utrzymywać dobre relacje. Ale prawdziwym powodem starań Matyldy było to, że Artur od początku znajomości kompletnie ją ignorował. Ignorował również jej męża, przez co dwa czy trzy wspólne sąsiedzkie spotkania, zorganizowane „bo tak wypada”, okazały się kompletnym niewypałem. Przyjaźń kobiet na szczęście na tym nie ucierpiała, ale Matylda przy każdej okazji nadskakiwała Arturowi, mając nadzieję, że kiedyś w końcu się do nich przekona.

„Ile to już trwa? Dziesięć lat? Może najwyższy czas się pozbyć złudzeń?“, skarciła się w duchu, i w tym momencie przez otwartą bramę z posesji Matyldy wystrzeliła jej toyota. Samochód poruszał się gwałtownymi zrywami, które sprawiały wrażenie nie do końca zaplanowanych przez kierowcę. Kiedy auto przejechało obok Matyldy, zdążyła zauważyć, że siedząca za kierownicą Gaja ma wyraz twarzy kowboja, próbującego się utrzymać na narowistym byku. Nie wróżyło to dobrze toyocie, ale zanim Matylda zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, auto zniknęło za zakrętem.

ROZDZIAŁ 4

Pomysł pożyczenia samochodu od Matyldy wydawał się Gai genialny aż do momentu, gdy usiadła za kółkiem. Od kilku lat jeździła automatem, więc zdążyła się na tyle odzwyczaić od manualnej skrzyni biegów, że przez pierwsze kilkadziesiąt metrów kompletnie nie potrafiła toyoty opanować. Auto zachowywało się tak, jakby miało czkawkę, a zdenerwowana Gaja szarpała drążkiem zmiany biegów, modląc się, żeby Artur, który mógł ją przecież widzieć we wstecznym lusterku, nie zwrócił uwagi na dziwnie poruszający się pojazd.

Bardzo szybko się okazało, że nie jest łatwo nadążyć starą toyotą za nowym mercedesem. Na wąskich ulicach Milanówka Gai udawało się jakoś nie tracić samochodu męża z oczu, ale gdyby Artur zdecydował się wyskoczyć na autostradę, zgubiłby ją w minutę.

Na szczęście mercedes skręcił najpierw na wiadukt, a potem w kierunku Królewskiej, głównej drogi przecinającej miasteczko, którą również można było dojechać do stolicy. Gaja odetchnęła z ulgą. Na tej wąskiej, wiecznie zatłoczonej dwupasmówce rozwinięcie większych prędkości nie było możliwe, dzięki czemu jej plan miał szansę się powieść.

Wpuściła między siebie a mercedesa dwa auta, więc kiedy zatrzymywali się na światłach, nie bała się, że Artur ją zauważy. Jednak po przejechaniu kilkunastu kilometrów, w Pruszkowie, sytuacja trochę się skomplikowała. Pojawił się dodatkowy pas i Artur zaczął przeskakiwać z jednego na drugi, klucząc między autami i wyprzedzając je raz z prawej, raz z lewej strony. Gaja chcąc nie chcąc musiała robić to samo, a ponieważ miała niewyregulowane lusterka i zmiana biegów nadal nie wychodziła jej zbyt płynnie, kilka razy została otrąbiona przez kierowców, którym niechcący zajechała drogę. Normalnie by się takimi reakcjami

nie przejmowała, ale teraz zwracanie na siebie uwagi w tak głupi sposób było ostatnią rzeczą, na jakiej jej zależało.

Skupiona na bocznym i wstecznym lusterku byłaby przeoczyła, że czarny mercedes, zamiast poruszać się dalej prosto, w kierunku Warszawy, nagle ni stąd, ni z owąd przeskoczył na prawy pas, wrzucił prawy kierunkowskaz i skręcił w Armii Krajowej.

Jakimś cudem w ostatniej chwili udało jej się wykonać identyczny manewr. Co prawda przechodzący na zielonym świetle piesi na moment ją zatrzymali, ale dzięki temu nie znalazła się bezpośrednio za autem męża, które po przejechaniu pięciuset metrów skręciło w prawo po raz drugi.

Gaja zwolniła tak gwałtownie, że znowu ktoś za nią zatrąbił, podniosła więc rękę w geście przeprosin. Musiała szybko zdecydować, czy skręcić za mężem w wąską, jednokierunkową uliczkę. Jeżeli tam zaparkował, a było to bardzo prawdopodobne, wpakuje się na niego jak nic.

No ale przecież nie po to za nim jechała taki kawał, żeby teraz odpuszczać.

Wrzuciła prawy kierunkowskaz i zsuwając się na siedzeniu najniżej, jak się dało, skręciła w ulicę Komorowską dokładnie w momencie, w którym tył czarnego mercedesa zniknął we wjeździe do podziemnego garażu nowoczesnego apartamentowca, zbudowanego niedawno na rogu Komorowskiej i Armii Krajowej.

Gaja minęła szlaban, który opadł gwałtownie niczym ostrze gilotyny, oraz tablicę zachęcającą do zakupu wolnych mieszkań w kompleksie Zacisze, przejechała jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymała auto.

Siedziała, wpatrując się bezmyślnie w cienki pień rosnącego kilka metrów dalej drzewa.

Była w szoku.

Nie, nie dlatego, że KSIĘGOWA najwyraźniej nie mieszkała w Warszawie, tylko w Pruszkowie. W stan osłupienia, wprowadziło ją to, że знаła ten budynek. Kilka

tygodni wcześniej pomagała przewozić tutaj rzeczy Olgi, swojej współpracownicy z fundacji.

Olga, tak jak Gaja, również była po historii sztuki, miała sporą wiedzę i umiejętności, świetnie się dogadywały. Jesienią oznajmiła, że udało jej się kupić mieszkanie w Pruszkowie. Połowa cen warszawskich, chwaliła się, plus idealny dojazd do centrum. „Artur twierdzi, że to świetna inwestycja”, dodała jeszcze, ale Gai to w ogóle nie zastanowiło. Wydało jej się oczywiste, że znajomi zasięgają rady jej męża w kwestiach finansowych, w końcu miał wiedzę, wyczucie i intuicję.

Olga przeniosła się na Komorowską przed dwoma miesiącami, a Gaja pomagała jej w przeprowadzce. Po dwóch kursach wypakowanym po sufit samochodem Olga zaprosiła ją na herbatę, usiadły więc wśród kartonów i piły gorącą wodę, bo herbaty ostatecznie Oldze nie udało się znaleźć. Rozmawiały o meblach do łazienki, o zbyt dużej liczbie niepotrzebnych rzeczy i jeszcze o tym, że najgorzej spakować piwnicę. A na koniec Olga zaprowadziła Gaję do sypialni i pokazała jej swoją kolekcję słoni, którą zdążyła już ustawić na półce naprzeciwko łóżka. Większe i mniejsze, metalowe i drewniane, wszystkie miały trąby uniesione do góry. „To na szczęście”, wyjaśniła Olga. „Tyle ich jest, to musi działać”, zażartowała Gaja. „O, tak, nawet nie wiesz, jak bardzo”, przyznała Olga z uśmiechem. Na to wspomnienie Gaja aż się wzdrygnęła, ale wtedy do słów gospodyni nie przywiązała żadnej wagi.

A wychodząc z sypialni, potknęła się o oparte o ścianę pudła z Ikei, zawierające podwójne łóżko. Przemknęła jej wtedy przez głowę wątpliwość, jak Olga poradzi sobie ze skruceniem konstrukcji. Teraz, kiedy wszystkie elementy układanki zaczęły nagle wskakiwać na swoje miejsce, przypomniała sobie, że ostatnio widziała w garażu ich domu skrzynkę z narzędziami Artura, z której prawie nigdy nie korzystał. „A więc to po to mu była potrzebna – pomyślała ze złością. – Dobrosądzka pomoc, kurwa mać!”.

Wyprostowała się gwałtownie.

„Dosyc tego”.

Sięgnęła na siedzenie pasażera, gdzie leżały dwa czarne futerały. Z pierwszego wyjęła lornetkę Canona o dziesięciokrotnym powiększeniu, dodatkowo ze stabilizatorem obrazu, w której towarzystwie spędzała prawie tyle samo czasu co ze swoją rodziną. Ten model nadawał się idealnie do obserwacji ptaków. Ciekawe, czy sprawdzi się również w przypadku obserwacji niewiernego męża...

Powiesiła sobie lornetkę na szyi i z drugiego futerału wyłuskała aparat fotograficzny. Nikon P950 był dedykowany tym, którzy przygodę z fotografowaniem ptaków dopiero zaczynają, jednak Gaja, choć uprawiała to hobby już od kilku lat, ciągle nie mogła się z nim rozstać. Był intuicyjny w obsłudze i stosunkowo lekki, a zdjęcia robił naprawdę dobre.

Energicznie wysiadła z samochodu i stanęła na jezdni w lekkim rozkroku, niczym rewolwerowiec, z tym że zamiast broni w ręku trzymała aparat. Uzbrojona i niebezpieczna... Właśnie tak teraz o sobie myślała.

Budynek, który miała przed sobą, był stosunkowo niski, zaledwie trzypiętrowy, i wyglądał, jakby został zbudowany z wielkich sześciennych betonowych klocków. Mieszkanie Olgi znajdowało się na pierwszym piętrze, a jego okna wychodziły na skwer na tyłach budynku, Gaja zauważyła to tamtego dnia, kiedy pomagała jej nosić rzeczy. „Gdyby mnie wtedy nie poprosiła o pomoc, nie miałabym teraz pojęcia, które okna obserwować”, pomyślała ze złośliwą satysfakcją i szybkim krokiem ruszyła w kierunku skweru.

Niewielką przestrzeń, oświetloną stylizowanymi na gazowe niskimi latarniami, zajmowało kilka łysych o tej porze roku klombów, nieczynna fontanna oraz ustawione dookoła niej ławki. Fontanna miała klasyczny kształt kilkupoziomowej patery na ciasto, zwieńczonej kwiatem lilii, z którego zapewne latem wypływała woda, i choć wyglądała w tym miejscu idiotycznie, to jej obecność była Gai bardzo na rękę. Ukryta za betonowym odlewem mogła z dużo większą swobodą obserwować budynek.

Przysiadła na jednej z ławek, wychyliła się zza fontanny i szybko namierzyła okna należące do mieszkania Olgi. Przyłożyła do oczu lornetkę. Przez chwilę

widziała tylko ciemność, ale kiedy zaczęła powoli przesuwając lornetkę w bok, nagle w wizjerze pojawiła się jasna plama. Szybko i z wprawą ustawiła ostrość. Z mgły wyłoniły się kształty... Miała przed sobą mieszkanie Olgi. A konkretnie – wnętrze dziennego pokoju.

Pierwsze, co zobaczyła, to ikeowski regał z jasnego drewna, znajdujący się dokładnie naprzeciwko okna. Obraz był tak ostry, że Gaja mogła przeczytać tytuły stojących na półkach książek. Obok zauważyła jeszcze fragment wiszącego na ścianie obrazu i ciemny bok telewizora. To wszystko. W pokoju nie było ani Olgi, ani Artura, więc Gaja przesunęła lornetkę w prawo, na okno sypialni.

Tutaj również nikt nie zawracał sobie głowy zaciąganiem zasłon, a widok, który nagle pojawił się przed oczami Gai, sprawił, że zakreśliło się jej w głowie.

Jej mąż całował się z Olgą.

Całował to mało powiedziane. Wyglądało to tak, jakby próbował ją pożreć, połknąć i przetrawić. Jednocześnie ściągał z kochanki ubranie, co szło mu o tyle sprawnie, że kobieta zbyt dużo na sobie nie miała.

„Ty skurwysynu”, pomyślała Gaja.

A potem odłożyła lornetkę i sięgnęła po aparat.

ROZDZIAŁ 5

Matylda pochyliła się nad piekarnikiem. Przez lekko okopconą szybę pizza rosnąca w jego wnętrzu wyglądała na prawie gotową. „Jeszcze pięć minut”, pomyślała usatysfakcjonowana.

Zawsze kiedy wracała późno z pracy, czuła się z tego powodu w jakimś sensie winna i próbowała się zrehabilitować w najlepszy znany sobie sposób – karmiąc rodzinę czymś pysznym. A z wielu ulubionych przez domowników dań pizza zdecydowanie dzierżyła palmę pierwszeństwa.

– Kolacja! – krzyknęła w kierunku schodów, po czym sięgnęła po komórkę i wybrała numer Heleny.

– Tak, ciociu? – dziewczynka odebrała prawie natychmiast.

– Upiekłam pizzę. Zjesz z nami?

Heleny nie trzeba było namawiać.

– Super! Już lecę!

Jednocześnie z góry, tupiąc jak stado słońi, zbiegły jej własne córki. Ula, ośmiolatka, pierwsza zajęła miejsce przy stole. Ala, o dwa lata starsza, usiadła naprzeciwko z naburmuszoną miną. Nie lubiła, kiedy młodsza siostra była od niej w czymkolwiek lepsza. A już na pewno nie lubiła przegrywać wyścigów.

Matylda natychmiast wyczuła napięcie między nimi.

– Zaraz będzie Helenka – rzuciła ładunek w swoim mniemaniu neutralizujący. – Ala, dołóż, proszę, nakrycie.

Ala natychmiast zerwała się z krzesła i zaczęła przesuwać pozostałe talerze tak, żeby przygotować miejsce obok siebie.

– Mamo, a czy Helenka może usiąść koło mnie? Proszę, proszę! – miauknęła Ula.

– Coś ty, kto by chciał siedzieć obok pieluchy? – prychnęła Ala, która uważała dwa lata różnicy między sobą a młodszą siostrą za otchłań czasu.

– Ala, przestań! – skarciła ją odruchowo matka. – Obok której z was siedziała ostatnio?

– Obok niej! – krzyknęła natychmiast Ala, pokazując palcem na siostrę.

– A właśnie że nie, bo obok niej! – Ula zrobiła dokładnie to samo, wyciągając przed siebie oskarżycielsko palec.

– Obok niej! Obok niej! – zaczęły skandować.

Matylda szczerze pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

– Dobrze! W takim razie dzisiaj usiądzie przy mnie! – zarządziła głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie, przy mnie, przy mnie! – usłyszała za sobą głos męża przedrzeźniającego córki.

Odwróciła się. Maciek właśnie wyszedł z piwnicy, gdzie miał swój warsztat, czy raczej – jak sam to podkreślał – pracownię.

Mąż Matyldy prowadził serwis komputerowy w Pruszkowie. Tam się zresztą poznali, kiedy musiała ratować swoją toshibę po potopie ze słodzonej kawy, jaki jej zafundowała. Maciek był już wtedy po rozwodzie. Pierwsza żona nie uniosła jego oderwania od rzeczywistości oraz tego, że większość czasu spędzał w towarzystwie komputerów. Matyldzie to jednak w ogóle nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie: dzięki temu musiała nieustannie troszczyć się o męża oraz zabiegać o jego uwagę, a w zajmowaniu się innymi i staraniu, żeby ją zauważyli i docenili, była najlepsza. Ich patentu na związek nie zmieniło też to, że odkąd Maciek przyjął do pracy chłopaka, który siedział w serwisie i przyjmował zlecenia, sam większość dnia spędzał w domu, w pracowni, wymieniając matryce, karty graficzne, procesory i zasilacze.

Choć schodząc do piwnicy, automatycznie przestawał istnieć dla świata, to w awaryjnych sytuacjach Matylda mogła przecież na niego liczyć. Na przykład dzisiaj odebrał dziewczynki od dziadków, dzięki czemu ona mogła zostać dłużej w urzędzie i przygotować materiały do biuletynu na temat komendanta.

„Świętej pamięci komendanta...”

– O, proszę, Helena usiądzie tutaj! – Maciek przyniósł taboret z korytarza i postawił go obok miejsca, które zwykle zajmował.

– Tato, nieeee!!! – zaprotestowały jednocześnie Ala i Ula, odruchowo tworząc wspólny front przeciwko ojcu.

W tym momencie rozległ się dzwonek i dziewczynki rzuciły się, żeby otworzyć drzwi.

Wróciły odrobinę zawiedzione, bo do kuchni zamiast Heleny weszła Gaja. Na szyi miała zawieszoną lornetkę i aparat i wyglądała, jakby właśnie wróciła z jednego z tych swoich wyjazdów na ptaki. „A więc po to było jej potrzebne auto...”, uspokoiła się Matylda, kompletnie ignorując fakt, że o tej porze roku, w dodatku po ciemku, nikt ptaków raczej nie obserwuje.

– O, jesteś! – zareagowała z entuzjazmem. – Idealnie trafiłaś! Mamy pizzę!

Matylda uwielbiała karmić tych, których kochała. Choć właściwie uwielbiała karmić każdego, kto jej się nawinął pod rękę.

Gaja odłożyła na stół kluczyki.

– Zatankowałam – powiedziała. – Dziękuję.

– Ależ bardzo proszę. Patrz!

Matylda nachyliła się i wyciągnęła pizzę z piekarnika. Pomieszczenie wypełnił aromat gorącego sosu pomidorowego, czosnku, ziół i stopionego sera. Odstawiła blachę na kuchenkę i dopiero teraz przyjrzała się przyjaciółce uważniej. Gaja wydała jej się dziwnie blada, co w połączeniu z zaskakującą akcją pożyczenia toyoty sprawiło, że Matylda poczuła niepokój. Nie pokazała tego jednak po sobie.

– Siadaj! – rzuciła lekko. – Herbata czy cola?

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Nic. Nie mogę zostać... Dziecko samo w domu, rozumiesz...

W tym momencie ponownie odezwał się dzwonek do drzwi. Dziewczynki znowu pobiegły otworzyć i tym razem do kuchni wprowadziły triumfalnie Helenę.

– Herbata czy cola? – powtórzyła Matylda.

– A wino macie?

Matylda patrzyła na Gaję, nie mogąc zrozumieć, co ta do niej mówi.

– Ty żartujesz, prawda?

– Uważasz, że stać by mnie było na takie żarty?

– Nie, skąd... ale... to się nie mieści w głowie.

– Zależy w czyjej. W mojej się mieści.

Matylda chciała przytulić przyjaciółkę, ale Gaja odsunęła się od niej gwałtownie.

– Zostaw. Jeszcze Helena zobaczy...

Dziewczynki po zjedzeniu pizzy przeniosły się do salonu, zaległy na kanapie przed telewizorem i włączyły sobie serial o syrenkach na Netfliksie. Maciek dla porządku zaoferował pomoc przy sprzątaniu ze stołu, ale Matylda odesłała go na dół. Wolała zostać z Gają sam na sam, bo czuła, że przyjaciółka ma jakiś kłopot, o którym powinny pogadać. A jednak skala tego kłopotu odrobinę Matyldę przerosła.

– Szok... Jesteś pewna? Bo może, wiesz, to jakieś nieporozumienie jest czy co? – dopytywała, nie mogąc pojąć, że Gaję, tę cudowną, piękną, mądrą kobietę mogło spotkać coś tak przyziemnego jak zdrada męża.

Gaja westchnęła, a potem sięgnęła po aparat, włączyła go i podsunęła przyjaciółce pod nos. Choć ekran, na którym pokazało się zdjęcie, był maleńki, a fotografia niewyraźna, Matyldzie wystarczył jeden rzut oka, żeby zrozumieć, że Gaja się nie myli.

– No tak, to nie wygląda dobrze, ale... ale może jak porozmawiacie, wyjaśnicie sobie... – bąknęła.

Gaja popatrzyła na Matyldę z niedowierzaniem.

– Tyśka, co z tobą? Patrz!

Zacząła przesuwać zdjęcia. Z każdym kolejnym Matylda czuła się gorzej.

– Co tutaj jest do wyjaśniania? – spytała Gaja, wyraźnie zirytowana.

Matylda kompletnie już nie wiedziała, jak zareagować.

– Boże, kochana... i co to będzie? Co ty teraz zrobisz? – szepnęła słabym głosem.

– Zniszczę go – odpowiedziała Gaja spokojnie.

ROZDZIAŁ 6

Gaja stała przed lustrem w łazience i zmywała makijaż. Tarła skórę wacikiem tak mocno, jakby razem z warstwą pudru chciała usunąć cały emocjonalny brud, który się dzisiaj przykleił do jej twarzy.

Kiedy powiedziała Matyldzie o zdradzie Artura, przyjaciółka zareagowała nerwowo i w efekcie to Gaja musiała uspokajać ją, nie odwrotnie. Podejście Matyldy do związków, właściwie w ogóle do życia było przesyczone tak obezwładniającą naiwnością, że czasami Helena, lat czternaście, wydawała się Gai dojrzała od przyjaciółki.

– Jak on mógł! – unosiła się Matylda. – Przecież jesteś od niej ładniejsza! Sto razy ładniejsza!

Tak jakby tu o urodę chodziło.

A jednak te słowa zostały Gai w głowie i zaczęły w niej pączkować, puchnąć i robić krecią robotę. Wpatrując się teraz w swoje odbicie, próbowała zrozumieć, jak to się stało, że jej twarz przestała być dla Artura najpiękniejsza na świecie. Że jej zielone oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i pełne usta nie są już dla niego atrakcyjne. Że jej ciało przestało go pociągać.

Rozpięła najwyższy guzik piżamy, zsunęła ją do połowy ramion i zaczęła krytycznie przyglądać się swoim piersiom. Nie były duże, ale wciąż jędrne i kształtne. Artur kiedyś się nimi zachwycił, twierdził, że są idealne, jak każdy fragment jej szczupłego, drobnego ciała. Jak widać, gusta się zmieniają. Obfity biust Olgi w tym wyścigu zwyciężył.

Założyła z powrotem piżamę, nagle zirytowana, że dała się Matyldzie wpuścić w tego typu myślenie. Uroda nie miała tu nic do rzeczy. Dużo ładniejsze od Gai kobiety były przez swoich mężów zdradzane, dużo brzydsze również. Takie rzeczy

się zdarzają. Zwykle rodzinne życie przestaje wystarczać. Jedna namiętność się kończy, inna się zaczyna. Tak po prostu jest. Co nie znaczy, że zamierzała się z tym pogodzić.

Gniew, który miała w sobie od momentu przeczytania esemesa do KSIĘGOWEJ, buzował w niej z coraz większą siłą. Była wściekła na Artura, na Olgę, ale również – co najtrudniejsze – na siebie. A konkretnie na swoją naiwność, choć wcześniej myślała, że to ostatnia cecha, jaką można by jej przypisać. Jak mogła pozwolić się tak oszukiwać? Jak mogła nie dostrzec żadnych symptomów, żadnych znaków ostrzegawczych? Ptasi samiec zabiegający o partnerkę stroszy pióra i wyśpiewuje godowe pieśni. Jak mogła nie zauważyć stroszenia piór u Artura? Jak mogła zignorować to, że zaczął częściej chodzić na siłownię, jeszcze staranniej niż zwykle się ubierać, że rozpierała go energia i czasami zdarzało mu się gwizdać pod nosem? Jak mogła?

Zbliżyła twarz do lustra.

– Dlaczego się nie zorientowałaś? Co jest z tobą nie tak? – spytała swoje odbicie, ale nie uzyskała odpowiedzi.

Może to dlatego, że nigdy nie chowała głowy w piasek? I kiedy tylko pojawiały się jakiegokolwiek wątpliwości, natychmiast je wyjaśniała? Czy raczej pozwalała, żeby wyjaśniał je Artur? I tu pojawiał się problem, bo Gaja po prostu mu wierzyła. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy go sprawdzać. Śledzić. Czytać jego esemesy czy mejle. Ufała mu. Ludzie oceniają innych według siebie, a ponieważ ona była w stosunku do Artura absolutnie uczciwa, podświadomie zakładała, że on również jest uczciwy w stosunku do niej.

Błąd.

I właśnie dlatego była na siebie zła.

No ale mleko się rozlało. Teraz trzeba jakoś zminimalizować straty.

Najważniejsze – żadnych kompromisów. Żadnego dogadywania się, proszenia, żadnych żenujących scen. Nie obchodziło jej, czy Olga była tylko nic nieznaczącym skokiem w bok, czy miłością jego życia. To ją w ogóle nie

interesowało. Dla niej małżeństwo z Arturem było skończone. Wiedziała, że już nigdy mu nie zaufa. Koniec. Amen. Mogła.

Ale co ten koniec tak naprawdę dla Gai oznaczał?

Kiedy rozmawiała z Matyldą, przyjaciółce wyrwało się coś w stylu: „cały świat ci się zawalił”. Kiedyś Gaja powiedziałaby, że to zbyt melodramatyczne określenie. Dzisiaj wiedziała, że niestety prawdziwe. Bo jak na przykład ma tę sytuację wytłumaczyć Helenie? Jak sprawić, żeby świat jej córki, do tej pory bezpieczny i stabilny, nie zawalił się, nie runął, nie zniszczył tego wszystkiego, co przez ostatnie czternaście lat udało się osiągnąć?

Teraz obie będą musiały zmierzyć się z demonami przeszłości. Helena z odrzuceniem, Gaja – z brakiem. Świadomość tego na moment ją przytłoczyła. Poza tym obok emocji pozostawały jeszcze zwykłe, życiowe kwestie. Zwykłe, ale niebagatelne. Zdrada męża oznaczała przecież rozstanie nie tylko z nim, ale też z fundacją – Gaja nie wyobrażała sobie dalszej pracy z Olgą, ani tym bardziej zależności służbowej od Artura. O takim drobiazgu jak uzależnienie finansowe fundacji od jego firmy nie wspominając.

No właśnie. Uzależnienie finansowe. Odkąd przeczytała ten cholerny esemes, cały czas miała z tyłu głowy tę kwestię. Kwestię pieniędzy. Artur był biznesowym wyjadaczem i Gaja czuła przez skórę, że rozwód potraktuje jak kolejne zawodowe wyzwanie. Kolejną rozgrywkę, która musi się zakończyć sukcesem.

Ale Gaja również lubiła walczyć. A jeszcze bardziej lubiła wygrywać. W dodatku czuła, że jej zwycięstwo powinno być nauczka dla zdrajcy. Chciała go ukarać możliwie najdotkliwiej. Z całej siły kopnąć w krocze i patrzeć, jak się będzie zwijał z bólu.

Taki efekt mogła osiągnąć, tylko puszczając go z torbami.

Wyszła z łazienki i wsunęła się pod kołdrę. Na samą myśl, że Artur wróci od kochanki i położy się obok, zadrzała. Najchętniej wzięłaby poduszkę i poszła spać do pokoju gościnnego, ale na razie nie mogła w żaden sposób pokazać po sobie, że

wie. Musiała zacisnąć zęby i robić dobrą minę do złej gry. Wiedziała, że to nie będzie łatwe, ale ta rozgrywka była tego warta.

Sięgnęła po leżący na szafce nocnej tablet i wpisała w wyszukiwarke: „Jak udowodnić mężowi zdradę”.

ROZDZIAŁ 7

Sklep 007 – Sprzęt Detektywistyczny dla Profesjonalistów mieścił się w ciągu pawilonów handlowych przy Domaniewskiej. Wciśnięty między Zoo Market a czarne lustrzane szyby sexshopu nie rzucał się w oczy i mało brakowało, a Gaja by go przeoczyła.

Adres oraz informacje na temat oferowanego przez sklep sprzętu znalazła w sieci. Najbardziej zainteresowała ją usługa określana jako „kamuflaż urządzenia szpiegowskiego”. I właśnie z niej zamierzała skorzystać.

Popchnęła masywne, trochę obdrapane drzwi i zaskoczona zatrzymała się w progu. Sądząc po witrynie oraz skromnej prezencji sąsiednich lokali, Gaja spodziewała się wnętrza ciasnego i ciemnego, nawet trochę tajemniczego, w którym wydarzyć się może wszystko. Zamiast tego zobaczyła przestronne, nowoczesne i jasne pomieszczenie. Wzdłuż ścian stały przeszklone gabloty, w których na podświetlonych półkach wyeksponowano towar: lornetki, aparaty fotograficzne oraz przedmioty, których przeznaczenia Gaja nie potrafiła określić.

Naprzeciwno wejścia ciągnęła się czarna lustrzana lada, sprawiająca wrażenie, jakby przeniesiono ją z nocnego klubu, nad nią zauważyła dwie pochylone ku sobie męskie głowy.

Dopiero kiedy drzwi, które puściła, zamknęły się z trzaskiem, mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Młodszy, szczupły, dwudziestokilkuletni blondyn, podniósł się i obciągnął szarą bluzę z nadrukowaną nazwą sklepu.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – przyglądał się Gai, nie starając się ukryć zaciekawienia. W tym momencie uświadomiła sobie, że kobiety nie są tu raczej częstymi gośćmi.

– Podobno można zamówić u państwa kamuflaż urzędnika szpiegowskiego... – oznajmiła bez wstępu.

– Można, jasne – przyznał chłopak. – A co by pani chciała ukryć i gdzie?

Gaja zdjęła z ramienia czarny skórzany plecak, który służył jej jako torebka, i wyjęła z niego rzeźbę słonia, którą pół godziny wcześniej kupiła w Home & Decor. Słoń był z ciemnego drewna i miał uniesioną do góry trąbę. Idealnie pasował do miejsca, w którym zamierzała go umieścić.

– W tym – powiedziała. – Kamerę.

Chłopak wyciągnął rękę po figurkę.

– Mogę?

Zaczął uważnie oglądać słonia, kręcąc głową bez przekonania.

– Nie – powiedział w końcu, oddając jej rzeźbę. – Przykro mi. Nie da się. Gdyby był pluszowy, to bez problemu.

Gaja przez chwilę myślała, że facet żartuje, ale minę miał śmiertelnie poważną. I nagle zrozumiała, o co mu chodzi.

– Pluszowy w żadnym wypadku. Nie zamierzam sprawdzać niani. To musi być ta konkretna figurka. Proszę, niech się pan przyjrzy jeszcze raz.

– Nic nie wymyślę – pokręcił głową chłopak. – Widzi pani, ta rzeźba jest z litego drewna. Nic się nie da włożyć do środka. Na zewnątrz też się nie da umieścić, bo będzie za bardzo widoczne. Przykro mi.

– Cholera – wyrwało się Gai.

Plan, który ułożyła, był idealny, ale opierał się na kamerze zamontowanej w słoni. Tym słoni. Inaczej nie miała szans, żeby go zrealizować. Znowu poczuła narastający gniew, tym razem skierowany przeciw nieudolnemu pracownikowi sklepu. „Jeden, dwa, trzy”, zaczęła liczyć w myślach. Przy siedmiu poczuła, że fala złości odpływa. Wzięła figurkę do ręki i już miała ją schować z powrotem do plecaka, kiedy odezwał się drugi z mężczyzn.

– Pani pokaże.

Był dużo starszy, na oko sporo po sześćdziesiątce, miał długie siwe włosy zebrane w niechlujny kucyk i siwy, kilkudniowy zarost. Jego głos był chrapliwy i niezbyt przyjemny, a ponieważ zwracając się do Gai, nie wstał z miejsca, uznała, że musi być dodatkowo niewychowanym chamem.

Żeby podać mu słonia, musiała się przechylić nad ladą. Po drugiej stronie zobaczyła stolik z szachownicą i rozstawionymi figurami – jej wejście musiało przerwać mężczyznom rozgrywaną partię.

A potem ze zdziwieniem odkryła, że siwy mężczyzna siedzi na wózku inwalidzkim. Musiał zauważyć na jej twarzy konsternację, bo poklepał dłonią koło z udawaną dumą.

– Taką furą się wożę. A pani się pewnie zastanawiała, co to za gbur, że wita się z kobietą na siedząco.

W jego oczach dostrzegła ironiczny błysk.

– Dokładnie to pomyślałam – przyznała, rozbrojona. – Niezłe ma pan wycucie.

– No, coś muszę mieć – odchrząknął – oprócz wózka i tej budy. Cyryl – przedstawił się. – Właściciel.

Kolejne zaskoczenie. Sklep 007 w nie obfitował.

Mężczyzna zważył słonia w rękę, obejrzał dokładnie i opukał.

– Mógłbym go przeciąć na pół, wydrążyć i skleić na kamerze. Tylko on już potem będzie do wyrzucenia.

Gaja wzruszyła ramionami.

– I bardzo dobrze. Na kiedy mi pan to zrobi?

– Dwa, trzy dni. Tylko jeszcze musi mi pani powiedzieć, jaka kamera.

Na to pytanie Gaja również była przygotowana.

– Z czujnikiem ruchu i dobrą baterią – odpowiedziała szybko.

– Czy to ma być rejestrator, czy nadajnik?

– Rejestrator. Nie potrzebuję obrazu w czasie rzeczywistym. Wystarczy mi nagranie – Wiedziała, że ujawnia w ten sposób cel swoich działań, ale było jej

wszystko jedno. Oba mężczyźni temat małżeńskiej zdrady raczej nie powinien szokować.

– No to weźmiemy zettę. Obraz w full HD, szeroki kąt nagrywania, obejmuje bez problemu całe pomieszczenie. Do tego świetna fonia, mikrofon zbiera z pięciu metrów, i bateria dwadzieścia cztery godziny – zdecydował. – Wyposażona w czujnik ruchu, więc zaczyna nagrywać dopiero, kiedy ktoś się pojawi. Może być?

Skinęła głową.

– Idealnie.

Mężczyzna wyjechał wózkem z za lady, otworzył jedną z gablot i wyjął czarne pudełeczko wielkości dłoni.

– No proszę, pasuje – zapewnił i przyłożył je do figurki słonia. – Koszt sprzętu plus usługa to będzie...

– Koszty nie grają roli – przerwała mu.

– Na razie – odpowiedział, patrząc na nią znacząco.

– To znaczy? – zdziwiła się.

– To znaczy, że zdrada wszystko zmienia – wyjaśnił spokojnie właściciel sklepu. – Również finanse. Właściwie przede wszystkim finanse. – Chwycił mocno obręcz kół swojego wózka i zawrócił, odwracając się do Gai plecami. – Po odbiór zapraszam pojutrze.

ROZDZIAŁ 8

Fundacja Kształt Sztuki mieściła się pod tym samym adresem, co biura funduszu inwestycyjnego Artura Community Partners, jednak choć pracowali w tym samym budynku, Gaja nigdy nie jeździła do pracy razem z mężem. Głównie dlatego, że tryb ich aktywności zawodowych był zupełnie różny. Gaja spędzała w biurze zazwyczaj trzy, cztery godziny dziennie, Artur – co najmniej dziesięć. Oboje miewali też spotkania na mieście, nie sposób byłoby pogodzić terminów, gdyby dysponowali jednym autem.

Kiedyś Gaja żałowała tych potencjalnych kilku kwadransów wspólnej podróży, kiedy mogliby po prostu ze sobą pobyć. Teraz na samą myśl, że miałyby wsiąść do samochodu razem z Arturem i przebywać z nim w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni dłużej niż minutę, dostawała gęsiej skórki.

Odkąd dowiedziała się o Oldze, robiła wszystko, żeby spędzać z mężem jak najmniej czasu, jak najmniej z nim rozmawiać, ale przede wszystkim unikała kontaktu fizycznego. Bała się, że jeśli Artur ją dotknie, przytuli lub nie daj Boże pocałuje, nie wytrzyma i wygarnie mu wszystko. Albo – co również było całkiem prawdopodobne – rzuci się na niego z pięściami i żadne liczenie, nawet do stu, nie pomoże.

Jednocześnie ze smutkiem zdała sobie sprawę, że wcale nie musi jakoś specjalnie manewrować, żeby przez cały dzień nie widzieć się z mężem. Ta sytuacja uświadomiła jej, że ich życia już wcześniej musiały się w dość drastyczny sposób rozejść.

Jak to się stało, że tego nie zauważyła?

Od ich ślubu minęło szesnaście lat, a od momentu, kiedy się poznali – siedemnaście.

Gaja bardzo dokładnie pamiętała tamten dzień. Miała na sobie czerwone skórzane botki na szpilkach, cichcem podprowadzone ciotce. Wkładanie ich do galerii, w której pracowała, nie było rozsądne, ale ich kosmiczny wygląd rekompensował niewygodę. Akurat kiedy udało jej się na chwilę przysiąść na zapleczu, żeby rozmasować stopy, w sklepie pojawił się Artur. Na pierwszy rzut oka wydał jej się bogatym bucem, na drugi – bogatym bucem do kwadratu. Gaja natychmiast rozpoznała w nim typowego klienta bez własnego gustu, dokonującego wyboru wyłącznie na podstawie naklejki z ceną. Im wyższą, tym lepiej. I rzeczywiście, uparł się na obraz, toporne naśladownictwo Paula Klee, zero oryginalności, za to jeden z najdroższych w galerii. Mogła mu go po prostu zapakować, ale nie powstrzymała się i wyraziła własne zdanie. W dość, jak to potem wspominał Artur, dosadny sposób. W rezultacie kupił coś o połowę mniejszego, tańszego, za to lepszego, i umówił się z nią na kawę. Bardzo mu się spodobała charakterna studentka ostatniego roku historii sztuki, dorabiająca sobie w galerii, a jej – młody mężczyzna, którego rozsadzała energia i chęć działania. W biznesie i w życiu. A potem... choć pokonali razem kilka przeszkód, na których inne pary prawdopodobnie by się potknęły, i ciągle byli razem, to jakoś się to wszystko najwyraźniej rozjechało...

O ile unikanie Artura nie stanowiło większego problemu, o tyle przed codziennymi spotkaniami z Olgą Gaja nie miała jak uciec. Spędzały razem po kilka godzin, ustalając szczegóły działań fundacji. Przygotowywały wspólnie wystawę prac dzieci z zaprzyjaźnionego domu dziecka, planowały wiosenne plenery, szukały miejsc na wyjazdy wakacyjne dla podopiecznych.

Choć intensywność tego kontaktu była dla Gai dużym wyzwaniem, dawała sobie radę zadziwiająco dobrze. Kilka razy pozwoliła sobie nawet poruszyć temat Artura i z pewną satysfakcją obserwowała, jak Olga daje się podpuścić i opowiada o nim z dużo większym, niż powinna, zaangażowaniem.

Zapewne gdyby wiedziała, że większość ich rozmów Gaja nagrywa, starałaby się tonować emocje. Nie wybrałaby się również z kochankiem na kolację do

Belvedere ani nie poszłaby z nim do kina w Blue City na jakąś żalospną polską komedię romantyczną. Oba te spotkania Gaja dokładnie udokumentowała, robiąc im z ukrycia zdjęcia.

Śledzenie tej pary okazało się wcale nie takie trudne, jak można by przypuszczać. Artur i Olga, zapatrzeni w siebie, nie zwracali uwagi na nic, bez skrępowania okazując sobie uczucia. I choć obserwowanie, jak się miziąją, było dla Gai mimo wszystko bolesne, czuła jednocześnie rosnącą satysfakcję i złośliwe zadowolenie, że beztroska kochanków zaowocuje sromotną przegraną jej męża na sali sądowej. Bo Gaja nie zamierzała brać jeńców, a zdjęcia były zaledwie przygrywką. Najważniejszy akt miał dopiero nastąpić.

Na pomysł, jak zrealizować PLAN, wpadła, przeglądając fotki zrobione w Pruszkowie tamtej nocy, kiedy odkryła romans Artura. Oddawała się temu pozornie masochistycznemu zajęciu wcale nie dlatego, żeby cierpieć, ale aby utrzymać gniew na męża na najwyższym poziomie. Bo tylko maksymalna intensywność negatywnych emocji dawała gwarancję, że Gaja się na tej trudnej drodze nie zatrzyma.

Więc kiedy po raz kolejny powiększyła zdjęcie z sypialni Olgi i przyglądała się dłoniom swojego męża na gołych plecach kochanki, zwróciła uwagę na półkę z kolekcją słoni, która majaczyła w tle. Słonie stały w szeregu, z uniesionymi w górę trąbami, i gapiły się bezwstydnie na stojące dokładnie naprzeciwko półki łóżko. A ponieważ internet aż się roił od pomysłów, jak zdemaskować niewiernego małżonka, wystarczyło tylko dodać dwa do dwóch...

I jeszcze bardziej powiększyć zdjęcie, tak żeby na uchu jednej z figurek namierzyć niewielką naklejkę. Być może ktoś inny nie zwróciłby na nią uwagi, ale Gaja, która spędzała długie godziny na obserwacji ptaków i musiała nauczyć się rozpoznawać gatunki po najdrobniejszych szczegółach, odruchowo skupiła się na detalu, czyli na stylizowanym napisie „Home & Decor”, widocznym na naklejce. Potem wystarczyło już tylko sprawdzić na ich stronie internetowej, że identyczne słonie ciągle są dostępne w sklepach stacjonarnych sieci i podjechać do najbliższego...

I to właśnie takim słoniem zajął się Cyryl z 007.

Figurka po zabiegu wyglądała identycznie jak przed nim i gdyby Gaja nie wiedziała o ukrytej w środku kamerze, w życiu by się jej obecności nie domyśliła. Teraz trzeba było tylko wybrać odpowiedni moment i umieścić ją w takim miejscu, żeby nagrany film mógł być solidną kartą przetargową w negocjacjach z Arturem.

W sypialni Olgi.

ROZDZIAŁ 9

Gaja wyjechała z podziemnego parkingu i ruszyła Marszałkowską w kierunku Alei Jerozolimskich, ale po kilkudziesięciu metrach zatrzymała się na pierwszym wolnym miejscu postojowym i wyłączyła silnik. Rozmowy, którą miała teraz przeprowadzić, nie mogła odbyć ani w biurze, gdzie ktoś mógłby ją usłyszeć, ani w garażu, w którym ginął zasięg. Odetchnęła głęboko.

To dziś był ten dzień. Rano przy śniadaniu Artur uprzedził, że jedzie do Wrocławia na rozmowy w sprawie przejęcia jakiejś firmy, przenocuje tam i wróci dopiero jutro, prosto do biura.

Biznes we Wrocławiu... Kiedyś Gai nie przyszłoby do głowy sprawdzać, czy jej mąż mówi prawdę. Dzisiaj też nie zamierzała tego robić, bo była pewna, że tę noc Artur zamierza spędzić z Olgą. Pozostawała tylko wątpliwość, czy weźmie ją ze sobą na wyjazd, czy szybko załatwi we Wrocławiu to, co ma załatwić, i pojawi się u kochanki wieczorem. Gaja stawiała na tę drugą opcję.

I rzeczywiście, o dziewiątej rano Olga pojawiła się w fundacji, co oznaczało, że Artur do Wrocławia pojechał sam. Oraz że wróci stamtąd tak szybko, jak się da. Ale nie do Milanówka, tylko do Pruszkowa. Sytuacja wręcz idealna, żeby przeprowadzić PLAN.

Gaja sięgnęła do torebki po komórkę, włączyła telefon i wybrała numer Olgi.

– Hej! Co tam? – usłyszała po wyjątkowo długim oczekiwaniu, tak jakby Olga nie mogła się zdecydować, czy odebrać.

W jej głosie Gaja wyczuła lekki niepokój. Prawdopodobnie Artur już do niej pędził z Wrocławia. W takiej sytuacji rozmowa przez telefon z żoną kochanka mogła powodować lekki dyskomfort.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam... – zaczęła fałszywie. – Muszę na jutro przygotować ofertę dla Narodowego i nie mogę znaleźć teczki z dokumentami... Nie wiesz, gdzie może być?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Olga, zresztą zgodnie z prawdą.

– Wszystko przeszukałam... – ciągnęła Gaja. – Zniknęła. No kamień w wodę. Czy ty jej czasem nie wzięłaś ze sobą?

– Ja? – Olgę szczerze zaskoczyło. – Coś ty.

– Wydaje mi się, że ją widziałam u ciebie na biurku. Taka żółta...

– Kompletnie nie kojarzę. – Olga najwyraźniej zaczynała mieć dość tematu. – Jestem pewna, że niczego takiego nie brałam.

– A mogłabyś sprawdzić?

Gaja doskonale wiedziała, że Olga czuje teraz z jednej strony irytację, że Gaja zawraca jej głowę czymś tak idiotycznym, a z drugiej – satysfakcję, ponieważ jest pewna, że szefowa się myli. Przecież żadnej żółtej teczki ze sobą nie wzięła.

– Jasne... – zgodziła się niechętnie.

Gaja wyobraziła sobie, jak kochanka męża przechodzi do holu, sięga po swoją elegancką, skórzaną shopperkę i zaczyna przeglądać jej zawartość. Robi to nieuważnie i na odczepnego. Ale nagle ze zdziwieniem zauważa w jej wnętrzu coś żółtego i zaskoczona wyjmuje tekturową teczkę z ręcznym napisem „Muzeum Narodowe oferta”.

– Słuchaj, faktycznie u mnie była... – rozległ się po chwili w telefonie niepewny głos Olgi. – Przedziwne... Dałabym sobie głowę uciąć, że...

Gaja, która tuż przed wyjściem Olgi z biura ukradkiem wsunęła teczkę do jej torby, wydała z siebie coś, co miało zabrzmieć jak westchnienie ulgi.

– Cudownie! Tak się bałam, że zginęła! Już po nią jadę!

– Nie, nie! – zaprotestowała gwałtownie Olga. – Nie fatyguj się! Ja ci podrzucę!

W jej głosie słychać było panikę.

– Coś ty, to żadna fatyga – rzuciła lekko Gaja. – Będę za kwadrans. Pa!

I rozłączyła się.

Sprawdziła szybko godzinę. Dopiero siedemnasta. O tej porze Artura jeszcze u Olgi być nie powinno. I bardzo dobrze. Bo Gaja wcale nie zamierzała im przerywać schadzki. Wręcz przeciwnie – chciała tę schadzkę uwiecznić.

Olga otworzyła drzwi szczelnie owinięta grubym szlafrokiem w kolorze bordo.

– Proszę – wyciągnęła w kierunku szefowej żółtą teczkę. Najwyraźniej chciała sprawę załatwić już w progu. – Naprawdę nie wiem, jak to się stało... Przepraszam...

– Nieważne. – Gaja machnęła lekceważąco ręką. – Nie rób sobie wyrzutów. Przynajmniej miałam pretekst, żeby cię odwiedzić.

I choć gospodyni nie wykonała żadnego gestu, który mógłby zachęcać do wejścia, spokojnie wpakowała się do środka.

– Do herbaty! – Podała Oldze obwiązaną sznurkiem paczuszkę z cukierni Sowa, do której wstąpiła po drodze. – Rolada z bitą śmietaną. Boska!

Na twarzy Olgi zaskoczenie walczyło z irytacją.

– Jak miło z twojej strony – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Tyle że ja bitej śmietany nie lubię.

– Za to ja uwielbiam. I do tego mocny earl grey...

Weszły do kuchni. Olga naląła wody do elektrycznego czajnika.

– Tak się zastanawiałam nad tą ofertą dla Narodowego – zaczęła, wyjmując z szafki filiżanki i talerzyki do ciasta. – Czy my nie mamy jeszcze tygodnia na odpowiedź?

– Teoretycznie tak, ale ta babeczka z działu edukacyjnego prosiła, żeby przesłać dokumenty wcześniej, bo potem wszystko im to spływa naraz i się nie wyrabiają – zmyśliła na poczekaniu Gaja. – Mogę skorzystać z łazienki?

Olga odwróciła się w jej stronę. Miała zaciśnięte szczęki i mrużyła oczy, wyraźne objawy irytacji.

– Oczywiście – uśmiechnęła się sztucznie. – Jest za sypialnią, ale to wiesz.

Tak, wiedziała. Przy poprzedniej wizycie Olga pokazała jej dokładnie całe mieszkanie i Gaja dobrze zapamiętała rozkład.

Wychodząc z kuchni, ściągnęła z ramienia plecak i wyjęła z niego słońca, potem w sypialni wystarczyło kilka sekund, żeby podmienić figurki.

– Powodzenia, mały – szepnęła, ustawiając go dokładnie naprzeciwko podwójnego łóżka. – Liczę na ciebie.

Spuściła wodę w łazience i wróciła do kuchni.

– No i nie napiję się z tobą tej herbaty – oznajmiła, udając zawiedzioną. – Dostałam esemes od Helenki. Jakaś awaria, muszę wracać.

Olga, która zdążyła już pokroić ciasto i zalać herbatę wrzątkiem, wydała z siebie westchnienie, które mogło zabrzmieć jak jęk zawodu, jednak Gaja usłyszała w nim wyłącznie ulgę.

– Och, szkoda – bąknęła gospodyni. – Może zabierzesz to ciasto w takim razie? Kto je zje?

Gaja już miała na końcu języka: „Artur”, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Nie, coś ty, leczę, pędzę! Wiesz, jak to jest! Małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci... A nie, sorry, tego to akurat nie wiesz... W końcu nie masz dzieci – zabrzmiało to odrobinę lekceważąco, ale Gaja czuła przemożną potrzebę odegrania się na kochance męża, choćby w najmniejszej możliwej skali.

Ruszyła w stronę wyjścia, lecz po drodze dogoniły ją pozornie niewinne słowa Olgi.

– Już niedługo to się zmieni.

Gaja zatrzymała się gwałtownie i odwróciła. Olga, oparta trochę teatralnie o kuchenny blat, otulała się szlafrokiem, jakby jej było zimno. Gaja nie mogła oderwać wzroku od jej prawej dłoni, którą położyła na brzuchu w charakterystyczny sposób...

Przełknęła ślinę.

– Jesteś w ciąży?! – zapytała słabo.

– Jeszcze nie, ale planuję... – odpowiedziała Olga z tajemniczym uśmiechem. – Planujemy – poprawiła się.

Gaja zdawała sobie sprawę, że powinna pociągnąć temat, zapytać, kto będzie szczęśliwym tatą, pogratulować decyzji, powiedzieć cokolwiek, ale nie była w stanie. Nagle ta cała historia nabrała zupełnie innego wymiaru.

– Muszę lecieć – powiedziała tylko i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Na klatce schodowej zatrzymała się i kilka razy głęboko odetchnęła. Ta krótka wymiana zdań o dzieciach sprawiła, że zaczęło ją boleć serce, zaczęło boleć całe ciało. Zdrada męża była czymś trudnym do zaakceptowania. Ale to, że planował z Olgą dzieci...

Bo Gaja wiedziała, że Artur o niczym nigdy tak nie marzył jak o dziecku. Własnym dziecku.

A to zdecydowanie podbijało stawkę.

Jedyne, czego mogła sobie pogratulować, to że posłuchała intuicji i zdecydowała się na walkę. Bo jeżeli rzeczywiście tak było, jeżeli Artur chciał mieć z kochanką dziecko, na żadne dogadanie się nie było szans.

Teraz mogła więc tylko trzymać kciuki, żeby kamera w słońcu nie nawaliła.

ROZDZIAŁ 10

– Śmierć miał straszną, ale pogrzeb piękny... – powiedziała ze smutkiem ciotka Zdzisława. Szła obok Matyldy, ubrana w czarne, niemodne futro z norek, które wyciągnęła z szafy na strychu specjalnie na tę okazję.

Rzeczywiście, pogrzeb był wspaniały. Pełen kościół, honorowa warta przy trumnie, a na cmentarzu przemówienie komendanta wojewódzkiego i burmistrza, który mówił tak patetycznie, tak wzniośle, że Matylda głęboko się wzruszyła.

Po zakończeniu ceremonii nad grobem główną aleją cmentarza popłynął szeroki strumień zmarzniętych żałobników. Ludzie szli szybko, chcąc jak najszybciej schronić się przed zimnem, bo trzy stopnie mrozu i wiatr dawały się im porządnie we znaki.

– Bardzo piękny – przyznała Matylda i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu Igora, fotografa, któremu urząd zlecał obsługę większości miejskich imprez.

Odnalazła go bardzo szybko. Igor charakteryzował się ponadprzeciętnym wzrostem oraz ponadprzeciętną chudością. Poruszał się w tłumie jak gigantyczny pająk, trochę tyłem, trochę bokiem, co chwila przykładając aparat do oka. Matylda przecisnęła się w jego stronę i chwyciła go za rękaw.

– Igor, burmistrza cyknij, jak wychodzi – poleciała półgłosem.

– Cały czas go cykam przecież – zachnął się fotograf.

– Owszem, z oficjelami. A teraz z ludźmi mu zrób, jak idzie taki smutny.

Igor nie lubił być pouczany i Matylda doskonale o tym wiedziała. Ale wiedziała również, że fotograf, choć zdolny, nie posiada żyłki dokumentalisty i sam z siebie rzadko wymyśla dobre, reporterskie ujęcia. Dlatego wołała się teraz narazić na jego burkliwe odzywki, niż nie mieć potem z czego wybierać zdjęć do biuletynu.

Szeroki strumień żałobników zwęził się, przepływając przez bramę, a potem rozlał się szeroko na parking przed cmentarzem. Matylda skierowała się w stronę busa, którym na pogrzeb przyjechali pracownicy ratusza. Burmistrz obiecał im wolny dzień do odebrania, więc pojawili się prawie wszyscy, zarówno ci z księgowości i gospodarki nieruchomości, jak i z oświaty, planowania, a nawet z referatu technicznego, choć nikt z nich ze zmarłym komendantem na gruncie służbowym nie miał kontaktu.

Kilka osób już czekało przy samochodzie na kierowcę, co podsunęło Matyldzie kolejny pomysł.

– Jeszcze z pracownikami – poprosiła Igora, kiedy burmistrz podszedł do nich na chwilę. – Żeby było widać, że jesteśmy jedną drużyną.

Igor popatrzył na Matyldę jak na wariatkę, ale posłusznie spełnił jej prośbę. Kompletnie nie rozumiał tego, co dla Matyldy było oczywiste – że w sytuacji sprawowania władzy, każdej władzy, oprócz działań formalnych konieczne jest również umiejętne kształtowanie wizerunku. W końcu wybory za dwa lata...

Odczekała, aż Igor skończy pstrykanie fotek, i podeszła do burmistrza.

– Widziałam, że rozmawiał pan z tymi z Grodziska – zaczęła ostrożnie. – Czy już wiadomo, kto zastąpi naszego komendanta? Mogłabym do następnego biuletynu przygotować o nim materiał.

– Jeszcze nie ma decyzji. – Burmistrz poprawił kapelusz. – Jak tylko się czegoś dowiem, dam znać. Ale to dobrze, że trzyma pani rękę na pulsie. – A po chwili namysłu dodał: – Muszę przyznać, że rozkręca się pani jako wydawca. Ten najnowszy numer ze wspomnieniami o świętej pamięci komendantce bardzo dobrze wyszedł – pochwalił ją.

Matylda poczuła, że się rumieni.

– Dziękuję, dziękuję za uznanie! – złożyła dłonie na piersi i pochyliła głowę w czymś w rodzaju ukłonu. Komplementy z ust szefa traktowała jak najcenniejszą nagrodę. – Już zaczynam pracę nad kolejnym! Pomyślałam, że może warto by było zrobić wywiad z rodzicami tej zaginionej dziewczyny. Mogliby zaapelować do

mieszkańców o pomoc. No i oczywiście przestrzec innych, uczulić... Dlatego chciałam prosić, żeby mnie pan z nimi skontaktował, podobno państwo się przyjaźnią?

Przez twarz burmistrza przebiegł grymas niezadowolenia.

– Przyjaźnią to za dużo powiedziane – uciął. – Znamy się, dość luźno, to wszystko. Doceniam pani zaangażowanie, pani Matyldo, i efekty pani pracy, ale wydaje mi się, że kwestię Justyny na razie lepiej zostawić – powiedział zaskakująco oschłym tonem. – Nie chciałbym wywoływać w mieście paniki... no wiadomo.

Matylda patrzyła na niego zaskoczona. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się odmowy. I może w innej sytuacji uznałaby temat za zakończony, ale nie tym razem. Była naprawdę przekonana, że taki materiał miałby sens, dlatego zdecydowała się na coś, czego nie robiła właściwie nigdy – zakwestionowała decyzję zwierzchnika.

– Mnie się wydaje, że tutaj nie chodzi o panikę, tylko o ostrożność – zauważyła. – O zapobiegliwość i profilaktykę. Gdybyśmy zrobili na ten temat materiał, mieszkańcy byłiby ostrożniejsi...

– Ogląda pani za dużo seriali kryminalnych – przerwał jej burmistrz. – Zresztą o ile wiem, świętej pamięci komendant uważał, że ona po prostu uciekła z domu. Podobno już wcześniej jej się to zdarzało. Jeżeli to była recydywa, to nawet formalnie inaczej się takie zaginięcie traktuje. Więc zostawmy to, pani Matyldo. – Zajrzał jej głęboko w oczy, a jego spojrzenie było chłodne i stanowcze. – Ten artykuł mógłby przynieść więcej szkody niż pożytku. Proszę mi wierzyć.

Przytrzymał ją jedną ręką za ramię, drugą uścisnął jej prawą dłoń i ruszył w kierunku swojego auta.

Patrzyła za nim, dezorientowana. Najpierw ją pochwalił, powiedział, że docenia jej zaangażowanie i tak dalej, a potem jak gdyby nigdy nic odrzucił jej pomysł. Właściwie prawie skarcił... Nagle z everestu zawodowego szczęścia spadła w rów mariański rozpacz. Dla Matyldy, która zrobiłaby wszystko, żeby tylko dostrzec w oczach szefa aprobatę, nagana była czymś wyjątkowo bolesnym.

Zwłaszcza że naprawdę zależało jej na nagłośnieniu tej sprawy. Była matką dwóch córek. Do licha, o takich rzeczach powinno się mówić głośno! Właśnie po to jest lokalna prasa! Żeby podawać takie informacje!

– No, nareszcie! Wsiadamy, wsiadamy! Dłużej nie można było? – dotarły do niej zirytowane głosy kolegów, które oznaczały, że wreszcie pojawił się kierowca busa i odblokował drzwi. Ktoś pociągnął za klamkę, wszyscy zaczęli w pośpiechu wchodzić do środka, popędzani nadzieją, że we wnętrzu samochodu będzie cieplej niż na zewnątrz.

Matylda, ciągle rozpamiętując rozmowę z burmistrzem, klapnęła na siedzenie zaraz za kierowcą, modląc się, żeby nikt obok niej nie usiadł. Najwidoczniej modlitwa nie była jednak wystarczająco żarliwa, bo chwilę później wolne miejsce obok Matyldy zajęła Bożenka z referatu technicznej obsługi miasta. Drobną, szczupłą, w szarym płaszczu, czarnym, grubym szaliku, szarym berecie i czarnych rękawiczkach wyglądała jak przerośnięty i wygłodzony szop pracz.

Bożenka była cichą, skrytą osobą, rzadko wchodzącą w bliższe interakcje, co dawało nadzieję, że nie będzie podejmowała rozmowy. Matylda nie doceniła jednak tego, że w tak nieprzyjemnych sytuacjach, jakimi niewątpliwie są pogrzeby, ludzie szukają pozytywnych emocji, żeby zrekompensować sobie te bolesne. A ponieważ Matylda miała w sobie wewnętrzną łagodność i otaczała ją aura życzliwości i empatii, Bożenka nie omieszkała tego wykorzystać.

– Całe miasto przyszło. Jakie to wzruszające... – wyszeptała zza szalika, którym owinęła się tak szczelnie, że prawie nie było widać jej twarzy.

W głosie kobiety Matylda wyczuła tyle smutku, że natychmiast poczuła się zobligowana, żeby zareagować.

– O tak, bardzo – powiedziała łagodnie. – Znałaś go?

– Trochę. Pamiętam, jak nas pilnował na studniówce. Kilka osób wzięło wino i poszło pić na dach, a on ich tam nakrył. O mało nie wylecieli ze szkoły.

Matylda nagle sobie uświadomiła, że Chabior pełnił służbę w Milanówku od dwunastu lat. Kawał czasu.

– Dziwnie będzie w mieście bez niego – zauważyła.

Zamilkły.

– Hej, nie przesiadłabyś się? – Igor niczym płacząca wierzba pochylił się nad Bożenką.

Bożenka popatrzyła na niego niechętnie, po czym zsunęła się ze swojego miejsca i wycofała na tył busa. Fotograf opadł na siedzenie obok Matyldy i podał jej swój aparat.

– Chcesz rzucić okiem? Po południu obrobię i prześlę ci wszystko na mejla.

Na małym ekranie nie było widać zbyt dużo, ale Matylda zdecydowanie wolała przeglądać zdjęcia niż wspominać tragicznie zmarłego komendanta. Przewijała fotkę za fotką, błyskawicznie analizując, która jakie emocje może wywołać w odbiorcach. Kilkoma się zachwyciła, ale większość była po prostu mierna i co najwyżej nadawała się do wrzucenia na stronę do ogólnej zakładki: aktualności.

W pewnym momencie zdjęcia z pogrzebu się skończyły, a zaczęły ujęcia spektakularnych zachodów słońca, oszronionych liści i odbić nieba w kałużach.

– Hej, piękne to! – zauważyła, zaskoczona.

Igor mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Poznaj moją drugą twarz. Tak sobie cykam na boku.

– Mogę pooglądać? – upewniła się.

– Pewnie...

Z tych fotografii biło jakieś ciepło i spokój i Matylda z radością się w nich zanurzyła.

A potem nagle nastąpiła kolejna zmiana, jeszcze bardziej zaskakująca, bo zdjęcia przyrody ustąpiły miejsca fotkom z jakiejś imprezy. Zaciekawiona, zatrzymała się na jednej z nich. Jej wzrok przyciągnęła postać na pierwszym planie. Dziewczyna była szczupła, bardzo zgrabna, miała na sobie błyszczącą, obcisłą kieckę i szpilki. I choć wyglądała spektakularnie, sprawiała wrażenie, jakby źle się

czuła we własnej skórze. Twarzy nie było widać zbyt dobrze, ale Matyldzie wydawało się, że skądś zna tę osobę.

– Igor, czy to jest...?

Igor popatrzył na ekran aparatu i przewrócił oczami.

– Tak. Bożenka. Też jestem w szoku.

– Nigdy w życiu jej nie widziałam... takiej – wyszeptała Matylda, oglądając się dyskretnie za siebie, żeby sprawdzić, czy dziewczyna jej na pewno nie słyszy. – Wy się znacie prywatnie?

– Nie, coś ty. To był sylwester, domówka u znajomych, mnóstwo ludzi. Nawet słowa z nią nie zamieniłem. Zresztą sama wiesz, jaki to dzikus.

– Bez przesady... – oddała mu aparat. – A zdjęcia z pogrzebu w porządku. Wybiorę do biuletynu ze cztery, resztę wrzucę na fejsa.

Igor uniósł kciuk w górę i zaczął pakować aparat do futerału, a Matylda pomyślała, że chociaż żyją w tak niewielkiej społeczności, to i tak nie wiedzą o sobie zbyt wiele. Że każdy ma jakąś drugą twarz... Igora nigdy by nie podejrzewała o tak piękne zdjęcia przyrody, Bożenki – o cekinową kieckę i szpilki, a Artura – o kochankę. „Ciekawe, jaka jest moja druga twarz?”, zastanowiła się i w tym momencie poczuła, że jej wyciszona na czas pogrzebu komórka wibruje. Szybko sięgnęła do kieszeni.

Na ekranie zobaczyła kilka powiadomień z Facebooka i trzy nieodebrane połączenia od Gai. „Ciekawe, co takiego się mogło stać?”, pomyślała. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to jakieś problemy z Arturem, dlatego zdecydowała się oddzwonić od razu.

– Nareszcie! – przywitała ją Gaja z lekkim wyrzutem. – Gdzie ty się podziewasz?

– Na pogrzebie komendanta – wyjaśniła szeptem. – Za kwadrans powinnam być w domu. Co się stało?

– Musisz mi pomóc.

Matylda lubiła pomagać, pomaganie było esencją jej życia, więc taka oferta bardzo ją ucieszyła.

– Mów!

– Będiesz udawać przed Olgą, że chcesz kupić mieszkanie.

Przez chwilę nie potrafiła połączyć kropek.

– A, przed tą Olgą! – przypomniała sobie, że tak ma na imię kochanka Artura. – Przecież ona się dopiero co wprowadziła. Już sprzedaje?

– Nie. Naściemniasz, że myślisz o kupnie innego mieszkania w tym bloku, tam zostało jeszcze kilka wolnych lokali. I że chcesz się dowiedzieć, czy ona z tego swojego jest zadowolona. Potrzebuję pretekstu, żeby znowu do niej wejść – wyłuszczyła Gaja.

Matylda zastanawiała się gorączkowo, co odpowiedzieć przyjaciółce.

– To chyba nie jest jakoś przesadnie fatygujące? – upewniła się Gaja.

– Oczywiście, że nie jest fatygujące, ale czy jest legalne? – Matylda ściszyła głos do szeptu.

– Legalne? – Gaja prychnęła lekceważąco. – Co to w ogóle za kategoria? A czy sypianie z cudzym mężem uważasz za legalne?

Matylda zrozumiała, że musi powiedzieć prawdę.

– Przepraszam... Ja chyba nie dam rady – wyznała. – Wysypię się. Na sto procent.

– Tyśka, ale to łatwizna jest! – Gaja zaczynała się irytować. – Wejdziemy tam razem, poprosisz, żeby ci pokazała rozkład pokoi czy coś tam, a ja w tym czasie odzyskam słonia.

– Tylko że ja nie potrafię udawać – broniła się Matylda. – Jak kłamię, to czuję, że to po mnie widać, i strasznie się peszę i wtedy faktycznie widać od razu.

– Przecież ty chodzisz do domu kultury na zajęcia teatralne! – jęknęła Gaja. – To chyba umiesz grać?

– My tam recytujemy poezję – bąknęła Matylda. – Tak grać w sensie aktorskim nie potrafię. Nie chcę cię zawieść, rozumiesz?

Gaja nie zamierzała dłużej słuchać jej wymówek.

– Tyśka! Udało mi się podrzucić słońca do sypialni tej dziwki...

– Nie mów tak o niej...

– Dziwki, powtarzam. Ale zapomniałam, że potem trzeba go jeszcze odzyskać.

Jeżeli mi nie pomożesz, to leżę.

Jeszcze w zeszłym tygodniu, kiedy Matylda dowiedziała się o tym, że Artur zdradza Gaję, czuła silną potrzebę bronienia jej i wspierania. Jednak teraz, w obliczu konkretnego zadania, ten zapał odrobinę osłabł. Bo Matylda, w przeciwieństwie do Gai, kompletnie nie wierzyła we własne siły i starała się unikać sytuacji, w których mogłaby się nie sprawdzić.

– Jesteś tam?

Matylda westchnęła.

– Dobrze, spróbuję. Kiedy?

– Dzisiaj. Będę po ciebie za godzinę.

ROZDZIAŁ 11

Karta pamięci wyglądała niewinnie – czarny plastikowy kwadracik wielkości paznokcia.

Ale jej zawartość już taka niewinna nie była.

Gaja obejrzała nagranie na chłodno, prawie bez emocji. Dwoje ludzi uprawiających seks. Nagi mężczyzna i naga kobieta. Łóżko. Świece.

Patrzyła na nich, jakby byli obcy. Interesowała ją tylko możliwość rozpoznania ich twarzy. Na szczęście na kilku ujęciach widać było wyraźnie i Artura, i Olgę. Udało się, pomyślała, i natychmiast przerażona zdała sobie sprawę, że przecież się nie udało. Że właśnie kończy się jej małżeństwo i życie, jakie do tej pory znała. I jakie znała Helena.

No właśnie, Helena. To, jak na ich rozstanie zareaguje córka, bardzo ją niepokoiło. Jedyne, co mogła dla niej zrobić, to ograniczyć straty.

Nad zminimalizowaniem strat finansowych właśnie pracowała, ale co z emocjonalnymi? Całe szczęście, że Helena nie była z Arturem jakoś specjalnie zżyta. Ich relacje były poprawne, ale nie bardzo bliskie, i Gaję pierwszy raz naprawdę to ucieszyło.

Zgrywając film z karty na komputer, uświadomiła sobie, jak cenne to nagranie. Opisała plik datą i godziną i pomyślała z wdzięcznością o Matyldzie, która pomogła go jej odzyskać.

Powiedzieć o akcji, którą przeprowadziły, że była naciągana, to nic nie powiedzieć. Najpierw Gaja zadzwoniła do Olgi z historią o znajomej, która myśli o kupnie mieszkania w tym samym apartamentowcu, w którym mieszka Olga, ale chciałaby najpierw porozmawiać z kimś, kto jej szczerze opowie o zaletach i wadach

lokalizacji. Czy Olga mogłaby jej poświęcić dosłownie kwadrans? Olga zaproponowała, że chętnie pogada z tą osobą przez telefon, jednak Gaja udała, że tej propozycji nie słyszy, i bezceremonialnie wprosiła się z wizytą.

Niestety okazało się, że Matylda miała rację – nie potrafiła kłamać. Choć Gaja po drodze próbowała wtłoczyć jej do głowy podstawowe pytania, które powinna zadać, na miejscu nie umiała ich sobie przypomnieć i bardzo szybko się okazało, że improwizacja również nie jest jej mocną stroną. Gaja kilka razy miała ochotę kopnąć ją w kostkę, takie plotła bzdury. Na szczęście Matylda jedno zapamiętała – że ma się interesować przede wszystkim kuchnią, czyli pomieszczeniem położonym najdalej od sypialni, więc kiedy w pewnym momencie zapytała Olgę, czy może obejrzeć syfon pod zlewem, Gaja stwierdziła, że lepiej już nie będzie, i wymknęła się podmienić słonia.

– Syfon? Gdybyś naprawdę chciała kupić mieszkanie, tobyś się interesowała syfonem? – zapytała Matyldę kwadrans później, kiedy wracały do Milanówka.

– Chciałaś, żebym odciągnęła jej uwagę, to odciągnęłam – podkreśliła Matylda. – Może faktycznie pytanie było trochę dziwne, ale z głową w szafce nie mogła zobaczyć, że się ładujesz do sypialni.

Tak więc ich wyprawa o dziwo zakończyła się sukcesem. A potem czekało Gaję oglądanie nagranych materiałów.

I tak jak przewidywała, nie było to miłe zajęcie.

ROZDZIAŁ 12

Matylda poprawiła poduszkę i sięgnęła po leżącą na nocnej szafce książkę. Kiedyś, zwłaszcza na studiach, czytała bardzo dużo, jednak odkąd wyszła za mąż, a potem na świecie pojawiły się dziewczynki, czas, który w ciągu dnia mogła przeznaczyć na lekturę, skurczył się do piętnastu minut przed snem.

Choć najbardziej lubiła kryminały, teraz trzymała w ręku biografię Szymborskiej. Pożyczyła ją z biblioteki z prośbą, żeby zamiast na miesiąc, tę pozycję wyjątkowo wpisali jej na dwa. Po pierwsze dlatego, że miała prawie siedemset stron, po drugie – ponieważ Matylda przygotowywała dla Miejskiego Domu Kultury spektakl złożony z wierszy noblistki i chciała się do tego wydarzenia jak najlepiej przygotować. Miała nadzieję, że prywatne życie poetki podsunie jej jakieś pomysły do wykorzystania w scenariuszu.

Zaczęła czytać, ale nie mogła się skupić. Jej myśli uciekały ku szalonej i ryzykownej wizycie u Olgi. Przez te dwadzieścia minut spędzone w mieszkaniu kochanki Artura naprawdę nieźle się nadenerwowała. Gdyby zostały z Gają zdemaskowane i Olga skonfiskowałaby słońca, cały misterny plan przyjaciółki by się sypnął. A wtedy strach pomyśleć, co Artur zrobiłby z Gają w sądzie.

Matylda nie знаła Artura zbyt dobrze, ale z opowieści Gai wyłaniał się obraz człowieka inteligentnego oraz – bezwzględного. Takiego, w którym lepiej mieć przyjaciela niż wroga. A wynosząc słońca z kamerą w brzuchu z sypialni jego kochanki, definitywnie wkroczyły z Arturem na wojenną ścieżkę. I to obie. Bardzo ją to niepokoiło.

W tym momencie w otwartych drzwiach sypialni stanął Maciek. Matylda popatrzyła na męża z czułością. On nie byłby zdolny do takich akcji jak Artur. Nie miał w sobie krzty agresji, złościwości, był uczciwy, prostolinijny i prawdomówny.

Jak dobrze, że za niego wyszła, nie przejmując się burczeniem rodziców, że rozwodnik, że dziecko, że finansowo nieustawiony... Wiedziała, że swoją łagodnością, uczciwością, dobrem po prostu szybko ich do siebie przekona. I tak się rzeczywiście stało.

– Mogę się przytulić? – zamruczał, wsuwając się pod kołdrę i przyciągając Matyldę do siebie.

Pocałował ją, a ona odpowiedziała pocałunkiem, ale chyba nie było w nim wystarczająco dużo zaangażowania, bo Maciek pogłaskał ją po policzku i zapytał:

– Zmęczona?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie... myślę o Gai.

Maciek ułożył się wygodnie na boku.

– No właśnie widzę, że ona ostatnio nie w sosie. Co się dzieje?

Matylda, która wcześniej nie pisnęła mężowi ani słowem o kłopotach przyjaciółki, nagle poczuła, że musi, bo się udusi, i wyrzuciła z siebie wszystko, całą historię, łącznie z ich dzisiejszą wizytą u Olgi.

– Poważna sprawa – podsumował Maciek, kiedy skończyła.

– Poważna – przyznała Matylda. – Strasznie mi żal Gai. Popatrz, kolejne nieszczęście, które na nią spada jak grom z jasnego nieba.

– No z tym gromem to bym polemizował – Maciek wsunął rękę pod plecy żony i przytulił policzek do jej ramienia.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się Matylda.

– To, że ją zdradza, chyba nie mogło być zaskoczeniem. Taka historia mi się przypominała... – ciągnął z namysłem. – Jeden mój kumpel miał kumpla. Szczęśliwe małżeństwo, cudowna żona, git. No i pewnego dnia gość kupił sobie wędkę. Nigdy wcześniej nie łowił, nawet się podobno nabijał z tych, co wędkują, a tu nagle zaczął spędzać nad wodą całe dni. Koledzy się go pytali: stary, co ci się stało? On się zarzekał, że nic, że dojrzał po prostu, i że to fajne hobby jest. A potem się okazało, że jego żona miała romans.

Matylda zsunęła się niżej i przysunęła twarz do twarzy męża.

– Nie rozumiem – powiedziała zdezorientowana. – O czym to niby jest?

– O tym, że czasami, zamiast się lepiej rozejrzeć, kupujemy wędkę. Ten facet podejrzewał, że coś jest nie tak. Na jego stykach rozpoczął się proces, ale on go zignorował. I zamiast podrażnić, sprawdzić, skonfrontować się z tą, no, intuicją, to on sobie kupił wędkę i zdezerterował.

– Ale co to ma wspólnego z Gają? – Matylda zaczynała się irytować. – Gaja nie łąwi ryb!

Maciek westchnął.

– Za to kupiła lornetkę i obserwuje ptaki. Ucieczka w hobby. To taki prosty mechanizm...

W tym momencie Matylda zdała sobie sprawę, że jej mąż, człowiek, który większość życia spędza w piwnicy w towarzystwie dysków twardych, matryc i klawiatur, zauważył coś, co jej uwadze ewidentnie umknęło.

– Nie, to niemożliwe! Ona jest taka odważna, nigdy niczego nie unika! – próbowała mimo wszystko zaprotestować.

– Tak, wiem – przyznał Maciek.

– Gdyby go o cokolwiek podejrzewała, od razu by się z nim rozprawiła. Od razu!

– Ja mówię o programach wgranych na tak głębokim poziomie, że nawet ona sama tego nie widzi. Tylko wsiada w samochód o czwartej nad ranem i pędzi nad Biebrzę obserwować te swoje żurawie czy inne bieliki. – A potem dodał: – Tamta tragedia sprzed lat musiała zostawić jakieś ślady, nie łudźmy się.

Matylda, zasmucona, wtuliła się w męża, który właśnie zdiagnozował jej najlepszą przyjaciółkę, zupełnie jakby była popsutym laptopem marki Toshiba.

– Czy ty, jak schodzisz do tej swojej piwnicy, też dezertujesz? – zapytała cicho.

Maciek roześmiał się.

– Nie, ja tam pracuję. Ale jak zacznę hodować gołębie albo uprawiać wspinaczkę skałkową, to możesz się zacząć martwić.

ROZDZIAŁ 13

Będąc osobą konkretną i przewidującą, Gaja wiedziała doskonale, że ostatni fragment tej gry powinna przeprowadzić bez emocji, na zimno i precyzyjnie, a amunicja, której będzie używać, musi reprezentować najwyższą jakość.

Dlatego następnego dnia po zgraniu filmu wybrała się do Rossmanna i tam, wciśnięta między szampony a papier toaletowy, wydrukowała kilkadziesiąt zdjęć. Żadne z nich nie budziło wątpliwości, że para, która się na nim znajduje, jest ze sobą w relacji intymnej – ani fotografie z pierwszej wizyty pod oknami Olgi, ani te z kolacji w restauracji, gdzie Artur trzyma kobietę za rękę i patrzy jej głęboko w oczy, ani te, na których wchodzi do kina, obejmując się czule.

Uzbrojona w gruby plik fotek wróciła do domu, uprzedziła Helenę, że bardzo boli ją głowa i musi odpocząć, po czym zamknęła się w sypialni i przystąpiła do przygotowywania dowodów. Najpierw zajęła się zdjęciami, na których widać było wyraźnie datę i godzinę, kiedy zostały wykonane, co bardzo jej ułatwiło ułożenie ich chronologicznie. Do zdjęć dołączyła też wydruk kalendarza Artura, który uzyskała od jego sekretarki pod jakimś banalnym pretekstem. Kolacja z Olgą figurowała w nim jako spotkanie online z firmą ze Stanów, natomiast kino kryło się pod hasłem „studio reklama odbiór”. Kłamczuszek...

Do tego doszło jeszcze kilka stop-klatek z filmu, prezentujących bardzo dobrą jakość i ocierających się dzięki temu o pornografię.

Materiał był mocny i niepodważalny.

Moment konfrontacji zbliżał się wielkimi krokami.

Sięgnęła po telefon, ale zanim zdążyła wybrać numer męża, komórka zadygotała jej w dłoni, a na ekranie pojawiło się imię „Artur”. Gaja nabrała powietrza i odebrała połączenie.

– Hej, właśnie chciałam do ciebie dzwonić – zaczęła. – Mam sprawę...

– Ja też – przerwał jej. – Rozmawiałem z Filipem. Wyobraź sobie, zakłada fundację i potrzebuje, żeby mu ktoś wytłumaczył kilka kwestii i pomógł wypełnić papiery. Byłabyś taka miła?

Gaja wzięła do ręki zdjęcie swojego męża uprawiającego seks z Olgą i przyglądając mu się, zastanawiała się jednocześnie, co odpowiedzieć. Problemy Filipa, przyjaciela Artura z czasów szkolnych, nie wydawały jej się teraz palące.

– Chyba żartujesz – powiedziała w końcu. – Wszystko na temat zakładania fundacji jest w internecie. Wystarczy poczytać. Poza tym Filip i fundacja? Co to za pomysł?

Filip był specyficzną postacią. Studiował na kilku kierunkach, ale żadnego nie skończył. Uwielbiał wydawać pieniądze, ale nie lubił ich zarabiać. Wszystkie biznesy, które założył, a było ich sporo, padały jeden po drugim. Kiedy w pewnym momencie zwrócił się do Artura z prośbą o sfinansowanie kolejnego niezbyt rozsądnego projektu, mąż Gai zaproponował mu kierownicze stanowisko w jednej ze swoich firm, na co Filip skwapliwie przystał.

Mówiąc delikatnie, nie był pracownikiem idealnym i Artur wiele razy musiał interweniować, ratując i jemu, i sobie tyłek, ale posiadał jedną niewątpliwą zaletę, która sprawiła, że z czasem stał się absolutnie niezastąpiony. Tą zaletą była lojalność. Filip poszedłby za Arturem w ogień, a Artur, wiedząc to, pomimo wielu problemów, ciągle go przy sobie trzymał i tę jego lojalność wykorzystywał. Na różne sposoby.

Dlatego kiedy Gaja usłyszała, że Filip chce założyć fundację, pomyślała najpierw, że to jakiś żart.

– Nie znam szczegółów – przyznał Artur. – Ale wygląda na to, że mu zależy. Pomóż mu, bo mnie zamęczy.

Gaja nie zamierzała dłużej rozmawiać o Filipie. Miała ważniejsze rzeczy do załatwienia.

– Mówiłam ci, że mam do ciebie sprawę – przypomniała.

– Coś ważnego?

– Chciałabym coś z tobą omówić. I wolałabym, żebyśmy się w tym celu spotkali na mieście.

– Ho, ho... to brzmi groźnie – zaśmiał się. – A nie możemy po prostu pogadać w domu, przy kolacji?

– A kiedy ostatnio byłeś w domu na kolacji?

– No to przy śniadaniu...

– I przy Helenie...

– Dobrze już, dobrze. Jak sobie życzysz – stwierdził ugodowo. – Najbliższy wolny termin mam ... – przerwał, chyba zaglądając w kalendarz. – Pojutrze wieczorem. Dziewiętnasta. Zarezerwować stolik?

– Zarezerwuj. Może w Belvedere... – nie mogła sobie odmówić tej drobnej złośliwości.

– O, ciekawe, kiedyś nie lubiałaś tam jadać? – zdziwił się.

– Nie lubiałam. Ale ostatnio to miejsce dziwnie za mną chodzi. – To nawet nie było kłamstwo. – Czyli pojutrze o siódmej.

– Tylko umów się wcześniej z Filipem w sprawie tej fundacji – przypomniał jej Artur.

Gaja wyczuła w głosie męża ton uporcu. Znała go i wiedziała, że to oznacza jedno: moim prośbom się nie odmawia. Przez chwilę kusilo ją, żeby się z nim podroczyć, ale szybko sobie uświadomiła, że nie warto staczać potyczki w tak nieistotnej sprawie. Powinna oszczędzać siły na ostateczną rozgrywkę. Poza tym obaj mężczyźni naprawdę się przyjaźnili. Może przy okazji tego spotkania uda się od Filipa wyciągnąć jakieś dodatkowe informacje o romansie męża? O ile oczywiście o nim wie.

– Dobrze. Niech zadzwoni.

– Jemu się śpieszy – podkreślił Artur.

– Niech zadzwoni – powtórzyła i rozłączyła się.

Zebrała wszystkie materiały, z pewną satysfakcją schowała je do żółtej teczki z napisem „Muzeum Narodowe”, po czym włożyła ją do swojej nocnej szafki.

Wyjmie stąd teczkę za dwa dni. I wtedy wszystko się rozstrzygnie.

ROZDZIAŁ 14

Od czarnej, połyskliwej powierzchni nagrobka odbijały się złote litery napisu: „Jan i Ewa Suchodolscy”. Dwa imiona, jedno nazwisko. Tacy bliscy. Nierozzerwalni. Do końca.

I to właśnie ta ich bliskość sprawiała, że Gaja nie lubiła tutaj przychodzić. Bo nie mogła być tylko z jednym z nich.

Tak bardzo chciałyby porozmawiać z mamą. Zwłaszcza teraz, kiedy zbliżał się moment konfrontacji z Arturem. Ale obecność ojca tę rozmowę utrudniała. Utrudniał ją też żal, który do niego w sobie nosiła. Żal, do którego nikomu nie mogła się przyznać. Nawet matce. Żal, który wspólnie z wyrzutami sumienia diametralnie zmienił jej życie.

Zapaliła zapałkę i osłoniła ją dłonią. Płomień zaczął trawić drewno i nagle zgasł, zdmuchnięty silnym podmuchem wiatru. Gaja schowała zapałkę do pudełka i zapaliła kolejną, ale zanim udało jej się przesunąć dłoń nad znicz, zapałka zgasła.

– Chcesz zapalniczkę?

Odwróciła się gwałtownie. Tuż za nią stała ciotka Julia. Musiała przyjść od strony drugiej bramy, dlatego Gaja jej nie zauważyła.

– Cześć, ciociu – pocałowała ją w policzek.

Ciotka pachniała znajomo tymi samymi od lat perfumami, terpentyną i papierosowym dymem, i Gaja uświadomiła sobie nagle, że to dlatego nie utrzymuje z nią kontaktu. Za dużo wspomnień.

Te lata, które u niej spędziła, nie należały do łatwych. Dla nich obu. Julia, bardzo związana z siostrą, przeżywała jej stratę prawie tak mocno jak Gaja. Tyle tylko, że ze względu na Gaję nie mogła sobie pozwolić na okazywanie bólu, który – tłumiony – zniszczył ją od środka.

Kiedy rodzice Gai zginęli, Julia była młodą, świetnie zapowiadającą się malarką. Miała na swoim koncie kilka wystaw zbiorowych i jedną indywidualną. Malowała z rozmachem, szczerze i kolorowo. Po śmierci siostry i szwagra najpierw przestała malować w ogóle. A kiedy wróciła do sztalog, spod jej pędzla zaczęły wychodzić obrazy sztamkowe i nudne, jakby nie miała już czym się dzielić ze światem.

– Trzymaj – ciotka podała Gai zapalniczkę.

– Ciągłe palisz?

– Od czasu do czasu – machnęła ręką bagatelizująco. – Co u ciebie?

Gaja poprawiła szalik. Stała tutaj zaledwie od dziesięciu minut, a już zmarzła.

– Trochę komplikacji. Opowiem, jak się wszystko wyklaruje. A u ciebie?

– W porządku. Przerzuciłam się na zachody słońca, idą nawet lepiej niż Starówka. Zresztą teraz mało turystów, musiałam pójść w coś bardziej uniwersalnego. No i szybciej się maluje.

Ciotka Julia otworzyła przewieszoną przez ramię dużą, kolorową torbę, wyjęła z niej pudełko owinięte w papier z nadrukiem „Blikle”, termos i trzy tekturowe kubeczki. Przysiadły obie na granitowej płycie, ciotka rozlała kawę do kubków, jeden podała Gai, drugi zostawiła sobie, a trzeci przysunęła do płonącego znicza. Za każdym razem kiedy tu przyjeżdżała, zabierała ze sobą pączki i kawę, dwie rzeczy, które jej siostra lubiła najbardziej na świecie.

– No to na zdrowie – stuknęły się kubeczkami.

Wypiły kawę i zjadły po pączku. Prawie nie rozmawiały.

– Zimno – stwierdziła w końcu ciotka. – Pójdę już. Wpadnij do mnie kiedyś po pracy.

– Wpadnę – obiecała Gaja.

Informację, że niedługo przestanie pracować w centrum, zachowała na razie dla siebie.

Zostawiły na nagrobnej płycie ostatniego pączka i kubek kawy i ruszyły główną aleją cmentarza w kierunku bramy. Rzeczywiście było zimno. Zimno

i nieprzyjemnie. Jak zawsze w rocznicę śmierci Jana i Ewy Suchodolskich.

ROZDZIAŁ 15

Filip zajmował połówkę bliźniaka na Żoliborzu. Adres był prestiżowy, sam lokal mniej. Odziedziczony po rodzicach dom Filip bardzo szybko doprowadził do podobnego stanu jak swoje życie, które poza nietrwałymi związkami charakteryzowały długi i bałagan. I które, tak jak ten budynek zdecydowanie wymagało remontu.

W liceum Filip chodził z Arturem do tej samej klasy i od tamtej pory się przyjaźnili. Był jedną z pierwszych osób, które Artur przedstawił Gai, i chyba jedyną z grona jego znajomych, którą polubiła. Filip, mimo oczywistych wad, miał bowiem w sobie chłopięcy urok, któremu niewiele osób potrafiło się oprzeć.

Myślała, że umówią się na mieście, ale Filip nalegał, żeby przyjechała do niego, w dodatku nie w ciągu dnia, tylko wieczorem. A że spotkanie na prywatnym gruncie było dla Gai wygodniejsze, bo dawało możliwość niczym nieskrępowanej rozmowy, chętnie się zgodziła.

O dziewiętnastej zaparkowała na chodniku naprzeciwko jego domu, wysiadła z auta i podeszła do furtki. W świetle latarni widać było, że farba ze słupków odchodzi poskręcanyimi płatami, jak skóra z opalonego nosa. Gaja nacisnęła guzik dzwonka. Drzwi wejściowe otworzyły się prawie natychmiast, zupełnie jakby gospodarz stał przy nich i wypatrywał gościa.

– Już, już! – usłyszała.

Odruchowo chwyciła za klamkę, żeby pchnąć furtkę, kiedy tylko usłyszy brzęczenie, ale Filip zbiegł po schodach i przekręcił klamkę od środka. Miał na sobie czarne dżinsy i obcisły czarny T-shirt, który świetnie eksponował jego muskulaturę. Musiała przyznać, że w połączeniu ze szpakowatymi włosami

i kilkudniowym zarostem na przystojnej twarzy prezentował się zaskakująco atrakcyjnie.

– No, nareszcie! Nie mogłem się doczekać! – objął ją mocno w pasie i przyciągnął do siebie. – Jakaś ty śliczna... – powiedział takim tonem, że gdyby go nie znała, nabrałaby się na ten komplement jak nic.

– Przestań – próbowała się uśmiechnąć, ale ze zdziwieniem odkryła, że kąciki ust nie bardzo chcą z nią współpracować. – Znam te twoje gierki.

– Nie mów tak. Gdybyś nie była żoną mojego najlepszego przyjaciela... – mrugnął do niej porozumiewawczo, a potem, jakby nigdy nic, pocałował ją w szyję.

W szyję!

Każdy inny mężczyzna natychmiast dostałby za to w twarz. Ale ponieważ to był Filip, prychnęła tylko:

– Zwariowałeś?

– Na twoim punkcie? Już dawno! – Objął ją w pasie i pociągnął w stronę domu. A kiedy wchodzili po schodach, poczuła jego dłoń na pośladku.

No cóż, taki już był. Zwykle obserwowała, jak wypróbowuje te swoje sztuczki na innych kobietach. Do niej rzadko startował, a jeśli to się zdarzało, po prostu dostawał po łapach. Potrafiła trzymać go na dystans. Dzisiaj jednak postanowiła być miła. Cierpliwa. Pomocna. I wyciągnąć z Filipa ile się da na temat Artura i Olgi.

Weszli do kuchni. Na stole stała butelka czerwonego wina i dwa kieliszki.

Filip odebrał od Gai kurtkę.

– Napij się? – zapytał. – Mam świetnego caberneta. Wiem, że lubisz. Lubiała. Mimo to pokręciła przecząco głową.

– Przyjechałam autem.

Westchnął, przewracając teatralnie oczami.

– Nawet pół kieliszka?

– Nie...

– No weź... To tak na samo dno, żeby chociaż smak poczuć!

Zawahała się.

– Dobrze. Ale dosłownie odrobinę.

Patrzyła, jak bierze butelkę, korkociąg i wbija ostry czubek w korek.

– Dawno u nas nie byłeś – zaczęła niewinnie. – Może byś wpadł w weekend?

Artur się ucieszy.

– Wiesz, że w weekendy jestem najbardziej zajęty... Impreza za imprezą... Ale się postaram – obiecał.

– Świetnie. Zrobię coś dobrego. I tak sobie myślę... – zawiesiła na chwilę głos. – Może bym też zaprosiła Olgę?

Filip drgnął i gwałtownie szarpnął za korek, a z butelki, prosto na Gaję, chlusnęła fontanna szkarłatnego płynu.

Gaja nie zdążyła się odsunąć. Strumień wina wylądował na jej beżowym swetrze i jasnoniebieskich džinsach, barwiąc je natychmiast na kolor krwi.

– O kurwa... – jęknął Filip.

Gaja stała bez ruchu, patrząc ze zgrozą na rozrastające się na materiale plamy.

– Nie, no bez jaj – wydusiła z siebie, zaszokowana.

– Przepraszam, przepraszam... – Filip wyglądał na autentycznie poruszonego. – To trzeba szybko zdjąć i namoczyć, dawaj... – Chwycił za dół swetra i pociągnął do góry, odsłaniając Gai brzuch i stanik.

– Zostaw, poradzę sobie – odsunęła się odruchowo. Przy całej sympatii do Filipa był on jednak obcym mężczyzną o niezbyt ciekawej reputacji. – Gdzie masz łazienkę?

– Hej, przyniosłem ci ciuchy do przebrania. Tak mi głupio, naprawdę – kajał się Filip pod drzwiami łazienki.

Gaja siedziała na brzegu wanny i próbowała mokrym ręcznikiem usunąć ze swetra plamę. Nic to oczywiście nie dawało, materiał robił się tylko coraz bardziej

mokry.

– Połóż, zaraz wezmę.

Poczekwała, aż odejdzie, uchyliła drzwi i zabrała z podłogi spodnie dresowe i flanelową męską koszulę. Przebrała się w suche rzeczy, mokre ubranie złożyła w żalostną kupkę i wyszła z łazienki. Energia i bojowy nastrój, z którymi weszła do tego domu, gdzieś zniknęły. Prawdopodobnie stało się to w momencie, w którym Filip oblał ją winem. Jego reakcja niezbitcie świadczyła o tym, że wiedział o Arturze i Oldze. A Gaja nagle poczuła, że naciąganie go na rozmowę i konfrontowanie się z jego lojalnością w stosunku do przyjaciela jest ponad jej siły. „Czy to coś zmieni? – pomyślała. – Nic. Nie zmieni kompletnie nic”.

Filip kończył właśnie wycierać zachlapanym winem stół. Na widok Gai wyprostował się i popatrzył na nią wzrokiem zbitego psa.

– Wybacz mi, proszę! – złożył ręce jak do modlitwy. – Zupełnie nie wiem, jak to się stało.

Zabawne, bo Gaja wiedziała.

– Opuśćmy sobie dzisiaj to wypełnianie formularzy, co? – poprosiła. – Na stronie *Jak założyć fundację – krok po kroku* jest wszystko elegancko wytłumaczone. Przejrzyj to, jestem pewna, że bez problemu to ogarniesz. Gdybyś miał jakieś pytania, dzwoń. Ja już pójdę.

Zrobiła krok w kierunku Filipa, żeby zabrać wiszącą na krześle kurtkę. W tym momencie mężczyzna objął ją w pasie.

– Tak mi strasznie głupio... – powiedział cicho. – Odkupię ci ten sweter... i dzinsy...

– Nie trzeba – uśmiechnęła się wymuszonym uśmiechem. – Daj mi tylko na nie jakąś torbę, żebym sobie nie pobrudziła tapicerki. Lecę...

Chciała się od niego odsunąć, ale mężczyzna, zamiast ją puścić, przyciągnął Gaję do siebie.

– Zawsze chciałem to zrobić – powiedział.

I pocałował ją.

Oszołomiona, najpierw nie zareagowała. Dopiero po kilku sekundach, kiedy jego dłonie zaczęły delikatnie gładzić jej plecy, odskoczyła gwałtownie do tyłu, o mało nie przewracając kuchennego krzesła.

– Filip! – krzyknęła, wstrząśnięta. – Cholera jasna! Co to było!?

A on, patrząc jej w oczy, odpowiedział:

– Pożegnanie.

Kiedy trzy minuty później przekręcała kluczyk w stacyjce, drżały jej ręce.

Pożegnanie...

O, tak. Filip nie tylko wiedział o Oldze. Musiał też wiedzieć, że Artur planuje rozstać się z Gają... „Żebyś się nie zdziwił, kto tu się z kim rozstanie”, pomyślała ze złością.

Ruszyła z miejsca z takim impetem, że o mały włos nie rozjechała jakiegoś niskiego, niepozornego mężczyzny, który akurat w tym momencie postanowił przejść na drugą stronę osiedlowej uliczki.

Jeszcze tylko tego jej brakowało do pełni szczęścia. Wypadku.

ROZDZIAŁ 16

A jednak Artur nie zarezerwował stolika w Belvedere. Tłumaczył, że nie było już wolnych miejsc, ale Gaja podejrzewała, że powód był inny. Zapraszanie do tej samej restauracji i kochanki, i żony zawsze obarczone jest jakimś elementem ryzyka. Widocznie jeszcze nie był gotowy na konfrontację.

Za to Gaja była.

Do niewielkiej meksykańskiej knajpy na Starym Mieście, którą ostatecznie wybrał jej mąż, przyszła specjalnie kwadrans wcześniej, a kiedy kelner wskazał jej stolik tuż przy wejściu, poprosiła o zamianę na inny, ustawiony w głębi. Woląca, żeby zebrani w restauracji goście nie obserwowali tego żenującego spektaklu, który miał się wydarzyć.

Usiadła twarzą do sali i czekała.

Za pięć siódma w drzwiach pojawił się Artur. Nie był sam – razem z nim na salę wszedł niski, niepozorny mężczyzna w dżinsach, jasnej koszuli i marynarce, ściskający pod pachą niemodny neseser z metalowymi okuciami. Gaja odniosła dziwne wrażenie, że gdzieś go już kiedyś widziała...

Poczuła w brzuchu lekkie ukłucie niepokoju, postanowiła jednak tego po sobie nie pokazywać. Podniosła niedbale rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę Artura.

Zauważył ją i ruszył w jej kierunku, a mężczyzna z neseserem – tuż za nim.

Gaja nie spuszczała wzroku z męża, kiedy zbliżał się do niej energicznym, sprężystym krokiem. Wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z życia. „Za pół godziny już ci nie będzie tak wesoło”, pomyślała z satysfakcją.

Artur podszedł do stolika, nachylił się i pocałował Gaję w policzek. Pachniał znajomo hermèsem i Gaja nagle sobie uświadomiła, że ten zapach zawsze będzie jej się z nim kojarzył. Oraz że niedługo po mężu zostaną jej tylko wspomnienia.

– Pozwól, że ci przedstawię – powiedział oficjalnym tonem. – Pan Andrzej Lisicki.

Mężczyzna pochylał głowę na powitanie. Miał małe, chytne oczka i ostry nos, co w zabawny sposób korespondowało z jego nazwiskiem. „Co to za facet jest? – Gaja zaczęła się naprawdę denerwować. – I po co Artur go ze sobą zabrał?” Ale poza nazwiskiem nie doczekała się żadnych informacji.

Zlustrowała mężczyznę szybkim, uważnym spojrzeniem, szukając odpowiedzi na nurtujące ją pytanie, jednak nie zauważyła nic, żadnego szczegółu, który sugerowałby, czym się zajmuje. Bo sądząc po kiepskiej jakości marynarce, prawnikiem Artura nie był na pewno. Gaja poczuła się naprawdę dziwnie. Czy na zwykłą kolację z żoną zabiera się obcego faceta?

– Witam – powiedziała oficjalnym tonem.

– Zamówiłaś już? – zapytał Artur, siadając. Mężczyzna z neseserem opadł na sąsiednie krzesło.

– Nie. Lepiej będzie, jeżeli najpierw porozmawiamy... – Odchrząknęła. – Tylko wolałabym nie przy panu.

Artur sięgnął po menu.

– Pan Andrzej zostanie.

„Co tu się dzieje?”, pomyślała Gaja nerwowo.

Nachyliła się w kierunku męża.

– Ty chyba nie rozumiesz. Ta rozmowa nie będzie dla ciebie miła. Naprawdę chcesz, żeby wysłuchał jej ktoś obcy?

– Mną się nie przejmuj. – Poklepał ją lekko po dłoni. – Jestem twardzielem.

Spokój Artura i tajemnicza postać Lisickiego sprawiły, że węzeł niepokoju w żołądku Gai zaciskał się coraz mocniej.

Drżącą ręką sięgnęła do torby, wyjęła z niej żółtą teczkę i położyła na stoliku przed sobą.

– Muzeum Narodowe? – Artur zwrócił uwagę na podpis. – To ma coś wspólnego z fundacją?

– O, zdecydowanie – odpowiedziała. – Jeszcze raz zasugeruję, że pan Lisicki nie powinien tego oglądać.

Przez chwilę mierzyli się z Arturem wzrokiem.

– Pokazuj – zarządził mężczyzna.

„Chcesz się kompromitować, twoja sprawa”, pomyślała. Zaczęła wyjmować z teczki jej zawartość, odbitka po odbitce, i wykładać przed Arturem na stole: fotki z kolacji w Belvedere, z wyjścia z Olgą do kina, i cały plik kadrów z filmu, na których widać było, jak uprawiają seks. Jednocześnie uważnie obserwowała reakcję męża. Czy właściwie – kompletny brak reakcji. Spodziewała się ujrzeć na jego twarzy zdziwienie, zaciekawienie, strach... nie zobaczyła nic. Żadnych emocji. Zupełnie jakby na kolorowym obrusie nie leżały fotografie dokumentujące ze szczegółami jego romans, tylko ulotki sklepu ze zdrową żywnością. Nie, to nie było normalne...

– No i co ty na to? – zapytała, kładąc przed nim ostatnie zdjęcie, wyjątkowo pikantną stop-klatkę z sypialni Olgi. Na miejscu męża schowałyby się pod stół ze wstydu...

Natomiast Arturowi nawet nie drgnęła powieka.

– To wszystko? – zapytał spokojnie.

Gaja przełknęła ślinę.

– Uważasz, że to mało?

Nie odpowiedział.

– Zamierzam złożyć pozew o rozwód z orzeczeniem twojej winy – mówiła dalej, coraz bardziej zdenerwowana jego brakiem reakcji. – Na podstawie tego materiału każdy sąd przyzna mi rację. Zamierzam cię, mój drogi, puścić w skarpetkach.

W tym momencie stało się coś, czego Gaja kompletnie się nie spodziewała. Artur zaczął się śmiać. Szczerze i tak głośno, że siedzący przy sąsiednich stolikach spojrzeli na nich karcąco. A kiedy w końcu się uspokoił, nachylił się w jej stronę i mrużąc oczy, oświadczył:

– W takim razie pozwól, że zdradzę ci, kim z zawodu jest pan Lisicki. Otóż pan Andrzej jest prywatnym detektywem. Wynająłem go i też mam ci coś do pokazania.

Gaja poczuła, że robi jej się zimno. „O co tu chodzi?”, pomyślała w panice.

– Panie Andrzeju – zwrócił się Artur do mężczyzny. – Czy byłby pan tak miły i zaprezentował nam wyniki swojej pracy? Już robię miejsce – odsunął odbitki Gai na bok.

Detektyw odchrząknął, po czym wyjął z neseseru gruby plik komputerowych wydruków i tak jak przed chwilą Gaja, zaczął je rozkładać na stole.

Na początku nie mogła się zorientować, co widzi. Jakiś dom, jakaś furтка, mężczyzna obejmujący kobietę i wtulający twarz w jej włosy w bardzo intymnym geście, dłoń mężczyzny na pośladku kobiety...

– O, nie... – jęknęła, kiedy do niej dotarło.

Miała przed sobą dokładną dokumentację swojego ostatniego spotkania z Filipem, które na zdjęciach wyglądało jak schadzka kochanków: Filip z butelką wina, Filip pomagający jej zdjąć sweter... I na koniec kilka bardzo elegancko wykadrowanych fotografii zrobionych w momencie, w którym Filip ją całował.

Pożegnanie...

Zdrajca!

Skurwysyn!

Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

– No cóż, wygląda na to, że jesteście w bardzo zażyłej relacji... – Artur pokiwał głową z uznaniem. A potem dokończył lodowatym tonem.

– To tyle w temacie puszczenia w skarpetkach. Panie Andrzeju – zwrócił się do detektywa – dziękuję. Dobra robota. Będziemy w kontakcie.

Lisicki wstał i wyszedł. Artur odczekał, aż zniknie za drzwiami, po czym powiedział z teatralnym oburzeniem.

– Romans z przyjacielem męża? Ty bezwzględna, wyuzdana kobieto! – I dodał już normalnym tonem: – Moi prawnicy cię zniszczą.

Gai wydawało się, że z powietrza, którym próbowała oddychać, nagle ulotnił się cały tlen. Zrobiło jej się tak duszno, że przestraszyła się, że zemdleje.

– Przecież to nieprawda! – wydusiła z siebie. – Nikt ci nie uwierzy!

Artur patrzył na nią z politowaniem.

– Mnie nikt nie będzie musiał wierzyć. Uwierzą zdjęciom, uwierzą też panu Lisickiemu, który w sądzie zezna, że masz romans z Filipem.

– Nie mamy żadnego romansu! – zagotowała się.

– Ty to wiesz i ja to wiem – wzruszył ramionami Artur. – Powiem ci więcej – Filip też to wie, ale on akurat się tą wiedzą z nikim nie podzieli. Podzieli się za to twoimi zdjęciami, które mu podesłałem. Zdjęciami w dość niekompletnym stroju. Nikt nie powinien się zorientować, że to nie jego łóżko.

Gaja miała ochotę rzucić się na Artura z pięściami. Powstrzymała się tylko dlatego, że przypomniał jej się jakiś fragment artykułu z internetu na temat rozwodów, w którym napisano, że nikt tak sobie nie szkodzi jak kobiety wpadające w histerię i atakujące swoich mężów, którzy natychmiast wzywają policję i potem udowadniają w sądzie, że żona jest niespełna rozumu. Co może skutkować odebraniem majątku i praw rodzicielskich, a w najgorszym razie – zamknięciem w szpitalu psychiatrycznym.

Więc zacisnęła tylko dłonie na krawędziach krzesła.

– Ty chuju – wycedziła. – Jak się zorientowałaś?

– Ja nie. To Olga. Ta twoja pierwsza wizyta już jej się wydała podejrzana, ale kiedy do niej wparowałaś z Matyldą pod jakimś kretyńskim pretekstem, zrozumiała, że wiesz. Żeby mieć pewność, przeszukałem twoje auto i znalazłem kwitek z Rossmanna za zdjęcia. Nigdy w życiu nie drukowałaś zdjęć w Rossmannie... – odchylił się z krzesłem do tyłu i obserwował uważnie efekt swoich słów. – Więc sobie pomyślałem, że trzeba jakoś zadziałać. A ponieważ najlepszą obroną jest atak, uruchomiłem Filipa i pana Lisickiego. Trochę pat, moja droga, nie uważasz?

Gaja zaczęła gwałtownie pocierać palcami czoło. Została zepchnięta do narożnika, a na jej brzuch spadały kolejne ciosy, przed którymi nie potrafiła się zasłonić. Te działania Artura musiały mieć jakiś cel, nawet nietrudno się było domyślić jaki.

– Czego chcesz? – spytała.

– Rozvodu bez orzekania o winie – odpowiedział natychmiast. – I podpisania tego...

Podsunał jej jakieś papiery.

– Co to?

– Intercyza. Z datą wsteczną. Gdybyś miała jakiegokolwiek wątpliwości, to podpowiem, że ja też mam przygotowany pozew rozwodowy. Z dobrze udokumentowanym orzeczeniem o twojej winie, więc lepiej nie wierzgaj, bo ci zabiorę Helenę.

Gaja poczuła, że osuwa się w otchłań. Nie mogła pojąć, jak ten człowiek, z którym przez tyle lat żyła pod jednym dachem i którego po prostu lubiła, mógł się nagle tak zmienić. Jak mógł się zachowywać tak bezwzględnie i okrutnie. To bolało, fizycznie bolało.

Kilka razy odetchnęła głęboko i dopiero po chwili odpowiedziała:

– Nie odważysz się.

– Sprawdź mnie – rzucił, patrząc jej prowokująco w oczy.

Wzięła do ręki intercyzę, ale nie miała siły teraz jej czytać.

– Muszę to sobie wszystko przemyśleć – powiedziała słabo.

– Oczywiście – zgodził się łaskawie Artur. – To poważne sprawy są.

Gaja zebrała swoje zdjęcia i włożyła je do żółtej teczki razem z intercyzą. Kiedy chowała teczkę do torby, zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Odchodząc od stolika, cały czas czuła na plecach ironiczne spojrzenie Artura.

ROZDZIAŁ 17

Odebrała kurtkę z szatni, na miękkich nogach wyszła na zewnątrz i przysiadła na stojącej niedaleko ławce. Chłodne wieczorne powietrze natychmiast ją otrzeźwiło. Spojrzała w górę. Między dachami widać było niewielki fragment ciemnego, ponurego nieba. Ani jednej gwiazdy.

– Kurwa, kurwa, kurwa – powiedziała głośno, z pewną satysfakcją wsłuchując się w brzmienie przekleństwa.

I wtedy kątem oka zauważyła, że zbliża się do niej jakiś mężczyzna. W ciemnym płaszczu z postawionym kołnierzem i z czapką naciągniętą na uszy wyglądał trochę niepokojąco, jednak Gai było w tym momencie wszystko jedno, czy będzie próbował jej wyrwać torebkę, czy tylko poprosi o ogień. Dopiero kiedy zatrzymał się obok ławki, rozpoznała w nim Lisickiego.

– Możemy zamienić słowo? – zapytał detektyw.

– Ma pan tupet...

– Mam. W moim zawodzie się przydaje.

Gaja zawahała się. Z jednej strony trochę dziwnie ucinać sobie towarzyską pogawędkę z autorem kompromitujących ją zdjęć, ale z drugiej – został wynajęty przez Artura i użyty przez niego w konkretnym celu. Nie jego wina, że trafił na takiego klienta.

– Dobrze – wskazała mu miejsce obok siebie. – Czego pan chce?

– Informacji – odpowiedział, siadając. – Kto pani przygotowywał ten materiał?

– Jaki materiał? – nie zrozumiała.

– Ten na temat pani męża. Zdjęcia, film... Nie chodzi mi o nazwę agencji, tylko konkretnie, który detektyw.

„Więc on myśli, że ja do tej roboty wynajęłam detektywa!”, dotarło do Gai. O mało nie parsknęła śmiechem.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Moja firma się rozrasta, szukam pracowników. Dobrych pracowników. Teraz takie czasy, że byle kto może sobie wyrobić licencję, ale prawdziwego profesjonalistę ciężko znaleźć. A ten, który pracował dla pani, jest naprawdę niezły. I technicznie, i koncepcyjnie. Chciałbym go mieć u siebie.

Intuicja podpowiedziała Gai, że prawda w tym momencie nie jest wskazana.

– Proszę mi dać swój telefon, przekażę tej osobie – zaproponowała. – Jeżeli będzie zainteresowana, odezwie się.

Lisicki otworzył neseser, wyjął z niego wizytówkę i wręczył ją Gai.

– Proszę mu powiedzieć, że bardzo dobrze płacimy.

Nie wiedziała, co ją podkusiło, ale spytała:

– Skąd pan wie, że to on? A może ona?

– Czyli to kobieta? – Lisickiemu aż zaświeciły się oczy. – Jeszcze lepiej jak dla mnie. Kobiety detektywi są świetne.

– Detektywki – odruchowo poprawiła Gaja.

– Jak zwał, tak zwał, i tak bardzo ich mało w branży. A klientki często wolą rozmawiać o zdradzie z kobietami. Mężczyzn się wstydzą.

Lisicki wstał, przytrzymując ramieniem neseser.

– I jeszcze jedno: w sądzie powiem tylko to, co widziałem. Nawet gdyby pani mąż sugerował, że mam skłamać.

– Bardzo to z pana strony szlachetne – w głosie Gai zabrzmiała lekka złośliwość.

– Bez przesady. To jest też w moim interesie. Gdybym się choć na milimetr minął z prawdą, mógłbym stracić licencję, opinię, klientów. Za duże ryzyko.

I odszedł, zostawiając ją z wizytówką i ze ściśniętym żołądkiem.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie ze strachu, lecz z głodu.

Wsiadła do samochodu i wyjęła z torebki telefon. Wcześniej, wchodząc do restauracji, wyciszyła go, a teraz na symbolu słuchawki paliła się na czerwono cyfra pięć, oznaczająca pięć nieodebranych połączeń. Z tego cztery od Heleny i jedno od Matyldy. Co za ironia losu, że w czasie kiedy przeprowadzała jedną z najważniejszych rozmów w swoim życiu, dwie najbliższe jej kobiety próbowały się do niej dodzwonić.

Trochę zirytowana, a trochę rozczulona, wybrała numer córki. Po pięciu sygnałach Helena ją zrzuciła, a chwilę później przyszedł esemes o treści: „Już nic”. „Klasyka”, pomyślała Gaja, i oddzwoniła do Matyldy.

– Sorry!!! – usłyszała w słuchawce zdenerwowany głos przyjaciółki. – Myślałam, że już skończyłaś, i chciałam wiedzieć, jak było. Mam nadzieję, że mina mu zrzęda?

– Zrzęda owszem, ale mnie, nie jemu.

Matylda przez chwilę próbowała zrozumieć jej odpowiedź.

– Jak to tobie?

– Opowiem ci wszystko, jak mi dasz kolację. Bo strasznie jestem głodna.

ROZDZIAŁ 18

Matylda stała w kuchennym oknie, patrząc w kierunku płotu, który oddzielał jej niewielki ogródek, latem pełen kwiatów i ziół, teraz pusty i smutny, od rozległego, bujnego nawet zimą ogrodu Gai. Gaja, odkąd wróciła do Milanówka dziesięć lat temu, nie wycięła żadnego drzewa, żadnego krzewu z tych, które tu rosły w czasach, kiedy była dzieckiem, i teraz cały teren pokrywały potężne cisy, tuje i jałowce, którym światło kradły pnące się wysoko w górę sosny i modrzewie.

Tak jak ich ogrody, domy obu kobiet również się różniły. Matylda mieszkała w zwykłym, piętrowym klocku z płaskim dachem i niewielką liczbą okien, otynkowanym na ciemny fiolet. Postawili go w latach osiemdziesiątych jej rodzice, a kiedy wyszła za mąż, oddali go córce w posagu, sami przenosząc się do mieszkania na nowo wybudowanym osiedlu za fabryką jedwabiu. Matylda była im za to głęboko wdzięczna. A kiedy patrzyła na swój niewielki śliwkowy domek, rozpierała ją duma, choć przecież w Milanówku sto dwadzieścia metrów powierzchni mieszkalnej na nikim nie powinno robić wrażenia.

Natomiast Gaja swój dom odziedziczyła. Po tragicznej śmierci rodziców i pożarze, który go mocno pokiereszował, przez wiele lat stał pusty, a Gaja nie miała siły do niego wrócić. Jednak czas leczy rany i pewnego dnia na Modrzewiową numer osiem wkroczyli robotnicy. Budynek został rozebrany prawie do fundamentów i praktycznie zbudowany na nowo. Gaja zwierzyła się Matyldzie, że wraz ze śladami ognia upiory przeszłości gdzieś zniknęły, i kiedy odważyła się w końcu przekroczyć próg willi, poczuła się tak, jakby przytulił ją stary, dobry przyjaciel.

Bo taki był ten dom – spokojny, duży, o dystyngowanych, przedwojennych proporcjach, z szerokim gankiem, balkonem od południowej strony i lukarnami

w dachu. Przyjął Gaję z otwartymi ramionami, a ona odpowiedziała mu miłością i czułością, na nowo stali się sobie bliscy.

Matylda odniosła wrażenie, że furka między ich posesjami uchylła się, ale kiedy popatrzyła uważniej, zrozumiała, że to tylko złudzenie zmęczonych oczu.

O tej furtce obie marzyły od dziecka. Dwie dziewczynki w tym samym wieku po dwóch stronach płotu, chodzące do jednej klasy i siedzące w jednej ławce, po powrocie ze szkoły dalej się nie rozstawały. Razem jadały obiady i odrabiały lekcje, jeździły na rowerach i przesyłały sobie wiadomości w pudełku po butach zawieszonym na rozciągniętej między oknami ich pokojów plastikowej linie, oczywisty efekt lektury *Dzieci z Bullerbyn*. Furka w płocie byłaby czymś w rodzaju usankcjonowania ich przyjaźni i błagały o nią rodziców przez wiele lat. Nikt nigdy im wprost nie odmówił, a jednak przejście nie powstało. Dzisiaj Matylda potrafiła to nawet zrozumieć – będąc dorosła, również bała się zbyt definitywnych rozwiązań, ale wtedy czuły się zawiedzione i rozczarowane.

Dlatego kiedy po latach Gaja wróciła na Modrzewiową, zamontowanie furki w płocie stało się jednym z pierwszych działań, jakie przeprowadziła. Co prawda oprotestowanym przez Artura, który uważał, że takie połączenie jest dziecinne i zobowiązujące do sąsiedzkich relacji, na które on sam wcale nie miał ochoty, jednak kiedy Gaja na coś się uparła, doprowadzała to do końca. Zawsze. I tak pewnego dnia płot oddzielający ich posesje wzbogacił się o elegancką, kutą furtkę z ozdobnym wykończeniem w kształcie łuku. Dokładnie takich furtek w bajkach używały księżniczki.

Przez kilka pierwszych tygodni przejście stanowiło atrakcję nie tylko dla dzieci, dla Gai i Matyldy również. Używały go po kilka razy dziennie, biegając do siebie pod byle pretekstem. Pożyczały sobie sól i mąkę, piły wspólnie kawę, drylowały wiśnie i oglądały komedie romantyczne. Również wtedy podjęły kilka prób zbliżenia swoich rodzin, urządzając grille i wspólne niedzielne podwieczorki.

Niestety próby okazały się nieudane. A potem Gaja zaczęła pracować w fundacji, Matylda w ratuszu, częstotliwość spotkań spadła i furka powoli przestała być używana. Klamka zaczęła stawiać opór, zawiasy skrzypieć, a bluszcz

porastający płot od strony ogrodu Gai wślizgnął się między pręty furtki, unieruchamiając ją i otulając tak szczelnie, że latem niknęła zupełnie pod zielonym kozuchem liści. I być może gdyby nie wydarzenia ostatnich dni, uległaby zapomnieniu na zawsze. Jednak tuż po nakryciu swojego męża na zdradzie, Gaja chwyciła sekator i z furią zaatakowała oplatającą furtkę łodygi, a kiedy się ich pozbyła, naoliwiła zawiasy i kłamkę. W ten sposób przejście między ich ogrodami zyskało drugie życie.

„Jak to dobrze, że Gaja ma mnie tak blisko”, pomyślała Matylda. Jednocześnie gdzieś w głębi serca poczuła lęk. Lęk o ich wspólną przyszłość. Bo rozstanie z Arturem mogło bardzo dużo zmienić w życiu Gai. I w życiu Matyldy również.

W tym momencie furtka głośno trzasnęła i na ścieżce pojawiła się przyjaciółka. Matylda wychyliła się z kuchni.

– Dziewczynki! – krzyknęła do córek, które już w piżamach przewalały się na kanapie przed telewizorem, oglądając Disney Channel. – Na górę! Już, już!

I poszła wstawić wodę na herbatę.

– To nie wygląda dobrze – stwierdziła zdenerwowana kwadrans później, kiedy Gaja skończyła opisywać jej przebieg spotkania z Arturem.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – Gaja wbiła widelec w górę sałatki jarzynowej, której nałożyła sobie szcudrze, usiadłszy do stołu, a której nie zdążyła jeszcze spróbować.

– Jak on mógł tak cię podejść z tym Filipem... – Matylda położyła dłoń na sercu i odetchnęła kilka razy głęboko, żeby się uspokoić. – Nie myślałam, że jest TAKI.

Choć Artur nigdy nie zaprzyjaźnił się ani z sąsiadką, ani z jej mężem, przez te wszystkie lata Matylda nie ustawała w próbach nawiązania z nim jakiegokolwiek, choćby wątpliej nici porozumienia, pewne aspekty jego charakteru upiększając na swój własny użytek. Jak wiadomo, dysonans poznawczy potrafi nieźle uwierać. A teraz właśnie doszedł do głosu z podwójną siłą – obraz wyrachowanego,

podstępnego gościa, który dąży do wygranej po trupach, zrodził u niej silny wewnętrzny sprzeciw.

– Obrzydliwy kłamca – ciągnęła, nakręcając się z każdym słowem. – Przecież to nieuczciwe! Jak on mógł?!

– Kotek, to w ogóle nieistotne – Gaja podniosła do ust kubek z herbatą i upiła kilka łyków. – Mleko się rozlało. Teraz trzeba jakoś zminimalizować straty...

Matylda pod wpływem impulsu objęła przyjaciółkę i mocno ją uścisnęła.

– Gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy... Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć!

Miała świadomość, że to, co mówi, brzmi banalnie, ale tylko takie ogólności przychodziły jej w tym momencie do głowy.

Gaja delikatnie uwolniła się z jej objęć.

– Dzięki. Nie martw się. Poradzę sobie.

Matylda patrzyła na przyjaciółkę z podziwem. Gaja zawsze jej imponowała bezkompromisowością, odwagą, silną wolą, uporem, wiarą w siebie, tymi wszystkimi cechami, których nawet przy dużej dawce dobrej woli Matylda nie potrafiła odnaleźć w sobie. Dla Gai nie było sytuacji bez wyjścia. Nigdy się nie mazgała, nie narzekała. I kompletnie jej nie obchodziło, co inni sobie o niej pomyślą.

Bez obaw stawiała do rywalizacji i najczęściej udawało jej się zwyciężyć. Pytanie, czy uda jej się również teraz.

– A... ta intercyza? – odważyła się w końcu zapytać Matylda. – Co tam jest?

– Wyłącza z majątku wspólnego firmę, akcje i lokaty – odpowiedziała ze złością Gaja. – Właściwie do podziału nie zostaje nic. Wszystko przypada jemu. Z wyjątkiem domu. Dom jest mój, Artur nie ma jak go ruszyć.

Matylda odetchnęła z ulgą.

– Jak to dobrze – powiedziała. – Już się bałam, że będziesz się musiała wyprowadzić.

Gaja gwałtownie odłożyła widelec, metal zabrzączał znacząco o talerz.

– To, że on mi nie zabierze domu, wcale nie znaczy, że go nie stracę. Wiesz, ile kosztuje utrzymanie trzystu metrów kwadratowych powierzchni? Sam gaz zimą to są krocie. Do tego prąd, woda, śmieci... Nawet jeżeli dostanę alimenty na Helenę, to i tak będę musiała znaleźć pracę. Porządną. I to szybko.

– A fundacja? Przecież tam nieźle zarabiałaś? – zdziwiła się Matylda.

Gaja parsknęła i wzięła znowu widelec do ręki.

– Ty chyba żartujesz. Mam dalej, jak gdyby nigdy nic, pracować z Olgą? – machnęła widelcem tak, jakby chciała nim wydlubać rywalce oko. – Zresztą nie sądzę, żeby Artur się na to zgodził.

Matyldzie zrobiło się głupio, że nie pomyślała.

– To w jakiejś innej fundacji. Jesteś kompetentna, znasz się na tym. No i przyjaźnisz się z tyloma ludźmi...

– Przyjaźni to się z nimi Artur. Nikt nie narazi dobrych relacji z nim, żeby mi pomóc.

– Czyli po prostu musisz sprawdzić oferty pracy dla historyków sztuki! – rzuciła Matylda optymistycznym tonem, choć ten zawód w żaden sposób nie kojarzył jej się z wysokimi zarobkami.

I nagle coś jej się przypomniało.

– Gaja! A czy ty dzisiaj nie dostałaś oferty pracy?

Gaja odchyliła się na krześle, patrząc na Matyldę zdziwiona.

– O co ci chodzi? Bo, sorry, nie kojarzę? – spytała ostrożnie.

– O tego detektywa od Artura! Opowiadałaś przed chwilą.

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Co ty... on chciał zatrudnić profesjonalistę.

Matylda poderwała się z krzesła i zaczęła krążyć dookoła kuchennego stołu.

– Przecież sama mówiłaś, że chodziło mu o osobę, która przygotowała materiał. A to byłaś ty! Sama go zrobiłaś, sama, samiutka! I na takim poziomie, że myślał, że to robota fachowca!

– Ale ja nie mam licencji!

– No to może powinnaś mieć?!

Gaja patrzyła na Matyldę z coraz większym zainteresowaniem.

– Dawaj laptopa! – zarządziła.

ROZDZIAŁ 19

Chwilę później Gaja już wstukiwiała na klawiaturze hasło: „jak zostać prywatnym detektywem”.

– To otwórz. Tutaj masz w punktach – Matylda pokazała przyjaciółce link palcem.

Gaja kliknęła, zaczęły czytać.

– Ukończone 21 lat, obywatelstwo polskie, wykształcenie minimum średnie... wszystko mam. Zaświadczenie o niekaralności... nigdy nie byłam karana, więc w sumie jakbym miała. Ukończone szkolenie na licencję detektywa...

Wrzuciła w wyszukiwarkę „kurs na licencję detektywa”.

– Sporo ich jest, tych kursów. I nawet widzę tutaj jakieś takie ekspresowe... Dobra, to jest do ogarnięcia. – Odsunęła od siebie laptop i popatrzyła na Matyldę z błyskiem w oku. – Ty wiesz, że to może być nawet całkiem ciekawa praca? I pożyteczna? Łapałabym tych wszystkich złamanych chujków, którzy zdradzają żony.

Sięgnęła do przewieszanej przez oparcie krzesła torebki i wyjęła z niej wizytówkę Lisickiego.

– Dobra. Sprawdźmy to.

Zaczęła wstukiwać numer.

– Daj na głośnik! – poprosiła Matylda.

Gaja włączyła tryb głośnomówiący i położyła telefon na środku stołu. Detektyw odezwał się po trzech sygnałach.

– Lisicki, słucham?

– Mam nadzieję, że nie za późno dzwonię... Tu Gaja Stawska.

Mężczyzna odchrząknął.

– Witam. O co chodzi? – w jego głosie pojawiła się ostrożność.

– Mówił pan, że chciałby zatrudnić osobę, która przygotowała materiał na temat mojego męża... No więc to jestem ja.

– Nie, nie, mnie chodzi o wykonawcę, nie o zleceniodawcę – nie zrozumiał.

– Właśnie. To ja jestem wykonawcą – w głosie Gai zabrzmiała duma. – Wszystko zrobiłam sama. Nie chciałam od razu się panu przyznawać, ale teraz przemyślałam sprawę i chętnie przyjmę ofertę – mrugnęła do Matyldy porozumiewawczo. – Czuję, że się w tej pracy świetnie odnajdę, choć nie ukrywam, że kwestie finansowe też odgrywają rolę...

– Pani Gaju, zanim się pani rozpędzi... – przerwał jej Lisicki. – Podstawowe pytanie: czy ma pani licencję?

Gaja przewróciła oczami.

– Oczywiście, że nie mam. Ale wyrobię. Sprawdziłam w internecie, to można bardzo szybko załatwić.

Detektyw westchnął.

– No widzi pani, tylko że ja nie mogę przyjąć nikogo bez licencji...

– Przecież mówię, że w internecie znalazłam kursy ekspresowe...

– Takie kursy to ściema – oświadczył twardo Lisicki. – Żadna porządna agencja po czymś takim pani nie przyjmie. Jeżeli myśli pani poważnie o tym zawodzie, radzę zainwestować w coś bardziej wiarygodnego.

Gaja poczuła, że to, co przez chwilę zdawało się na wyciągnięcie ręki, z tych rąk zaczyna jej się wymykać.

– A nie możemy się tak umówić, że pan mnie przyjmie na coś w rodzaju stażu, a ja panu później taki dokument doniosę? – poprosiła.

W głośniku na chwilę zapanowała cisza.

– No dobrze, powiem pani prawdę – odezwał się w końcu detektyw. – Nawet gdyby mi pani przyniosła dyplom za najlepiej zdany egzamin z najlepszego kursu w kraju, w dodatku wypisany złotą czcionką, i tak bym pani nie przyjął.

Gaja nachyliła się nad telefonem.

– Nie rozumiem... – zaczęła powoli. – Jeszcze dwie godziny temu chciał pan zatrudnić osobę, która zebrała dowody na mojego męża...

– Chciałem zatrudnić detektywa, nie żonę klienta – wypalił Lisicki prosto z mostu. – To się nazywa konflikt interesów.

– Konflikt interesów? – warknęła Gaja. – Przecież pan już zakończył pracę dla Artura. Gdzie pan tu widzi konflikt interesów?

– W naszej branży głównym sposobem pozyskiwania nowych klientów jest marketing szeptany. Naprawdę uważa pani, że mąż poleciłby nas komukolwiek, gdyby się dowiedział, że pani u nas pracuje?

Gaja poderwała się z miejsca i zaczęła chodzić po kuchni, coraz bardziej zdenerwowana.

– W takim razie niech mi pan powie, do jakiej innej agencji mogłabym się zgłosić – nie poddawała się. – Pan zna rynek...

– Bez porządnej licencji nikt pani nie przyjmie. Bez doświadczenia również... Bardzo mi przykro.

Rzeczywiście w jego głosie można było wyczuć współczucie. Co zresztą w całej sytuacji nie zmieniało absolutnie nic.

– No, świetnie. Czyli bycie detektywem właściwie mogę sobie odpuścić – podsumowała gorzko. – Dziękuję, pozdrawiam, mam nadzieję, że nie do zobaczenia...

Już miała się rozłączyć, ale detektyw ją zatrzymał.

– Moment! Ja naprawdę uważam, że ma pani dryg do tej roboty. Dlatego mógłbym podpowiedzieć rozwiązanie... takie... nieoczywiste.

– Słucham. – Gai było już całkiem wszystko jedno.

– Mogłaby pani założyć własną agencję.

Gaja zatrzymała się gwałtownie i nachyliła do leżącego na stole telefonu.

– Własną? Jak to? Przecież nie jestem detektywem?

– Żeby założyć agencję, nie trzeba samemu mieć licencji. Wystarczy, że założy pani działalność gospodarczą, wybierze jakiś w miarę zbliżony kod PKD, zatrudni pani licencjonowanego detektywa i może pani działać.

– Brzmi dość prosto – powiedziała ostrożnie Gaja.

– To jest proste. Niech się pani rozejrzy za kimś doświadczonym, kto się choć trochę zna na tej robocie, i może pani ruszać. Rynek jeszcze nie jest naszą działalnością nasycony, więc jeżeli zależy pani na zarobkach, to sądzę, że nie powinna się pani rozczarować. Pozdrawiam.

I rozłączył się.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 20

Klara opalała się na leżaku ustawionym nad basenem wypełnionym wodą tak turkusową, jakby ktoś przepuścił ją przez aplikację do barwienia zdjęć. W ogóle wszystko dookoła wyglądało tak idealnie, że aż sztucznie: ciągnące się po horyzont wzgórze, porośnięte oliwnymi gajami, wysmukłe, charakterystyczne dla włoskich krajobrazów cyprysy rosnące wzdłuż drogi jakby wyjętej z *Gladiatora*, czerwone dachy zabytkowych domów leżącego w dolinie miasteczka... Bajka.

Nagle w błogą ciszę wdarł się nieprzyjemny, turkoczący odgłos kosiarki spalinowej. Klara zacisnęła powieki, zdeterminowana, żeby przeczekać hałas, który jednak nie mijał. Mało tego – zbliżał się, narastał i wwiercał w jej mózg w nieprzyjemny, prawie bolesny sposób. Zirytowana uniosła się na łokciach, żeby zlokalizować osobę za niego odpowiedzialną i nawymyślać jej, wszystko jedno w jakim języku.

I w tym momencie się obudziła.

Mimo to denerwujący odgłos nie zniknął.

Tuż obok na poduszce leżała Scarlett, puszysta kotka tricolorka, i mruczała Klarze prosto do ucha.

– Jezu, litości, daj pospać – jęknęła dziewczyna i odwróciła się na drugi bok, co jednak kotki nie zniechęciło. Zwierzak przeniósł się spokojnie na drugą stronę i teraz mruczał jej w nos.

Klara spróbowała jeszcze przywołać przepiękny krajobraz ze snu i to błogie uczucie, które jej wtedy towarzyszyło, ale po chwili się poddała.

Usiadła na łóżku i zaczęła pocierać twarz, żeby się trochę rozbudzić. Poczowała, że pod palcami wałkuje jej się makijaż, co oznaczało, że poprzedniego wieczoru go nie zmyła.

– Wstajesz już? – usłyszała za plecami zachrypnięty od snu męski głos.

Aż się wzdrygnęła, a potem odwróciła i ściągnęła kołdrę, spod której ten głos dochodził. Jej oczom ukazał się młody, nieźle zbudowany chłopak w szarych slipkach i zrolowanym do połowy pleców czarnym T-shircie. Klara przyglądała mu się przez chwilę z zainteresowaniem entomologa, który natrafił na nowy gatunek owada, po czym przykryła go z powrotem i opuściła nogi na podłogę, przy okazji odkrywając, że nie tylko nie zmyła makijażu, ale wciąż ma na sobie wczorajsze ciuchy, czyli krótką kolorową spódnicę i czarny sweterek, poprzedniego dnia starannie oczyszczony z sierści Scarlett, a teraz znowu pokryty kocimi włosami tak dokładnie, jakby był z moheru. Jak to się stało, że po nocy z facetem, którego imienia zresztą nie pamiętała, ciągle była ubrana, nie potrafiła stwierdzić, ale nie zaprzętała sobie tym głowy. Zaczęła za to odruchowo obskubywać ubranie z kocich kłaków, co nie miało kompletnie żadnego sensu.

Kiedy to sobie uświadomiła, ruszyła do łazienki, starając się nie szurać, bo stara, drewniana podłoga lubiła zostawiać w stopach drzazgi. Mózg Klary budził się jeszcze wolniej niż ciało, dlatego dopiero kiedy się wysikała i umyła zęby, pozbywając się nieprzyjemnego, kwaśnego smaku w ustach, zaczęło do niej docierać, że dzień, który właśnie zaczęła, to prawdopodobnie poniedziałek. A poniedziałek z czymś jej się kojarzył...

Odrobinę zaniepokojona wróciła do pokoju, który był jednocześnie sypialnią, kuchnią i garderobą, i zaczęła poszukiwania swojej komórki. Koniecznie musiała ustalić, co takiego – i o której – w ten poniedziałek ma się wydarzyć. Poza tym bez telefonu nie miała nawet pojęcia, która godzina...

Najpierw sprawdziła miejsca, które wydawały się oczywiste, takie jak kuchenny blat, szafka przy drzwiach wejściowych i parapet. Potem zaczęła przerzucać sterty ciuchów leżących w nieładzie na podłodze, powodując jeszcze większy bałagan i wpadając w coraz większą panikę. W końcu zrozumiała, że musi nawiązać kontakt ze śpiącym w jej łóżku typem. Wzięła jego dzinsy z podłogi i pochyliła się nad nim.

– Hej! – chwyciła go za ramię i potrząsnęła brutalnie. – Możesz do mnie zadzwonić?

Chłopak przeciągnął się, otworzył oczy i uniósł się na łokciach.

– Co? – zapytał, nieprzytomny.

– Zadzwoń. Do mnie.

– Po co? – Jego zasób słów nie wydawał się zbyt bogaty.

– Nie mogę znaleźć komórki – wyjaśniła, coraz bardziej zirytowana. – No dawaj, bo mi się spieszy.

Rzuciła mu spodnie. Chłopak wyjął ze środka aparat i włączył go.

– A ty mi w ogóle dałaś numer?

Dość obcesowo wyrwała mu telefon, wystukała swój numer i zaczęła nasłuchiwać. Wbrew oczekiwaniom dzwonek nie zabrzmiał. Jednak jakiś odgłos przykuł uwagę Klary. Na palcach, niczym myśliwy tropiący zwierzynę, przemieściła się w kierunku kuchennego blatu, gdzie w pudełku z saszetkami dla kota odkryła wibrującego iPhone'a, którego poprzedniego dnia musiała wyciszyć.

Wykasowała swój numer z komórki mężczyzny, rzuciła mu ją i chwyciła swoją. To, co ją najbardziej interesowało, to kalendarz. Otworzyła go na poniedziałku.

„11.00 nagranie spotu reklamowego Orange” – przeczytała ze ściśniętym żołądkiem. I adres na drugim końcu miasta.

Sprawdziła godzinę na górnym pasku telefonu. Dziesiąta pięćdziesiąt.

– O kurwa, ja pierdołę... Ubieraj się – krzyknęła do chłopaka. – Wychodzimy! – I pobiegła do łazienki.

Gwałtowny wyrzut adrenaliny w jej organizmie sprawił, że przez pięć minut zdążyła się umyć i przebrać, a przez kolejne – wypchnąć na korytarz kompletnie zdezorientowanego i nie do końca ubranego faceta, zbiec na dół i wskoczyć na motocykl.

Kiedy chwilę później zaczęła do niej wydzwaniać agentka, Klara, pędząc ulicami Warszawy i łamiąc większość przepisów kodeksu drogowego, nie mogła telefonu.

ROZDZIAŁ 21

Na miejsce dotarła po dwudziestu minutach. Zaparkowała swoje suzuki między samochodami ekipy i ruszyła biegiem w kierunku kampera, pełniącego rolę charakteryzatorni. Już kładła rękę na klamce, kiedy usłyszała za sobą lodowaty jak palec trupa głos swojej agentki Anity.

– A ty tam po co?

Klara zamarła, a potem odwróciła się powoli i z beztroską miną odezwała się słodkim głosem:

– Anitka! Słuchaj, nie uwierzysz...

Już miała zacząć snuć jakąś dramatyczną historię, która usprawiedliwiłaby jej spóźnienie na plan, ale agentka przerwała jej bezlitośnie.

– Oczywiście, że nie uwierzę. Dlatego nie warto, żebyś sobie strzępiła język. Jesteś zwolniona.

Klara świetnie zdawała sobie sprawę, że z powodu spóźnienia może mieć nieprzyjemności, ale nie spodziewała się, że aż takie.

– Anitka, poczekaj, może oni by się jeszcze dali przekonać – jęknęła. – To przecież tylko dwadzieścia minut... Ja z nimi porozmawiam, zobaczysz, wszystko im wytłumaczę! Wiesz, że potrzebuję tego kontraktu...

– Ich akurat nie musisz przekonywać. To ja cię zwalniam, nie oni.

Ta informacja zaskoczyła Klarę. Do tej pory Anita zawsze walczyła o nią jak lwica i stawiała na głowie, żeby jakoś usprawiedliwić kolejne wybryki swojej podopiecznej. A trochę się ich po drodze nazbierało.

Jednocześnie poczuła ulgę. Była pewna, że dużo łatwiej przyjdzie jej urobić agentkę niż klienta.

– Anita, no co ty! – Klara ruszyła w jej kierunku z przymilnym uśmiechem na twarzy. – Przecież jestem, nic się nie stało, dwadzieścia minut obsuwy, kto by się tym przejmował...

– Ja – odpowiedziała twardo agentka i odsunęła się od Klary, jakby się bała, że jej bliskość może wpłynąć na to, że zmieni zdanie. – I żeby nie było wątpliwości: zwalniam, to znaczy kończę z tobą współpracę. Definitywnie. Nie mam już siły na ciebie, Klara. Wycofuję twoje nazwisko z oferty, koniec. I uprzedzam wszystkich w branży, żeby im do głowy nie przyszło z tobą pracować.

Klara poczuła, że grunt gwałtownie osuwa jej się spod nóg. Ale ciągle nie zamierzała się poddawać.

– Zawsze mówiłaś, że jestem twoją najładniejszą modelką, że takiej ślicznej buzi dużo się wybacza i takie tam... – na podkreślenie swych słów zatrzepotała rzęsami.

– Najładniejszą nie znaczy najlepszą – wyjaśniła jej Anita. – I tak za długo tolerowałam twoje wybryki. To jest trzecie spóźnienie w tym miesiącu. Chcesz iść na rekord? Proszę cię bardzo, ale beze mnie. Miałam nosa, że zamówiłam dzisiaj awaryjnie dublerkę. Bo bym miała potężne nieprzyjemności.

A widząc, że Klara znowu chce coś powiedzieć, zakończyła stanowczym:

– Wypierdalaj!

Było jasne, że żadne argumenty już do niej nie przemówią.

Klara w pierwszym odruchu chciała się obrazić i sobie pójść, ale potem pomyślała, że jednak lepiej rozstać się w zgodzie.

– Kochana, dziękuję ci! – powiedziała więc z uczuciem i pocałowała Anitę w policzek. – Nikt mnie jeszcze nigdy tak pięknie nie wyrzucił! A gdyby ci przeszło, to wiesz, gdzie mnie szukać. Pa, pa!

„W sumie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, pomyślała, ruszając w kierunku swojego motocykla. „Pojadę sobie na śniadanko”.

Praca modelki, o której kiedyś marzyła, okazała się ani nie taka atrakcyjna, ani nie taka opłacalna, jak się Klarze wydawało. Owszem, trafiały się czasami ekstrapłatne

zlecenia i być może gdyby rozsądnie inwestowała zarobione pieniądze, nie musiałyby się teraz martwić. Tylko że Klara z rozsądkiem nie miała wiele wspólnego. Pieniądze wydawała pod wpływem impulsu, zresztą w ten sam sposób podejmowała większość decyzji, również tych ważnych, życiowych. Na przykład z Torunia do Warszawy wyjechała dlatego, że jej przyjaciółka postanowiła studiować w stolicy i szukała współlokatorki. Nie bardzo mając pomysł na to, co właściwie mogłaby w tej Warszawie robić, Klara złożyła papiery na jedyną uczelnię, która wydawała jej się ciekawa, czyli do Akademii Teatralnej.

Zainteresowanie, jakie jej oryginalna uroda wzbudziła w komisji, skończyło się w momencie, kiedy otworzyła usta i z tak otwartymi została, zapominając wszystkiego, czego się nauczyła na egzamin. Czy raczej – czego się nie nauczyła, bo poprzedni tydzień, zamiast wkuwać teksty, spędziła, balangując z przypadkowo poznanym w klubie towarzystwem.

Porażką specjalnie się nie przejęła. Egzaminy praktyczne na akademie odbywały się na tyle wcześnie, że po odpadnięciu mogła spokojnie złożyć papiery na każde inne studia. Choć może nie na każde, bo maturę miała zdaną dosyć przeciętnie.

Kiedy się okazało, że jeden z kolegów, z którymi imprezowała, studiuje weterynarię, Klara zainteresowała się Akademią Rolniczą. Po sprawdzeniu wymaganych przedmiotów, progów i limitów, złożyła papiery na inżynierię środowiska, na którą trochę na styk, ale się dostała. Od tego momentu rozpoczęła się przygoda, którą sama nazywała „hip-hop na Starówce”, bo właśnie na Starym Mieście wynajmowały z przyjaciółką mieszkanie. Nauka przeplatała się z imprezowaniem i pracą dla agencji modelek prowadzonej przez Anitę, do której trafiła przy okazji organizowanego w jakiejś galerii handlowej castingu.

Wtedy też przygarnęła kota, zmieniła mieszkanie, a z gaży za reklamę jogurtów kupiła sobie motocykl.

Niewielu rzeczy w życiu była pewna, ale co do tego, że ani minuty nie przepracuje w wyuczonym zawodzie, wątpliwości nie miała żadnych. Dlatego po

zdobyciu tytułu inżyniera odpuściła sobie studia magisterskie i zaczęła się rozglądać za pracą bardziej stałą niż pozowanie do sesji.

Rozglądanie się polegało na sprawdzaniu ogłoszeń w internecie (nuda) oraz rozpuszczaniu wici po znajomych. I właśnie ten drugi sposób okazał się skuteczny: od koleżanki kolegi usłyszała, że firma zajmująca się tak zwanym białym wywiadem, czyli sprawdzaniem wiarygodności biznesów i osób prywatnych, szuka kogoś na stanowisko sekretarki. W uszach Klary, która uwielbiała filmy sensacyjne i seriale kryminalne, brzmiało to na tyle interesująco, że natychmiast zakręciła się wokół tematu i pracę dostała.

Niestety rzeczywistość po raz kolejny okazała się dużo mniej atrakcyjna niż wyobrażenie o niej. Zamiast tajemniczych klientów, podejrzanych zleceń i niebezpiecznych wyzwania na Klarę czekała skromna pensja oraz osiem godzin dziennie za biurkiem w recepcji, przez którą przewijali się przeciętni obywatele z problemami. Być może nawet interesującymi, ale omawianymi w zaciszu gabinetu szefa, z którego żadne przecieki do sekretariatu nie docierały.

Klara wytrzymała tam pół roku, po czym odeszła, tłumacząc się koniecznością powrotu do rodzinnego Torunia i opieki nad schorowanym, samotnym ojcem.

Ojciec Klary oczywiście nie był ani samotny, ani schorowany, a jedyne, co mu dolegało, to bóle głowy z powodu życiowych wyborów córki. Ale tego nikt wiedzieć przecież nie musiał.

Po rzuceniu stałej pracy Klarze zostały już tylko fuchy w agencji, ale nie zamierzała się tym martwić, bo widmo śmierci głodowej na razie w oczy jej nie zaglądało. Imprezowała więc dalej z energią nastolatki, co jakiś czas zakochiwała się na zabój i błyskawicznie odkochiwała, bo faceci szybko jej się nudzili.

W tej sytuacji wyrzucenie z agencji przez Anitę było oczywiście pewnym rodzajem komplikacji, jednak Klara, ze swoją bezgraniczną wiarą w siebie, nie zamierzała się przejmować takimi drobiazgami jak utrata pracy. Zwłaszcza że jej wewnętrzne dziecko aż podskakiwało na samą myśl o zmianie. Bo kiedy są zmiany, nie ma nudy. A nudy Klara szczerze nienawidziła.

Podeksytowana nieoczekiwaną wolnością wskoczyła na siodełko motoru i ruszyła w kierunku centrum. Zatrzymała się w pierwszym napotkanym Starbucksie, zamówiła kanapkę z kurczakiem i swoje ulubione caramel macchiato z kratką z karmelowego syropu na powierzchni.

A potem, sącząc kawę, zaczęła przeglądać ogłoszenia o pracę.

ROZDZIAŁ 22

Rozmowa z Lisickim sprawiła, że Gaja całkiem serio zainteresowała się tematem agencji detektywistycznej. Zaczęła przeczesywać internet w poszukiwaniu informacji i po kilku godzinach wiedziała już dokładnie, jakie formalności są konieczne do założenia agencji, na czym polega praca detektywa, jak się kształtują zarobki i ile trzeba w rozpoczęcie takiego biznesu zainwestować.

Akurat takie pieniądze miała.

Była też jednocześnie wściekła, zagubiona i zdesperowana. I rozpaczliwie potrzebowała nowych torów, na które mogłaby wskoczyć. Oraz poczucia sensu. Zarabianie pieniędzy było sensem. Ale sensem mogło też być pomaganie kobietom, które znalazły się w podobnej jak ona sytuacji. Kobietom zdradzonym, oszukiwanym, bezradnym.

„Właściwie czemu nie?”, pomyślała.

I postanowiła zacząć od nazwy.

Znalazła w internecie spis wszystkich agencji detektywistycznych w Polsce i zaczęła w nim grzebać. Bardzo szybko się zorientowała, że oprócz tak oklepanych nazw jak Nikita, Pantera, Kobra czy Jaguar większość stanowią nazwiska właścicieli.

– Agencja Stawska – powiedziała do siebie półgłosem, po czym natychmiast sobie uświadomiła, że nazwisko po mężu, z którym właśnie się rozstaje, nie jest najlepszą opcją.

Jej panięńskie nazwisko, Suchodolska, jako nazwa nie brzmiało zbyt dobrze, a nawet gdyby brzmiało, Gaja nie chciałaby na co dzień aż tak intensywnie obcować z nazwiskiem swojego ojca. To mogłoby być zbyt trudne.

Ale gdyby użyć nazwiska panińskiego matki? Aż się uśmiechnęła. Bo panińskie nazwisko matki, Czajka, było jednocześnie nazwą smukłych, eleganckich ptaków z zabawnym czubkiem na głowie, które uwielbiała obserwować.

Agencja Czajka? Właściwie dlaczego nie?

Następnie umówiła się na spotkanie z księgową, bardzo energiczną i kompetentną osobą, z którą omówiła kilka podstawowych kwestii i która zgodziła się obsługiwać jej firmę za jakieś relatywnie niewielkie pieniądze.

Wreszcie sprawdziła kilka ogłoszeń o kursach na licencję detektywa, wybrała taki, który prezentował się najsensowniej, i zarezerwowała najbliższy wolny termin – za miesiąc.

No cóż, to miało szansę się udać.

Teraz musiała jeszcze tylko znaleźć kogoś z licencją detektywa, kto chciałby się u niej zatrudnić.

Od początku założyła, że nie będzie prowadzić rekrutacji tylko za pomocą CV, które choć ważne, nie wydawało jej się jednak najistotniejsze. Rozmowa kwalifikacyjna – na tym Gai zależało najbardziej. Wybrała więc datę i godzinę, ustaliła treść ogłoszenia tak, by brzmiało zachęcająco, podała w nim swój domowy adres – na biuro agencji postanowiła zaadaptować gabinet Artura – oraz telefon kontaktowy i z pomocą Maćka, który w internecie poruszał się dużo sprawniej niż ona, wrzuciła je na grupy, na których mogło budzić zainteresowanie.

W poniedziałek o wskazanej w ogłoszeniu godzinie zamiast tłumów przed drzwiami jej domu pojawiło się zaledwie dwóch kandydatów.

Chłopak, który właśnie usiadł naprzeciwko Gai i Matyldy, nie wyglądał na dwadzieścia osiem lat – taki wiek wynikał z daty urodzenia, którą podał w CV – ale na co najmniej dziesięć więcej. Był niski, otyły, miał szerokie czoło i zadziwiająco ciemne, nastroszone jak ogon przerażonego kota brwi. Pod pachami jasnoniebieskiej koszuli wykwitły mu ciemne plamy potu.

– Panie... – Gaja rzuciła okiem na lekko wymiętą kartkę z życiorysem mężczyzny. – ... Mirosławie, widzę, że pracował pan w aż pięciu agencjach. Czy może mi pan wyjaśnić dlaczego?

Chłopak nie od razu zrozumiał sens pytania.

– Dlaczego w pięciu? – upewnił się.

– Tak, właśnie o to mi chodzi. Zrobił pan licencję dwa lata temu i w żadnej agencji nie wytrzymał pan dłużej niż pół roku, więc...

– Ale za każdym razem odchodziłem za porozumieniem stron. Żadnych tam nie było problemów – zastrzegł.

Gaja próbowała złapać z nim kontakt wzrokowy, ale Mirosław uciekał spojrzeniem w bok. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, drapiąc po brodzie.

– No nie wiem, tak jakoś wyszło – stwierdził w końcu. – Swojego miejsca szukałem. Ciągle szukam.

– I myśli pan, że w naszej agencji je pan znajdzie?

– No raczej. Mieszkam w Grodzisku, to bym miał blisko. Teraz do Warszawy dojeżdżam, na Wolę, dwie godziny w plecy.

„Jeżeli ten facet szukanie własnego miejsca sprowadza do czasu dojazdu...”, pomyślała sceptycznie i zaczęła się zastanawiać nad kolejnym pytaniem, kiedy ni stąd, ni z owąd, odezwała się Matylda.

– A może nam pan więcej o sobie opowiedzieć?

Gaja spojrzała na przyjaciółkę, zaskoczona. Kiedy ją poprosiła o pomoc w rekrutacji, miała na myśli raczej wsparcie duchowe, poza tym dwie osoby za stołem zawsze wyglądają poważniej niż jedna. Nie przypuszczała, że przyjaciółka postanowi wziąć w tym procesie realny udział.

Mirosław poprawił się na krześle.

– Wszystko jest w CV – burknął.

Matylda odchrząknęła.

– W CV mamy tylko pana wykształcenie i drogę zawodową. A chciałobyśmy się czegoś dowiedzieć o panu prywatnie.

– Czego na przykład? – dopytał Mirosław.

– Może... jak pan lubi spędzać czas wolny? – Matylda uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Chłopak chwilę myślał, a potem nagle wydobyło się z niego burczenie, które prawdopodobnie miało być śmiechem.

– Pani mnie podpuszcza, co nie? – zapytał.

Matylda zrobiła wielkie oczy.

– W jakim sensie podpuszczam?

– Bo detektyw nie ma wolnego czasu – wypalił Mirosław. – Nawet jak akurat nie pracuje, to i tak musi być dyspozycyjny. Więc nie dam się nabrać, o nie.

Był z siebie bardzo zadowolony.

W tym momencie Gaja poczuła, że każda minuta dłużej poświęcona Mirosławowi to strata czasu. Podniosła się energicznie.

– Dziękujemy panu.

Chłopak również wstał.

– I co? Jestem przyjęty? – Pierwszy raz spojrział Gai prosto w oczy.

– Odezwiemy się.

– Wszyscy tak mówią – powiedział z pretensją, odwrócił się i wyszedł.

– No to połowę roboty mamy z głowy – podsumowała rzeczowo Gaja. – Ciekawe, czy ten drugi będzie choć trochę sensowniejszy.

Kolejny kandydat zrobił na kobietach zdecydowanie lepsze wrażenie. Przynajmniej na początku.

Był mężczyzną koło czterdziestki, średniego wzrostu i miał przeciętną, choć raczej sympatyczną twarz. Gaja doszła do wniosku, że ta przeciętność dotyczyła właściwie całej jego osoby i sprawiała, że wymykał się opisowi i mógł się swobodnie wtopić w każde tło, co w zawodzie prywatnego detektywa musiało

stanowić zaletę. Teraz, kiedy siedział naprzeciwko nich ubrany w dżinsy i szary bawełniany sweter, sprawiał wrażenie spokojnego, kompetentnego i pewnego siebie.

– Witam panie – uśmiechnął się. – Z kim mam przyjemność?

Gaja odchrząknęła, zaskoczona.

– To raczej my chciałybyśmy o to zapytać. Pan...?

Mężczyzna podał Gai zafoliowaną kartkę ze swoim CV i usiadł na krześle naprzeciwko biurka.

– Stefan Wiśniewski – przedstawił się. – Prywatny detektyw. Z doświadczeniem, tak jak było wymagane.

Gaja przebiegła wzrokiem profesjonalnie i przejrzysto zredagowane CV. Wiedziała, że powinna zapytać o jego wybory zawodowe, ostatnie miejsce pracy albo powody, dla których chciał zmienić agencję, ale zwróciła uwagę na coś innego.

– Wymienia pan tutaj swoje zalety – zauważyła. – Cierpliwość, wytrwałość, opanowanie...

Wiśniewski uśmiechnął się skromnie.

– Może panie nie są świadome, ale te cechy bardzo się w pracy detektywa przydają. Więc wypisałem.

To „może panie nie są świadome” lekko zazgrzytało Gai w uszach, ale uznała, że się Wiśniewskiemu wyrwało.

– A jakie jeszcze predyspozycje pan posiada? – zainteresowała się.

– Mam dobrą pamięć, potrafię rozmawiać z ludźmi... – odpowiedział. – Mógłbym tak długo wymieniać, ale to może jak już szef przyjdzie.

Gaja spojrzała na Matyldę, Matylda na Gaję.

– Jaki szef? – spytały chórem.

– Szef agencji – wyjaśnił. – Bo panie to pewnie sekretarki, zgadłem?

„Co za tupet! – pomyślała Gaja. – Sekretarki!”

– No, niezupełnie.

Wiśniewski musiał wyczuć niechęć w jej głosie, bo natychmiast zaczął się wycofywać.

– Przepraszam najmocniej, ja się na tej biurowej nomenklaturze nie znam. Panie zapewne wolą, żeby je tytułować asystentkami. Słyszałem też ostatnio określenie „manager biura”. Bardzo, uważam, trafne... – zamilkł, a potem obejrzał się na drzwi. – Miło się z paniami rozmawia i w ogóle, ale po co dwa razy gadać to samo – wrócił do sedna. – Ja tam się nie lubię powtarzać. To gdzie wasz szef?

Rozejrzał się ukradkiem po pomieszczeniu, a Gaja sobie uświadomiła, że wewnątrz gabinetu rzeczywiście urządzone jest po męsku, co w jakimś sensie Wiśniewskiego usprawiedliwia.

Uznała, że nieporozumienie trzeba wyjaśnić.

– Panie Stefanie, nie musimy na nikogo czekać. To ja jestem szefową agencji – oznajmiła z satysfakcją.

– Pani?! – Mężczyzna nachylił się w jej stronę, wysuwając szyję do przodu jak indyk.

– Szefową i właścicielką – potwierdziła. – Więc może pan spokojnie mówić dalej, słuchamy.

Mężczyzna wyglądał tak, jakby kompletnie nie rozumiał, o co chodzi. W końcu odezwał się, wyraźnie zdenerwowany.

– W ogłoszeniu było napisane, że nowa agencja szuka pracowników – zaczął. – Ale ani słowa o tym, że szefem będzie kobieta.

– Szefową – poprawiła Gaja i natychmiast tego pożałowała.

– No właśnie o tym mówię! – Wiśniewski już nie krył irytacji. – Cholerna polityczna poprawność! A jeśli ja sobie nie życzę, żeby mi baba rozkazywała?

Gaja poczuła, że sprawy nie idą w dobrym kierunku. Może powinna się uśmiechnąć i próbować odkręcić tę sytuację, ale zamiast tego brnęła w nią w najlepsze.

– A co jest złego w kobiecie na kierowniczym stanowisku? – spytała sztucznie uprzejmym tonem.

– Wszystko – warknął mężczyzna.

Napięcie w powietrzu zbliżyło się do poziomu, na którym zaczynają się samoczynne wyładowania.

– W takim razie chyba nie bardzo mamy o czym rozmawiać – podsumowała Gaja.

Wiśniewski podniósł się energicznie z miejsca.

– Też tak uważam. A informację, kto jest szefem, trzeba było napisać w ogłoszeniu. Gdybym wiedział, na co tu trafię, tobym się nie tłukł taki kawał – oznajmił ze złością i wyszedł, pozostawiając Gaję i Matyldę w osłupieniu.

– Co to było?! – jęknęła Matylda. – Jezu...

– Jakiś frustrat – Gaja wzruszyła ramionami. – Musiał mieć ciężkie dzieciństwo. Dominująca matka, te rzeczy. Co nie zmienia faktu, że to był nasz ostatni kandydat.

Wątpliwości co do sensu ich działań, zalegające w Matyldzie grubymi pokładami, postanowiły w tym momencie dojść do głosu.

– Może ten pomysł z agencją nie był najlepszy? – zaczęła ostrożnie.

– Tego nie wiem – stwierdziła Gaja. – Ale na pewno najlepszy nie był pomysł z tym ogłoszeniem. Trzeba je koniecznie przeredagować, żeby było bardziej zachęcające, i wrzucić na nowe strony. Przed rozmową muszą przysłać CV, żeby nie było zaskoczenia, a na spotkania będą się umawiać indywidualnie.

W tym momencie na dworze rozległ się hałas silnika tak głośny, jakby ulicą przepływała motorówka.

Zaciekawione podeszły do okna. Przed domem Gai zatrzymał się motocykl. Kierowca wyłączył silnik i zeskoczył z maszyny. Miał na sobie czarne skórzane spodnie i czarną kurtkę, a na głowie – kask w kolorze limonki. Sprawdził numer posesji i ustawił swój motocykl przy bramie.

– Fiu, fiu, niezłe ciacho! – stwierdziła Gaja z uznaniem.

– Faktycznie, efektowny – przyznała Matylda, przyciskając nos do szyby. – Myślisz, że z ogłoszenia?

– Oby....

W tym momencie motocyklista zsunął kask z głowy. Na ramiona opadła mu kaskada długich, ciemnorudych, kręconych włosów.

– Moment... – szepnęła zdezorientowana Matylda. – Czy ty widzisz to samo co ja?

– No raczej – roześmiała się Gaja. – To dziewczyna.

ROZDZIAŁ 23

Z kilkudziesięciu przejranych ogłoszeń jedyne, które naprawdę zainteresowało Klarę, brzmiało: „Do pracy w nowo powstającej agencji detektywistycznej zatrudnię od zaraz. Wymagana licencja. Zgłoszenia tylko osobiste”, dalej data, godzina i adres. Był również podany numer telefonu, ale Klara nie zadzwoniła. Wiedziała, że jej najmocniejszą stroną jest wygląd, i zamierzała to wykorzystać.

To, co najbardziej się Klarze w tym ogłoszeniu spodobało, to krótka lista wymagań. Właściwie, można powiedzieć, jednopunktowa. Trzeba było mieć tylko licencję detektywa. A Klara takim papierem dysponowała.

Kiedy pracowała w firmie zajmującej się białym wywiadem, szef zorganizował im grupowe szkolenie detektywistyczne. Wszyscy pracownicy, którzy wzięli w nim udział, otrzymali zaświadczenie ukończenia kursu i na jego podstawie mogli sobie wyrobić licencję.

Klara wszystko, co związane z biurokracją, traktowała jak problem, a problemy starała się raczej omijać, niż rozwiązywać, tego jednak ominąć się nie udało. Dopingowana przez kolegów z pracy oraz naciskana przez szefa, skompletowała wszystkie wymagane papiery – a trochę tego było – i otrzymała licencję.

Jedyne, co przyświecało Klarze przy jej wyrabianiu, to wizja tego, że będzie nią mogła szpanować w towarzystwie. Niestety – kiedy wreszcie dostała dokument do ręki, okazało się, że niepoważny wygląd praktycznie uniemożliwia użycie go w tym celu. Kartonik do złudzenia przypominał legitymację szkolną i mógł wywoływać raczej śmiech niż podziw, więc wetknęła go gdzieś i szybko zapomniała o jego istnieniu.

Rzuciła się więc teraz przekopywać mieszkanie i o dziwo – już po kwadransie licencję znalazła. Potem szybko się umalowała i przebrała w białą koszulową

bluzkę, która byłaby idealnym strojem na rozmowę o pracę, gdyby nie fakt, że najwyżej zapięty guzik znajdował się na wysokości pępka. Oczywiście nie była to jakaś wybitna strategia. Po prostu Klara doskonale знаła swoje atuty i wiedziała, że z takim dekoltem może nie umieć nic, bo każdy facet, siedzący naprzeciwko niej, będzie zainteresowany wyłącznie jej biustem, a nie poziomem kompetencji zawodowych.

Tak przygotowana i pewna sukcesu pomknęła do Milanówka. Była naprawdę podekscytowana faktem, że oto właśnie zaczyna nowy, fascynujący rozdział w swoim życiu. Bo w to, że praca detektywa będzie pełna przygód, adrenaliny i dobrej zabawy, nie wątpiła ani przez moment. Również ani przez moment nie wątpiła że tę pracę dostanie.

A jednak kilka zaskoczeń na nią czekało.

Pod podanym w ogłoszeniu adresem nie mieściło się żadne biuro, tylko elegancka, przedwojenna willa, w której renowację ktoś musiał włożyć olbrzymie pieniądze. Przez kontrast dla idealnie utrzymanego domu bujny, trochę dziki ogród sprawiał tajemnicze i ekscentryczne wrażenie. „Ciekawe miejsce”, pomyślała Klara i nacisnęła dzwonek domofonu.

Głos, który zabrzmiał w głośniku, z pewnością nie należał do mężczyzny, co Klarę odrobinę speszyło. Wszystkie stylistyczne środki, które dobrała, żeby zrobić wrażenie na płci przeciwnej, w kontakcie z kobietą mogły się okazać przeciwnie skuteczne.

„Spoko, to na pewno sekretarka”, pocieszyła się natychmiast, bo bardzo nie lubiła martwić się na zapas. Skąd mogła wiedzieć, że ten rodzaj stereotypowego myślenia pogrążył definitywnie jednego z kandydatów?

Kobięcy głos płynący z domofonu polecił jej wejść do willi tylnymi drzwiami, ruszyła więc ścieżką wokół budynku, próbując zajrzeć do wnętrza przez niezastłonięte okna. Udało jej się zauważyć kilka nowoczesnych, oryginalnych mebli i ciekawe obrazy na ścianach. Na urządzeniu tego domu nie oszczędzano.

Kobieta, która czekała na Klarę przy wejściu, była niską, pulchną blondynką, wyglądającą na jakieś czterdzieści lat, ubraną w zbyt długą do jej figury bawełnianą spódnicę i wydziergany na drutach kolorowy sweter, zmieniający ją bezlitośnie w kolorowego ludzika Michelin. Za to twarz miała sympatyczną i sprawiała wrażenie osoby otwartej, swobodnej i kontaktowej.

– Matylda – przedstawiła się, przyglądając się Klarze ciekawie. – Proszę za mną.

Wprowadziła ją do sporej sieni, której podłogę pokrywała biało-czarna szachownica kafli.

– Może pani zdjąć kurtkę, tu jest wieszak – wskazała na ciężki rzeźbiony mebel, który nadawał wnętrzu dostojnego charakteru.

Kiedy Klara odłożyła kask i ściągnęła motocyklową kurtkę, na widok stroju, który miała pod spodem, w oczach Matyldy pojawiło się rozbawienie.

– Zapraszam.

Otworzyła najbliższe drzwi i weszły do środka.

Wnętrze pokoju również utrzymane było w ciemnej, męskiej tonacji. Masywne biurko z ciemnego drewna, skórzany fotel, stojąca lampa i ciężkie zasłony w kolorze czerwonego wina... na ten widok Klara odetchnęła pełną piersią. „To pokój faceta – pomyślała z ulgą – stuprocentowego faceta”.

A jednak za biurkiem, w czarnym obrotowym fotelu, siedziała kolejna kobieta. Szczupła, krótko ostrzyżona, w białym T-shircie i granatowym żakiecie. Niestety sprawiała wrażenie, że jest na swoim miejscu.

Klara zaklęła w duchu, po czym upuściła na ziemię kluczyki do motoru.

– Ups, sorry! – bąknęła, schylając się i jednocześnie chyłkiem zapinając dwa górne guziki bluzki. Kiedy się wyprostowała, jej biust już się na pierwszy plan nie wysuwał.

– Gaja Stawska – przedstawiła się siedząca za biurkiem kobieta. – Właścicielka agencji. Ma pani może CV?

Żaden, ale to żaden mężczyzna nie zacząłby rozmowy z Klarą od pytania o CV, toteż go nie przygotowała. „Trzeba będzie zmienić taktykę”, pomyślała odrobinę nerwowo. Choć jeszcze nie wiedziała na jaką.

– Przyznam szczerze, że nie – uśmiechnęła się przepraszająco i przycupnęła skromnie na brzeżku krzesła. – Przyjście na tę rozmowę to był impuls. Zobaczyłam ogłoszenie i poczułam, że to jest to. Intuicja mi podpowiedziała. A intuicji trzeba słuchać. – Mówiła z uczuciem i zaangażowaniem, a kobiety patrzyły na nią coraz większymi ze zdumienia oczami.

Kiedy nabrała powietrza, żeby dalej wygłaszać swoją natchnioną tyradę, ta w marynarce jej przerwała.

– Rozumiem, choć ja akurat jestem zwolenniczką myślenia racjonalnego. Jakie ma pani doświadczenie w zawodzie?

Klara przywołała na twarz jeden ze swoich najbardziej uroczych uśmiechów, który kilka godzin wcześniej próbowała zastosować na swojej agentce. Wtedy nie podziałało, ale może będzie skuteczne teraz?

– Och, doświadczenie mam ogromne... Pracowałam w jednej z najlepszych agencji detektywistycznych w Polsce, brałam udział w wielu akcjach, prowadziłam samodzielnie dochodzenia... – starała się mówić jak najwięcej, żeby nie dopuścić do pytań o konkrety, takie jak na przykład nazwa agencji.

– Będziemy potrzebowały jakichś opinii o pani pracy – zauważyła kobieta w marynarce.

W tym momencie powinna nastąpić katastrofa. A jednak nie nastąpiła, ponieważ Klara nagle i niespodziewanie przypomniała sobie dziwaczną postać, którą poznała kiedyś na planie reklamy nowego modelu Jeepa. Po tym krótkim, czysto zawodowym spotkaniu pozostała jej wrzucona do torebki wizytówka i przekonanie, że nigdy w życiu jej nie użyje. Choć przecież identycznie myślała o licencji detektywa.

„Ryzykowne – pomyślała.– Ale co mi tam”.

– Jeśli chodzi o opinię, to najlepiej zapytać Krzysia – wypaliła.

– Jakiego Krzysia? – zaciekawiała się ta w kolorowym swetrze.

„Jak ona może nie wiedzieć, o kim mówię?” – zdziwiła się Klara i doprecyzowała z dumą:

– Krzysia Rutkowskiego.

Nie potrafiła zdecydować, czy wyraz twarzy właścicielki agencji oznacza zaskoczenie, czy zde gustowanie.

– Tego Rutkowskiego? – upewniła się kobieta.

– Oczywiście. Chce pani numer? – Klara zagrała *va banque*.

– Chętnie, ale później. A jak się tam pani pracowało?

– Fantastycznie! Mnóstwo się nauczyłam. On się zajmuje naprawdę poważnymi sprawami. Ostatnio pracowaliśmy w Sopocie, tam była kwestia tego zaginięcia sprzed lat... – akurat o tym czytała na Pudelku. Na Pudelku było też coś o jego żonie... – Żona Krzysia, Maja, bardzo mi pomagała. Uważała, że my kobiety musimy trzymać się razem.

Mówiąc to, nie spuszczała wzroku z właścicielki agencji. Kiedy tamta nachylała się do przodu, Klara robiła to samo; kiedy poprawiała włosy, Klara również. Gdzieś kiedyś przeczytała, że naśladowanie ruchów innych osób budzi w nich pozytywne nastawienie do rozmówcy, i teraz często wykorzystywała ten prosty i niewymagający wysiłku trik.

– Może jeszcze opowie nam pani coś o swoich umiejętnościach, zdolnościach? – zainteresowała się dla odmiany ta w kolorowym swetrze.

Klara odchrząknęła.

– A mogę najpierw do toalety?

Trzy minuty w łazience poświęciła na wpisanie w Google hasła: „jakie cechy powinien posiadać prywatny detektyw” i wykuciu odpowiedzi na pamięć. Dzięki temu na rozmowę wróciła pewna siebie i wyluzowana.

– Pytała pani o moje zalety. Więc przede wszystkim jestem cierpliwa – zaczęła. – Bardzo cierpliwa. Mogę godzinami siedzieć w samochodzie i prowadzić

obserwację. Mam wyjątkową samodyscyplinę, jestem wytrwała, kreatywna, czujna i spostrzegawcza – wymieniała beczelnie. – Bardzo trudno mnie wyprowadzić z równowagi, a moje drugie imię to dyskrecja.

Co prawda na twarzach siedzących naprzeciwko kobiet pojawił się wyraz niedowierzania, ale nie zamierzała się tym przejmować. Z doświadczenia wiedziała, że im więcej nawciska się kitu, tym większa szansa, że przynajmniej część z niego zostanie kupiona.

– To wszystko brzmi... fantastycznie – zauważyła właścicielka agencji, a Klara przez chwilę nie była pewna, jakiego znaczenia słowa „fantastycznie” użyła. – Rozumiem, że ma pani licencję detektywa?

Klara sięgnęła do czarnej skórzanej nerki, którą miała przypiętą w pasie, wygrzebała z niej dokument i położyła go na biurku przed kobietami.

Obejrzały kartonik uważnie, po czym ta w marynarce przesunęła go po blacie w kierunku Klary.

– Bardzo miło było panią poznać – powiedziała. – Dziękujemy za przybycie. Skontaktujemy się.

Brak natychmiastowej decyzji o przyjęciu do pracy Klara odebrała jako porażkę, ale nie zamierzała tego po sobie pokazywać.

– Mnie również było miło – uśmiechnęła się szeroko. – Proszę dzwonić pod ten numer – zabrała z biurka swoją licencję, a położyła wizytówkę, dziękując w duchu losowi, że przed rokiem, kiedy wyrabiała sobie karty wizytowe, agentka kazała jej umieścić na nich wyłącznie imię, nazwisko i numer telefonu.

– To ty jesteś istotą projektu – powiedziała jej wtedy. – Ty, Klara. Żaden zawód, żadna profesja cię nie definiuje.

Tylko kolor mogły wybrać bardziej stonowany...

– Nie dogadałam się w drukarni – wyjaśniła szybko kobiecie w marynarce, która ze zdziwieniem oglądała kartonik w intensywnym, purpurowym kolorze. – Już się nie mogę doczekać, kiedy zacznę pracę. Do widzenia!

Była przekonana, że urobiła kobiety wystarczająco.

Kiedy szła ścieżką w kierunku furtki i potem, kiedy zatrzymała się obok motoru, czuła na sobie ich wzrok. Wydawały się sympatyczne. No, może jedna bardziej, druga mniej. Ta właścicielka mniej. Sprawiała wrażenie konkretnej, stanowczej osoby.

Klara jedną ręką zwinęła włosy w kok, drugą nasunęła kask na głowę. „Mam nadzieję, że nie przeszarżowałam – pomyślała, włączając silnik. – Całe szczęście, że zapomniały o telefonie do tego detektywa. To by dopiero była wtopa”.

Ruszyła ulicą Modrzewiową w stronę centrum miasteczka. Jeżeli ma tutaj pracować, to warto się rozejrzeć, co i jak. Na wysokości wiaduktu poczuła na zegarku, że przyszedł esemes. Zatrzymała się kawałek dalej, żeby go odczytać, bo czuła, że może to być wiadomość z agencji o tym, że została przyjęta. Okazało się jednak, że miała rację tylko częściowo. Esemes rzeczywiście był od kobiety w marynarce, ale brzmiał następująco: „Tu Gaja, rozmawialiśmy przed chwilą. Proszę mi przesłać numer, pod którym mogłabym uzyskać informacje na temat pani pracy w agencji Rutkowskiego. Dziękuję i pozdrawiam”.

Poczucie triumfu lekko zbladło. Nawet gdyby udało jej się odnaleźć gdzieś w domu tę cholerną wizytówkę, to podawanie numeru telefonu do praktycznie obcego gościa było obarczone zbyt dużym ryzykiem. Po chwili namysłu schowała komórkę z powrotem do nerki i ruszyła przed siebie. Nie będzie na razie odpisywać. Ma przed sobą co najmniej pół godziny drogi, przez ten czas na pewno wymyśli jakieś rozwiązanie.

ROZDZIAŁ 24

Gaja i Matylda stały przy oknie i obserwowały, jak Klara przerzuca zgrabną nogę przez siodełko motoru i odjeżdża z rykiem silnika.

– Co myślisz? – spytała ostrożnie Matylda.

Sama była kompletnie zdezorientowana. Z jednej strony – chyba nigdy wcześniej nie miała do czynienia z kimś tak ślicznym. Z kimś, kogo chciałoby się zatrzymać przy sobie tylko po to, by cieszyć oczy jego wyglądem. Z drugiej strony Gaja prowadziła nabór do agencji detektywistycznej, a nie modelek. Jakim cudem ta zjawiskowo piękna dziewczyna może kogoś śledzić niepostrzeżenie, skoro przyciąga wzrok jak magnes spinacze? A z trzeciej – musiała być niezła w swoim zawodzie. Praca u Rutkowskiego, niezależnie od tego, czy się go ceni, czy nie, to prestiżowa sprawa, więc...

– Powiem ci, jest niezła – podsumowała Gaja.

– W sensie śliczna, prawda? – podchwyciła Matylda.

– W sensie bajerantka – Gaja puściła do przyjaciółki oko. – Poczekaj, zaraz ją podrażnimy.

Sięgnęła po telefon i zaczęła pisać wiadomość.

Matylda zajrzała jej przez ramię. „Tu Gaja, rozmawiałyśmy przed chwilą. Proszę mi przesłać numer, pod którym...”, przeczytała.

– Chcesz zadzwonić do Rutkowskiego?

Gaja dokończyła esemes i wysłała go pod numer z wizytówki Klary.

– No właśnie o tym mówiłam – westchnęła. – Bajeruje jak nikt, nawet ty jej uwierzyłaś. Nie ma żadnego Rutkowskiego. Ona nigdy w życiu nie pracowała jako detektyw.

Matylda poczuła się zdezorientowana.

– Ale jak to? Przecież mówiła...

– Widziałaś jej licencję?

– Widziałam...

– Zwróciłaś uwagę, kiedy została wystawiona? Dwa lata temu. A wygląda tak, jakby wczoraj. Ona jej przez sekundę nie używała, uwierz mi. Nie pracowała ani u Rutkowskiego, ani w ogóle w żadnej agencji.

– To kim jest? – Matylda patrzyła na Gaję z podziwem. – I po co tu przyszła?

– Najprostsze rozwiązania są najczęściej najlepsze. Na kogo ona ci wygląda?

Matylda nie musiała się zastanawiać.

– Na modelkę.

– Więc pewnie jest modelką.

Gaja wróciła za biurko i otworzyła laptop.

– Klara... Klara Kamińska... no, nazwisko może mało oryginalne, ale imię nas ratuje.

Matylda usiadła obok i patrzyła, jak Gaja wpisuje imię i nazwisko dziewczyny w okno wyszukiwarki, a potem klika grafikę. Na ekranie pojawiły się dziesiątki zdjęć: małe dzieci, kilka czarno-białych fotografii, jakieś ładne młode kobiety. Twarz, której szukały, wyskoczyła w trzecim z kolei rzędzie.

– Zbyt znana nie jest. Co mnie nie dziwi, bo gdyby robiła jakąś zawrotną karierę, toby jej nie przywiało tutaj na rozmowę o pracę. Jeszcze ją sobie na social mediach obejrzymy.

Na Facebooku jej nie znalazły, ale na Instagramie – owszem. Chaotycznie prowadzone konto Klary pełne było szalonych selfie i fotek z sesji. Systematyczność z pewnością nie była jej zaletą: przerwy między publikacjami postów wynosiły czasami dzień, a czasami – miesiąc. Może dlatego jej profil obserwowano zaledwie trzysta osób.

– Jezu, co za agentka – kręciła głową Gaja, przewijając posty.

– A wiesz, to ciekawe swoją drogą – zauważyła Matylda. – Jest prześliczna, przezgrabna, powinna mieć totalny sukces.

– Nie znam się na tej branży. Może właśnie jest za ładna, albo za niska, albo coś tam. Mniejsza z tym. – Gaja zamknęła energicznie laptopa i odwróciła się do Matyldy. – Jeżeli chce pracować jako detektyw, to ja jej to chętnie umożliwię.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy Gaja była mała, jeździła z rodzicami pod namiot. Pamiętała kąpiele w jeziorze, komary i szorowanie menażek piaskiem. Najbardziej lubiła wieczorne ogniska, pieczone kiełbaski, zwęglone kromki chleba, trzeszczące w zębach i wygrzebywane z popiołu ziemniaki. Ojciec wybierał dla niej te najlepsze, najbardziej pomarszczone, a kiedy okazywały się za gorące, chłodził je, przerzucając z dłoni do dłoni, nierzadko sycząc z bólu, i podawał córce dopiero kiedy miały odpowiednią dla niej temperaturę.

Przyjęcie Klary do agencji było jak żonglowanie wyjętym z ogniska ziemniakiem. Dziewczyna na pierwszy rzut oka wydawała się zaprzeczeniem wszystkiego, co powinien reprezentować sobą detektyw: była szalona, bo kto przychodzi na rozmowę kwalifikacyjną tak kompletnie na wariata, kłamała jak z nut, jej uroda sprawiała, że o wtopieniu w tłum można było zapomnieć i każda śledzona osoba po minucie zorientowałaby się, że snuje się za nią miss Polski. Ale o tym zapewne Klara nigdy nie miała okazji się przekonać, bo Gaja dałaby uciąć sobie głowę, że dziewczyna w zawodzie detektywa nie przepracowała ani minuty.

Ale z drugiej strony... Bycie szaloną mogło oznaczać niekonwencjonalne pomysły i niestandardowe działania, a umiejętność ściemniania mogła się okazać niezwykle użyteczna w wielu sytuacjach. Seksapil również.

Reasumując: Klara stanowiła wyzwanie, a Gaja zamierzała się go podjąć. Zresztą nie miała innego wyjścia. Oczywiście mogłaby zrobić to, co przez chwilę brała pod uwagę, czyli przeredagować ogłoszenie, na nowo umieścić je w internecie i czekać na kolejnych kandydatów, ale coś jej mówiło, że efekty mogą się okazać identyczne. Że na rozmowie o pracę znowu zjawi się kilku dupków,

mizoginów lub idiotów, i cały proces przedłuży się o kolejne dni, a może tygodnie. A Gaja nie mogła czekać.

Odkąd Artur tuż po ich pamiętnej rozmowie się wyprowadził, Gaja próbowała ogarnąć swoje życie organizacyjnie i emocjonalnie. O dziwo, dużo mniej problemów stwarzał ten drugi aspekt. Gniew na męża nie pozwalał się przebić do świadomości żadnym innym uczuciom, napędzał ją i dodawał energii. Owszem, czasami zdarzały się chwile, kiedy opadała z sił, i nagle do głosu dochodziły upiory przeszłości, wrzeszczące: popatrz, znowu zostałam sama, znowu ktoś cię zostawił, znowu nie masz się na kim oprzeć! Ale te momenty nigdy nie trwały długo. Bo przecież nie była sama – miała Helenę i to dla niej musiała za każdym razem brać się w garść.

Miała też Matyldę. To dzięki niej dziesięć lat temu wróciła do Milanówka, i również dzięki niej poradziła sobie z traumą zamieszkania w domu po rodzicach.

Spalona willa przez wiele lat stała pusta, a Gaja i Artur mieszkali w Warszawie. I choć mąż co jakiś czas wspominał, że warto pomyśleć o odbudowie, Gaja w ogóle nie chciała o tym słyszeć. Wszystko się zmieniło pewnego deszczowego lipcowego dnia przed jedenastoma laty, kiedy przez przypadek, choć przecież nie ma przypadków, wpadły na siebie z Matyldą w Galerii Mokotów. Gaja nie potrafiła dzisiaj powiedzieć, po co akurat tamtego dnia tam przyszła, ale zapamiętała doskonale skurcz serca na widok przyjaciółki.

Ostatni raz widziały się dwanaście i pół roku wcześniej, na pogrzebie rodziców Gai. A potem Gaja zerwała wszystkie kontakty z Milanówkiem. I choć przecięcie relacji z Matyldą bolało najbardziej, zrobiła to bez wahania. Żeby przeżyć.

Spotkanie w galerii wstrząsnęło nią. Ale nie dlatego, że otworzyła się zablizniona rana. Raczej odwrotnie. Obecność przyjaciółki z dzieciństwa podziiała na nią kojąco, a strach, który się w niej szamotał nieustannie od śmierci rodziców, nareszcie się trochę uspokoił. Od tamtej pory przyjaźń i zażyłość, które powróciły, dawały Gai stabilne i serdeczne emocjonalne wsparcie, z którego teraz również zamierzała skorzystać.

Dużo gorzej wyglądało opanowanie organizacyjnej strony życia. Nagle pojawiła się cała góra spraw, które trzeba było rozwiązać, rozstrzygnąć, przeprowadzić, zamknąć lub otworzyć. Począwszy od takich kwestii jak samochód, za wielki i za drogi w eksploatacji, który postanowiła sprzedać i kupić coś tańszego, przez porządki w domu po wyprowadzce Artura, kompletowanie dokumentów dla adwokata i najważniejsze – przygotowania do otwarcia agencji.

O, tak, agencja była priorytetem. Gaja chciała jak najszybciej zacząć DZIAŁAĆ. Pragnęła znowu, tak jak podczas pracy w fundacji, poczuć sprawczość. Ale przede wszystkim, do czego się nawet sama przed sobą nie przyznawała, musiała się po prostu czymś zająć. Nie mogła sobie pozwolić na analizowanie rozstania z Arturem. Nie mogła dopuścić do siebie nawet pół myśli, że poniosła porażkę. Rozpadłaby się wtedy na atomy. Albo na cząsteczki kwasu deoksyrybonukleinowego. A na to, ze względu na Helenę, nie mogła sobie pozwolić.

Praca. Tylko praca była w stanie utrzymać ją w pionie.

Dlatego, choć zdawała sobie sprawę, że przyjmując Klarę, prawdopodobnie pakuje się w kłopoty po uszy, wolała to niż kolejne dni i tygodnie w zawodowym zawieszeniu.

„Dam sobie radę – pomyślała, przeglądając po raz kolejny jej Instagram. – Jeździłam na plenery malarskie z dziećmi z domu dziecka, wyciągałam pieniądze od największych skąpców w kraju, odbudowałam spalony dom i udowodniłam mężowi zdradę. Dlaczego miałabym sobie nie poradzić z jedną narcystyczną wariatką?”

ROZDZIAŁ 26

– Sylwia, kotek, nareszcie! Dzwonię i dzwonię...

– Klara, byłam w pracy. Bo wiesz, ludzie czasami pracują. I nie jestem twoim kotkiem. Co tam tak chlupie?

– Kąpię się.

– Akurat. Wino sobie lejesz do kieliszka. Białe czy czerwone?

– Białe. Posłuchaj, mam sprawę.

– Nie dzwoniłabyś, gdybyś nie miała.

– Co ty taka jesteś dla mnie niemiła dzisiaj, co?

– Nie przyjechałaś na mój ślub, bo ci się daty pomyliły. Nie odzywasz się od pół roku. Wisisz mi pięćset złotych. Bycie niemiłą to jedyny luksus, na jaki mogę sobie pozwolić.

– No ja właśnie w związku z pieniędzmi. Jest szansa, że się załapię do takiej jednej fajnej roboty, tylko potrzebuję referencji. Jakbyś mi pomogła, tobym ci z pierwszej pensji oddała kasę.

– Nie mogłaś mnie poprosić tak normalnie, zamiast zaczynać od szantażu?

– Sylwuś, jaki szantaż? Po prostu ci mówię, jak jest. Zadzwoni do ciebie moja przyszła szefowa, a ty jej tylko powiesz, że byłam świetnym pracownikiem.

– Jakim pracownikiem?

– Detektywem.

– Ty sobie robisz jaja?

– W życiu. Odbierzesz, powiesz: „Rutkowska, słucham”, ona zapyta, czy mnie kojarzysz i czy u was pracowałam, ty powiesz, że oczywiście, że byłam podporą

firmy i że musisz kończyć, bo zaraz wyruszasz z mężem na akcję. I to wszystko. Zero fatygi, za to zwrot kasy. Chyba dobry *deal*?

– Nie mogę z tobą. Co to za firma, której byłaś podporą?

– Biuro detektywistyczne Rutkowski. To co, mogę na ciebie liczyć?

– Pani Klaro, tu Gaja Stawska. Bardzo nie lubię się nagrywać, ale ponieważ od rana pani nie odbiera... Osoba, do której numer telefonu mi pani podała, bardzo panią chwaliła. Nie przypuszczałam, że można o kimś powiedzieć tyle dobrego w tak krótkim czasie. Jest pani przyjęta. W przyszłym tygodniu załatwimy formalności, ruszamy od pierwszego. Aha, i proszę przekazać koleżance, że Rutkowski ma na imię Krzysztof, nie Robert. Pozdrawiam serdecznie.

ROZDZIAŁ 27

Helena siedziała w Podmiejskiej na wąskiej, trochę niewygodnej kanapie w rogu i próbowała ogrzać dłonie o szklanekę latte z syropem migdałowym. Ale kawa wcale nie była gorąca i palce z trudem wyłapywały ciepło ze szkła.

Zostali dziś zwolnieni ze szkoły dwie godziny wcześniej, bo pani od polskiego musiała jechać do Grodziska na jakiś konkurs recytatorski. To znaczy nie tak do końca zwolnieni, bo w obliczu zbliżającego się egzaminu ósmoklasisty każda lekcja polskiego była na wagę złota i dyrektorka już uprzedziła, że będą odrabiać w sobotę. No ale tak czy siak w tym momencie Helena miała wolne i zamierzała ten czas wykorzystać najlepiej, jak się da.

Leżący na stoliku telefon zatrzęsł się lekko, a na jego ekranie wykwitł biały dymek esemesa.

„12.40 podejdziesz?” Wysłała w odpowiedzi „Oki”, potem dopiła kawę, schowała komórkę do kieszeni kurtki i poszła zapłacić. Do spotkania miała dziesięć minut. Powinna zdążyć bez problemu.

Nie lubiła tunelu pod torami. Choć po niedawnej przebudowie był lepiej oświetlony i jakby bardziej czysty, wciąż sprawiał wrażenie miejsca, gdzie się po zmroku lepiej nie szwendać. Na szczęście teraz, w środku dnia, z tunelu korzystały głównie kobiety z siatkami pełnymi zakupów i dzieciaki ze szkoły.

Helena zbiegła po wąskich betonowych schodach, szybko pokonała wyłożony zielonymi płytkami korytarz i po chwili była już po drugiej stronie torów.

Droga po lewej zaprowadziłaby ją do domu, dziewczyna jednak ruszyła w prawo, w kierunku ulicy Piasta, przy której znajdowało się jedno z dwóch liceów ogólnokształcących w Milanówku. Liceum było stare, przynajmniej jak na

standardy czternastolatki – kończyła je przecież ciocia Matylda – jednak wiek szkoły niekoniecznie szedł w parze z jej renomą. Już od jakiegoś czasu zdolniejsi uczniowie wybierali liceum prywatne albo uciekali do Warszawy, w efekcie szkoła przy Piasta przyciągała tych, którym na wyśrubowanych wynikach w nauce aż tak bardzo nie zależało. Dzięki temu udało się uniknąć wyścigu szczurów, a życie w liceum toczyło się w swoim tempie, bez przesadnej nerwowości i napięć.

Helena zatrzymała się na rogu, zza którego było dobrze widać wejście do budynku. Nie czekała długo. Mniej więcej po minucie zabrzmiał dzwonek na przerwę tak głośny, że nawet tutaj, kilkaset metrów od szkoły, było go wyraźnie słychać. Chwilę później otworzyły się drzwi i na niewielki dziedziniec zaczęli się wysypywać uczniowie. Jeden z nich, wysoki i chudy, z imponującą czupryną w intensywnie błękitnym kolorze, ruszył biegiem w kierunku Heleny.

– Cześć, Heli – rzucił zdyszany, zatrzymując się przed nią.

– Cześć, Szymon – odpowiedziała.

Cmoknęli się w policzek.

– Ile masz czasu? – zapytała.

– Długa przerwa, dwadzieścia minut. Idziemy na pączka?

Ruszyli chodnikiem w przeciwną stronę niż szkoła. Szli blisko siebie i w pewnym momencie dłoń Szymona musnęła niechcący dłoń Heleny, potem jeszcze raz. „Ale by było super iść z nim za rękę”, rozmarzyła się. Tylko że przecież nie była jego dziewczyną. Była koleżanką i ciągle jeszcze uczennicą podstawówki. A jak ktoś jest w liceum, to się z dziećmi nie zadaje. No chyba że tak po przyjacielsku, jak Szymon z nią. Traktował ją trochę jak młodszą siostrę, ale Helena jego nie traktowała jak brata. Szymon jej się podobał, i to bardzo. Wszystkie sygnały, które wysyłało jej serce oraz ciało, świadczyły o tym, że jest w nim po prostu zakochana, ale ponieważ to było pierwsze zakochanie w jej życiu, sama nie wiedziała, co ma z tym zrobić. Na razie przyjaźń była najlepszym, najbezpieczniejszym rozwiązaniem, a Helena nie spieszyła się, żeby coś w tym układzie zmieniać.

Czasami posuwała się jedynie do niewielkiej manipulacji, czyli szukała u niego wsparcia w związku z tą idiotyczną sytuacją z rodzicami. W sumie to nawet nie była manipulacja. Nie jest fajnie, kiedy nagle rodzice oświadczają, że się rozwodzą, a ojciec pakuje się i z dnia na dzień wynosi z domu. I choć mama przeprowadziła z nią poważną rozmowę, podczas której wiele razy zapewniała Helenę, że dziewczynka jest dla nich najważniejsza i że zrobią wszystko, żeby ich rozstanie jak najmniej ją dotknęło, to i tak cała ta sytuacja spowodowała burzę emocji, z którymi trudno jej było sobie poradzić.

Szymon naprawdę pomagał jej przejść przez to wszystko. Był wrażliwym, mądrym chłopakiem i w pewnym momencie Helena zaczęła łąpać się na tym, że każdy nowy problem, który się pojawiał w domu, wita prawie z radością, bo może z nim pobiec do Szymka i dzięki temu pretekstowi spędzić z nim czas. Tak, to był bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, że zakochała się w nim właśnie teraz.

Zatrzymali się na przejściu dla pieszych, tuż obok tablicy ogłoszeń wiszącej na płocie ośrodka zdrowia. Jedna z kartek, częściowo oderwana, trzepotała irytująco na wietrze.

– A co z Justyną? Wiadomo coś? – zapytała Helena, pokazując Szymonowi trochę wyblakłe ogłoszenie ze zdjęciem ładnej, młodej dziewczyny.

– Nic, cisza.

– Myślałam, że może się odezwała do kogoś z klasy...

– Ona się tam za bardzo z nikim nie trzymała. Była nowa, na siłę próbowała szpanować, a takich to się nie lubi, sama wiesz.

Justyna zaginęła już jakiś czas temu. Chodziła do tego samego liceum co Szymon, tylko klasę wyżej. Na początku wszyscy w szkole myśleli, że jej zaginięcie to ściema, zwłaszcza że podobno wcześniej, jeszcze kiedy mieszkała w Warszawie, takie ucieczki z domu co jakiś czas jej się zdarzały. Wymyślano więc coraz to nowe teorie mające jej nieobecność usprawiedliwić. Największą popularność zyskała ta mówiąca o kłótni z ojczymem i ucieczce do prawdziwego ojca, do Niemiec.

Ale ponieważ mijały dni, a dziewczyna nie dawała znaku życia, powoli zaczęto dopuszczać do siebie myśl, że mogło jej się stać coś złego.

Cukiernia znajdowała się po drugiej stronie ulicy.

– Chcesz pączka czy coś innego? – zapytał Szymon. – Bo ja bym sobie wziął jeszcze sernik.

– Nie, dzięki, pączek tylko.

Pięć minut później, zaopatrzeni w trzy ciastka, ruszyli w kierunku niewielkiego skwerku przy torach. Przysiedli na ławce.

– Nie zimno ci? – zainteresował się chłopak, a Helenie natychmiast zrobiło się cudownie ciepło na sercu.

– Nie, dzięki.

– To mów, co tam się dzieje znowu...

Helena spłoszyła się. Przez ostatnie kilka minut zdążyła zapomnieć, że wyciągnęła Szymona ze szkoły, żeby ją podniósł na duchu. Nie potrzebowała z nim rozmawiać o tych wszystkich poważnych rzeczach, w sumie wystarczała jej sama jego obecność. Nie musiała z niczego mu się zwierzać, żeby poczuć się dobrze. Ale teraz, wywołana do tablicy, szybko sięgnęła do swojego arsenału klęsk.

– Z kasą jest krucho. I matka wymyśliła, że założy agencję detektywistyczną – wypaliła. – Wyobraź sobie, wczoraj zrobiła... – nie mogła przez chwilę znaleźć odpowiedniego słowa – ... casting na pracowników.

Szymonowi aż się zaświeciły oczy.

– Agencja? Ty, to zajebicie! Mega akcja!

Spojrzała na niego, zdziwiona.

– Serio tak myślisz?

Szymon włożył do ust prawie całego pączka.

– Pewnie – powiedział trochę niewyraźnie. – I nawet mam dla niej pierwszą sprawę. Justyna. Ale by było, gdyby ją znalazła!

Sięgnął do pudełka po sernik.

– Gryza? – Podsunął Helenie ciastko.

W tym momencie od strony położonego kilkadziesiąt metrów dalej parkingu, dotarł do nich wzburzony kobiecy głos.

Helena zamarła. Znała ten głos. Znała bardzo dobrze.

Szymon wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Słuchaj, czy to czasem nie jest...

– Nie! – powiedziała stanowczo Helena. – To nie jest moja matka. Chodźmy już. Zaraz musisz być w szkole.

I pociągnęła Szymona w kierunku liceum.

ROZDZIAŁ 28

Całą wiedzę na temat prowadzenia agencji detektywistycznej Gaja czerpała z internetu. Przeczytała większość dostępnych tekstów, blogi prywatnych detektywów, porady prawników. Aż w końcu nadszedł czas, żeby wiedzę wprowadzić w życie, a agencję – na rynek.

Agencje detektywistyczne pozyskują klientów, reklamując się w prasie i w internecie. Podstawą jest bycie rozpoznawalnym na terenie, na którym agencja prowadzi działalność. Najlepiej sprawdzają się więc anonse w prasie lokalnej, ulotki oraz polecenia przez zadowolonych klientów.

Taką notatkę na temat reklamowania usług detektywistycznych znalazła w jednym z artykułów. Nie mając na razie zadowolonych klientów, Gaja postanowiła się skupić na dwóch pozostałych pomysłach.

Samo napisanie ogłoszenia nie było trudne i zajęło jej raptem kwadrans – praca w fundacji i przygotowywanie materiałów dla sponsorów nauczyły ją precyzji wypowiedzi. Następnie przesłała tekst Maćkowi, który po godzinie odesłał jej opracowany graficznie anons. Gotowy plik zgrała na pendrive'a i pojechała z nim do punktu ksero, gdzie zamówiła pięćdziesiąt odbitek w formacie A2 i dwieście w formacie A4. Te większe planowała porozklejać na mieście, a mniejsze – zostawić jako ulotki w urzędzie miasta, ośrodku zdrowia i w innych popularnych punktach, przez które przewijają się ludzie.

Następnym przystankiem na jej trasie był papierniczy. Zaopatrzyła się tam w taśmę klejącą i dwa pudełka pinesek z kolorowymi łebkami. Po namyśle dokupiła jeszcze paczkę przezroczystych koszulek na dokumenty, a kiedy wyszła ze sklepu, gotowa do rozlepiania ogłoszeń, zauważyła na ulicy parę młodych ludzi.

Szli od strony cukierni i wyglądali tak, jakby łączyła ich bliska zażyłość. Chłopak miał włosy w dziwnym, wpadającym w zieleń odcieniu błękitu, co wzbudziło w Gai silny estetyczny sprzeciw. „Gdyby Helena chciała sobie kiedyś ufarbować włosy na niebiesko – pomyślała – trzeba by było unikać tych zgniłych żółtawych tonów”. Sekundę później dotarło do niej, że dziewczyna, która idzie z niebieskowłosym chłopakiem, to jej córka.

Z początku chciała do nich podejść, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Bo pierwszy raz poczuła, że Helena nie jest już dzieckiem. Jest nastolatką. Kiedy sama była w jej wieku, publiczne pokazywanie się z rodzicami uważała za obciach, więc dlaczego Helena miałyby myśleć inaczej?

Wspomnienie własnej młodości, spędzonej w tym samym mieście, młodości szczęśliwej i beztroskiej, przynajmniej do pewnego momentu, zabolowało jak zwykle. Ale – również jak zwykle – ból był krótki, przez lata nauczyła się go błyskawicznie lokalizować i uciszać. A kiedy zniknął, cofnęła się o pół kroku, ukryła za rogiem budynku i z ciekawością zaczęła obserwować swoją córkę i jej towarzysza. Choć może słowo „podglądać” byłoby bardziej na miejscu.

Chłopak wyglądał na starszego od Helenki, a ponieważ niedaleko znajdowało się liceum, Gaja wywnioskowała, że prawdopodobnie tam właśnie się uczy. „Ciekawe, skąd się znają? – pomyślała. – I czy to jest tylko koleżeństwo, czy coś więcej?” Zdecydowanie wolałaby, żeby nic więcej. Na zakochiwanie się i nieuchronne nastoletnie cierpienia z nim związane Helena miała jeszcze mnóstwo czasu. Teraz, po rozstaniu z Arturem, wchodzenie w jakikolwiek związek uczuciowy wydawało się Gai czymś przesadnie naiwnym i ryzykownym.

Helena i niebieski chłopak usiedli na ławce na skwerze i zaczęli rozmawiać. A kiedy w pewnym momencie Helena posłała mu spojrzenie jelonka Bambi, Gai zrobiło się słabo. Zrozumiała, że córka się jednak w chłopaku kocha.

Obserwowała ich dalej w coraz większym napięciu, kiedy nagle na parking przed papierniczym wjechał duży granatowy SUV, skutecznie zasłaniając jej widok. Gaja spróbowała się przesunąć najpierw w jedną, potem w drugą stronę, stanęła nawet na palcach, ale nic to nie dało.

– Cholera – zaklęła pod nosem. – Akurat teraz!

Kierowca wyłączył silnik i wysiadł z auta. Był średniego wzrostu, a jego sylwetka sugerowała, że często odwiedza siłownię. Oprócz muskulatury uwagę przyciągała również kompletnie łyśa czaszka, która świeciła blado w promieniach zimowego słońca. Brak włosów nie stanowił chyba jednak powodu do kompleksów, bo nie przykrywał jej czapkę, która w tak zimny dzień byłaby oczywistym wyborem. Kształt nosa, na którym musiała wylądować kiedyś czyjaś pięść, sprawiał, że o mężczyźnie trudno byłoby powiedzieć, że jest przystojny, przymiotnik „interesujący” pasowałby do niego dużo bardziej. Gai natychmiast skojarzył się z porucznikiem Kojakiem, bohaterem kryminalnego serialu sprzed lat. Aż dziwne, że nie miał w ustach lizaka.

– Halo, proszę pana! – pomachała do niego.

Mężczyzna popatrzył na nią, zaskoczony.

– O mnie chodzi? – upewnił się.

– Tak, o pana. Czy mógłby pan przeparkować auto?

Podszedł do Gai i stanął w lekkim rozkroku, co jeszcze bardziej upodabniało go do amerykańskiego gliny.

– Nie dosłyszałem?

– Proszę, żeby pan zabrał stąd swój samochód – powtórzyła stanowczo.

– Ma pani to miejsce zarezerwowane?

– Nie, ten parking jest ogólnie dostępny! – odpowiedziała wściekle. – Ale...

– Ogólnie dostępny. To załatwia sprawę – uśmiechnął się ironicznie. – W takim razie proszę wybaczyć, ale nie przeparkuję.

Gaja zaczęła czuć narastający gniew.

– A dlaczego? – warknęła.

– Dlatego – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– Nie widzi pan, że mi zależy?! – zaczęła podnosić głos, co mężczyznę najwyraźniej rozbawiło.

– Widzę. Ale proszę mi wybaczyć, to nie jest argument nie do zbitcia – uśmiechnął się złośliwie. – Proszę sobie zaparkować gdzie indziej. Tu jest wszędzie mnóstwo wolnych miejsc.

– Nie chcę parkować – wycedziła. – Pana samochód zasłania mi widok!

O mało nie parsknął śmiechem

– To proszę sobie stanąć z drugiej strony i problem z głowy.

Gaja przestała się kontrolować.

– Proszę natychmiast zabrać stąd to auto! Natychmiast! – wrzasnęła.

Mężczyzna patrzył na nią zafascynowany, a potem pokręcił ze współczuciem głową, wyminął Gaję i ruszył w kierunku sklepu.

Tak ostentacyjnie zlekceważona poczuła, że za wszelką cenę musi postawić na swoim. Zaczęła rozpaczliwie szukać w głowie takiego argumentu, żeby tamtemu w piętę poszło. I znalazła.

– Jestem prywatnym detektywem i prowadzę obserwację! – rzuciła za łysym. – A pana samochód utrudnia mi pracę! Proszę go stąd zabrać!!!

Kojak zatrzymał się i odwrócił.

– Śmiało, jeszcze głośniej! – zasugerował, rozbawiony. – Na pewno się obserwowany obiekt nie zorientuje, jak się będzie pani tak drzeć. – A potem pokręcił głową z podziwem: – Bardzo ciekawe metody. Musi być pani naprawdę wybitnym fachowcem.

Po czym otworzył drzwi i wszedł do sklepu.

– Palant! – syknęła Gaja.

I nagle sobie przypomniała, o co była ta cała awantura. Podbiegła szybko do granatowego SUV-a i ostrożnie zza niego wyjrzała. Na skwerze nie było już ani Helenki, ani błękitnego chłopaka, tylko z kosza na śmieci wystawało zgięte pudełko po ciastkach.

ROZDZIAŁ 29

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam... Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam... – niosło się po korytarzach urzędu miasta, mobilizując do pośpiechu każdego, kto dziś jeszcze nie złożył życzeń głównej księgowej.

W pokoju pani Marioli zebrały się wszystkie pracownice jej referatu, przyszły też dziewczyny z gospodarki nieruchomości i z oświaty. Był tort czekoladowy, podawany na papierowych talerzykach, a jeśli ktoś przyniósł swój kubek, mógł liczyć na kawę.

Całą imprezę zorganizowała oczywiście Matylda: zamówiła tort, kupiła symboliczny prezent i rozesłała służbowym mejlem wiadomość do wszystkich. Oczywiście, ponieważ tak się jakoś utarło, że to Matylda zajmuje się w ratuszu imieninami, urodzinami i przyjęciami świątecznymi. Była nie tylko kompetentna, ale po prostu uwielbiała to robić. I mieć poczucie, że jest niezastąpiona.

Jak zwykle wszystko się udało: ciasto było pyszne, prezent trafił idealnie w gust solenizantki, i nawet burmistrz zajrzał na pięć minut, choć był naprawdę zajęty tego dnia. Kiedy goście się rozeszli, Matylda pomogła posprzątać, a potem z tekturowym talerzykiem, na którym kiwał się kawałek tortu, wróciła do swojego pokoju.

Sprawdziła godzinę. Była dopiero trzecia piętnaście. I aż trzecia piętnaście. Zwykle kończyła pracę o szesnastej, więc do wyjścia została jej niecała godzina. Za mało czasu, żeby zabierać się do jakiegoś nowego projektu, a za dużo, żeby się tak po prostu urwać. Przejrzała więc po raz enty makietę najnowszego biuletynu, żeby się upewnić, czy wszystko gra, no i czy na pewno ogłoszenie agencji detektywistycznej, które miała zamieścić w tym numerze na prośbę Gai, nie znikło – program, którym posługiwała się Matylda, potrafił czasami płać figle.

Ostatnie pół godziny poświęciła na przeglądanie facebookowej strony Mój Milanówek. Była to jedna z zalet pracy w Zespole do spraw Komunikacji Społecznej – siedzenie na fejsie w ramach obowiązków służbowych.

Akurat dzisiaj na stronie nic się specjalnie nie działo. Matyllda przewijała posty, odrobinę znudzona, gdy nagle jedno ze zdjęć przykuło jej uwagę. Było bardzo dobrej jakości i przedstawiało białą jak śnieg papugę kakadu stroszącą zadziornie czub do obiektywu. Pod zdjęciem było napisane:

Drodzy sąsiedzi! Dziś rano moja ukochana papuga Koko wyleciała przez otwarte okno na dwór. Niestety nie udało mi się jej przywołać. Proszę, błagam, rozglądajcie się za nią! Może być wszędzie! Jest zimno i Koko długo na dworze nie wytrzyma. Jeżeli ktoś z Was zauważy moją papugę, dzwońcie natychmiast!

Dalej był podany numer telefonu i kilka dużych czerwonych wykrzykników.

Matyldzie zrobiło się dziwnie przykro. „Jakie to musi być straszne napięcie, czekać, czy ulubiony ptak się znajdzie”, pomyślała i udostępniła post na swoim prywatnym profilu. Przynajmniej tyle mogła zrobić.

Z pracy wyszła za pięć czwarta. Na dworze było jeszcze jasno, więc idąc w kierunku domu, przez całą drogę patrzyła w górę, przeczesując wzrokiem korony drzew w poszukiwaniu kakadu. A kiedy skręciła w Modrzewiową, nagle przyszło jej do głowy, że koniecznie powinna o papudze powiedzieć Gai. Gaja miała odpowiedni sprzęt i doświadczenie, może mogłaby się pokręcić po Milanówku z lornetką i porozglądać za ptakiem?

Jak zwykle na wysokości willi Krysin Matyllda przeszła na drugą stronę ulicy i z bezpiecznej odległości obejrzała się na zapuszczony ogród otaczający ruinę. A tam, na płaskim dachu rozpadającego się garażu, siedziało sobie jak gdyby nigdy nic kakadu.

– Niemożliwe! – westchnęła Matyllda i drżącymi z podekscytowania dłońmi wygrzebała z torebki komórkę. – Jest! Znalazłam ją!!!

Sprawdzając co chwila, czy ptak nie odleciał, odszukała na Facebooku post z ogłoszeniem i zadzwoniła pod podany numer.

– Słucham! – mężczyzna, który odebrał telefon, oddychał ciężko, jakby przed chwilą biegł.

– Proszę pana! Jest Koko! Widzę ją! Willa Krysin na Modrzewiowej! Szybko!

– Boże, a ja w Grodzisku! – jęknął właściciel papugi. – Ktoś zadzwonił, że widział Koko na placu zabaw obok wiaduktu, musiałem sprawdzić. Już do pani pędzę! Będę najdalej za pół godziny! Błagam, niech jej pani pilnuje!

– Pół godziny? To strasznie długo – jęknęła załamana Matylda. – A jak mi ucieknie?

– Nie ucieknie! Niech pani do niej podejdzie i woła ją po imieniu. Jest zmarznięta i słaba, może da się złapać!

I się rozłączył.

Matylda przełknęła ślinę. Łapanie papugi wymagało wejścia na teren Krysin. Nie spieszyło jej się do tego specjalnie, ale wiedziała, że nie może zawieść właściciela ptaka.

Po chwili namysłu wybrała numer Gai.

– Hej, masz chwilę? Bo potrzebuję pomocy.

ROZDZIAŁ 30

Rozwieszanie ogłoszeń okazało się zajęciem żmudnym, ale dającym zaskakująco dużo satysfakcji. Gaję co prawda od wbijania pinetek rozboleł kciuk, jednak kiedy przejeżdżała potem przez miasto i na każdej tablicy migąła wypisana charakterystyczną czcionką nazwa jej własnej agencji, wiedziała, że sensownie spędziła popołudnie.

„Ciekawe, czy Helena już wróciła”, pomyślała, otwierając drzwi wejściowe. Na szczęście na wieszaku w holu żółta kurtka dziewczynki świeciła jak wielki, napompowany słońceznik i jej obecność Gaja powitała z ulgą. Odkąd zaginęła Justyna, Gaja zauważyła u siebie gwałtowny wzrost potrzeby kontroli. Zwłaszcza że o tym nieszczęściu trudno było zapomnieć. Praktycznie wszędzie, gdzie wieszala ogłoszenia, wisiały plakaty informujące o zaginięciu dziewczyny, a ulotki z jej zdjęciem można było znaleźć w każdym sklepie przy kasie. Tym bardziej świadomość, że Helena znajduje się bezpieczna w domu, a nie biega gdzieś po mieście z tajemniczym chłopakiem, była dla niej krzepiąca.

Po chwili wahania kobieta ruszyła na górę, do pokoju córki.

Pokój nastolatka jest jak Ikea – wchodzisz po kubek, a wychodzisz z miseczką, szklanką, dwoma talerzykami i ręcznikiem. Gaja zawsze miała w głowie to porównanie, kiedy otwierała drzwi do pokoju Heleny. Teraz również je sobie przypominała.

Na biurku piętrzyły się sterty zeszytów i książek, część z nich leżała też na podłodze. Parapet zastawiony był brudnymi naczyniami, a z półotwartej szafy na podłogę kolorową kaskadą wylewały się ciuchy.

Gaja przełknęła ślinę i uśmiechnęła się z wysiłkiem. Musiała włożyć sporo dobrej woli w to, żeby nie zacząć od awantury.

Helena siedziała po turecku na łóżku. Obłożona kocami, poduszkami i pluszakami, wpatrywała się w ekran laptopa, na jej uszach tkwiły grube, czarne słuchawki.

– Hej – odezwała się Gaja, a ponieważ córka nie zareagowała, powtórzyła tym razem dużo głośniej: – Hej!

Dziewczyna podskoczyła tak gwałtownie, że szarpnięte zbyt krótkim kablem słuchawki zsunęły jej się z uszu i opadły na kołdrę.

– Matko! – jęknęła. – Prosiłam, żebyś pukała!

– Pukałam. Tylko nie słyszałaś.

Helena przewróciła oczami, ale nie skomentowała.

– Jak było w szkole?

Gaja zdawała sobie oczywiście sprawę, że to najbardziej wyświechtane pytanie, jakie można zadać dziecku, ale nie mogła przecież tak od razu zaczynać rozmowy od: „Co to był za chłopak, z którym cię widziałam na skwerku?”.

– W porządku – Helena ostentacyjnie wbiła wzrok w ekran, ale Gaja nie dała się zlekceważyć.

– Wydawało mi się, że widziałam cię dzisiaj na mieście w czasie lekcji... – zawiesiła głos, czekając na reakcję córki.

Dziewczynka trochę się spięła.

– Zwolnili nas z dwóch ostatnich – wyjaśniła. – Poszłam na pączka.

– Z kim? – kontynuowała swoje śledztwo Gaja.

Helena wzruszyła ramionami.

– Nieważne... Z kolegą.

– Z klasy?

– On chodzi do liceum.

– To twój chłopak? – Gaja nie miała siły dłużej bawić się w podchody.

Helenka popatrzyła na matkę karcąco.

– Mamo, błagam...

– Opowiedz mi o nim. Fajny jest?

Gaja przysiadła obok córki na łóżku, mając nadzieję, że uda jej się sprowokować zwierzenia. I być może rzeczywiście tak by się stało, gdyby nie to, że w tym momencie zadzwoniła jej komórka, w ułamku sekundy rujnując to ulotne poczucie bliskości, które zdążyło się między nimi wytworzyć.

Zirytowana Gaja wyjęła telefon z torebki i spojrzała na wyświetlacz: dzwoniła Matylda. Przez moment miała nawet ochotę odrzucić połączenie, ale Helena jej na to nie pozwoliła.

– O, ciocia dzwoni! – ucieszyła się. – Nie odbierzesz?

Entuzjazm, z jakim córka powitała pretekst do przerywania rozmowy, świadczył o tym, że i tak więcej by z niej teraz nie wyciągnęła, dlatego choć bez entuzjazmu, przeciągnęła zieloną słuchawkę.

– Hej, masz chwilę? – usłyszała zdenerwowany głos przyjaciółki. – Bo potrzebuję pomocy.

Podeksytowana Matylda czekała na Gaję przed furtką.

– Patrz! – pokazała jej białego ptaka w ogrodzie naprzeciwko. – Właściciel będzie dopiero za pół godziny. Musimy spróbować ją złapać. Podobno reaguje na imię.

Gaja zapięła kurtkę na suwak i zarzuciła na głowę kaptur.

– Jakie? – spytała i ruszyła wzdłuż płotu.

– Koko.

– O, tędy damy radę – odciągnęła przeciętą na wysokość człowieka siatkę i przedostała się na posesję.

Matylda weszła za nią, a papuga z dachu garażu obserwowała je uważnie.

– Boże, żeby tylko nie uciekła – szepnęła Matylda. – Ten właściciel by się zapłakał. Koko! – powiedziała zachęcającym tonem. – Koko, nie bój się!

Podchodziły powoli, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Udało im się zbliżyć na jakieś dziesięć metrów, kiedy ptak uznał, że jednak nie chce mieć z nimi nic wspólnego i poderwał się do lotu.

Patrzyły załamane, jak papuga okrąża garaż, trzepocąc ciężko skrzydłami. Widać było, że jest zmęczona i słaba. Może dlatego, zamiast odlecieć gdzieś wyżej, na drzewo, przysiadła na parapecie okna na pierwszym piętrze willi.

– Lepiej ją teraz zostawmy – zasugerowała Gaja. – Żeby nie spłoszyć bardziej. Po prostu miejmy na nią oko, to wszystko. Jak przyjedzie właściciel, pewnie ją bez problemu przywoła.

Stały więc i patrzyły, jak kakadu drepce po parapecie, co jakiś czas ocierając dziób o cegły. W pewnym momencie zainteresowała się czymś, co znajdowało się wewnątrz domu. Zajrzała do środka, potem przeskoczyła przez reszkę framugi i zniknęła we wnętrzu zrujnowanej willi.

– I co teraz? – zdenerwowała się Matylda.

– Nic. Przyjedzie właściciel, wejdzie tam i ją złapie.

– A jak coś jej się stanie? – Matylda nie dawała za wygraną. – Może powinniśmy za nią pójść?

Powiedziała to trochę wbrew sobie, bo zwiedzanie zrujnowanego domu było ostatnie na jej liście priorytetów. Gaja jednak nie zaprotestowała. Wręcz przeciwnie.

– A dobra. W sumie co nam szkodzi.

Podeszła do wypaczonych, popękanych drzwi, z których płatami odchodziła brązowa farba, przez co wyglądały trochę jak pokryte łuszczącą się korą pnie sosny, położyła rękę na klamce i nacisnęła ją. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, a w nozdrza Gai i Matyldy uderzył obrzydliwy zapach stęchlizny. Choć właściwie nie tylko stęchlizny...

– O, matko, co tak śmierdzi? – jęknęła Matylda, zasłaniając nos dłonią w rękawiczce.

Gaja nie odpowiedziała, bo właśnie próbowała skojarzyć, z czym się jej ten zapach, czy raczej smród, kojarzy. I nagle sobie przypomniała.

– Padlina – powiedziała, wzdrygając się. – To zapach padliny. Jak byłam mała, to w naszym ogrodzie często się trafiały zdechłe jeże albo wiewiórki. I one właśnie tak śmierdziały.

– Myślisz, że to jeż? – spytała cicho Matylda.

Gaja pokręciła głową przecząco.

– Nie. To musi być coś większego.

– Kot?

Gaja przełknęła ślinę.

– Oby.

Wyjęła z kieszeni kurtki komórkę, włączyła w niej funkcję latarki i przez otwarte drzwi poświeciła do środka. Strumień światła wydobył z mroku klatkę schodową z rozsypującymi się ze starości drewnianymi schodami, jakieś połamane meble i nieforemny kształt na podłodze tuż przy drzwiach. Gaja poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. A jednak zrobiła krok do przodu i skierowała światło latarki w to miejsce.

Powoli zaczęło do nich docierać, że patrzą na martwe ciało kobiety. Zimowe buty na obcasie, pociemniała od wilgoci spódnica, kurtka i kolorowy wełniany szalik owinięty w miejscu, w którym powinna się znajdować szyja.

– O, boże... – jęknęła Matylda. – Myślisz, że to...

Gaja przełknęła ślinę i powiedziała cicho.

– Tak. Chyba właśnie znalazłyśmy tę zaginioną dziewczynę.

Matylda nigdy wcześniej nie widziała trupa. Tylko raz przejeżdżała obok wypadku samochodowego, gdzie na poboczu leżało przykryte kocem ciało, ale ta dwusekundowa migawka raczej jej nie przygotowała na to, co działo się teraz. Bo miała właśnie przed sobą prawdziwe zwłoki, w dodatku zwłoki siedemnastoletniej dziewczyny, której twarz od wielu dni patrzyła na nią z porozlepianych na mięście

plakatów, z biuletynu, który redagowała, a nawet z ulotki, którą przypięła sobie do korkowej tablicy nad biurkiem.

Kiedy to do niej dotarło, o mało nie zemdląła. Gdyby Gaja nie objęła jej w pasie i nie podtrzymała, osunęłyby się na ziemię.

– Trzeba zawiadomić policję – szepnęła.

Gaja wyłączyła latarkę w telefonie, a potem, zamiast dzwonić, przysunęła się do drzwi i zaczęła robić zdjęcia. Matylda nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Jak możesz? – wydusiła z siebie, wstrząśnięta.

– Dokumentuję miejsce zdarzenia – wyjaśniła przyjaciółka. – Na wszelki wypadek, gdyby policjanci zdeptali ślady.

– A jeżeli to nielegalne? – jęknęła Matylda.

– Co ty z tą legalnością? – zirytowała się Gaja. – Myślisz, że tym zwłokom ubędzie czegoś, jak je sfotografuję?

– Mogą cię o coś oskarżyć.

– Zwłoki?

– Policjanci!

– No to ja ci mówię, że nie mogą. Zresztą kto się dowie, że to zrobiłam? Nikt tego nie widział oprócz ciebie.

Matylda miała dość. Odszukała w kieszeni spódnicy komórkę i wybrała 997. Nie zamierzała pozostawać w tym miejscu ani minuty dłużej, niż to było konieczne.

Dokładnie w momencie, w którym skończyła składać zawiadomienie, na ulicy zatrzymał się samochód, z którego wyskoczył jakiś mężczyzna. Najpierw podbiegł do furtki, a kiedy się zorientował, że jest zamknięta na kłódkę, szybko i sprawnie odnalazł dziurę w płocie i przedostał się na teren posesji.

– Stolarczyk Adam – przedstawił się, zdyszany. – Gdzie Koko?!

W tym momencie rozległ się łopot skrzydeł i na ramieniu mężczyzny wylądowała papuga.

Niespodziewane pojawienie się ptaka było ostatnią kroplą, która przepełniła czarę emocji, i Matylda zaczęła płakać. Właściciel papugi również, choć powód ich łez był zupełnie inny.

– Niesamowite, że pani też tak to przeżywa – powiedział do Matyldy. – Jestem pani dłużnikiem! Kiedy tylko Koko dojdzie do siebie, zapraszamy do nas z wizytą. Będziemy celebrować! Dziękuję, dziękuję ogromnie!

Pożegnał się i pospiesznie odszedł do auta. A kiedy odjeżdżał, od drugiej strony nadjechał radiowóz. Gaja i Matylda patrzyły, jak wysiada z niego dwóch funkcjonariuszy w mundurach i jeden w zwykłych, cywilnych ciuchach, przechodzą przez dziurę w płocie i ruszają w ich kierunku.

Pierwszy szedł ten w cywilu. Pomimo zapadającego zmroku widać było wyraźnie jego barczystą sylwetkę i łysą jak kolano głowę.

– O, szit... – wyrwało się Gai.

– Popatrz, nasz nowy komendant! – ucieszyła się za to Matylda. – Ciotka mówiła, że jest świetny!

ROZDZIAŁ 31

Komisarz Grzegorz Lewin wracał właśnie ze spaceru z psem, kiedy jego telefon komórkowy rozdzwonił się akordami jazzowego standardu *Take Five*. Zainstalowanie tego dzwonka okazało się pułapką. Tak bardzo lubił ten kawałek, że prawie zawsze czekał z odebraniem rozmowy aż do momentu, kiedy do fortepianu dołączy saksofon, przez co zdarzało się, że potencjalny rozmówca, zirytowany zbyt długim czekaniem, rozłączał się.

Tym razem Lewin również zwlekał z wyłowieniem aparatu z kieszeni kurtki. Lecz kiedy już go wyjął i zobaczył na ekranie napis „PRACA”, odebrał natychmiast.

– Panie komendancie, mamy zwłoki! – usłyszał podekscytowany głos Krzyśka Kota, młodego i pełnego zapału do pracy sierżanta. – Właśnie przyszło zgłoszenie!

– Gdzie?

– Przy Modrzewiowej! To zdaje się ta dziewczyna, która zaginęła.

– Cholera... – Lewin chwycił pod pachę zdezorientowanego psa i ruszył szybkim krokiem w kierunku domu. – Podjedźcie po mnie. I zawiadomcie Grodzisk. Będą potrzebni technicy.

Dwadzieścia minut później radiowóz zatrzymał się przed zarośniętą posesją. Lewin i dwóch towarzyszących mu funkcjonariuszy wyskoczyli z auta na pokryty przegniłymi liśćmi chodnik. Furka i brama okazały się zamknięte, więc weszli do środka przez dziurę w płocie i ruszyli w stronę mającej w głębi ogrodu ciemnej bryły budynku.

Kiedy podeszli bliżej, w słabym świetle latarni dochodzącym od strony ulicy zauważyli dwie stojące pod ścianą domu kobiety.

– Policja! – oznajmił sierżant Kot. – Dostaliśmy zawiadomienie o znalezieniu zwłok.

– To ja zgłosiłam! – Jedna z kobiet wysunęła się do przodu. – Ciało jest tam – wskazała na uchylone drzwi willi.

Lewin zwrócił uwagę, że kobieta trzyma przy twarzy grube, zrobione na drutach rękawice. Pociągnął nosem i natychmiast zrozumiał dlaczego. Szybkim ruchem odwinął z szyi szalik, złożył go kilka razy i przyłożył sobie do ust i nosa. Przez piętnaście lat pracy w policji zdążył się przyzwyczaić do wielu rzeczy, ale wiedział, że do zapachu rozkładających się zwłok nie przyzwyczai się nigdy.

– Latarka! – rzucił do sierżanta.

Kiedy ją dostał do ręki i włączył, ostre światło wydobyło z mroku betonowe nierówne schodki, pokryty spurchłałym tynkiem mur i drugą z kobiet. Miała zgrabne nogi w błękitnych dżinsach, grubą brązową kurtkę, okrągłą jak makówka, podniesiony wysoko kołnierz golfu, mający zapewne tłumić nieprzyjemną woń, i zaczepno-obronne spojrzenie spod czapki, które wydało mu się znajome...

„A, niech mnie! – pomyślał. – Pani detektyw od siedmiu boleści!”

Na wspomnienie spotkania sprzed kilku godzin pokręcił z niedowierzaniem głową. Było dla niego zagadką, jak można zachowywać się w tak żałośnie nieprofesjonalny sposób. Swoją drogą ciekawe, czy tutaj znalazła się prywatnie, czy też zawodowo.

– Co pani tu robi? – spytał, raczej rozbawiony niż zły.

– Mieszkam naprzeciwko – odpowiedziała niechętnie.

– I wpadła tu pani tak po sąsiedzku czy znowu kogoś pani śledzi?

Zmrużyła oczy ze złością.

– Weszłyśmy tu razem z przyjaciółką w poszukiwaniu kakadu...

– Kakadu? – zdziwił się.

– Tak. To taki egzotyczny ptak – wyjaśniła z wyższością. – Otworzyłyśmy drzwi i znalazłyśmy zwłoki. Zresztą ciągle tam leżą. Może warto, żeby pan rzucił na nie okiem?

Wzruszył ramionami. Była złośliwa, więc postanowił ją utemperować.

– Najpierw chciałbym rzucić okiem na pani licencję.

– Ale po co? – wyraźnie się spieszyła, więc postanowił podrażnić temat.

– Ponieważ jesteśmy najprawdopodobniej na miejscu przestępstwa i chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia. To co? Pokaże mi ją pani czy będziemy się gniewać?

Przez chwilę patrzyła na niego ze złością.

– Nie mam licencji – odparła.

– To proszę skoczyć do domu i przynieść. Ja poczekam.

– Nie mam licencji, w sensie: jeszcze nie mam – wysunęła brodę do przodu z hardą miną. – Jestem w trakcie wyrobienia.

„Bingo”, pomyślał.

– Czyli nie jest pani prywatnym detektywem?

– Nie! – warknęła.

Gdyby nie to, że pięć metrów dalej czekały na niego zwłoki, jeszcze chwilę by się z nią podroczył. Ale jeżeli chciał się rozejrzeć przed przyjazdem tych z Grodziska, musiał odpuścić.

– Krzysiu, weź panie do samochodu i spisz, co tam mają do powiedzenia – polecił sierżantowi i ruszył w stronę wejścia do willi, czując na sobie wściekłe spojrzenie kobiety.

Ale kiedy stanął w otwartych drzwiach, natychmiast o tym zapomniał.

Widok leżącego na brudnej podłodze ciała młodej dziewczyny był tak przejmująco smutny, że Lewin na chwilę zamknął oczy. Oczywiście to była jego praca, a jednak kolejna śmierć nagle wydała mu się nie do uniesienia.

Gdyby mógł, zapłakałby.

ROZDZIAŁ 32

– „Ale fajnie, ale fajnie – szeptał do siebie Tymon. – Zostaniemy przyjaciółmi, będziesz się nazywał Pieprz!”. I to na dzisiaj koniec. – Matylda zamknęła książkę i odłożyła ją na szafkę nocną Uli.

– Pieprz... – westchnęła Ala. – Superimię.

– Ale Tymkowi dobrze, że ma szcurka. Ja też bym chciała... – pisnęła Ula.

– I ja też, ja też! – Ala natychmiast się dołączyła. – Kupimy, mamusiu? Proszę!

– Na razie idziemy spać! – Matylda wstała z łóżka młodszej córki, okryła ją kołdrą i pocałowała w czoło. Dziewczynka otoczyła ramionami jej szyję, a Matylda poczuła jednocześnie zapach mydła, pasty do zębów i czystej pościeli, tę cudowną mieszaninę woni, która kojarzyła jej się z dzieciństwem i czułością.

Wtuliła policzek we włosy córki i nagle ta słodka istotka wyszeptała jej do ucha.

– A to prawda, że wy dzisiaj z ciocią znalazłyście trupa?

– No i co jej odpowiedziałś? – Maciek objął Matyldę ramieniem.

– Że trup to nie jest odpowiednie słowo dla małych dziewczynek.

– Odważnie... – Pocałował żonę w czoło.

– Sorry. Było mnie stać tylko na dyskusję na poziomie językowym. One widziały wszystko przez okno, Maciek. I wcale nie były przerażone, tylko podekscytowane. Że nasza ulica będzie sławna. Moje słodkie, delikatne córeczki...

– Wiem, wiem, chciałaś je bronić przed światem, a tu się okazuje, że to świat trzeba będzie bronić przed nimi – uśmiechnął się.

– Jutro z nimi porozmawiam – westchnęła Matyllda. – Nie dzisiaj. Nie mam siły. Za dużo tego. Naprawdę.

Siedzieli na kanapie przed telewizorem. Maciek był tak przejęty wydarzeniami wieczoru, że kiedy Matyllda uśpiła dziewczynki i zeszła na dół, wyłączył transmisję meczu.

Jego żona wróciła do domu zaledwie godzinę wcześniej. Co prawda uprzedziła go telefonicznie, co się stało, ale mimo to kiedy ją zobaczył, przeraził się. Przypomniało mu się natychmiast określenie jego matki, która mawiała: „wyglądasz jak śmierć na chorągwi”. Matyllda była blada, miała nieobecne spojrzenie i cała się trzęsła, nie wiadomo czy z zimna, czy z emocji.

Kazał jej natychmiast wziąć gorący prysznic, a sam zajął się przygotowaniem kolacji dla córek. A kiedy później dziewczynki, nakarmione i senne, zażyczyły sobie, żeby mama im poczytała na dobranoc, Matyllda o dziwo chętnie się zgodziła.

– Potrzebuję normalności i dobrych emocji – oznajmiła Maćkowi, który zaoferował zastępstwo.

I tak się te dobre emocje skończyły.

– Ja naprawdę wierzyłam, że Justyna się znajdzie cała i zdrowa – powiedziała Matyllda, wtulając się w męża. – Że uciekła z domu i gdzieś się kręci po Polsce, słyszałam też wersję, że pojechała do ojca do Niemiec. To się wydawało takie prawdopodobne. Więc kiedy ją zobaczyłam, to było jak uderzenie w głowę. Takie nagłe otrzeźwienie. Hello, życie jest brutalne, nie cacka się z nikim – westchnęła. – Kto mógł chcieć śmierci siedemnastoletniej dziewczynki, na litość boską?

Maciek wtulił policzek we włosy żony.

– Policja uważa, że to morderstwo, tak? – zapytał cicho.

– Słyszałam, jak mówili między sobą, że prawdopodobnie została uduszona. – Matyllda aż się wzdrygnęła, wypowiadając to słowo. – Więcej będzie wiadomo po sekcji zwłok.

– Dużo ich się tam kręciło przy Krysynie – zauważył Maciek.

– Sporo. Od nas przyjechał komendant i dwóch funkcjonariuszy, ale głównie to byli kryminalni z Grodziska.

– A jak Gaja?

Matylda wyprostowała się gwałtownie.

– A, właśnie, Gaja! Ty wiesz, że ona te zwłoki sfotografowała! – oznajmiła zbulwersowana. – Normalnie zrobiła im zdjęcia!

Wzięła kilka głębokich oddechów i kontynuowała, wciąż wzburzona.

– Nie mam do niej siły! Wielka mi pani detektyw!

Maciek pogłaskał żonę po dłoni.

– No cóż... Ona mi się zawsze wydawała taka... twarda i bezkompromisowa.

– O, bezkompromisowa na pewno – przyznała mu rację Matylda. – Dzisiaj się kłóciła z komendantem...

– Kłóciła się z nim? O co?

– Trudno wyczuć. Najpierw chciał, żeby mu pokazała licencję detektywa, a potem to już poszło. Cały czas mu dogadywała. W pewnym momencie bałam się, że on ją aresztuje, taki był zły. Gdyby jeszcze wiedział, że zrobiła te zdjęcia...

W tym momencie Matylda wybuchła płaczem. Maciek przytulił ją mocno i głaskał po plecach, próbując uspokoić, a kiedy w końcu przestała szlochać, przyniósł jej paczkę chusteczek.

– Przepraszam – szepnęła. – Stał mi przed oczami tamten widok. I nagle do mnie dotarło, że ktoś zabił tę dziewczynę pięćset metrów od naszego domu. Oby go szybko znaleźli, tego mordercę.

ROZDZIAŁ 33

Zbliżało się południe, najlepsza pora na kawę. Która to już dzisiaj? Piąta?

Matylda wstała od biurka i podeszła do okna, żeby włączyć stojący na parapecie czajnik. Wyjrzała na ulicę. Dzień był zaskakująco jasny i ciepły, i choć na gałęziach nie pojawiły się jeszcze liście, ani nawet zalążki liści, nareszcie można było odnieść wrażenie, że zbliża się wiosna.

Wzrok kobiety, choć wcale tego nie chciała, powędrował w kierunku stojącej przed urzędem tablicy ogłoszeń i zatrzymał się na plakacie o zaginięciu Justyny, którego jeszcze nie usunięto. Poczowała nieprzyjemny ucisk w żołądku. Choć od dramatycznego odkrycia minęło już tyle godzin, Matylda ciągle nie mogła się pozbierać. Praca szła jej wyjątkowo opornie, a właściwie w ogóle nie szła. Od rana zajmowała się wyłącznie piciem kawy i przeglądaniem portali plotkarskich. Tylko na tyle było ją stać.

Czajnik okazał się prawie pusty, niechętnie opuściła więc pokój i poszła po wodę. W łazience przy jednej z dwóch umywalk stała Bożenka i bardzo starannie myła dłonie. Miała na sobie czarno-białą spódnicę, białą bluzkę i czarną kamizelkę, i tak jak kiedyś skojarzyła się Matyldzie z szopem praczem, tak teraz natychmiast przysła jej do głowy panda. A konkretnie – panda na restrykcyjnej diecie. A potem nagle przypomniała sobie Bożenkę ze zdjęcia, w błyszczącej sukience i butach na obcasie. „Niesamowite, jak strój zmienia człowieka”, pomyślała i odkręciła wodę.

– O, cześć! – ożywiła się na jej widok Bożenka, i szybko dodała współczującym głosem: – Jak się czujesz?

Matylda napotkała w lustrze jej uważny wzrok. Było jasne, że dziewczynę roznosi ciekawość. Ale Matylda nie po to starała się dzisiaj przez cały dzień unikać

ludzi, żeby teraz omawiać temat odnalezienia zwłok akurat z Bożenką.

– W porządku... – oznajmiła, modląc się duchu, żeby czajnik napełnił się jak najszybciej.

Jednak zanim to się stało, Bożenka zdążyła zapytać:

– Znalazłyście tę poszukiwaną dziewczynę, prawda?

– Tak – odpowiedziała najbardziej niezachęcającym z możliwych tonem.

– To straszne... A jak umarła? – Bożenka wyraźnie się rozkręcała.

To dość obcesowe pytanie bardzo Matyldę zirytowało.

Naturalne byłoby w tym momencie skłamać. Niestety Matylda miała ten problem, że kłamać nie potrafiła. Najdobitniej wykazała to zresztą jej niedawna wizyta u Olgi. Jej silne wewnętrzne przekonanie, że kiedy mówi nieprawdę, nad jej głową zapala się czerwone ostrzegawcze światełko, nadawało jej słowom tak niewiarygodne brzmienie, że faktycznie każdy mógł bez problemu rozpoznać, że kłamie. Dlatego teraz, zamiast powiedzieć: nie wiem. Albo: będzie wiadomo po sekcji. Albo: trzeba poczekać na oficjalny komunikat, odpowiedziała:

– Została zamordowana.

Bożenka zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

– Jezus Maria... – wyszeptała. – Zamordowana? Naprawdę? W jaki sposób?

Matylda przełknęła ślinę. Dokładnie tego chciała uniknąć. Zaspakajania czyjejś niezdrowej ciekawości. Pomyślała też, że jeśli wycofana i cicha Bożenka zadaje jej takie pytania, to co by było, gdyby na jej miejscu znalazła się na przykład główna księgowa? Ona zapewne zapytałaby o kolor zwłok.

– Udużona – odpowiedziała szybko z nadzieją, że koleżanka przestanie ją ciągnąć za język.

Chwyciła napełniony wodą czajnik i ruszyła do wyjścia. W drzwiach łazienki dogoniły ją jeszcze słowa Bożeny:

– Żeby tylko szybko złapali tego zwyrodnialca.

Po tej krótkiej, denerwującej wymianie zdań Matylda nagle poczuła zaskakującą potrzebę zdobycia większej ilości informacji na temat tragedii, o którą się otarła. Tak jakby ciekawość Bożenki uświadomiła jej, że sama tak naprawdę od momentu znalezienia ciała nie myśli o niczym innym, tylko o tym, jak policja poradzi sobie ze śledztwem, a przede wszystkim – kiedy aresztują mordercę.

Dlatego najpierw zrobiła sobie kolejną kawę, potem wygrzebała z szuflady ostatnie dwie krówki – jedną zjadła, drugą położyła obok laptopa – i wybrała numer komendy.

– Policja Milanówek, słucham!

– Ciociu, to ja.

– Duśka! – Chyba pierwszy raz w historii ich kontaktów telefonicznych w głosie ciotki Zdzisławy pojawił się tak szczery entuzjazm. – Dziecko! Wszyscy tu dzisiaj o tobie mówią! Gwiazdo ty moja!

Matylda, choć nigdy o takim rozgłosie nie marzyła, poczuła się uznaniem ciotki mile połączona.

– A co mówią? – zainteresowała się.

– Że gdyby nie ty, dziewczynina by tam jeszcze leżała miesiącami... I że ta matka biedna nic by nie wiedziała, nic. I że to cud, że ją znalazłaś.

– Tak naprawdę to wszystko dzięki papudze – wyjaśniła Matylda. – Gdyby nie ona, nie weszłabym na tę działkę.

Sięgnęła po drugą krówkę i odgryzła kawałek. Cukierek był tak cudownie kruchy, że Matylda aż przymknęła oczy z zadowolenia. Należała do grupy tych, którzy wolą krówki twarde od ciągutek, więc doceniała idealnie skryształowaną masę.

– Wiecie już, kto zabił? – zapytała trochę niewyraźnie.

Ciotka Zdzisława sapnęła w słuchawkę.

– Ty to masz poczucie humoru. Myślisz, że co, wizytówkę zostawił?

– Ale jakieś ślady tam zabezpieczyliście, prawda?

– Nie my, tylko kryminalni z Grodziska. To oni będą prowadzić śledztwo. Ten komisarz od nich miał takie charakterystyczne nazwisko... Sikora! No więc to on rzędzi. My tylko możemy ucha nadstawiać, a jak nas poproszą, to im zapewnić wsparcie.

– Ciociu kochana, ale coś już macie?

– Ty tu mnie za język nie ciągnij – obruszyła się ciotka Zdzisława. – To są tajemnice służbowe! – A potem ściszyła głos i mówiła dalej. – Nasze chłopaki twierdzą, że została uduszona szalikiem. Taki gruby, kolorowy, dziergany, miała go na szyi. Na pewno zauważyłaś. Przy czym matka denatki na identyfikacji powiedziała, że szalik na pewno nie jest jej córki. Czyli należał do mordercy – zakończyła triumfalnie.

Matylda zmarszczyła brwi. Ten szalik... widziała go przez moment, bo kiedy dotarło do niej, że patrzy na zwłoki, zamknęła oczy. Jednak teraz, kiedy ciotka jej o nim przypominała, w głowie Matyldy pojawiło się jakieś odległe, bardzo odległe skojarzenie...

Ale zanim udało jej się je uchwycić, Zdzisława dodała:

– Biedna dziewczyna. I tak nie chciała umierać...

To ostatnie zdanie zaintrygowało Matyldę.

– Co ciocia ma na myśli? – spytała czujnie.

Zdzisława, która najwidoczniej odrobinę się zagalopowała, przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– No, broniła się... Walczyła z nim.

– To na podstawie sekcji zwłok takie informacje? – zdziwiła się Matylda.

– Sekcji jeszcze nie było... No dobra, powiem ci, ale pamiętaj, ani słowa nikomu – poddała się ciotka. – Nasz komendant zauważył, że u jednej dłoni paznokcie miała długie, elegancko pomalowane, a u drugiej tak na choma obcięte, krzywo i krótko. Czyli prawdopodobnie próbowała się bronić i podrapała mordercę. A to by oznaczało DNA sprawcy pod paznokciami, więc je obciął.

– Sprytny – przyznała Matylda. – Ale że nosi przy sobie nożyczki? – dodała tak cicho, że ciotka jej komentarza nie usłyszała.

– Sprytny, sprytny, ale nie aż tak. Wyobraź sobie, że w zaciśniętej dłoni tej biedaczki kryminalni znaleźli kilka włosów. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mordercy. Więc i tak cała fatyga z obcinaniem paznokci na nic.

– Ale dlaczego je zostawił?– zdziwiła się Matylda. – Nie zauważył, że mu wyrwała?

– Wiesz, dziecko, zabić kogoś to poważna rzecz jest – ciotka Zdzisława powiedziała to takim tonem, jakby sama codziennie załatwiała z tuzin osób. – Pewnie się seriali kryminalnych naoglądał i myślał, że z tymi paznokciami taki cwany. Jednej rzeczy dopilnował, a druga mu umknęła. Kryminalni te włosy to od razu na badanie dali i niedługo będziemy mieli DNA mordercy.

– Czyli jednak zostawił wizytówkę – zauważyła Matylda.

Nie wiedziała dlaczego, ale te wszystkie informacje, które uzyskała od ciotki, bardzo jej polepszyły humor. I nagle coś jej się przypomniało.

– Ciociu, ten nowy komendant... Mówiłaś wcześniej, że świetny... To dlaczego wam zabrali śledztwo?

Ciotka sapnęła.

– A mówiłam i zdania nie zmieniam. Chłopaki go chwala, że konkretny i zna się na robocie. Ale śledztwo w sprawie morderstwa z automatu bierze powiatowa. A jak sobie nie dają rady, to wojewódzka. To nie ma nic wspólnego z komendantem.

– On gdzieś tu mieszka? – ciągnęła dalej temat Matylda.

– A co się tak o niego, dziecko, wypytyjesz? – zdziwiła się ciotka. – Bo Maćkowi doniosę – zagroziła.

– Nie, ciociu, to jest zainteresowanie wyłącznie służbowe – wyjaśniła szybko Matylda. – Chcę o nim napisać do następnego biuletynu...

Ciotka na słowo „biuletyn” nie reagowała dobrze. Tym razem chrząknęła i powiedziała oficjalnym tonem:

– No, dobra. Dość tego gadania. Roboty czeka.

– Jakby coś się działo, dawaj znać – poprosiła Matylda. – Bo wiesz, denerwuję się. I bardzo mi zależy, żebyście go szybko złapali.

– A myślisz, że mnie nie zależy? – westchnęła ciotka. – Przecież jakby to był seryjny... Nawet strach pomyśleć.

I tym optymistycznym akcentem zakończyła się ich rozmowa.

ROZDZIAŁ 34

Odkąd Artur się wyprowadził, Gaja na nowo zaczęła odkrywać swój dom. Wcześniej obecność męża sprawiała, że czuła się w nim odrobinę obco. Dobrze, a jednak obco.

Przed laty mieszkała tutaj jako dziecko, wróciła zaś w roli żony. I z tej perspektywy wszystko wydawało jej się inne. Miała teraz inne potrzeby i na wszystko patrzyła z dystansem osoby dorosłej, wymagającej i ciągle obciążonej głębokim lękiem przed tym, że odżyją wspomnienia.

Żeby do tego nie dopuścić, ustaliła z ekipą, że podczas remontu inaczej niż poprzednio ustawią ścianki działowe, położą inną podłogę i zamontują nowe schody. Rzeczywiście te wszystkie zabiegi zmieniły wnętrze nie do poznania i dzięki temu Gaja, wprowadzając się tu na nowo, nie czuła obciążenia przeszłością. Miało to swoje dobre i złe strony. Nie bolało, ale też ochładzało emocje.

Jednak po wyprowadzce Artura wszystko się zmieniło. Gaja, choć silna, potrzebowała wsparcia, a dom bezinteresownie jej go udzielił. Był solidnym, rozsądnym partnerem, dokładnie takim, jakiego Gaja teraz potrzebowała.

Dodatkowym aspektem tego ich zbliżenia był czas, którego nagle miała do dyspozycji aż nadto. Spędzała go więc tutaj, we własnych czterech ścianach, przygotowując się do otwarcia agencji. Dzięki temu odkryła, że najlepiej czyta się książki na sofie w salonie, że z okna kuchni jest jeszcze korzystniejszy widok na karmnik niż z sypialni, że piąty schodek od dołu delikatnie skrzypi, kiedy postawi się na nim nogę za bardzo z prawej strony, i jeszcze wiele drobnych, zaskakujących faktów, na które wcześniej nie zwracała uwagi. Czy raczej – na które wcześniej nie chciała zwracać uwagi, bo wydawały jej się za bardzo intymne.

Próbowała też w to odkrywanie domu wciągnąć Helenę, ale nie bardzo jej się udało. Pierwsze kilka dni po rozstaniu rodziców dziewczynka nie odstępowała Gai na krok, ale kiedy się przekonała, że tak naprawdę jej świat wcale nie runął i w sumie pozostaje prawie niezmienny, poczuła się pewniej. Znowu większość czasu zaczęła spędzać w swoim pokoju w towarzystwie komputera, telefonu i podręczników i wyciągnięcie jej stamtąd wcale nie było zadaniem łatwym.

Właśnie przed kwadransem Gaja poniosła kolejną drobną klęskę – Helenka stanowczo odmówiła wspólnego smażenia placków z jabłkami. Jedyne, na co przystała, to dostawa placków do pokoju.

Ledwo Gaja postawiła patelnię na gazie, ktoś zapukał do drzwi.

– To ja! – usłyszała z holu głos przyjaciółki i po chwili Matylda pojawiła się w kuchni.

– Placka? – zapytała Gaja.

– Chętnie. Kocham je.

– Ja myślę. W końcu twój przepis.

Matylda usiadła przy stole.

– Jak się czujesz? – spytała Gaja, wylewając ciasto na patelnię.

Przyjaciółka westchnęła. Gaja nie znosiła wzdychania, uważała, że wzdychają ludzie starzy, ale dzisiaj był taki dzień, że postanowiła sobie darować drobne uszczypliwości.

– Rozmawiałam z ciotką Zdzisławą – zaczęła Matylda.

– I co? – Gaja natychmiast się ożywiła. – Coś z niej wyciągnęłaś?

– Nie musiałam wyciągać – uściśliła, a potem zaczęła streszczać wszystko to, czego się dowiedziała.

– Paznokcie i włosy. Zniszczył jeden ślad, a zostawił drugi. Ciekawe... – podsumowała Gaja.

– No, ciekawe – zgodziła się Matylda. – Ale mnie co innego nie daje spokoju. Ten szalik.

– Co z nim?

– Widziałam go wtedy przez moment i zwróciłam na niego uwagę, bo jest bardzo charakterystyczny. I cały czas mi się wydaje, że gdzieś go już widziałam. Tylko nie mam pojęcia gdzie. Może gdybym go obejrzała dokładniej...

Gaja zmniejszyła gaz pod patelnią i odwróciła się do przyjaciółki.

– Aha, i dlatego przyszłaś?

– Pomyślałam, że może go widać na tych twoich zdjęciach.

– No, proszę, czyli jednak moje fotki się na coś przydadzą? A taka byłaś oburzona, że je robię – stwierdziła z satysfakcją.

Wyjęła z szafki talerz, zrzuciła na niego pierwszą partię usmażonych placków i posypała je obficie cukrem pudrem.

– Dobra, zaraz je obejrzymy. Ale najpierw zjedz – poleciła, stawiając talerz przed Matyldą. – Potem mogłoby ci się odechcieć.

Kwadrans później przeniosły się z herbatą na kanapę w salonie.

– Dawaj – Matylda przełknęła ślinę. – Wolę to mieć za sobą.

Gaja odnalazła w galerii telefonu zdjęcia zwłok. Wybrała jedno i powiększyła obraz tak, żeby w kadrze znajdował się tylko szalik.

– Trzymaj – podała przyjaciółce smartfon. – Żadnych szokujących fragmentów.

Matylda uśmiechnęła się z wdzięcznością i przeniosła wzrok na ekran komórki.

– Gdzieś go już widziałam – szepnęła. – Na sto procent. Jest oryginalny, robiony na drutach. Pamiętam, zwróciłam uwagę na ścieg i rodzaj włóczki. Nawet się potem rozglądałam za taką wełną, tęczową z motka... Tylko gdzie? I kiedy?

Nagle klasnęła w dłonie.

– Wiem! Daj komputer!

Gaja przyniosła laptopa, otworzyła go i podsunęła przyjaciółce.

– To było w grudniu – tłumaczyła Matylda, przeszukując jednocześnie internet. – Pamiętam, że o tę wełnę pytałam w pasmanterii na Świętokrzyskiej, a tam byłam między świętami a Nowym Rokiem. Czyli musiałam widzieć ten szalik wcześniej. I tak mi się wydaje, że gdzieś u nas, na stronie miasta.

Weszła w witrynę urzędu, a tam w aktualności. Cofnęła się do dwudziestego czwartego grudnia i zaczęła przewijać wpisy. Gaja, coraz bardziej zaintrygowana, pochyliła się nad ekranem.

Matylda scrollowała systematycznie, aż zatrzymała się na dziewiętnastym grudnia.

– O, cholera – powiedziała cicho.

– O, cholera... – zawtórowała jej Gaja.

Miały przed sobą zdjęcie z protestu przeciwko budowie kurzej fermy, która miała powstać w administracyjnych granicach miasta. Protestujący trzymali transparenty z hasłami: „STOP BUDOWIE FERMY DROBIU!” „PRECZ Z KURNIKAMI!” „ICH ZYSK, NASZ SMRÓD!!!”. Większość w grupie stanowiła młodzież, skupiona wokół wysokiego, młodego mężczyzny w szarej jesionce, niezbyt ciepłej, za to hipsterskiej. Mężczyzna miał szalik luźno owinięty dookoła szyi, identyczny jak ten, którym została uduszona Justyna.

Gaja zacisnęła palce na ramieniu przyjaciółki.

– Da się ustalić kto to? – zapytała, przejęta.

Matylda położyła dłoń na sercu i przez chwilę oddychała głęboko, żeby się uspokoić.

– To jest... nauczyciel matematyki z liceum przy Piasta, Nikodem Peszek – wydusiła z siebie. – Bardzo dobry nauczyciel, taki z powołania. I aktywista. Dzieciaki go uwielbiają.

– Myślisz, że to on... – Gai dalsza część zdania nie przeszła przez usta.

– Nie wiem – odpowiedziała drżącym głosem Matylda. – Ale to jest ewidentnie ten szalik. Szalik, którym została uduszona Justyna.

Obie aż się wzdrygnęły.

– Jeżeli uczył w liceum, do którego chodziła, to na pewno się znali – zauważyła Gaja. – A kiedy ludzie się znają, to zawsze jakiś motyw się znajdzie.

– Nie chce mi się wierzyć... – Matylda kręciła bezradnie głową.

– Szczerze? – Gaja podchodziła do sprawy dużo mniej emocjonalnie. – Takie rzeczy się zdarzają. Mordercą może być każdy. Nawet przystojny idol nastolatków. A może nie nawet, tylko tym bardziej?

Znowu na chwilę zapadła cisza.

– No, dobra. Mamy sprawcę. Idziemy na policję – zarządziła Gaja i zaczęła się podnosić z kanapy, kiedy Matylda przytrzymała ją za rękę.

– Gajuś, ale wiesz co, chyba lepiej, jak ja sama pójdę.

Gaja, zaskoczona, opadła z powrotem na kanapę.

– A to niby dlaczego? – zapytała lekko konfrontacyjnym tonem.

Matylda odchrząknęła.

– Żebyście znowu nie darli z komendantem kotów – wypaliła. I dodała natychmiast: – Sorry za szczerość.

– Ale ja z nim nie drę kotów! – zaprotestowała Gaja. – To on jest złośliwy i uprzedzony.

– Tak, tak, oczywiście – zgodziła się natychmiast Matylda. – Tym bardziej lepiej się nie podkładać. Zwłaszcza że trzeba im pokazać to zdjęcie, które zrobiłaś. Jak się dowie, że pstrykałaś foty zwłokom, zachwycony nie będzie.

– Jeśli mu nie powiesz, to się nie dowie – wzruszyła ramionami Gaja. – Wysłałam ci. Jedyne, czego żałuję, to że nie zobaczę jego miny, kiedy mu pani domu z sąsiedztwa zidentyfikuje mordercę.

ROZDZIAŁ 35

Nikodem Peszek nie mógł spać. Przewracał się w łóżku z boku na bok, zaciskając powieki, i z każdym kolejnym kwadransiem coraz mniej wierzył w to, że uda mu się usnąć tej nocy. Myśli, które kłębiły mu się w głowie, były zbyt niepokojące, żeby mógł je wyciszyć, a ich efektem był lęk, narastający od kilku tygodni w jego ciele i powodujący ból brzucha, skurcze mięśni oraz swędzenie blizny na ramieniu, którą co chwila próbował drapać.

Pierwszy raz lęk pojawił się, kiedy kilka dni po zaginięciu Justyny szkołę odwiedziła policja, dwóch młodych funkcjonariuszy, którzy gdyby nie mundury, mogliby z powodzeniem udawać uczniów. Zadawali Nikodemowi i innym nauczycielom ogólne pytania i dostawali na nie ogólne odpowiedzi. Czy była lubiana w klasie? Średnio. Czy dobrze się uczyła? Tak sobie. Jakie miała relacje w domu? Zdaje się nie najlepsze.

Odniosł wtedy wrażenie, że nikt tak naprawdę nie wierzy, że Justynie mogło się coś stać. Z zeznań nauczycieli i kolegów wyłaniał się obraz dziewczyny, dla której zasady istniały tylko po to, żeby je złamać, obejść albo obśmiać. W tej narracji ucieczka z domu wydawała się nie tylko prawdopodobna, ale wręcz pewna, tak więc do poszukiwań nikt się za bardzo nie przykładał.

Czas płynął, a Nikodem powoli przestał odczuwać to dziwne napięcie w okolicach żołądka, które pojawiło się podczas rozmowy z policjantami. Wszystko powoli wracało na swoje miejsce.

Ale pewnego dnia przyszła wiadomość, która zmieniła wszystko. Odnaleziono zwłoki.

Dziewczyna została zamordowana, ruszyło śledztwo. I stało się to, czego Nikodem poprzednio tak bardzo się obawiał – pewne sprawy zaczęły wychodzić na

światło dzienne. Poczul się jak okręt, niezbyt solidny, przez którego szpary przecieka woda. Nabierał jej coraz więcej i więcej, a ciężar powoli ciągnął go na dno. Bał się, że za chwilę zniknie pod powierzchnią, pokonany i bez sił.

Z tego, że Justyna się w nim kochała, zdawał sobie sprawę od dawna i uważał raczej za miłe urozmaicenie nudnego życia belfra niż coś, czego należy się obawiać. Wiedział, że ludzie to widzą i komentują, zdarzały się na ten temat dowcipy, a nawet niewybredne żarty, ale to wszystko wydawało się Nikodemowi raczej zabawne niż obciążające.

Jednak teraz okoliczności zmieniły się diametralnie. A razem z nimi – postrzeganie ich dawnej relacji.

Dwa dni po odnalezieniu zwłok dziewczyny w szkole znowu pojawili się policjanci. Inni. Bardziej kompetentni. Bardziej dociekliwi. I co niepokojące, przyszli porozmawiać z Nikodemem. Tylko z nim.

Przesłuchiwali go w sali biologicznej, jedynej wolnej w tym momencie. Po kilku wstępnych, dość ogólnikowych pytaniach, na które odpowiadał, zerkając co chwila w stronę stojącego w kącie sali szkieletu, nagle padło to, które Nikodema zaskoczyło.

– Czy rozpoznaje pan ten szalik? – jeden z policjantów podsunął mu zdjęcie, na którym w dużym zbliżeniu widać było gruby wełniany szalik w kolorowe pasy. Szalik ze zdjęcia był brudny, chyba mokry, ale Nikodem nie miał wątpliwości, że to jego własność.

– Tak. To mój – odpowiedział ostrożnie. – Mama mi zrobiła na drutach. Zgubiłem go jakiś czas temu. Gdzie go znaleźliście?

Nie odpowiedzieli, za to popatrzyli na siebie znacząco.

– Gdzie pan był wieczorem w niedzielę dwudziestego ósmego stycznia? – usłyszał po chwili.

Odpowiedział, że minęło za dużo czasu i nie pamięta. A oni znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jeżeli chcieli go tym zdenerwować, udało im się.

Kolejne pytania dotyczyły jego relacji z Justyną. Czy się lubili? Czy widywali poza szkołą? Czy z nią sypiał?

To wtedy zaczął się naprawdę bać. A kiedy policjant poprosił go o próbkę DNA, wpadł w panikę. Nie trzeba było być geniuszem, żeby się domyślić, o co im chodzi.

Dzień później, kiedy wrócił z pracy do domu, matka powitała go w drzwiach słowami:

– Czy to prawda, że zabiłeś tę dziewczynę?

Usłyszała o tym, stojąc w kolejce w mięsny. Była przerażona. I choć udało mu się jej wytłumaczyć, że to pomyłka, że nie miał z tą śmiercią nic wspólnego, wiedział, że ziarno nieufności zostało zasiane.

Wersja, że Nikodem zamordował swoją uczennicę, bo była z nim w ciąży, zaczęła żyć w miasteczku własnym życiem od momentu, w którym okazało się, że szalik na szyi ofiary należał do niego.

I nagle zwykłe wyjście z domu stało się wyzwaniem. Za jego plecami szeptano, że nie powinien być na wolności, ekspedientki w sklepie spożywczym podawały mu najgorszy towar, ostentacyjnie odwracano się do niego tyłem. Reakcja szkoły wydawała się kwestią czasu.

Nikodem, choć był silny i starał się to wszystko traktować z dystansem, miał ochotę uciec jak najdalej, jak najszybciej, jak najskuteczniej.

Odczekał do piątej trzydzieści, przebrał się w dresy i wybiegł na ulicę, wciąż pogrążoną w mroku. Lubił ruch, a ruch lubił jego. Jednak dzisiaj trasa, którą pokonywał, w ogóle go nie cieszyła, pomagała tylko w jakimś stopniu rozładować napięcie.

Zrobił dwie pętle wokół dzielnicy, każda po trzy kilometry. Zbliżał się właśnie do domu z silnym postanowieniem, że minie go i zaliczy jeszcze jedną, kiedy zauważył nadjeżdżające z naprzeciwka dwa radiowozy. Instynktownie zwolnił, nie spuszczać ich z oczu. „Co oni tu robią o tej porze?”, pomyślał. W tym momencie auta zahamowały, wyskoczyło z nich sześciu policjantów i podeszło do najbliższej

furtki. Nikodem poczuł przebiegający po plecach zimny dreszcz. Ta furtka prowadziła do jego domu...

Zatrzymał się gwałtownie tuż obok oklejonego plakatami słupa ogłoszeniowego, oparł się o niego rękami i pochylił, z trudem łapiąc oddech. Kiedy się po chwili wyprostował, serce wciąż waliło mu tak mocno, że aż przyłożył dłoń do klatki piersiowej, żeby je uspokoić.

Z tej odległości policjanci nie powinni go zauważyć, ale to przecież nie rozwiązywało problemu. Wczesna godzina i liczba funkcjonariuszy wskazywały jasno, że przyszli go aresztować. Zacisnął powieki, przerażony. „Co robić?“, pomyślał w panice.

A kiedy po chwili otworzył oczy, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była przylepiona do słupa dokładnie na wysokości jego twarzy ulotka Agencji Detektywistycznej Czajka.

Nie zastanawiał się, nie było na to czasu. Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi wyłowił z kieszeni dresu komórkę i wybrał numer podany w ogłoszeniu. Po kilku sygnałach usłyszał w słuchawce zaspany kobiecy głos:

– Słucham...

– Agencja detektywistyczna? – upewnił się.

Kobieta po drugiej stronie rozbudziła się natychmiast.

– Tak, proszę mówić.

– Policja myśli, że zamordowałem Justynę Wysocką. Ale ja tego nie zrobiłem. Chcę was wynająć.

Mówiąc to, obserwował, jak przez szeroko otwarte drzwi domu matka rozmawia z policjantami. Niestety wiedziała, że poszedł biegać. I na pewno nie omieszka podzielić się z nimi tą wiedzą.

– Moment. Wynająć do czego? – zapytała kobieta ostrożnie.

– Żebyście udowodnili, że jestem niewinny.

– Ciekawe... – odpowiedziała z namysłem. – Proszę w takim razie przyjść po dziesiątej do biura, omówimy szczegóły i załatwimy formalności. Zna pan adres?

W tym momencie jeden z funkcjonariuszy spojrział w kierunku Nikodema i zauważył go. Nauczyciel poczuł gwałtowną suchość w ustach.

Policjanci ruszyli w jego stronę.

– Nie będę mógł przyjść. Proszę posłuchać. Uczyłem Justynę, lubiłem ją, ale nic jej nie zrobiłem. Musi mi pani uwierzyć. Nie skrzywdziłbym jej. Nikogo bym nie skrzywdził! – próbował powiedzieć jak najwięcej, zanim policja mu przerwie. – Zapłacę każde pieniądze, tylko oczyśćcie mnie z zarzutów, błagam!

– Proszę pana, tu nie chodzi o pieniądze. Mamy swoje stawki i według nich się rozliczamy. Ale pan mi nie podał żadnych konkretów – powiedziała kobieta z wyrzutem. – Jak mamy działać? Nawet mi się pan nie przedstawił!

Odsunął się od słupa, tak żeby policjanci widzieli wyraźnie, że nie jest uzbrojony.

– Nikodem Peszek. Niech się pani skontaktuje z moją matką, Krystyną Peszek, Baśniowa siedem.

– Czyli to z nią mam podpisać umowę? Nie z panem?

Pierwszych dwóch policjantów było już tak blisko, że mógł odczytać napis „POLICJA” na ich kurtkach.

– Nie ze mną – powiedział do słuchawki głośno i wyraźnie. – Bo ja za chwilę zostanę aresztowany.

ROZDZIAŁ 36

Gaja odłożyła komórkę na szafkę nocną i wpatrywała się w nią, jakby czekała, aż zamieni się w jakiegoś egzotycznego ptaka i odleci, udowadniając w ten sposób, że wszystko, co przed chwilą usłyszała, jej się przyśniło.

W sumie nie miałyby nic przeciwko temu, a jednak telefon tkwił spokojnie na miejscu, migając tylko diodą jakiegoś powiadomienia.

– No, nieźle... – powiedziała głośno, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nikodem Peszek naszym pierwszym klientem!

Kiedy to w końcu do niej dotarło, zerwała się z łóżka i pobiegła do byłego gabinetu męża, gdzie odnalazła ryzę papieru, wyjęła z niej kilka kartek i usiadła do biurka, żeby zrobić notatki dotyczące pierwszej w historii agencji sprawy.

Drukowanymi literami zapisała nazwisko klienta oraz datę i zakres usługi: „udowodnić niewinność”. „Zaczynamy z przytupem”, pomyślała.

Kiedy wróciła do sypialni i sprawdziła godzinę, okazało się, że jest za pięć siódma. To na pewno nie była pora na telefon do Klary. „No ale na tym przecież polega praca prywatnego detektywa”, pomyślała Gaja. Na nieprzewidywalności. I z satysfakcją wybrała numer swojej pracownicy.

Właściwie nie liczyła, że Klara odbierze, dlatego kiedy usłyszała w słuchawce jej całkiem przytomne: „Halo!”, bardzo się zdziwiła.

– Już wstałaś?

– Nie – odpowiedziała Klara. – Jeszcze się nie położyłam. Coś się stało?

– Mamy pierwsze zlecenie – zakomunikowała Gaja. – O której najszybciej możesz tu być?

– Ósma trzydzieści.

– To czekam.

Rozłączyła się i poszła budzić Helenę. Odwiezie ją do szkoły i może przed przyjazdem Klary uda jej się jeszcze zrobić zakupy.

Klara najpierw nie mogła znaleźć motoru. Dałaby sobie głowę uciąć, że kiedy o czwartej rano wychodziła z klubu razem z Damianem, aktualnym chłopakiem, to jej suzuki bandit, czule nazywane Bandytą, stało przed budynkiem. Ale ponieważ oboje nie byli w stanie prowadzić, ruszyli do jej mieszkania na piechotę.

Nocny spacer pustymi, zimnymi ulicami Warszawy otrzeźwił ich i rozbudził, co zaowocowało długim i fajnym seksem. Potem Damian natychmiast usnął, a Klara postanowiła zjeść późną kolację, którą celniej byłoby nazwać wczesnym śniadaniem. Lodówka świeciła pustkami, ale dziewczynie udało się skompletować składniki do jajecznicy na kielbasie, do której dorzuciła jeszcze resztkę żółtego sera, więc kiedy nabierała jajecznicę na widelec, ciągnęły się za nią żółte wąsy.

A potem zadzwoniła szefowa i nagle leniwy poranek nabrał zupełnie innej dynamiki.

Klara, zgłaszając się do agencji, zakładała, że praca w niej będzie jedną wielką przygodą. Oczywiście zarobki też odgrywały ważną rolę, ale dużo ważniejsze było to, żeby się działo. Więc choć Gaja lekko ją wkurzała, starała się tego po sobie nie pokazywać.

Rozmowa o pracę z punktu widzenia Klary przebiegła bardzo dobrze, choć już wtedy dziewczyna miała wrażenie, że Gaja traktuje ją nie do końca serio. Co zresztą potwierdziła wiadomość, którą nagrała następnego dnia. Treść wydawała się wewnątrznie sprzeczna: szefowa z jednej strony zorientowała się, że żona Rutkowskiego to jakaś podstawiona dziewczyna, a z drugiej – zdecydowała się przyjąć Klarę do pracy. Gdzie tu sens i logika?

Klara, próbując zrozumieć zachowanie Gai, doszła do wniosku, że mogło to świadczyć albo o jej głupocie, albo o wyrachowaniu. Albo – i do tej trzeciej opcji się przychyliła – że szefowa rzeczywiście wyczuła w niej zawodowy potencjał.

Potem widziały się jeszcze dwa razy. Na pierwszym z tych spotkań przeszły na ty, ustaliły warunki zatrudnienia i wynagrodzenie i zaczęły załatwiać formalności. Drugie odbyło się w dziwnym sklepie o nazwie 007, gdzie również dziwny, choć kompetentny facet na wózku wybrał dla nich kamerę, dyktafon w długopisie i aparat fotograficzny dla Klary. Za wszystko oczywiście zapłaciła Gaja.

Żegnając się, ustaliły, że rozpoczną pracę nie od pierwszego marca, jak wstępnie planowały, ale od pierwszego klienta. Klara obawiała się, że pierwszy klient nie pojawi się szybko, a tu proszę.

Telefon od Gai skutecznie Klarę zmobilizował. Naprawdę zamierzała pokazać się od jak najlepszej strony... Czyli przede wszystkim dojechać na czas. Tylko kiedy deklarowała, że pojawi się w Milanówku o ósmej trzydzieści, była przekonana, że Bandyta stoi grzecznie przed kamienicą.

No ale nie stał. Pobiegła więc pod klub, ale tutaj suzuki również nie było.

Próba odtworzenia w pamięci przebiegu poprzedniego wieczoru chwilę jej zajęła, a kiedy w końcu sobie przypomniała, że klub ma jeszcze wejście z drugiej strony budynku i że prawdopodobnie motocykl zostawiła właśnie tam, była już ósma dwadzieścia. W dziesięć minut mogła co najwyżej dojechać do najbliższych świateł.

Jakby tego było mało, po drodze rozładowała jej się komórka, więc kiedy dotarła do Milanówka, nie wiedziała nawet, że jest już wpół do dziesiątej.

Wiedziała za to, że jest potężnie spóźniona oraz że do spóźnienia przyznać się nie może. „Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja”, pomyślała optymistycznie i wprowadziła motocykl do ogrodu przez otwartą szeroko bramę.

– Cześć! – uśmiechnęła się beztrusko, kiedy Gaja, nabuzowana jak gniazdo szerszeni, otworzyła jej drzwi. – To gdzie ten klient?

„Przecież wiedziałaś, że z niej niezłe ziółko”, tłumaczyła sobie Gaja, czując narastającą irytację. Każdemu może coś wypaść, ale żeby nie zadzwonić i nie uprzedzić? Ba, żeby nie odbierać połączeń od własnej szefowej? Jeżeli ona się tak lekceważąco zachowuje pierwszego dnia pracy, to co odwali po tygodniu?

„A może ja jestem uprzedzona? – pomyślała nagle. – Może ona popełnia błędy z nerwów, stresuje się pierwszym zleceniem? Może pojawi się skruszona, przeprosi, a potem będzie się bardzo starać?”

Jednak kiedy Klara weszła do biura agencji z beztróskim uśmiechem, kręcąc na palcu kluczyki od motoru, stało się jasne, że o skrusze mowy raczej nie będzie.

– To niedopuszczalne – zaczęła Gaja stanowczo. – Brak punktualności jest dyskwalifikujący. Jeżeli się umawiamy, masz być co do minuty. Nie znoszę zawalania. Nie znoszę spóźniałstwa.

Klara podeszła do biurka, oparła ręce o blat i nachyliła się do Gai.

– Szczerze? Uważam tak samo. Spóźnianie się jest dla leszczy. Rozumiem jeszcze w zwykłej pracy, w biurze, no dobra. Pięć minut w tę czy w tamtę nikogo nie zbawi. Ale w agencji? Punktualność to absolutnie podstawa! Konsekwencje spóźnienia mogą być fatalne! – Wydawała się szczerze oburzona. – Jak to dobrze, że się zgadzamy w tym względzie!

„Co to za przedstawienie?”, pomyślała zirytowana Gaja.

– Czy możesz mi w takim razie powiedzieć, dlaczego się spóźniłaś godzinę?!

Klara zrobiła wielkie oczy.

– Ależ w życiu! Jaką godzinę? Mogę? – sięgnęła po leżący na biurku telefon Gai.

– O, proszę! – Klara puknęła palcem w ekran. – Dziewięta dwadzieścia siedem. Jestem o trzy minuty za wcześnie.

– Moment. Jakie za wcześnie?

– No przecież miałam być o wpół do dziesiątej!

– Dziewiątej!

– Dziesiątej!

Mierzyły się przez chwilę wzrokiem.

„Ależ z niej spryciara – myślała Gaja. – Łże w żywe oczy. I bimba sobie, bo jej niczego nie udowodnię. Jej słowo przeciwko mojemu”.

„Na stówę wie, że ściemniam, ale co mi tam – w tym samym czasie myślała Klara. – Przecież mi nic nie udowodni. Moje słowo przeciwko jej”.

– Tylko tracimy czas – pierwsza odpuściła Gaja. – Jeden wniosek. Od dzisiaj wszystko ma być na piśmie. Mejle albo esemesy. Jasne?

– Jasne. A teraz mów, co to za sprawa, bo umieram z ciekawości.

ROZDZIAŁ 37

Dorota Kania, polonistka z liceum przy Piasta, przebiegła na drugą stronę ulicy Warszawskiej, o mało nie wpadając pod nadjeżdżającego z prawej strony vana. Spieszyła się. Miała wolną tylko jedną godzinę lekcyjną, a co to są trzy kwadransy? Zwłaszcza że sama droga ze szkoły do kawiarni zajmowała osiem do dziesięciu minut. Prosty rachunek wskazywał, że na rozmowę zostanie jej, jak dobrze pójdzie, pół godziny. Będzie się musiała streszczać.

Godzinę wcześniej, podczas przerwy, odebrała telefon od Matyldy. Znały się bardzo dobrze, Matylda była odpowiedzialna w urzędzie miasta za organizację wydarzeń kulturalnych i często ze sobą współpracowały. W tym miesiącu zaczynały przygotowania do wieczoru poezji Szymborskiej, ale okazało się, że Matylda wcale nie dzwoni w tej sprawie.

– Dziś rano policja aresztowała Nikodema Peszka – poinformowała Dorotę. – Uważają, że to on zamordował Justynę.

Dla Doroty wiadomość była szokiem. Lubiała Nikodema, nawet bardzo lubiła. Był przystojnym, przesympatycznym, dowcipnym młodym mężczyzną, który każdą zwykłą rozmowę potrafił zamienić w uroczy, dyskretny, nieszkodliwy flirt. Co dla pięćdziesięcioletniej, niezbyt atrakcyjnej kobiety stanowiło miłą i ożywczą odmianę od jej zwykłej, nudnej nauczycielskiej egzystencji. Myśl, że ten sympatyczny młody człowiek miałby być oskarżony o morderstwo, wstrząsnęła nią. Tym bardziej że chodziło o morderstwo uczennicy. Ich uczennicy.

Ponieważ nie była w stanie nic z siebie wydusić, Matylda mówiła dalej.

– Moja przyjaciółka prowadzi agencję detektywistyczną i Nikodem wynajął ją, żeby udowodniła, że jest niewinny. Czy mogłabyś się z nią spotkać i powiedzieć jej wszystko, co wiesz o Justynie i Nikodemie? Oczywiście im szybciej, tym lepiej.

Dorota po chwili namysłu wyraziła zgodę i zaproponowała, że mogą się zobaczyć podczas jej najbliższego okienka.

– Ale nie w szkole – podkreśliła. – Najlepiej w Podmiejskiej.

Kobiety już na nią czekały. Wyglądały dokładnie tak, jak je opisała Matylda. Jedna wysoka, szczupła, zjawiskowo piękna, z burzą rudych, kręconych włosów, druga niższa, drobna, o poważnym wyrazie twarzy, którą chyba znała z widzenia. To właśnie ona podniosła się od stolika i pomachała w jej stronę.

– Gaja Stawska – przedstawiła się, kiedy do niej podeszła. Miała mocny, budzący zaufanie uścisk dłoni. – A to Klara Kamińska, moja współpracownica. Dziękuję, że się pani zgodziła na spotkanie. Zamówić pani coś do picia?

– Nie, nie, nie mam za dużo czasu, więc...

Dorota usiadła na wolnym krześle. „Ciekawe, o co będą mnie pytały”, pomyślała, rozpinając kurtkę i zsuwając ją na oparcie za sobą. Czuła się trochę niezręcznie, ale jeżeli ta rozmowa miała pomóc Nikodemowi...

Odchrząknęła.

– Matylda powiedziała, że pan Peszek został aresztowany, to się w głowie nie mieści – zaczęła, odruchowo ścisząc głos. – I że panie zamierzają udowodnić, że jest niewinny. Co chcecie wiedzieć?

Stawska wyjęła z torebki notes w eleganckiej, błękitno-złotej oprawie, otworzyła go i wzięła do ręki długopis.

– Pani była wychowawczynią Justyny, prawda?

Dorota odetchnęła głęboko. Rozmowa o siedemnastolatce, która jeszcze niedawno zajmowała miejsce w rzędzie pod oknem, a teraz nie żyła, brutalnie zamordowana, nie należała do łatwych.

– Tak – odpowiedziała cicho. – Ale nie znałam jej zbyt dobrze. Dołączyła do klasy na początku roku szkolnego. Jej rodzice, właściwie matka i ojczym, zbudowali dom w Milanówku i przeprowadzili się latem.

– Jak ona sobie radziła?

- Pod jakim względem?
- Naukowym, społecznym...

Dorota Kania bardzo chciałaby mówić o zmarłej dziewczynie w samych superlatywach, niestety to akurat nie było możliwe.

– Bardzo przeciętnie. Właściwie nawet źle. Na obu polach. Oceny miała słabiutkie. Na półrocze co prawda nie była zagrożona, ale średnia dwa i osiem to nie jest powód do dumy. W grupie też nie funkcjonowała za dobrze. Po pierwsze, była nowa, a nowi z zasady są przyjmowani z dystansem. Po drugie, myślała, że będzie miała wielkie wejście ze względu na pieniądze, bo jej matka jest bardzo zamożna. Pojawiła się w szkole z najnowszymi, najdroższymi gadżetami, pewna, że zaimponuje kolegom, a tu się okazało, że połowa uczniów ma to samo. Chyba nie przewidziała, że w podwarszawskim miasteczku może mieć konkurencję. I bardzo nieprzyjemnie ją to zaskoczyło.

- Czyli nie była lubiana w klasie? – upewniła się ruda.
- Nie. Chociaż strasznie jej na tym zależało.
- I z nikim się nie zaprzyjaźniła?

Choć minęło zaledwie kilka minut, nauczycielka już czuła się zmęczona. Za dużo emocji kosztowała ją ta rozmowa. Żeby się uspokoić, sięgnęła po serwetkę i zaczęła ją składać, jakby chciała z niej wyczarować figurkę origami. A przecież nie znała tej sztuki.

– No, może z Dominiką... – odpowiedziała po chwili. – Chociaż przyjaźń to za dużo powiedziane. Dominika jako jedyna ją tolerowała. Ona jest dobra z przedmiotów ścisłych i miała pomagać Justynie nadrobić zaległości z matematyki. Bo Justyna była wcześniej w prywatnym, ale bardzo słabym liceum w Warszawie, w którym jeszcze dodatkowo się nie uczyła, więc braki miała straszne.

Przypomniała jej się naburmuszona mina dziewczyny, kiedy razem z Nikodemem namawiali ją do wspólnej nauki z Dominiką. Zgodziła się dopiero po kilku tygodniach perswazji.

– No właśnie, matematyka... – Starsza z kobiet cały czas wszystko skrupulatnie notowała. – Niech nam pani opowie o Peszku.

Nauczycielka zmięła serwetkę w kulkę i zacisnęła na niej palce. Bardzo to wszystko było trudne.

– Ale co panie chcą wiedzieć?

– Jaka była jego relacja z Justyną?

– Żadna! – oświadczyła stanowczo. – Wiem, że całe miasteczko gada, że mieli romans, ale to niemożliwe. On był dla niej miły, ale nie bardziej niż dla wszystkich innych dziewcząt. Owszem, Justyna się w nim kochała, ale na Boga, to dosyć klasyczny układ.

– Przepraszam, a skąd pani wie, że ona się w nim kochała? – zainteresowała się nagle ruda.

Dorota potarła palcami czoło, próbując się skupić.

– Właściwie nie wiem, skąd wiem – przyznała. – Po prostu wszyscy w szkole wiedzieli. Zresztą jak już wspomniałam, to nie była żadna sensacja, większość uczennic do niego wzdychała. – Nauczycielka uśmiechnęła się nerwowo. – I pewnie połowa ciała pedagogicznego. On był, on jest naprawdę uroczym mężczyzną. A Justyna... No, cóż. Chodziła za nim, czekała na niego pod salą, żeby zapytać o jakąś najprostszą rzecz, no i jeździła z nim na protesty.

– Jakie protesty? – jednocześnie spytały obie kobiety.

– Przeróżne... Nikodem bez przerwy angażował się w jakieś akcje. Piketował pod Ministerstwem Edukacji, protestował przeciw wycince Puszczy Białowieskiej, no i działał też w Milanówku. Ostatnio zorganizował protesty przeciwko budowie tej kurzej fermy, zdaje się, że nieźle zalażł burmistrzowi za skórę. Nikodem jest taki... bezkompromisowy i dlatego pociągał dzieciaki za sobą, uczył je obywatelskiej postawy. – Mówiąc to, czuła dumę, zupełnie jakby Nikodem był jej synem, którego osiągnięciami mogła się chwalić. – Justyna go nie odstępowała, ale on na nią nie zwracał uwagi. Przynajmniej z tego, co ja wiem. Czasami w pokoju nauczycielskim koledzy sobie żartowali z tego jej zakochania, ale on bardzo

kategorycznie ucinał komentarze. Wiedział, że jakakolwiek niejasność w relacji z uczennicą mogłaby mu zniszczyć bezpowrotnie reputację. Bardzo pilnował dystansu, zapewniam panie.

„Jak to dobrze, że zdecydowałam się z nimi porozmawiać – pomyślała. – I przedstawić wszystko we właściwym świetle. Nie będą tracić czasu na szukanie tego, czego nie było”.

– A te plotki, które krążą po mieście? Że zaszła z nim w ciążę... Skądś się musiały wziąć – zauważyła ruda.

Kania rozłożyła bezradnie ręce.

– Ludzie czasami wymyślają zupełnie niestworzone rzeczy...

Nagle zdała sobie sprawę z upływu czasu. Wyjęła telefon z torebki, żeby sprawdzić godzinę. Do dzwonka na lekcję zostało jej już tylko piętnaście minut.

– Zaraz muszę iść – uprzedziła.

– Czy mogłaby nas pani skontaktować z tą dziewczyną, z którą Justyna uczyła się matematyki? – poprosiła Gaja.

– Może ja zanotuję pani numer. Przekażę jej. Jeżeli się zdecyduje na rozmowę, zadzwoni do pani.

Kania wpisała numer Gai do swojej komórki i odłożyła telefon na stolik. Młodsza z kobiet, Klara, zerknęła na ekran, który nie zdążył jeszcze zgasnąć.

– Co to za zdjęcie? – zainteresowała się, wskazując fotografię na ekranie startowym.

– Moja klasa – uśmiechnęła się polonistka. – Zrobiłam im zdjęcie pierwszego września i ustawiłam jako tapetę.

– Czyli Justyna też tutaj jest?

Kania kiwnęła głową. Włączyła znowu komórkę i rozsunęła fotografię palcami.

– To ta – stuknęła paznokciem w rozmytą postać.

– Niewiele widać – stwierdziła ruda. – Ma pani może jakieś inne zdjęcie, wyraźniejsze?

Nauczycielka otworzyła galerię i zaczęła ją przeglądać. Każda fotografia przywoływała wspomnienie, a wspomnienie – emocje. Nie była przygotowana na to, że aż tak silne.

Kiedy trafiła na zdjęcie grupy młodzieży stojącej w kurtkach przed szkołą i pokazującej w kierunku obiektywu V, znak zwycięstwa, zatrzymała się.

– To zostało zrobione w poniedziałek, dzień po tym, jak zniknęła. Więc dalej już na pewno jej nie będzie. – I zaraz dodała tonem usprawiedliwienia. – Wtedy jeszcze nikt nie podejrzewał, że coś się stało. Po prostu nie przysłała do szkoły. Nikodem poprosił mnie, żebym zrobiła zdjęcie jego grupie przed wyjazdem na protest do Warszawy.

– To on, prawda? – Starsza z kobiet wskazała palcem Peszka. Akurat tego dnia miał na sobie ulubioną szarą, oldskulową jesionkę, granatowy kaszkiet i tak jak reszta trzymał w górze dłoń z palcami ułożonymi w kształt litery V.

– Co on ma z twarzą? – zainteresowała się rudowłosa i rozsunęła palcami obraz. Na widocznym teraz wyraźnie policzku widać było sporych rozmiarów opatrunek.

– Kot go podrapał – wyjaśniła nauczycielka. – I to tak porządnie. Pielęgniarka podała mu nawet surowicę przeciwzęcową. Takie skaleczenie to nie żarty.

Schowała telefon do torebki i podniosła się od stolika.

– Muszę już iść. Naprawdę.

Zebrała pamięte podczas rozmowy serwetki. Chciała je wyrzucić do popielniczki, ale popielniczki nie było. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że teraz, kiedy palenie w miejscach publicznych zostało zabronione, popielniczki zniknęły. Wrzuciła więc papierki do torebki, włożyła kurtkę i na koniec powiedziała coś, co te kobiety powinny usłyszeć.

– On jej nie zabił. Jestem pewna.

ROZDZIAŁ 38

Po wyjściu nauczycielki Gaja opadła na krzesło.

– I co o tym myślisz? – spytała, śledząc przez okno kawiarni oddalającą się pośpiesznie kobietę.

– Myślę, że potrzebuję drugiej kawy – odpowiedziała Klara. – I że ten Peszek jest całkiem przystojny.

– Ted Bundy też był – zwróciła jej uwagę Gaja.

– No przecież właśnie o tym mówię – Klara podniosła do góry palec jak nauczyciel, który chce podkreślić wagę jakiejś informacji. – On się tej nauczycielce po nocach śni, ja ci mówię. I to nie są grzeczne sny.

Gaja popatrzyła na Klarę z uznaniem. Sama również zauważyła przesadne zaangażowanie kobiety. Czy w takim razie informacje, które od niej uzyskały, powinny uznać za wiarygodne? Na tym etapie trudno było to stwierdzić.

– Tak, bardzo chciała, żebyśmy uwierzyły, że jest niewinny – przyznała Gaja. – Tylko co z tą podrapaną twarzą?

– Aż dostałam dreszczy, jak zobaczyłam ten opatrunek – Klara wzdrygnęła się lekko. – Od razu mi się przypomniało to, co mówiłaś rano, że prawdopodobnie Justyna podrapała mordercę. Takie oskarżenie z za grobu.

Gaja odgarnęła opadające na czoło włosy.

– Ta bajeczka o kocie taka naiwna, że nawet nie komentuję.

– Słuchaj, a jeżeli nam się nie uda udowodnić, że on jest niewinny? – zainteresowała się nagle Klara. – W sensie co wtedy z naszą forszą?

Na to pytanie Gaja nie знаła odpowiedzi. Choć powinna.

– Nie mam pojęcia – przyznała szczerze. – Ale chyba najwyższy czas, żeby podpisać umowę.

Dom przy Baśniowej siedem stał tuż przy ulicy i sprawiał wrażenie wyjętego ze starej fotografii. Był parterowy, dość rozległy, miał ganek z kolumnkami i dach kryty czerwoną dachówką. Po obu stronach wejścia rosły kępy krzewów, o tej porze roku bezlistnych i brzydkich, które wiosną zmieniały się w kolorowe plamy bzów i forsycji, a kawałek dalej bieliła się cembrowina staroświeckiej studni z drewnianym kołowrotem.

Klara obrzuciła budynek szybkim, nieuważnym spojrzeniem, za to Gaja przyglądała mu się zafascynowana. Atmosfera tego miejsca w niepokojący sposób przypomniła jej dom rodzinny sprzed wypadku.

Zadzwończyły do furtki i czekały, oceniając nawzajem swój wygląd. Gaja była lepiej przygotowana na rozmowę z klientem, ale tylko dlatego, że po drodze wstąpiły do niej do domu, żeby wydrukować pobraną z internetu umowę, i Gaja przebrała się przy okazji z dżinsów w bardziej oficjalny strój. Teraz miała na sobie kremową koszulę, czarny żakiet i czarne luźne spodnie od garnituru. Mokasyny w kolorze białym i lekki płaszcz narzucony na ramiona dopełniały wizerunku *business woman*. I to *business woman* z sukcesem. Klara, w krótkiej dżinsowej spódnicy, grubych pomarańczowych rajstopach i puchówce, sprawiała dużo mniej korzystne wizerunkowo wrażenie, ale kompletnie nic sobie z tego nie robiła.

Po dłuższej chwili drzwi się uchyliły i stanęła w nich niska, szczupła, siwa kobieta. W oczach miała strach.

– To mnie przerasta – powiedziała im, kiedy usiadły w zastawionej antykami jadalni. – Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem. Mój syn... Jak można go było tak potraktować? Jak można aresztować niewinnego człowieka? Bez żadnych dowodów?

– Tylko że oni zdaje się mają dowody... – zwróciła ostrożnie uwagę Gaja.

Matka Nikodema Peszka wyglądała tak, jakby się miała za chwilę popłakać.

– Dowody? – jęknęła. – Nie może być żadnych dowodów, bo on tego nie zrobił! Mówiłam temu adwokatowi...

– Jakiemu adwokatowi? – zainteresowała się Gaja.

– Jak zabierali syna, to prosił, żebym jak najszybciej powiadomiła jego adwokata, i on właśnie teraz jedzie na policję do Grodziska. Powiedział, że na razie tylko on będzie się mógł z Nikodemem kontaktować. I że może potem załatwi pozwolenie na rozmowy telefoniczne. Ale jakie potem, jakie potem? To ile on tam będzie siedział? – pytała zdenerwowana.

– Postaramy się, żeby jak najkrócej – Gaja szczerze współczuła kobiecie. – Nie wiem, czy syn zdążył pani przekazać, że wynajął naszą agencję, żebyśmy udowodniły jego niewinność.

Kobieta przyłożyła obie dłonie do serca.

– Bogu dziękować! – powiedziała wzruszona. – Nikodem nie zabił tej dziewczyny! Na Biblię mogę przysiąc! Musicie go ratować! Musicie przekonać policję, że to nie on!

Gaja pomyślała, że wcześniej muszą o tym przekonać same siebie, ale nie powiedziała tego głośno.

– Tak zrobimy – obiecała trochę na wyrost. – Ale najpierw formalności...

Sięgnęła po teczkę i wyjęła z niej dwa egzemplarze umowy.

– Proszę przeczytać. Jeżeli nie będzie miała pani zastrzeżeń, tutaj jest miejsce na podpis.

Kobieta nieuważnie przebiegła wzrokiem dokument i we wskazanym miejscu złożyła zamaszysty, staroświecki autograf.

Opuściły dom chwilę potem, żegnane przez matkę Peszka, jednocześnie załamana i pełną nadziei. Kiedy zatrzymały się przy samochodzie, Klara podniosła rękę i wysunęła ją w kierunku Gai.

– Piąteczka!

Gaja klepnęła ją lekko dłonią.

– Nasza pierwsza robota – zauważyła.

Klara już miała przyznać jej rację, kiedy przypomniała sobie o kłamstwie, które wygenerowała na potrzeby szefowej.

– Twoja pierwsza – rzuciła lekko. – Dla mnie to już nie liczę która. U Rutkowskiego tyle tego było...

Gaja przyjrzała się Klarze uważnie w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak tego, że dziewczyna kłamie. Nic, zero. Absolutnie szczere, naiwne spojrzenie jelonka Bambi. „To niesamowite, jaki ona ma tupet”, pomyślała.

– Posłuchaj – zaczęła. – Wiem, że nie pracowałaś w tym zawodzie nawet przez godzinę. Z waszego duetu, czyli z ciebie i twojej licencji, tak naprawdę potrzebuję tylko tej drugiej. Więc jeżeli chcesz, żeby było miło i żeby nam się dobrze współpracowało, daj sobie spokój z tą ściemą.

Klara przewróciła oczami.

– Ale umówione byłyśmy na dziesiątą trzydzieści – rzuciła prowokująco.

– Przeginasz – zgasiła ją Gaja i podeszła do zaparkowanego przed bramą samochodu.

W momencie kiedy otwierała drzwiczki, coś jej się przypomniało.

– Cholera! Adwokat! Wróć tam, proszę, i powiedz tej kobiecie, żeby mu podała mój numer!. Niech zadzwoni, jak tylko będzie coś wiedział. Dzięki.

Gaja odłożyła na tylne siedzenie teczkę z podpisaną przez matkę Peszka umową i wsiadła do auta. Właśnie zaczynało do niej docierać, że agencja naprawdę wystartowała. I choć sprawa, od której zaczynały, nie była ani klasyczna, ani łatwa, zamierzała zakończyć ją sukcesem. Bo sukces był tym, czego i ona, i agencja najbardziej teraz potrzebowały.

ROZDZIAŁ 39

Ledwo ruszyły autem spod domu przy Baśniowej, na komórkę Gai ktoś zadzwonił.

Numer nieznany.

Odebrała, spodziewając się adwokata, jednak głos, który usłyszała, należał do młodej dziewczyny.

– Dzień dobry. Dostałam numer pani telefonu od mojej wychowawczynie.

Gaja szybko przełączyła rozmowę na samochodowy głośnik.

– Witaj. Ty jesteś Dominika, prawda?

– Tak. Podobno chciała pani ze mną porozmawiać.

– Zgadza się. Kiedy mogłybyśmy się spotkać? I gdzie?

– W sumie to nawet teraz. Skończyłam lekcje i właśnie wychodzę ze szkoły.

– Poczekaj tam, za pięć minut po ciebie podjadę.

– Nie, wolałabym nie... Gdzieś na mieście lepiej.

– No to może w Podmiejskiej? Albo w pizzerii?

– W pizzerii – zdecydowała dziewczyna. – Bo strasznie jestem głodna.

Zajęły stolik najbardziej oddalony od drzwi. Nie zdążyły nawet przejrzeć karty, kiedy pojawiła się Dominika.

Na podstawie tego, co mówiła o niej wychowawczynie, Gaja wyobraziła ją sobie jako grzeczną, skromną dziewczynę, i rzeczywiście – Dominika tak właśnie wyglądała. Nosila zsuwające się z nosa okulary w topornych oprawkach, a długie włosy miała zebrane czarną frotką w koński ogon. Nosila nudne ciuchy w jakichś nieokreślonych kolorach, a jej zgarbiona sylwetka świadczyła o tym, że nie chce się rzucać w oczy. „Kujona wzorzec z Sèvres”, pomyślała Gaja.

Dziewczyna zatrzymała się w drzwiach i dopiero kiedy pomachały do niej, zdecydowała się wejść do środka. Podeszła do stolika i odłożyła plecak na jedno z wolnych krzeseł.

– Dominika – przedstawiła się, siadając.

– Miło mi – Gaja wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń nastolatki. – A to Klara. Razem pracujemy nad sprawą.

– Ale panie nie są z policji? – upewniła się Dominika.

– Nie – zapewniła Gaja. – Oczywiście, że nie.

– A co, boisz się policji? – odezwała się pozornie obojętnym głosem Klara.

Dominika spojrzała na nią, spłoszona.

– Nie... nie boję się... tylko...

– Tylko co? – Klara nie odpuszczała.

Dominika nie odpowiedziała, a Gaja przestraszyła się, że dziewczyna za chwilę w ogóle przestanie z nimi współpracować.

– Jaką chcesz pizzę? – spytała szybko. – Wybierz sobie.

Podsunęła Dominice menu.

– Margheritę – odpowiedziała szybko dziewczyna. I dodała: – Z podwójnym serem.

– Świetnie. Klara, zamówisz?

Klara wstała niechętnie i poszła szukać kelnerki.

– Czy wychowawczynie powiedziała ci, o czym chcemy porozmawiać?

– O Justynie, prawda?

– Tak, o Justynie. Mogłabyś nam o niej opowiedzieć?

Dziewczyna zastanowiła się.

– Nie znałam jej za dobrze. Często do mnie przychodziła, uczyłyśmy się razem i tak dalej, ale to nie była moja kumpela. Traktowała mnie z góry – wyjaśniła. – Jej na mnie nie zależało. Ona się chciała zaprzyjaźnić z Jagodą, naszą klasową gwiazdą. Ale Jagoda miała ją w nosie. Właściwie wszyscy ją mieli w nosie. Nie

rozmawiali z nią, ewentualnie obgadywali za plecami. Tylko dlatego trzymała ze mną.

Do stolika wróciła Klara. Usiadła na swoim miejscu i oparła nogę w czarnym, nabijanym ćwiekami bucie o poprzeczkę krzesła Dominiki.

– O czym gadacie? – spytała beztrosko. – O Peszku? – Gaja skarciła ją wzrokiem, ale Klara spokojnie ciągnęła dalej. – Justyna się w nim kochała, prawda?

– Tak, trafiło ją – przyznała Dominika. – Pan Nikodem jest mega. Totalnie przystojny i w ogóle... Justyna strasznie go chciała poderwać. Poza tym gdyby to jej się udało, wreszcie zrobiłaby się popularna. Nie tylko w klasie, ale w całej szkole.

– Mówiła ci o tym? – spytała Gaja. – Że chce być popularna?

– Pewnie. Ona mi wszystko mówiła, bo wiedziała, że ja dalej niczego nie powtórzę. Nie miałabym komu. Bo mnie w klasie też raczej nikt nie lubi. Jestem do niczego.

Te słowa w uszach Gai zabrzmiały dziwnie gorzko.

– Nie wolno ci tak o sobie mówić! – zaprotestowała. – To bardzo niesprawiedliwe i krzywdzące. Na pewno jesteś świetną, wartościową dziewczyną...

Dominika spojrzała na nią, zaskoczona.

– Ale ja to wiem. Chodzę na terapię.

Gaja zamilkła, zaskoczona. Wtedy odezwała się Klara.

– Mnie interesuje jeszcze, co to znaczy, że chciała go poderwać. Przecież nie mogli ze sobą „chodzić”. On był nauczycielem, ona uczennicą. Więc o co jej chodziło? O seks?

Dominika skinęła głową.

– Tak. Chciała się z nim przespać. Stawała na rzęsach, żeby się nią zainteresował.

– I co, jakie efekty? – drążyła Klara.

– No, na początku to właściwie żadne – przyznała dziewczyna. – Łaziła za nim cały czas, robiła miny, gapiła się w niego jak w obraz, ale nic to nie dawało poza tym, że w klasie sobie z niej robili bekę. Ale potem... – zamilkła, tak jakby się zreflektowała, że powiedziała za dużo.

– Co było potem? – Gaja nachyliła się w jej kierunku. – Mów.

– Muszę do toalety – powiedziała dziewczyna, wyraźnie spłoszona, i już zaczęła się podnosić, kiedy Klara chwyciła ją za ramię.

– A mnie się coś zdaje, że nie musisz. – Uśmiechnęła się, zmuszając jednocześnie Dominikę do tego, żeby znowu usiadła. – Czy oni się ze sobą przespali?

Dominika spuściła wzrok.

– Tak – powiedziała cicho.

Gaja zamknęła oczy i ucisnęła palcami skronie. Miała wrażenie, że głowa jej za chwilę eksploduje. „Mężczyzna, który zarzekał się, że nie zabił Justyny, miał z nią romans? Przecież tego się nie da obronić! Co mi przyszło do głowy, żeby przyjmować to zlecenie?”, pomyślała ze złością. No ale prawda była taka, że je przyjęła, bo żadnych innych nie miała.

– Skąd wiesz? – spytała.

– A panie się nie wygadają policji, że to info ode mnie? – upewniła się dziewczyna.

Gaja miała już na końcu języka, że nie mogą jej tego obiecać, ale ubiegła ją Klara.

– Oczywiście, że nie! – Położyła palec na ustach. – Cicho sza.

Dominice wyraźnie ulżyło.

– No bo to jest taka delikatna sprawa – zaczęła się tłumaczyć. – Gdy Justyna zaginęła, to policja o nią pytała i ja wtedy tego nie powiedziałam. Ale nie myślałam, że to ważne. Wcześniej tyle opowiadała o swoim ojcu, że chce pojechać do niego, do Niemiec... byłam pewna, że uciekła do niego. Zresztą nie miałam żadnych dowodów...

– Nie bój się, mów – zachęciła ją Gaja.

– Dwa dni przed zaginięciem Justyna robiła w szkole tajemnicze miny i kilku osobom niby niechcący się wygadała, że jest umówiona z panem Nikodemem na seks. Ludzie z klasy chodzili i pukali się w głowę, że to niemożliwe, ale ona była naprawdę na maksa podekscytowana. I taka... pewna siebie. A wieczorem przysłała mi filmik. I to tam było.

– Znaczą seks z Peszkiem? – zdziwiła się Klara.

– Tak.

– Możesz nam pokazać? – poprosiła Gaja.

Dominika pokręciła głową.

– To przyszło na Snapie. Po obejrzeniu samo się kasuje.

Gaja przypomniała sobie żółtą ikonkę z białą sylwetką duszka na ekranie telefonu swojej córki i postanowiła po powrocie do domu wypytać ją o zasady działania aplikacji.

Do stolika podeszła kelnerka i postawiła przed nimi duży, płaski talerz z pizzą, trzy mniejsze talerzyki i koszyk ze sztućcami. Dominika, zmęczona rozmową, nałożyła sobie kawałek i zaczęła jeść. Klara zrobiła to samo.

Gaja nie czuła głodu. Patrzyła na siedzącą przed sobą dziewczynę, niewiele starszą od jej córki, i zastanawiała się, jak jej powiedzieć, że będzie jednak musiała złożyć zeznania na policji. Bo choć nie leżało to w Gai interesie, wiadomość o przesłanym na Snapie filmie z całą pewnością powinna dotrzeć do śledczych.

Ale tylko w tej jednej kwestii miała jasność. We wszystkich innych w jej głowie panował mętlik. Z jednej strony czuła, że informacje, które właśnie uzyskały od Dominiki, mogą mieć kolosalne znaczenie. Wszystko układało się w niepokojąco spójną całość: nauczyciel, zakochana w nim nastolatka, seks, być może szantaż, lęk przed konsekwencjami... a na końcu śmierć. Niestety coraz więcej faktów wskazywało na to, że mordercą był Peszek.

Ale z drugiej strony.... Wciąż miała w uszach poranną rozmowę z Nikodemem, jego przerażony głos i zapewnienia, że nie zabił Justyny. Naprawdę mu wtedy

uwierzyła.

Telefon w jej torebce zaczął wibrować. Dzwoniła Helena.

– Gdzie jesteś? – zapytała z pretensją, choć tego typu pytania to matki zadają raczej swoim córkom, nie odwrotnie.

– Na spotkaniu – odpowiedziała Gaja. – Coś ważnego?

– Basen! – W głosie Heleny wibrowało oburzenie. – Jak nie wyjedziemy za pięć minut, to się spóźnię!

– Lecę! – rzuciła do słuchawki i natychmiast się rozłączyła.

– Sorry! – zaczęła w pośpiechu zbierać swoje rzeczy. – Muszę zawieźć dziecko na trening. Klara, zapłać, proszę, oddam ci.

Klara patrzyła na nią rozbawiona.

– Luz. O której mam być jutro?

Gaja nie była w stanie się skupić.

– Napiszę – odpowiedziała i wybiegła z pizzerii.

Pierwszy raz zdarzyło jej się zapomnieć o treningu córki. Obie przykładały do pływania wielką wagę. Gaja, bo kiedyś sama ten sport uprawiała, Helena – bo wiedziała, że jest w tym dobra. Dni i godziny treningów były stałym punktem ich tygodniowego planu. Jak to się mogło stać, że akurat dzisiaj wyjazd na basen kompletnie wyparował jej z głowy?

Pędząc wąskimi ulicami miasta, gnana poczuciem winy uświadomiła sobie boleśnie, że być może założenie agencji nie było aż tak idealnym pomysłem, jak jej się jeszcze kilka dni temu wydawało.

ROZDZIAŁ 40

– Przymierz – Matyllda podała Ali dwie pary dżinsów. – I jeszcze to – przewiesiła córce przez ramię dresową bluzę w intensywnie różowym kolorze.

– Nie, mama, tej bluzy nie – zaprotestowała dziewczynka.

– Dlaczego? – zdziwiła się Matyllda. – Fajna jest. I różowa.

– No właśnie, ja nie chcę różowej.

– Przecież zawsze lubiłaś różowy?

– Ale już nie lubię – prychnęła dziewczynka, zdegustowana.

Oddała bluzę matce i ruszyła w stronę przymierzalni.

– A ja bym ją mogła? – zapytała Ula.

Choć między jej córkami były tylko dwa lata różnicy i młodsza prawie dogoniła starszą wzrostem, to ich gusta wyraźnie się różniły.

– Oczywiście, kochanie, proszę.

„Niesamowite – pomyślała Matyllda. – Jak one błyskawicznie rosną! Z dnia na dzień robią się doroślejsze, mądrzejsze, bardziej autonomiczne”. Jeszcze niedawno Matyllda musiała wchodzić z nimi do przymierzalni, teraz była z niej wypraszana. Skończyło się również codzienne przygotowywanie im ubrań do szkoły – obie córki nagle i zdecydowanie zaczęły kwestionować jej gust mody i ubierać się po swojemu, a matce nie wolno było w żaden sposób w ich wybory ingerować.

Matyllda rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby usiąść, jednak jej wzrok padł przez przypadek na wiszące na ścianie lustro. Zatrzymała się więc na chwilę i zaczęła z ciekawością przyglądać się swojemu odbiciu.

Na co dzień nie poświęcała swojemu wyglądowi zbyt wiele uwagi. Była energiczną i pogodną kobietą i dużo większą przyjemność sprawiało jej dbanie

o innych niż o siebie. Jednak nawet pomimo skromnych środków i oszczędnych działań efekt, jaki uzyskiwała, najczęściej wydawał jej się co najmniej zadowalający. Miała swój charakterystyczny, lekko hipisowski styl. Uwielbiała długie spódnice z kieszeniami, kolorowe, ręcznie robione swetry, ciężką, srebrną biżuterię i kowbojki. Podobała się sobie i miała nadzieję, że podobała się również mężowi, choć Maciek prawdopodobnie nie zwracał na jej stroje większej uwagi.

Jedyne, do czego mogłaby mieć zastrzeżenia, to włosy. Były niesforne, robiły, co chciały. Teraz też, zamiast grzecznie przylegać do głowy, otoczyły ją asymetryczną aureolą. Przeczesala je szybko palcami, a one niechętnie wróciły na swoje miejsce.

Tuż obok wejścia do przymierzalni stała kanapa. Matylda usiadła na niej, oparła się wygodnie i przymknęła oczy. Po całym dniu w ratuszu i godzinie biegania z dziewczynkami po galerii handlowej czuła zmęczenie.

Zwłaszcza że czas spędzony w pracy był wyjątkowo intensywny.

Z samego rana, jeszcze zanim zdążyła włączyć komputer, zadzwoniła Gaja. Telefon o tak wczesnej porze mógł oznaczać tylko komplikacje. I rzeczywiście.

– Właśnie dostałam pierwsze zlecenie – oświadczyła, podekscytowana. – Nie zgadniesz od kogo.

– Nawet nie będę próbować. Mów!

– A siedzisz?

Matylda, zaintrygowana, posłusznie opadła na krzesło.

– Siedzę...

– Pierwszym klientem agencji Czajka został dziś Nikodem Peszek – powiedziała Gaja powoli i wyraźnie. – Wynajął nas, żebyśmy udowodniły, że jest niewinny. I zaraz potem został aresztowany.

– To jakiś żart? – Matylda nie wierzyła własnym uszom.

– Nie. Czy możesz się dowiedzieć od swojej ciotki, dlaczego go zgarnęli? To znaczy co na niego mieli, że prokurator wydał nakaz aresztowania.

– Szalik? – podsunęła Matylda.

– Według mnie to za mało. Nie wiem, może jakiś świadek się pojawił czy co?

Kiedy Gaja się rozłączyła, Matyllda wybrała numer komendy. Jednak słuchawki nie podniosła ciotka. Męski głos poinformował Matylldę, że pani Zdzisława przebywa na zwolnieniu lekarskim do końca tygodnia. Podobno grypa.

W pierwszym odruchu Matyllda chciała zadzwonić do ciotki na komórkę, ale się powstrzymała. Aż tak bezczelne wypytywanie o szczegóły śledztwa mogło ciotkę zdenerwować. Poza tym jeżeli nie było jej dzisiaj w pracy, na temat powodów aresztowania nie powinna nic wiedzieć. Matyllda uświadomiła to Gai w kolejnej rozmowie telefonicznej, a przyjaciółka przyjęła to zaskakująco spokojnie.

– Jasne. Nie ma sprawy. Po prostu musimy działać same. Znasz może kogoś, z kim mogłybyśmy pogadać o Justynie?

– Znam jej wychowawczynię. Może być?

– No pewnie. Daj jej mój numer telefonu i powiedz, że bardzo mi się spieszy.

I rozłączyła się.

„Pierwszy dzień funkcjonowania agencji, a ja już w ogniu walki”, pomyślała Matyllda, nie bardzo wiedząc, czy ją ta świadomość bardziej martwi, czy cieszy.

ROZDZIAŁ 41

Kiedy w końcu Matyldzie udało się dopaść Dorotę, wprowadzić ją w sprawę, rozwiać jej wątpliwości i przekonać do rozmowy z Gają, minęły kolejne trzy kwadranse.

W efekcie przygotowanie listy zadań na ten dzień rozpoczęła dopiero koło godziny dziesiątej. Po krótkim wahaniu w punkcie pierwszym wpisała: „rodzice Justyny wywiad burmistrz”.

Upominanie się, naciskanie czy nawet zwykłe prośzenie zwierzchnika o cokolwiek to nie były zachowania w stylu Matyldy. Gdzieś podświadomie bała się, że raczej wzbudzi w nim irytację, niż cokolwiek osiągnie – wołała być lubiana niż skuteczna. Jednak tym razem czuła, że przeprowadzenie wywiadu z rodzicami zmarłej dziewczyny jest czymś naprawdę ważnym, o co warto zawalczyć.

Na pomysł rozmowy z nimi wpadła jeszcze przed znalezieniem ciała. Zaginięcie dziewczyny wydawało jej się tematem dla lokalnej społeczności nie tylko aktualnym, ale też ważnym i poruszającym. Zwłaszcza dla rodziców nastolatków, do których docierały niepokojące plotki. Matylda, przedstawiając rzetelną informację, chciała z jednej strony uspokoić czytelników, a z drugiej – uwrażliwić ich na problem ucieczek z domów, uświadomić, że takie dramaty się zdarzają i dlatego tym bardziej trzeba dbać o to, żeby z dzieckiem, które wchodzi w dorosłość, nie stracić kontaktu.

I być może udałoby jej się przygotować materiał, gdyby nie zdecydowany sprzeciw burmistrza, który podczas niezbyt dla Matyldy przyjemnej rozmowy na cmentarzu stwierdził, ucinając dyskusję, że artykuł mógłby przynieść więcej szkody niż pożytku.

Potem była na siebie zła, że w ogóle z tym do niego poszła. Może gdyby nie chciała jak zwykle być w stosunku do szefa w porządku, po prostu przeprowadziłaby ten wywiad. Z gotowym tekstem w ręku byłoby jej dużo łatwiej namówić burmistrza na publikację w biuletynie.

Jedynie, co miała na swoje usprawiedliwienie, to że burmistrz znał rodziców Justyny i ta rozmowa z pewnością przebiegłaby w innej atmosferze, gdyby Matylda przysłała tam z jego błogosławieństwem.

A potem okazało się, że dziewczyna nie żyje, i temat wrócił do Matyldy ze zdwojoną siłą. Teraz rola artykułu mogłaby być zupełnie inna. Dobrze przygotowany materiał, uzupełniony zdjęciami, stałby się rodzajem hołdu dla zmarłej. Jej bliscy, opowiadając o niej właśnie teraz, kiedy wszystkie wspomnienia były jeszcze żywe, stworzyliby portret, który pozostałby z nimi i z mieszkańcami miasta na zawsze. I ta właśnie wzniosła myśl przyświecała Matyldzie, kiedy postanowiła poruszyć temat z burmistrzem Skorupskim. Bo teraz tym bardziej potrzebowała jego rekomendacji do kontaktu z matką i ojczymem Justyny.

Najpierw zadzwoniła do sekretariatu zapytać, czy szef już się pojawił, a ponieważ linia była zajęta, postanowiła pójść i sprawdzić, jak sytuacja wygląda na miejscu.

Po drodze wstąpiła jeszcze na chwilę do łazienki, gdzie obejrzała się uważnie w lustrze, poprawiła włosy i pociągnęła usta bezbarwną szminką. Powinno wystarczyć.

W sekretariacie burmistrza, na eleganckich, tapicerowanych krzesłach pomimo wczesnej pory siedziało już kilku interesantów, wśród których Matylda rozpoznała ojca swojej koleżanki z podstawówki, właściciela kwiaciarni oraz sąsiadkę rodziców. Wciskanie się przed nich byłoby działaniem niedyplomatycznym i krótkowzrocznym, podeszła więc do sekretarki, która właśnie skończyła rozmawiać przez telefon.

– Paula, kiedy szef będzie wolniejszy?

Paulina, młoda kobieta nijakiej urody, którą próbowała ożywić przesadnym makijażem, poruszyła myszką, budząc komputer.

– No powiem ci, to nie wygląda dobrze – oznajmiła. – Zresztą sama zobacz.

Przekreśliła ekran w stronę Matyldy.

– Spotkanie za spotkaniem, nawet nie wiem, czy mu się uda wszystkich przyjąć... – wskazała ruchem głowy na czekających.

– Gdyby się jakimś cudem zrobiło okienko, daj mi znać – poprosiła Matylda. – A jak nie, to wpisz mnie na jutro.

– Oczywiście – obiecała Paulina.

W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich burmistrz z jakimś mężczyzną w jasnych dżinsach i ciemnogrnatowej marynarce, która leżała na nim tak idealnie, jakby była uszyta na zamówienie. Co zaskakujące, pod tym arcydziełem sztuki krawieckiej mężczyzna miał zwykły, choć zapewne markowy T-shirt. Ten niezobowiązujący strój przyciągnął uwagę Matyldy na tyle, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, komu się przygląda.

„O, nie!”, pomyślała zszokowana.

Miała przed sobą Artura, męża Gai.

Jego obecność tutaj była nie tylko zaskakująca, ale również niemiła, więc Matylda skuliła się odruchowo, mając nadzieję, że jej nie zauważy. Na szczęście burmistrz, obejmując Artura poufale, wyprowadził go z sekretariatu, nie dopuszczając w ten sposób do ich spotkania. Kiedy zniknęli na korytarzu, Matylda odetchnęła z ulgą.

– Co Stawski tu robił? – zwróciła się do sekretarki.

– Ty go znasz? – zdziwiła się Paulina.

– Oczywiście. To mąż mojej przyjaciółki.

– Zagląda tu od jakiegoś czasu. Chodzi o tę kurzą fermę, jego fundusz ją współfinansuje.

Ta informacja była jeszcze bardziej zaskakująca.

– On współfinansuje kurniki? Świat się kończy... – jęknęła Matylda.

Miała ogromną ochotę wypytać sekretarkę o szczegóły, pomyślała jednak, że moment nie jest najlepszy. A już na pewno miejsce nie było najlepsze. Bo nawet jeżeli ściany nie miały tu uszu, to z pewnością mieli je siedzący pod nimi interesanci.

„Okropny dziad – pomyślała Matylda. – Niech sobie buduje, co chce, ale jeżeli zamierza się w związku z tym kręcić po okolicy, Gai przed nosem, to to nie jest w porządku! Tak jakby nie mógł tych swoich cholernych pieniędzy inwestować gdzie indziej”.

W tym momencie do sekretariatu wrócił burmistrz. Tym razem zauważył Matyldę.

– Dobrze, że panią widzę – ucieszył się. – Proszę do mnie na moment!

W gabinecie było jasno i ciepło – dwa okna wychodzące na wschód wpuszczały do środka przedpołudniowe słońce i kiedy Matylda weszła, otuliło ją ciepło i światło. To miłe uczucie natychmiast zrujnował unoszący się w powietrzu delikatny zapach wody kolońskiej Hermès, który przypomniał Matyldzie, że chwilę wcześniej w tym samym pokoju przebywał Artur.

Burmistrz odsunął energicznie fotel, usiadł za biurkiem i zaczął przerzucać leżące na nim papiery.

– O, tutaj są. Bardzo proszę – podał Matyldzie plik kartek A4. – Gdyby zrobiła pani z tego artykuł do najnowszego numeru, byłbym wdzięczny.

Matylda wzięła do ręki materiały i zaczęła je przeglądać. Hodowla... kurniki... sprzeciw mieszkańców... Ewidentnie chodziło o kurzą fermę. A to nie był wygodny temat.

– Kilka tygodni temu napisałam krótką notatkę na temat protestów, i pan ją wstrzymał – przypomniała ostrożnie.

– Pani Matyldo, na litość boską, oczywiście, że wstrzymałem. Przecież nam tego nie wolno nagłaśniać! – zachnął się. – To, czego bym oczekiwał od pani, to konkrety. Pozytywne konkrety. Zakres inwestycji, aktualny stan prawny, jak najwięcej argumentów za. Musimy jakoś wpłynąć na opinię publiczną, przekonać

ludzi, że miastu ta ferma przyniesie mnóstwo korzyści. Właśnie był u mnie jeden z inwestorów, jest zaniepokojony skalą protestów, a podobno szykują się kolejne. Pan Peszek niestety nie odpuszcza. Jak tak dalej pójdzie, to się pożegnamy z tą inwestycją. A to by była dla nas ogromna strata.

– Jeśli chodzi o Peszka, to chyba na razie nie będzie miał możliwości, żeby protestować... – zaczęła Matylda i ugryzła się w język.

Bardzo lubiła „dzielić się wiedzą” – nazywane tak plotkowanie traciło swój negatywny wydźwięk, a stawało się czymś w rodzaju misji społecznej. Nawyk przekazywania dalej zasłyszanych informacji brał się stąd, że Matylda czuła się wtedy nie tylko potrzebna, ale wręcz niezastąpiona. Dlatego teraz odruchowo znowu chlapanęła coś, o czym wspominać nie powinna.

– Co z nim? – zainteresował się burmistrz. – Jak to nie będzie miał możliwości?

Oczywiście powinna udzielić jakiejś sprytnej, wymijającej odpowiedzi, ale – nie potrafiła.

– Dziś rano został aresztowany – wyznała, natychmiast czując jednocześnie ulgę oraz wyrzuty sumienia.

Burmistrz odchylił się w fotelu, przyglądając się Matyldzie uważnie.

– No proszę... – mruknął pod nosem. – I się doigrał. Aktywista od siedmiu boleści. To się musiało tak skończyć.

– Nie, nie chodziło o aktywizm – sprostowała szybko. – Policja podejrzewa go o zamordowanie Justyny Wysockiej.

Burmistrz przez chwilę patrzył na Matyldę bez słowa, wstrząśnięty informacją.

– Jego? – wydusił w końcu z siebie. – Peszka? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – O różne rzeczy mógłbym go podejrzewać, ale o morderstwo? Szok...

Zamilkł na chwilę, a potem przysunął się z fotelem do biurka.

– No dobrze. Przynajmniej mamy go z głowy. Proszę się zabierać do tego artykułu o fermie. Chciałbym go zobaczyć przed drukiem.

Otworzył stojącego na biurku laptopa i zaczął coś przeglądać na ekranie. Audiencja była skończona.

Matylda przycisnęła do brzucha teczkę z dokumentami, bąknęła coś na pożegnanie i wyszła. Towarzyszyło jej poczucie totalnej klęski. Nie dość, że wypaplała coś, o czym na razie nie powinna rozpowiadać, to jeszcze nie załatwiła najważniejszego – nie poprosiła o kontakt z rodzicami Justyny.

Wróciła do siebie do pokoju, usiadła przy biurku i położyła przed sobą materiały od burmistrza. Nie musiała ich czytać, żeby wiedzieć, że napisanie artykułu nie będzie proste. To znaczy – napisanie artykułu w taki sposób, jakiego życzył sobie szef. Jak najwięcej argumentów za... Tylko skąd je wziąć? Jak pokazać tę inwestycję w dobrym świetle, skoro sprawa śmierdzi na kilometr? I to nie tylko w przenośni. Plan budowy przemysłowej fermy drobiu w granicach miasta, w odległości zaledwie pół kilometra od ostatnich zabudowań, trudno było przedstawić pozytywnie.

Poczuła żal do burmistrza, a nawet coś w rodzaju irytacji, że postawił ją przed tak trudnym zadaniem. Przyszło jej nawet do głowy, żeby w ramach odwetu bez jego wiedzy przeprowadzić wywiad z rodzicami Justyny, ale natychmiast się z tego pomysłu wycofała. Był zbyt ryzykowny. Zresztą dwa duże materiały i tak by się obok siebie nie zmieściły.

ROZDZIAŁ 42

Siedząc na kanapie naprzeciwko wejścia do przebieralni i czekając na córki, Matylda postanowiła zadzwonić do Gai i podzielić się z nią informacją o Arturze. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer przyjaciółki. Gaja odebrała prawie natychmiast.

– Hej. Dzwonisz po *update*? – spytała. W tle słychać było głośny, jednostajny szum.

– Jesteś na basenie?

– Tak, czekam na Helenę. No więc rozmawiałam z tą twoją znajomą, nauczycielką...

Gaja streściła w kilku zdaniach to, czego się dowiedziała od Kani, opowiedziała też Matyldzie o spotkaniu w pizzerii z koleżanką Justyny Dominiką.

– Więc widzisz, robi się gęsto, tylko to jakoś nie idzie w dobrą stronę – podsumowała. – Na razie mamy podrapaną twarz Peszka i nagranie seksu z ofiarą. Ciężko będzie na tej podstawie udowodnić, że jest niewinny. Czuję, że musimy to ugryźć od drugiej strony – ciągnęła. – Czyli wiesz, nie dreptać wokół Nikodema, tylko szukać prawdziwego sprawcy. Kto mógł chcieć zabić tę dziewczynę? Kto aż tak jej nienawidził? Albo komu podpadła? Tak mało o niej wiemy... – I po chwili dodała: – Może powinnam porozmawiać z jej rodzicami, jak myślisz?

W tym momencie z przebieralni wyłoniły się Ala i Ula w nowych ciuchach. Obie wyglądały fatalnie.

– Moment – rzuciła do telefonu Matylda. – Dziewczynki tylko ogarnę.

Poderwała się z miejsca i zdecydowanym ruchem zawróciła je do kabin.

– Ala, te dzinsy za krótkie, zaraz ci przyniosę większy rozmiar. Ula, ten fason nie. Poszukam czegoś innego.

– Tylko żeby było różowe – miauknęła córka.

– Jasne.

Z telefonem przy uchu ruszyła między wieszaki.

– Sorry, już jestem. I się zgadzam ze wszystkim. Ale możemy na chwilę zostawić Peszka? Bo mam info.

– Mów.

– Widziałam dzisiaj Artura.

Przez chwilę z głośnika dochodził tylko szum z basenu. Matylda zdążyła odwiesić za małe dzinsy i wziąć rozmiar większe, kiedy Gaja odezwała się spokojnym i opanowanym głosem:

– Gdzie?

– W ratuszu, u burmistrza. Wiesz, że jego fundusz ma inwestować w te kurniki?

– Nie, nie wiem... Słyszałam tylko, że ta kurza ferma to syf, ale że Artur ma z tym coś wspólnego... no proszę... – na moment zamilkła. – Czy to oznacza, że on będzie tutaj bywał? W Milanówku?

– Bardzo możliwe – przyznała Matylda. – Spróbuję się dowiedzieć. Szef mi właśnie zlecił napisanie artykułu o tej inwestycji, więc będę miała orientację.

– Ho, ho, dziennikarstwo śledcze?

Matylda chwyciła bluzę dla Uli, tym razem różowo-błękitną.

– Raczej zasłona dymna. Muszę to napisać pod burmistrza, okropna robota. Dużo bardziej wolałabym porozmawiać z rodzicami Justyny i z tego zrobić materiał, ale...

– Szef ci nie pozwolił?

– Nawet go nie spytałam.

Matylda wróciła do przymierzalni. Przez jedne drzwi przerzuciła dzinsy, przez drugie – bluzę, i usiadła na kanapie.

– Chrzanić go – stwierdziła nagle Gaja. – Powinnaś do nich pójść i zrobić ten wywiad. W końcu jesteś dziennikarką, no nie?

Matylda nie była do końca pewna, czy może tak o sobie mówić, ale nie chciała się Gai do tego przyznawać.

– Nie wiem, czy mnie wpuszczą – zaasekurowała się.

– Wpuść nas, wpuść nas – zapewniła ją Gaja.

Matylda pomyślała, że się przesłyszała.

– Czy ty powiedziałaś: nas?

– Tak. Bo ja zamierzam pójść z tobą.

Oferty agencji detektywistycznych prawie zawsze zaczynały się od usług w zakresie wykrywania zrad i Gaja była przekonana, że również jej firma będzie się zajmowała głównie takimi działaniami. Co zresztą bardzo jej odpowiadało. Uważała, że – tak jak w przypadku Artura – wystarczy odrobina sprytu, trochę logiki i odpowiedni sprzęt, żeby osiągnąć sukces.

Banał.

Ale jak na złość ich pierwsza sprawa nie miała nic wspólnego ani z rozwodem, ani z obserwacją, a już na pewno nie miała nic wspólnego z banałem.

Teraz, siedząc na trybunach i obserwując z góry Helenę, pokonującą motylkiem jedną długość basenu za drugą, zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby rozwiązać umowę z Peszkiem – a właściwie z jego matką – i zamiast tracić czas na sprawę, która wydawała się z góry skazana na niepowodzenie, zająć się raczej intensywną akcją promującą agencję. Jedyne, co ją powstrzymywało przed rezygnacją, to świadomość, że umowa gwarantowała im wypłatę honorarium niezależnie od efektów pracy. Jednocześnie było nie fair ciągnąć to, nie wierząc w niewinność Peszka, i narażać go na wydatki, które mogły się okazać naprawdę wysokie.

Kiedy tak się nad tym zastanawiała, zadzwoniła Matylda. Rozmowa z przyjaciółką, poza niezbyt przyjemną informacją o Arturze, przyniosła pewien bardzo ciekawy trop.

Gaja wiedziała, że chcąc wpaść na ślad prawdziwego mordercy Justyny, musi się o niej jak najwięcej dowiedzieć. Powinna w tym celu koniecznie porozmawiać z matką dziewczyny, tylko nie miała pomysłu, jak ją namówić na spotkanie, jak

przekonać, żeby poświęciła jej swój czas i ujawniła emocje, zwłaszcza że miałyby one służyć oczyszczeniu z zarzutów człowieka, który w oczach opinii publicznej zamordował jej dziecko. I wtedy, jak na zawołanie, Matylda wyskoczyła z wywiadem.

To było rozwiązanie idealne. Dziennikarka lokalnej prasy budzi dużo większe zaufanie niż prywatny detektyw.

A gdyby tak na spotkanie z matką Justyny poszły we dwie?

ROZDZIAŁ 43

– Zajebicie pyszna – powiedziała Klara, wpychając sobie do ust prawie cały kawałek pizzy na raz. – Po marghericie ich poznacie. Jeżeli chcesz sprawdzić pizzerię, zamawiaj margheritę. Im prostszy skład, tym trudniej oszukać. Dodatki tylko zaciemniają obraz.

Kiedy Gaja wybiegła z lokalu jak oparzona, Klara i Dominika skwapliwie zajęły się jedzeniem. Obie były głodne i to je w jakiś sposób do siebie zbliżyło. Zwłaszcza że razem z Gają zniknęło też napięcie i oficjalna atmosfera spotkania.

Klara sięgnęła po szklankę i popijając niespiesznie colę, obserwowała Dominikę. Było jasne, że sucha informacja o filmiku przesłanym na Snapchacie to tylko część wiedzy, jaką dysponuje dziewczyna.

– To nagranie musiało cię nieźle zaskoczyć, co? – spytała lekkim tonem, oblizując palce z pomidorowego sosu.

Dominika odłożyła na talerz brzeg pizzy i nachyliła się do Klary.

– Ja się najpierw w ogóle nie kapnęłam, o co chodzi – wyznała. – Rozpoznałam Justynę, bo ona się patrzyła prosto w kamerkę, ale nie wiedziałam, co robi. To było takie dziwne...

Klara pokiwała ze zrozumieniem głową.

– A ty, Dominika, uprawiałaś już seks?

Oczy dziewczyny rozszerzyły się do rozmiaru spodków, a jej policzki przybrały odcień gotowanego buraka.

– Błagam... Ja i seks?

– Dlaczego nie?

– Nie podobam się chłopakom za bardzo...

– Bo o siebie nie dbasz! – wygarnęła Klara, szybkim ruchem zdejmując dziewczynie okulary. – Jesteś bardzo ładna, naprawdę. Gdybyś się umalowała i strzeliła sobie jakieś inne ciuchy, tobyś była mega laska.

Kolor twarzy Dominiki przeszedł z czerwonego w bordowy.

– Naprawdę tak pani myśli? – spytała speszona.

– Pewnie. A ja się akurat na tym znam. Jestem modelką – wyjaśniła.

Dominika aż westchnęła z zachwytu.

– Jest pani modelką? Wow... – W jej głosie pojawił się autentyczny podziw. – Ależ ja pani zazdroszczę!

– Daj spokój – Klara machnęła bagatelizująco ręką. – Modeling jest nudny. Dlatego założyłyśmy z koleżanką agencję detektywistyczną. I wiesz, to jest nasza pierwsza sprawa. – A kiedy zobaczyła we wzroku Dominiki zaciekawienie, płynnie przeszła do dalszych pytań: – Tylko ty dostałaś tego snapa, czy jeszcze ktoś z twojej klasy?

– Chyba tylko ja. Gdyby inni też dostali, to o seksie Justyny z Peszkiem gadałaby cała szkoła.

– I to był piątek?

– Tak, piątek wieczór. Akurat byliśmy u mojej babci na imieninach. Chciałam sobie nałożyć sałatki jarzynowej, babcia robi najlepszą, sięgnęłam po miskę i zobaczyłam, że przyszedł snap. Więc go otworzyłam... No i się zrobił obciach, bo ciotka akurat nade mną stała i normalnie ją zatkało. Powiedziałam jej, że ktoś rozsyła wirusa. Gdyby zamiast ciotki zobaczyła to moja mama, toby poleciała prosto do Justyny do domu i zrobiła awanturę, taką wystrzeloną w kosmos.

Klara postanowiła trochę docisnąć.

– Pamiętasz, co dokładnie było na nagraniu?

Dominika ściągnęła brwi, próbując się skupić.

– Justyna i Peszek, w łóżku, całowali się. Tyle.

– Byli nadzy? – drążyła dalej Klara.

Intuicja podpowiadała jej, że powinna wydobyć z Dominiki jak najwięcej szczegółów, nawet jeżeli pozornie nie wydawały się istotne. Na szczęście dziewczyna dość szybko oswoiła się z tematem rozmowy.

– On nie miał koszulki, a Justyna... nie wiem, tam strasznie kiepskie oświetlenie było. Takie... romantyczne, wie pani. Lampki choinkowe nad łóżkiem – zachichotała.

Klara próbowała sobie wyobrazić tę scenę: siedemnastolatka ustawia telefon, a potem filmuje, jak uprawia seks ze swoim nauczycielem. Tyle że kobiety raczej tego nie robią. To znaczy nie filmują same siebie podczas seksu. Musiała bardzo chcieć udowodnić klasie, że jest *cool* i że udało jej się poderwać nauczyciela. Ale dlaczego w takim razie wysłała snapa tylko do Dominiki? Do nikogo więcej?

– Myślisz, że on wiedział, że ona to nagrywa?

– W sumie mógł nie wiedzieć. Ani razu się nie odwrócił, było widać tylko jego plecy i ramiona – powiedziała Dominika z namysłem. – Nawet sobie pomyślałam, że on jest trochę *creepy*.

– *Creepy*? – zainteresowała się natychmiast Klara.

– No tak, bo ma taką straszną bliznę na ramieniu... I to naprawdę nefajnie wygląda. Podobno, jak był mały, to babcia przypadkowo oblała go wrzątkiem z garnka. Jak się na to patrzy, to aż człowieka skręca. Latem, jak nosi koszulki z krótkim rękawem, to bardzo widać. Brrr... – na wspomnienie aż się wzdrygnęła.

– Czy rozmawiałaś potem z Justyną? Ona jakoś skomentowała ten filmik?

– Nie. Ja do niej nie dzwoniłam, ona też przez całą sobotę i niedzielę się nie odzywała, a w poniedziałek nie przyszła do szkoły. Już wtedy... no wiadomo.

Klara poklepała dziewczynę delikatnie po plecach, żeby jej dodać otuchy.

– Niestety – westchnęła. – Straszne to, ale musimy dalej żyć. Co byś powiedziała na jakiś deser?

ROZDZIAŁ 44

Esemes od Gai przyszedł dwie minuty po ósmej rano, ale Klara otworzyła go dopiero półtorej godziny później, kiedy Scarlett obudziła ją, liżąc szorstkim językiem po brodzie.

Treść wiadomości, czyli: „Zaczynamy dziesiąta zero zero bądź punktualnie” nie wróżyła najlepiej. Do dziesiątej zero zero zostało dwadzieścia minut. W tym czasie Klara zdążyłaby zapewne wziąć prysznic, zjeść śniadanie, może nawet nakarmić kota, ale z pewnością nie dojechałaby do Milanówka.

Oczywiście mogła się spóźnić, czuła jednak przez skórę, że tym razem Gaja już jej tego nie daruje. Nie po to wygłosiła pouczającą pogadankę poprzednim razem, żeby teraz nadwyreżać swój autorytet, nie wyciągając w stosunku do Klary żadnych konsekwencji.

Trzeba było coś wymyślić, i to szybko.

Coś wiarygodnego i dramatycznego, dramaty sprawdzają się bardzo dobrze.

A najlepiej, co wiedziała z doświadczenia, sprawdzają się dramaty rodzinne.

Najpierw kilka razy przebiegła z łazienki do pokoju, o mało nie rozdeptując kota i gratulując sobie w duchu, że wczoraj nie pozwoliła Damianowi zostać na noc – organizowanie alibi w jego obecności mogłoby być odrobinę krępujące.

Kiedy była już wystarczająco zdyszana, chwyciła komórkę i wybrała numer Gai.

– Słuchaj, nie będzie mnie dzisiaj – rzuciła, oddychając szybko do słuchawki. – Jestem w drodze do Torunia. Moi rodzice mieli wypadek samochodowy...

– Wypadek? Coś poważnego? – W głosie Gai zabrzmiał niepokój.

– Wjechała w nich ciężarówka, koszmar – Klara jęknęła boleśnie. – W szpitalu nic mi nie chcą powiedzieć, więc wskoczyłam na motor i jadę tam. Muszę być przy nich... – ten poziom dramy powinien wystarczyć. – Sorry, że nie zadzwoniłam od razu, ale rozumiesz, nerwy. Teraz się zatrzymałam tylko na chwilę na stacji zatankować i pędzę dalej.

Gaja odchrząknęła. Nawet jeżeli podejrzewała, że Klara kłamie, nie mogła jej tego wprost zarzucić, bo wyszłaby na sukę bez serca.

– Bardzo ci współczuję – powiedziała z namysłem. – Jedź ostrożnie. Trzymam kciuki. I daj mi potem znać, jak sytuacja.

– Jasne! – Klara podeszła do blatu i wrzuciła do kocięj miski saszetkę whiskasa z kaczką. – Zadzwonię, jak tylko będę coś wiedziała.

Rozłączyła się, zadowolona, i spojrzała na zegarek w telefonie. Dziewięta pięćdziesiąt. Szybko poszło.

Poczuła w brzuchu dziwny ucisk, więc wrzuciła dwie kromki chleba do tosterka, a kiedy z niego wyskoczyły, posmarowała je grubo masłem i pochłonęła łąpczywie. Mimo to dyskomfort w brzuchu nie minął i Klara nagle sobie uświadomiła, że wcale nie był spowodowany przez głód, tylko przez uczucie, którego doświadczała niezwykle rzadko, a mianowicie – przez wyrzuty sumienia. „Przesadziłam z tym wypadkiem – pomyślała niechętnie. – Nie powinnam opowiadać takich rzeczy...” I nagle przyszło jej do głowy coś, co zaskoczyło nawet ją samą.

Znowu sięgnęła po telefon, ale tym razem wybrała numer matki.

– Klarcia? – usłyszała jej zaskoczony głos. – Coś się stało, córeczko?

– Nic. Tylko się stęskniłam. Wpadnę do was na obiad, co ty na to?

Rodzice Klary mieszkali w Toruniu na Piaskach, przy ulicy Złotej, w bardzo zadbanym, choć niezbyt urodziwym domu z lat dziewięćdziesiątych. Do żółtego tynku, drewnianych balustrad i nowych połaciowych okien trudno się było przyczepić, jednak zbyt wysoki parter dramatycznie zaburzał proporcje. Choć to właśnie na nim, w sensie dosłownym i przenośnym, wszystko się tutaj opierało – to

tam mieścił się zakład prania dywanów i tapicerki samochodowej prowadzony przez ojca Klary.

Kiedy podjechała pod dom, jakiś klient właśnie wkładał do samochodu zwinięty w rulon dywan. Natychmiast powróciły wspomnienia. Aż się wzdrygnęła.

Ojciec wyszedł z zakładu, żeby się z nią przywitać. Jak zwykle miał na sobie roboczy kombinezon, który zdejmował przed wejściem do mieszkania, a pod nim – koszulę i krawat. Klara żartowała, że ojciec woli być przygotowany na wypadek, gdyby przyjechali z dywanami z pałacu prezydenckiego, on jednak nie uważał tego za zabawne. Miał po prostu swoje zasady, których ściśle przestrzegał. Zasady, które dotyczyły nie tylko pracy, ale i życia piętro wyżej.

Sięgnęła do sakwy i wyjęła z niej whisky, którą kupiła po drodze w centrum handlowym w Łomiankach. Na alkohol dla ojca i złoty emaliowany wisiorek w kształcie ważki dla mamy wydała swoje ostatnie pieniądze, ale uwielbiała robić prezenty. Cmoknęła ojca w policzek, wręczyła mu butelkę i zanim zdążył o cokolwiek zapytać, pobiegła na górę.

Mama była w trakcie przygotowywania obiadu. Na cześć Klary robiła jej ulubione danie, gołąbki, i w całym domu pachniało kapustą i czosnkiem, który dodawała do pomidorowego sosu. Przytuliła córkę mocno, a potem powiedziała przepraszającym tonem:

– Kochanie, wiesz, jak tata nie lubi, kiedy chodzisz po domu w butach...

Klara posłusznie ściągnęła obuwie, ale podekscytowanie z przyjazdu w tym momencie zmalało prawie do zera.

Za każdym razem działo się dokładnie to samo. Klara pędziła do domu jak na skrzydłach, stęskniona i pełna dobrych chęci, a potem błyskawicznie przypominała sobie, dlaczego wiele lat temu stąd uciekła.

Wisiorek bardzo się mamie spodobał, choć zbeształa córkę, że wydaje na nią pieniądze, zamiast odkładać. Potem zaczęła wypytywać Klarę o życie w Warszawie. Przed przyjściem ojca Klara zdążyła jej opowiedzieć o Damianie,

przedstawiając ich związek jako poważny, stabilny i przyszłościowy. O tym, że trwa zaledwie od kilku dni, nie wspomniała.

Usiedli do stołu punktualnie o trzeciej, jak zawsze. I tak jak zawsze rozmowa nagle przestała się kleić, bo każde pytanie zadane przez ojca ostrym, surowym tonem brzmiało tak, jakby chciał udowodnić winę oskarżonej o morderstwo seryjnej zabójczynie. I choć Klara nie wątpiła, że jego intencje są dobre, miała ochotę mocno nim potrząsnąć. Zamiast tego kłamała jak z nut, roztaczając przed rodzicami wizję swojego życia, które mogłoby im się spodobać: dobra, stabilna i nudna praca (kilka miesięcy temu wspomniała im coś o Ministerstwie Rolnictwa – nic nudniejszego i bardziej stabilnego nie przychodziło jej do głowy – i teraz twardo trzymała się tej wersji), miły chłopak (matka kazała jej powtórzyć ojcu wszystko to, co wcześniej opowiadała o Damianie, i obiecać, że następnym razem go ze sobą przywiezie) i skromne wakacyjne plany, najlepiej w kraju, bo tu taniej. Gdyby się dowiedzieli, że na weekendowy wypad nad polskie morze Klara potrafi wydać tyle, co inni na dwutygodniowe wczasy w Egipcie...

Po pół godzinie uważania na słowa, co było naprawdę męczące, uznała, że musi odpocząć. Odniosła do kuchni talerze i poszła do swojego dawnego pokoju. Niestety nie był to dobry pomysł. Wysprzątane i uporządkowane tak jak reszta domu wewnątrz zrobiło na niej przygnębiające wrażenie.

Klara wiele razy obiecywała sobie, że posegreguje rzeczy, to, co trzeba, wyrzuci, a to, co ciągle w niej budzi sentyment, zabierze ze sobą do Warszawy, ale ciągle nie znajdowała na to czasu. A może odwagi? Bo za każdym razem kiedy tutaj wchodziła, atakował ją lęk tak silny, że aż się trzęsła.

Być może gdyby umiała zrozumieć pewne mechanizmy, wiedziałyby, że przez całe dorosłe życie zajmuje się ucieczką przed tym lękiem. Ale ponieważ nigdy nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić, zrobiła to, co zwykle – powiedziała rodzicom, że musi lecieć, wskoczyła na motocykl i pomknęła w kierunku Warszawy.

Tym razem zamierzała pozwolić Damianowi zostać na noc.

ROZDZIAŁ 45

„Bo ja zamierzam pójść z tobą”... Gaja tym swoim podejściem „hop do przodu” strasznie Matyldę irytowała. Zwłaszcza, kiedy tę zasadę stosowała nie tylko do siebie, ale do Matyldy również. Wizja, że znowu na użytek przyjaciółki będzie musiała kłamać, bardzo ją uwierała.

Żeby w ogóle jakoś dotrzeć do popołudnia, od rana rzuciła się w wir pracy, wykreślając na swojej liście zadań jedną linijkę za drugą i starając się nie zastanawiać, czy Nikodem Peszek zabił Justynę, czy nie.

Niestety bardzo szybko się okazało, że fakt, iż Matylda stara się odciąć od sprawy, wcale nie znaczy, że sprawa zamierza się odciąć od niej. Koło południa do jej pokoju przywiał Igor.

– Słyszałaś o Nikodemie? – zapytał, siadając na parapecie i kładąc obok siebie aparat, z którym się nie rozstawał.

– Tak – odpowiedziała ostrożnie. – A co?

– To nie on – oświadczył poważnym głosem fotograf.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się.

– Wszyscy tak mówią – wyjaśnił. – Znaczą wszyscy kumple. On jest w porządku gość.

– Dowody świadczą przeciw niemu – zauważyła bez przekonania. Nie czuła się na siłach bronić Peszka.

– Może i tak. Ale nie zafajdałby sobie życia taką głupotą, mówię ci – zapewnił Igor. – I dlatego chcielibyśmy cię prosić, żebyś napisała o nim artykuł do biuletynu.

Matylda zamknęła na chwilę oczy. Nie, to się nie dzieje naprawdę.

– Jaki artykuł?

– O nim. Wybielający. Mogłabyś przedstawić, jaki jest naprawdę. Żeby ludzie przestali na niego gadać, bo straszne rzeczy słysząc na mieście. Nawet ci przygotowałem zdjęcia do tekstu. Patrz.

Zsunął się z parapetu, włączył aparat i podsunął jej ekran.

– Masz kilka, do wyboru. Te są z lata, z ogniska u znajomych, a tutaj masz takie super z ostatniego sylwestra...

Matylda pokręciła przecząco głową.

– Nie! – powiedziała. – Burmistrz się nie zgodzi. Zresztą nawet gdyby pozwolił, to ja nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo... bo jestem w tę sprawę zaangażowana!

– Ty? – zdziwił się Igor. – A niby w jaki sposób?

– Idę dzisiaj na wywiad z matką Justyny – wyjaśniła. – Nie mogę jednocześnie pisać o Peszku.

Igor powiesił sobie aparat na szyi i ruszył do drzwi.

– Dobra. W sumie wiedziałem, że tak to się skończy.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Matylda.

– Bo ty nie z tych, co się pchają przed szereg.

I wyszedł, zamykając za sobą drzwi odrobinę silniej niż zwykle. A Matylda została z nieprzyjemnym uczuciem, że mężczyzna niestety ma rację.

ROZDZIAŁ 46

Punktualnie o osiemnastej Gaja wyprowadziła samochód z garażu i podjechała pod dom Matyldy. Czekaając na przyjaciółkę, sięgnęła po włożone w szparę w desce rozdzielczej pióro kormorana, znalezione latem na Stawach Raszyńskich, i zaczęła je delikatnie głaskać palcem. Nagle zatęskniła za spokojem, który ją ogarniał zawsze wtedy, kiedy uzbrojona w lornetkę i aparat obserwowała ptaki. Zatęskniła za długimi, leniwymi godzinami, spędzonymi z samą sobą, które uczyły ją powściągać wrodzoną porywczosć i kierować energię do wnętrza, nie na zewnątrz. Ze smutkiem uświadomiła sobie, że teraz, z głową wypełnioną myślami i nowym lokatorem – obawami o przyszłość – nie wytrzymałaby w bezruchu nawet kwadransa.

Nie mając pomysłu na żadne konkretne działania w sprawie Peszka, umówiła się na rano z Klarą, żeby porozlepić ulotki agencji w sąsiednich miejscowościach. Działanie dwutorowe, tak o tym myślała, trochę zaniepokojona, że do tej pory nie zgłosił się do nich żaden nowy klient.

Jednak Klara się nie pojawiła, bo... No właśnie. Historia o wypadku samochodowym rodziców była tak absurdalnie naciągana, że właściwie mogła być prawdziwa, Gai nie pozostało więc nic innego jak zabrać się samej do roboty. Zdążyła obskoczyć Grodzisk i pół Pruszkowa. Być może udałoby jej się nawet dzisiaj oplakatować cały, gdyby nie to, że o osiemnastej była umówiona z Matyldą.

Komórka brzdęknęła sygnałem esemesa. Gaja spojrzała na ekran. „Z rodzicami wszystko w porządku niegroźne stłuczenia mieli szczęście. Wracam do Warszawy jutro jestem”, napisała Klara. „Super”, odpisała Gaja.

W tym momencie na ścieżce prowadzącej do furtki pojawiła się Matylda. Była ubrana po swojemu – wszystko, co miała na sobie, posiadało fakturę worka oraz

intensywne i pomieszane ze sobą bez żadnego planu koloru. Gaja nie była pewna, czy taki strój się sprawdzi podczas rozmowy z kobietą, która niedawno straciła córkę. Wydał jej się za mało... współczujący? Sama włożyła wąską czarną spódnicę, czarny cienki golf i szarą marynarkę i w porównaniu z Matyldą wyglądała poważnie, choć odrobinę ponuro.

Ale nie strój Matyldy najbardziej zaintrygował Gaję, tylko torba, którą niosła. Była to reklamówka z Biedronki, z tych większych, w której znajdowało się coś dużego i okrągłego.

– Co tam masz? – spytała, kiedy tylko przyjaciółka otworzyła drzwiczki auta.

Matylda wpakowała się do środka i położyła sobie torbę na kolanach.

– A, nic takiego – odpowiedziała, nie patrząc na Gaję.

– Pokazuj!

Matylda ostrożnie rozchyliła siatkę. W środku znajdowała się tortownica, a w tortownicy – jakieś ciasto.

– Szarlotka – wyjaśniła Matylda. – Upiekłam dla Wysockiej – i widząc w oczach Gai pełne nieufności niedowierzanie, szybko wytłumaczyła: – W amerykańskich filmach jak się komuś przytrafia nieszczęście, to sąsiadki przynoszą jedzenie. Żeby okazać współczucie i wsparcie...

– Nawet nie wiem, jak to skomentować – Gaja patrzyła na Matyldę zafascynowana. – Chyba tylko tak, że nie jesteśmy w Ameryce, a ty tam nie idziesz jako sąsiadka, tylko reporterka lokalnej gazety.

– Wiem, wiem – zgodziła się Matylda. – Ale pomyślałam, że będzie miło.

Dom Justyny znajdował się kilka przecznic dalej. Z ulicy prawie niewidoczny, otoczony wysokim, pomalowanym na biało murem, skojarzył się Gai z pilnie strzeżoną posiadłością jakiegoś wysokiego w hierarchii kolumbijskiego mafioso.

Wysiadły z samochodu i podeszły do furtki, obok której znajdował się srebrny, ostentacyjnie błyszczący panel z dzwonkiem, głośnikiem i kamerą. Metal lśnił tak idealną czystością, że Matylda, zanim nacisnęła guzik, wytarła palec o spódnicę.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Gaja pomyślała, że trzeba będzie zadzwonić po raz drugi, kiedy z głośnika dobiegł najpierw nieprzyjemny pisk, jaki czasami wydają głośniki podczas koncertów, a potem zniekształcony kobiecy głos zabrzmiał niechętnie:

– Słucham?

– Dzień dobry. – Matylda uśmiechnęła się do kamery. – Matylda Żukowska, urząd miasta. Dzwoniłam dzisiaj do pani, umówiliśmy się na wywiad.

Przez chwilę w domofonie słychać było tylko ciche trzaski, oznaczające, że słuchawka w mieszkaniu nie została odłożona, po czym, rozległ się cichy brzęczyk. Gaja naparła ramieniem na furtkę, która otworzyła się tak lekko, jakby nie trzymała się na zawiasach, tylko na jakimś polu siłowym.

Ruszyły przez idealnie wypielegnowany ogród w kierunku położonego w głębi działki luksusowego i odważnego architektonicznie domu. Gdyby go porównać do ciastka, byłby monoporcją z Deseo Patisserie: miał zaskakująco awangardowe, choć harmonijne kształty, przemyślane proporcje, a materiał, z którego został zbudowany, musiał być najwyższej jakości.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Joanna Wysocka. Gaja wcześniej wygooglowała ją sobie w internecie i teraz nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zamieszczone w sieci zdjęcia zostały zrobione przed wielu laty, bowiem stojąca przed nimi kobieta kompletnie nie przypominała pierwowzoru. Miała napuchniętą twarz, zniekształcone, rozlane rysy i zaczerwienione oczy.

„Szewc bez butów chodzi”, pomyślała Gaja. Wysocka, właścicielka sieci klinik medycyny estetycznej, wyglądała jak żywa antyreklama własnego biznesu.

– Świetnie, że wpadłyście! – przywitała je trochę niewyraźnie, a Gaja uświadomiła sobie, że kobieta jest wstawiona. – Chodźcie, chodźcie!

Zaprosiła je do środka trochę nieskoordynowanym machnięciem ręki i nie czekając, aż wejdą, ruszyła przez szeroki hol, na którego marmurowej posadzce jej nogi w wysokich szpilkach niebezpiecznie się rozjeżdżały.

Gaja szła za gospodynią, rozglądając się ciekawie. Architekt zarządzający to wnętrze był nie tylko zdolny, ale dysponował również okazałym budżetem, bo oprócz designerskich mebli i oryginalnych dodatków Gaja wypatrzyła na ścianach dwa obrazy Dwurnika i po jednym Beksińskiego i Makowskiego. Taki zestaw musiał kosztować fortunę.

– Czego się napijecie? – rzuciła Wysocka przez ramię, zatrzymując się obok barku. – Jakiegoś drineczka? Wina nie warto, ale jakbyście chciały, to też mam.

– Ja nie mogę, przyjechałam autem – zastrzegła natychmiast Gaja.

Matylda wyglądała na kompletnie zdezorientowaną.

– Ja... ja w sumie też dziękuję... – bąknęła. – Przyniosłyśmy ciasto.

Wydobyła tortownicę z siatki.

– To szarlotka. Z przepisu mojej mamy – dodała zachęcająco.

Wysocka patrzyła na nią przez chwilę, kiwając się lekko na obcasach. Nagle zaczęła wydawać z siebie dziwne, rozdzierające dźwięki, opadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Dopiero po chwili Gaja zorientowała się, że kobieta szlocha.

– Przynieś mokry ręcznik – poleciła Matyldzie, a sama chwyciła Wysocką pod ramiona, pomogła jej wstać i zaprowadziła na kanapę.

– Ona tak kochała szarlotkę! – Kobieta zachłystywała się łzami. – Moja Justynka, moje dziecko kochane!

Kiedy Matylda wróciła z ręcznikiem, Gaja przetarła Wysockiej twarz, co trochę ją otrzeźwiło i uspokoiło.

– Nie wiem, co mam robić – szepnęła bezradnie. – Nie dopilnowałam jej. Nie zajęłam się nią, kiedy mnie potrzebowała. A teraz nie żyje. Nie żyje...

Ponieważ wyglądała tak, jakby za chwilę znowu się miała rozpłakać, Gaja położyła jej dłonie na ramionach i zajrzała w zapuchniętą od łez i alkoholu twarz.

– Pójdziemy do kuchni, dobrze? – powiedziała łagodnie. – Musi się pani napić kawy.

ROZDZIAŁ 47

– Słuchaj, chodźmy już może, co? – szepnęła Matylda. – Ona jest w takim stanie, że nic z tej rozmowy nie będzie.

Stały z Gają przy ekspresie i czekały, aż brązowy płyn wypełni drugą w ciągu ostatniego kwadransa filiżankę.

– Zwariowałaś? – Gaja odwróciła się, sprawdzając, czy Wysocka nie zsuwa się przypadkiem z krzesła, na którym z trudem ją umieściły. – Nie po to ją doprowadzamy do stanu używalności, żeby tak po prostu odpuścić. Drugi raz taka okazja nam się nie trafi.

Matylda westchnęła.

– Ona jest taka biedna... tak mi jej szkoda... Niepotrzebnie ją zdenerwowałyśmy tym wywiadem. Po co ja w ogóle do niej dzwoniłam? Na pewno dlatego zaczęła pić.

Gaja przewróciła oczami.

– O której to było? O jedenastej? I myślisz, że do takiego stanu doprowadziła się przez te parę godzin? Według mnie ona pije, odkąd się dowiedziała, że Justyna nie żyje. Owszem, jest biedna, ale uważam, że rozmowa dobrze jej robi – oświadczyła twardo i sięgnęła po filiżankę. – Zaufaj mi.

Kolejna kawa sprawiła, że Joanna Wysocka nie tylko usiadła prosto, ale zaczęła się również całkiem logicznie wysławiać.

– Co chcecie wiedzieć o Justynce? – spytała, chwytając Matyldę za rękę i zaglądając jej w oczy. – Wszystko wam opowiem i pięknie o niej napiszecie. Wszystko wam opowiem... – westchnęła.

– Oczywiście – Matylda, zakłopotana, sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej notes i długopis. – Więc... jaka ona była?

Wysocka upiła łyk kawy.

– Cudowna. Zdolna, radosna, przebojowa. I taka... utalentowana. Miała świetny głos, śpiewała, grała na gitarze, rysowała.... Nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Wynajdywała sobie różne kursy: letteringu, makijażu i charakteryzacji, garncarstwa. O, tamten wazonik to ona zrobiła. Prześliczny, prawda?

Gaja powędrowała za jej wzrokiem. Na parapecie okna stało niskie, pękate, trochę bezkształtne naczynie, które z pewnością trudno było nazwać nie tylko prześlicznym, ale wręcz ładnym. Te zachwyty nad córką i pudrowanie rzeczywistości zaczęły jej się wydawać nieznośne.

– A jednak chyba nie wszystko było takie idealne – rzuciła prowokującym tonem. – Słyszałyśmy, że kilka razy uciekła z domu.

To była ryzykowna taktyka, ale Gaja nie przyszła tutaj po to, żeby wysłuchiwać laurki na temat zamordowanej dziewczyny. Ktoś ją zabił i z pewnością musiał mieć motyw. Jeżeli nie uda jej się przerwać matce Justyny tego chlapania lukrem na prawo i lewo, szanse, że dowiedzą się od niej czegoś istotnego, były znikome.

Wysocka popatrzyła na Gaję zaskoczona.

– O tym też chcecie pisać? – spytała.

W jej głosie nie było pretensji, tylko ciekawość.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą Matylda. – Ale na pewno chciałybyśmy mieć pełny obraz. Wtedy będzie łatwiej pokazać Justynę wielowymiarowo. Żaden nastolatek nie jest ideałem.

– Och, Justyna na pewno nie była – w głosie Wysockiej pojawiła się gorycz. – To, co powiedziałam o niej wcześniej, to prawda – zastrzegła się. – Tyle tylko, że dwa lata temu wszystko się zmieniło. Wszystko.

Kobieta przygryzła wargi tak mocno, że na powierzchni skóry pojawiły się dwie maleńkie krople krwi.

– Zaczęłam się spotykać z Norbertem. To znaczy z moim aktualnym mężem. I wtedy... no cóż, Justynka zrobiła się zazdrosna, niemiła, złośliwa. Przestała się uczyć. Znalazła sobie jakieś beznadziejne towarzystwo, w efekcie wyrzucili ją ze

szkoły. To było dla mnie takie trudne, nie macie pojęcia... Staralam się, naprawdę, Norbert też się starał, ale ona się od nas obojga odwróciła, straciliśmy z nią kontakt.

Gaja pierwszy raz podczas tej rozmowy poczuła, że ma do czynienia z prawdziwą tragedią. I że Wysocka nie upija się z powodu śmierci córki, ale dlatego, że czuje się za nią w jakimś sensie odpowiedzialna.

– Tak, uciekała z domu – mówiła dalej kobieta. – Marzyła o tym, że pojedzie do ojca, do Niemiec, zamieszka z nim, że tam wreszcie będzie najważniejsza. Ale nie wzięła pod uwagę, że Krystian ma nową rodzinę, dwoje małych dzieci, i nie chce problemu w postaci zbuntowanej nastolatki.

– A jak wyglądały relacje Justyny z pani mężem przed zaginięciem?

Kobieta roześmiała się gorzko.

– Bardzo źle. Właściwie odkąd się przeprowadziliśmy do Milanówka, było coraz gorzej. Justyna zrobiła się nieznośna, prowokowała go, co chwila wybuchały awantury. W Warszawie miała znajomych, różne aktywności, często wychodziła na miasto. Tutaj dużo więcej czasu spędzaliśmy razem. I chociaż ten dom jest ogromny, to świadomość, że wszyscy jesteśmy pod jednym dachem, była... trudna. Zwłaszcza dla Justyny.

W oczach Wysockiej znowu zaszklily się łzy.

– Dla mnie najboleśniej jest to, że się z nią nie pożegnałam. Że mnie tu nie było, kiedy wyszła. Że pojechałam specjalnie na cały dzień do Warszawy, żeby nie siedzieć w domu. Może gdybym została, przypilnowała ją... to by się nie zdarzyło?

Gaja nagle poczuła się tak, jakby ktoś jej posypał solą świeżą ranę. Położyła rękę na sercu i zamknęła oczy. Zaczęła oddychać głęboko, próbując się uspokoić. Bardzo dobrze znała ten sposób myślenia, bo towarzyszył jej od ponad dwudziestu lat. „Może gdybym to ja poszła wtedy do samochodu, to by się nie zdarzyło? Może mama nie zwichnęłaby nogi i nie wróciła z ojcem do Milanówka? Może...” Wiedziała, że ta przytłaczająca wątpliwość będzie jej towarzyszyć do końca życia.

– Gaja?

Drgnęła. Matylda przyglądała jej się podejrzliwie.

– Co ci jest? – spytała szeptem.

Gaja uśmiechnęła się uspokajająco.

– Nie, nic. Czyli kiedy ją pani widziała ostatni raz? – zwróciła się do Wysockiej.

– W niedzielę koło południa. – Kobieta przymknęła oczy, odtwarzając w pamięci ten moment. – Zbierałam się do wyjazdu, Justyna kręciła się po kuchni, późno wstała, dopiero robiła sobie śniadanie. Tosty z dżemem truskawkowym. Poprosiłam ją, żeby zakręciła słoik i wstawiła go do lodówki, a ona zaczęła krzyczeć, że ma ten dżem w dupie, i różne inne, gorsze rzeczy. A potem nagle zaczęła atakować Norberta. Że to jest zły człowiek, że ja go nie znam... Bardzo to było przykre.

Wysocka ukryła twarz w dłoniach i Gaja przestraszyła się, że zaraz znowu zacznie płakać. Na szczęście kobiecie udało się jakoś opanować.

– Nie mogłam tego znieść. Wzięłam torebkę i poszłam do garażu. Kiedy wyprowadziłam samochód na ulicę, zauważyłam, że w skrzynce pocztowej jest jakaś korespondencja. Pomyślałam, że to dziwne, przecież w niedzielę listonosz nie chodzi. Sprawdziłam. Tam był tylko jeden list, do Justyny, chociaż przecież w dzisiejszych czasach dzieciaki nie piszą do siebie listów. I chociaż wcale nie chciało mi się wracać do domu, zaniiosłam go córce.

Gaja słuchała z coraz większym zainteresowaniem.

– Czy ona go przy pani otworzyła?

Wysocka pokręciła przecząco głową.

– Nie, oczywiście, że nie. Chwyliła go i pobiegła na górę. A ja pojechałam do Warszawy, do swojej kliniki na masaż. Potem zrobiłam sobie jeszcze lifting, spotkałam się z koleżanką i zjadłyśmy razem późny obiad, bardzo było miło. Wróciłam po dziewiątej. Justyny już nie było w domu... – Uśmiechnęła się smutno i dodała: – Nigdy sobie tego nie wybaczę.

W kuchni zapadła przejmująca cisza. Nagle Wysockiej coś się przypomniało.

– A czy wy ją w ogóle widziałyście? Moją Justynkę? – spytała, ożywiona. – Wiecie, jak wyglądała? Jaka była śliczna?

Gaja i Matylda pokręciły przecząco głowami.

– To chodźcie, pokażę wam.

Wstała ostrożnie od stołu, niepewna, czy uda jej się zachować równowagę. Zsunęła z nóg szpilki i nie oglądając się na Matyldę i Gaję, ruszyła do salonu. Matylda chciała iść za nią, ale Gaja przytrzymała ją za rękę.

– Ten list – powiedziała cicho. – Co w nim mogło być?

– Nie wiem. Czy to ważne?

– Słyszałaś, co powiedziała Wysocka? Dzieciaki w tych czasach nie piszą do siebie listów. Co w nim mogło być?

Matylda czuła, że powinna dołączyć do gospodyni. List jej nie interesował.

– Nie wiem. Chodź, usiądźmy z nią na chwilę.

Ale Gaja miała inne plany.

– Ty jej przypilnuj, ja poszukam tego listu – powiedziała cicho do przyjaciółki.

Matylda popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Jak to poszukasz? Gdzie?

– U Justyny w pokoju. Idź. Za pięć minut wracam.

Matylda chciała zaprotestować, ale Gaja popchnęła ją delikatnie w kierunku salonu, a sama wbiegła schodami na piętro.

W pokoju Justyny czas zatrzymał się dwudziestego ósmego stycznia. Na samym środku, na wykładzinie dywanowej leżała samotna czarna skarpetka, łóżko zaścielały wyjęte z szafy ciuchy, które prawdopodobnie przymierzała przed wyjściem, a na toalecie piętrzyły się góry przeróżnych kosmetyków: pudry, cienie, kredki do oczu i szminki, sprawiając wrażenie, jakby Justyna miała za chwilę usiąść na różowym taborecie przed lustrem i zacząć się malować.

Gaja wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i zaczęła robić zdjęcia. Czuła, że to miejsce wiele im może powiedzieć o osobie, która tu mieszkała.

Na stojącym pod oknem biurku leżały podręczniki i zeszyty, stała pusta szklanka i wazonik, bardzo podobny do tego, którym mama Justyny pochwaliła się w kuchni, z uschniętą różą. Tylko środek blatu był wolny i Gaja uświadomiła sobie, że w tym miejscu musiał stać laptop dziewczyny, który prawdopodobnie zabrała policja. Czy wzięli coś jeszcze? Czy przeszukali pokój? Jeżeli tak, to zrobili to na tyle dyskretnie, żeby nie pozostawiać śladów.

Z wprawą matki nastoletniej córki zaczęła orientować się w tym bałaganie, uzupełniając jednocześnie dokumentację zdjęciową. Sprawdziła szuflady biurka i szafki nocnej, zajrzała pod poduszkę i materac, ale listu nigdzie nie było. Czy to możliwe, że Justyna go wyrzuciła?

Podeszła do umieszczonego we wnęce okna. Na szerokim parapecie w kolorze mięty rozrzucono kilka poduszek w czerwoną kratę, zachęcających, żeby na nich usiąść. A wśród nich leżała książka, *Mistrz i Małgorzata* Bułhakowa.

Gaja przysiadła na parapecie, wzięła książkę do ręki i pogłaskała okładkę. A więc to była ostatnia lektura Justyny? Ciekawe, ile zdążyła przeczytać... Otworzyła książkę w miejscu, w którym jako zakładka tkwiła złożona na pół kartka. Zaciekawiona, obciągnęła rękaw golfu, ostrożnie chwyciła papier przez materiał i rozłożyła go. Wydrukowany tekst był krótki i brzmiał następująco: „Musimy się zobaczyć. Dziś ósma wieczór willa Krysin. Nikomu nic nie mów”. A pod spodem w podpisie widniała skreślona ręcznie, zamaszysta litera N.

ROZDZIAŁ 48

Na ekranie zajmującego pół ściany telewizora kilkuletnia dziewczynka energicznie naciskała pedały czerwonego rowerka na trzech kółkach.

– Justynka, pomachaj mamusi! – zachęcał ją kobiecy głos spoza kadru.

Mała popatrzyła w kamerę i roześmiała się radośnie, a Matylda przypomniała sobie swoje córki, które jeszcze całkiem niedawno na takich rowerkach jeździły.

– Słodka, prawda? – westchnęła z rozczeniem Wysocka. – Wtedy jeszcze byłam z jej ojcem. Rozstaliśmy się, jak Justynka miała dziesięć lat. Bardzo go kochała. Pewnie dlatego nigdy nie potrafiła zaakceptować, że się związałam z Norbertem – wyznała ze smutkiem.

Po chwili na ekranie pojawiła się plaża i taplające się w wodzie dzieci.

– O, tam jest! – ożywiła się kobieta. – W tym zielonym kostiumiku. Słonko moje...

Podniosła się odrobinę niepewnie z kanapy i podeszła do ekranu tak blisko, jakby zamierzała przejść przezeń do innego wymiaru. Po jej policzkach popłynęły łzy.

Matylda, patrząc na jej bezradność i cierpienie, sama cierpiała. Była matką dwóch córek i myśl, że mogłaby stracić dziecko, była dla niej nie do zniesienia. Ale bolało ją również to, jak dramatyczne mogą być konsekwencje pewnych decyzji. Jak rozstanie z partnerem może zmienić pozornie dobre, spokojne życie. I choć sama się nigdy z nikim nie rozstała, obserwowała od lat skomplikowane relacje między Maćkiem, jego byłą żoną i Krzysiem, ich synem, które pomimo dobrej woli wszystkich stron nie były łatwe. A najtrudniejsze okazało się zaakceptowanie przez Krzysia Matyldy jako nowej partnerki ojca, choć przecież zaczęli się spotykać dwa lata po Maćka rozwodzie.

O. tak, Matyllda doskonale wiedziała, o czym mówi Wysocka.

Wstała z kanapy, podeszła do kobiety i objęła ją ramieniem.

– Była uroczym dzieckiem – powiedziała czule.

W tym momencie za ich plecami rozległ się donośny męski głos:

– Kochanie, wróciłem!

Przez hol szedł w ich kierunku mąż Wysockiej, Norbert Mejza.

Mężczyzna przypominał Brada Pitta sprzed dwudziestu lat – miał podobne rysy, blond włosy i oczy, w których czaiła się ironia. Wysoki i świetnie zbudowany, o muskulaturze, która bardziej niż z siłownią kojarzyła się z kortem tenisowym, ubrany był z kosztowną nonszalancją. Wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć lat, podczas gdy Wysocka zbliżała się do pięćdziesiątki. Różnica wieku między nimi była boleśnie widoczna.

Związek sporo młodszego mężczyzny ze starszą, zamożną kobietą musiał budzić kontrowersje. I budził. Matyllda przypomniała sobie, że wśród artykułów na temat Wysockiej mignęła jej wzmianka na Pudelku dotycząca jej ślubu, który został określony mianem mezaliansu roku. Nic dziwnego, że jej córce ciężko było się w tej sytuacji odnaleźć.

– Och, Norbert, już jesteś?! – Wysocka wyciągnęła ramiona w stronę męża.

Kiedy do niej podszedł, uwiesiła mu się na szyi.

– Jestem, kotku, jestem. A ta pani to kto? – spytał, lustrując Matyldę czujnym wzrokiem znad ramienia żony.

– Matyllda Żukowska – przedstawiła się szybko. – Piszę artykuł o Justynie.

Mejza uwolnił się z objęć żony.

– Artykuł? Co to za pomysł? – w jego głosie pojawiło się dziwne napięcie.

– Pani jest z lokalnej prasy – wyjaśniła Wysocka cicho, jakby zawstydzona. – Chciała zrobić wywiad o naszej Justynce, więc rozmawiamy.

Mejza zacisnął szczęki, pod skórą zarysowały się wyraźnie kości policzkowe.

– Bardzo jestem ciekawy, co tam naopowiadałaś – rzucił pozornie lekkim tonem.

– No przecież nic takiego – Wysocka podeszła do barku i zaczęła przestawiać butelki, szukając odpowiednio mocnego alkoholu. – Nalać ci czegoś?

– Za chwilę. Najpierw pójdę się przebrać – oznajmił i ruszył w kierunku schodów.

I w tym momencie Matylda sobie uświadomiła, że na górze jest Gaja.

– A czy pan też mógłby mi odpowiedzieć na kilka pytań? – podjęła desperacką próbą zatrzymania go.

Mężczyzna odwrócił się do niej.

– Ciekawe, czego by pani chciała się ode mnie dowiedzieć? – wycedził.

Matylda natychmiast się spłoszyła.

– Och, czegoś o Justynie – zaczęła wymijająco. – Jaka była, jak pan ją wspomina...

Czuła, że brnie, ale nie miała innego wyjścia.

– Nic pani ze mnie nie wyciśnie – warknął Mejza, nie ukrywając irytacji. – Mało tego, dopilnuję, żeby ten wywiad nigdy nie ujrzał światła dziennego, a panią żeby wyrzucili z roboty. – Nachylił się do Matyldy i ściszej głos tak, żeby nie usłyszała go Wysocka, dodał: – To była mała dziwka, prędzej czy później musiała tak skończyć. Nie dopuszczę do tego, żeby ta sprawa dłużej się za nami ciągnęła. Nie widzi pani, do jakiego stanu doprowadziła moją żonę? – ostatnie zdanie wypowiedział już normalnym tonem.

– Pana żona już wcześniej była w takim stanie – wyrwało się Matyldzie.

Przez chwilę myślała, że Mejza ją uderzy. Widać było, że jest na skraju wybuchu.

– Wypierdalaj z mojego domu – wycedził.

Dokładnie w tym momencie za jego plecami Matylda zauważyła schodzącą po schodach Gaję. Przyjaciółka zatrzymała się na ostatnim stopniu i machnęła ponagląco w jej kierunku.

Nie było na co czekać.

Matylda wyminęła mężczyznę i dziesięć sekund później obie z Gają wypadły na zewnątrz, zatraskując za sobą drzwi. Drogę od domu do furki pokonały biegiem i zatrzymały się zdyszane dopiero przy samochodzie. A potem popatrzyły na siebie i wybuchły histerycznym, rozładowującym napięcie śmiechem.

– Dżizas, zwiewałaś, jakby nas gonił z pistoletem – zauważyła Gaja, kiedy się wreszcie uspokoiły.

– Był strasznie chamski. Wiesz, jak do mnie powiedział? „Wypierdalaj”.

Matylda wsiadła do land rovera i zatrzasnęła drzwi z taką siłą, że Gaja aż podskoczyła.

– Hej, dlaczego mi demolujesz auto? – zaprotestowała.

– Bo to był zły pomysł, pójdzie tam – oświadczyła Matylda stanowczo. – Już nigdy więcej ci nie pomogę, nigdy – zarzekła się.

– A dlaczego uważasz, że zły?

– Bo wyprowadziłyśmy tę biedną kobietę z równowagi i nie dowiedziałyśmy się niczego. Niczego!

Samochód ruszył powoli, podskakując na dziurach w jezdni.

– No, nie zgadzam się, że niczego – stwierdziła Gaja i dodała po pauzie: – Znalazłam list.

Tak jak podejrzewała, Matyldę zatkało.

– Ale jak to? Po prostu poszłaś tam i znalazłaś? – Matylda patrzyła na przyjaciółkę w osłupieniu.

– Mniej więcej. – Gaja uśmiechnęła się lekko na wspomnienie impulsu, który kazał jej wziąć do ręki *Mistrza i Małgorzatę*.

Zatrzymała auto, wyjęła z kieszeni komórkę i otworzyła galerię zdjęć.

– Popatrz – podsunęła przyjaciółce zbliżenie tekstu.

Matylda przebiegła go oczami.

– No i teraz wiadomo na sto procent, że to Peszek ją zabił – jęknęła wstrząśnięta.

– Dlaczego?

– To chyba jasne. Umawia się z nią w Krysinie, a list jest podpisany „N”! N jak Nikodem!

– Albo Norbert! Zdaje się, że mąż Wysockiej ma tak na imię? A może to jest od jakiegoś przezwiska? Albo rzeczywiście napisał ten list Peszek, tyle że potem zamiast niego na spotkanie przyszedł morderca? Możliwości jest multum.

Matylda pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ty naprawdę wierzysz, że to nie on?

– Ja po prostu staram się wszystko rzetelnie sprawdzić. Tylko tyle. Owszem, na razie to nie wygląda dla niego najlepiej, ale pamiętaj, że grzebiemy w tym głównie dopiero od dwóch dni...

– Ty grzebiesz – przerwała jej Matylda. – Mnie proszę więcej do tej sprawy nie mieszać.

Gaja parsknęła śmiechem.

– Przecież ty jesteś moim Watsonem! Hej, no! – poklepała Matyldę po ramieniu. – Bez ciebie leżymy!

Skręciła w Modrzewiową i zaparkowała w połowie drogi między ich domami.

– Dzięki – odpięła pas i uścisnęła przyjaciółkę. – Bardzo mi pomogłaś, naprawdę. Jesteś aniołem. Anioł Watson.

– A ty sobie super radzisz jako detektyw... detektywka – odpowiedziała udobruchana Matylda. – Policja cię za ten list ozłoci. Może nawet nasz nowy komendant przestanie się na ciebie wściekać?

Mina Gai odrobinę ją zaniepokoiła, na wszelki wypadek spytała więc:

– Dzwoniłaś już do nich?

– Po co?

Matylda odsunęła się od Gai i popatrzyła na nią podejrzliwie.

– No jak to po co? Żeby im powiedzieć o tym liście. Przecież muszą tam pójść, zabrać go, zbadać...

– Ale ja go tam nie zostawiłam. – Gaja sięgnęła na tylne siedzenie po torebkę i otworzyła ją. – Mam go tutaj.

Matylda wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

– A odciski palców? Mikroślady? Jak mogłaś?

Gaja westchnęła.

– Przecież im to oddam, nie? Wszystko sobie zbadają. Usłyszałam, że ktoś wchodzi do domu, musiałam się ewakuować, więc go wzięłam ze sobą. Tak... odruchowo. I nie rób takiej miny, jakby to była złota kolia – upomniała przyjaciółkę.

Matylda bez słowa wysiadła z auta, a Gaja przechyliła się szybko na stronę pasażera, żeby asekurować drzwiczki, gdyby przypadkiem Matyldzie przyszło do głowy znowu nimi trzasnąć.

– Jednego załuję, wiesz? – dodała jeszcze na koniec Gaja.

– Czego?

– Że nie spróbowałam tej twojej szarlotki.

ROZDZIAŁ 49

Gaja powinna wrócić do domu szczęśliwa. W końcu to, że dzięki swojej dociekliwości weszła w posiadanie ważnego dowodu, można było określić mianem sukcesu. A jednak kiedy weszła do holu i odłożyła klucze do ceramicznej misy, tej samej, z której jeszcze niedawno korzystał Artur, nagle zalała ją fala wspomnień tak bolesnych, tak przytłaczających, że pierwszy raz od momentu rozstania z mężem nie była w stanie jej powstrzymać.

Poczuła na twarzy dziwne łaskotanie i kiedy dotknęła policzka palcami, zorientowała się, że to łza toruje sobie drogę po skórze. Wzięła kilka głębokich oddechów, jak zawsze kiedy dochodziła do granicy, za którą były już tylko rozpaczliwe emocje i ból. Ta prosta metoda do tej pory zawsze działała, przez ostatnie kilka tygodni udało się Gai ani razu nie rozkleić. Teraz jednak wszystkie sygnały napływające z ciała i z serca mówiły jej, że już za późno. Że nie uda się uniknąć katastrofy.

Nie zdejmując płaszcza, pobiegła na górę, wpadła do sypialni i rzuciła się na łóżko. W momencie, w którym jej ciało dotknęło materaca, zaczęła płakać. A właściwie nie płakać, tylko szlochać. Pełen dramatyzm. Ukryła twarz w poduszce, żeby Helena czasem nie usłyszała, i pozwoliła, żeby ból, przerażenie, niepewność i tęsknota, które przez te wszystkie dni nawarstwiały się w jej ciele, wypłynęły z niego razem ze łzami. Podciągnęła pod siebie kolana, objęła je ramionami i leżała tak, bezbronna i bezradna w obliczu nagle uwalniających się emocji.

– Mamo? Co się stało? – usłyszała tuż obok głos zaskoczonej i zatroskanej córki. – Coś cię boli?

– Nie, nie... – wydusiła z trudem. – Wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

Miała nadzieję, że Helena sobie pójdzie. Nie chciała, żeby oglądała ją w takim stanie.

– Jasne – powiedziała dziewczynka sceptycznym tonem. – Płaczesz z powodu taty...

Zaprzeczenie byłoby bez sensu.

– Chciałabyś, żeby wrócił?

To pytanie, dość podstawowe, zadane przez czternastolatkę, paradoksalnie oderwało Gaję od bólu. Bo zorientowała się, że nie musi myśleć nad odpowiedzią.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała właściwie odruchowo. – Przecież mnie zdradził.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że być może nie powinna być z Helenką aż tak szczerą.

– Przepraszam – zreflektowała się.

Dziewczynka objęła matkę mocno ramionami.

– Mamo, luz. Ja rozumiem. – Helenka sięgnęła na szafkę nocną, wzięła z niej pudełko chusteczek higienicznych, wyjęła kilka i podała Gai.

– Chcesz wina?

Gaja właśnie wydmuchiwała nos i nie usłyszała dokładnie.

– Czy czego chcę?

– Wina. Albo ajerkoniaku? Widziałam w barku.

– Zagładasz do barku?

– Mamo, każdy zagłada. A niektórzy to nawet korzystają. Jestem w ósmej klasie, kaman.

Gaja zdecydowanie nie była w formie do rozmów wychowawczych.

– Wolałabym herbatę... – powiedziała tylko.

– To ci zrobię. I nie martw się, wszystko się ułoży

Helenka podniosła się z łóżka i przykryła Gaję brzegiem narzuty.

– W sumie możemy obejrzeć razem film. Pozwolę ci wybrać, chcesz?

Padło na *Notting Hill*.

Dopiero po filmie Gaja przypomniała sobie o pozostawionej w torebce komórce. W telefonie znalazła dwa nieodebrane połączenia z nieznanego numeru i spod tego samego numeru wysłany esemes o treści: „Witam. Jestem pełnomocnikiem Nikodema Peszka. Prosił, żebym się z panią skontaktował. Proponuję spotkanie jutro o jedenastej w mojej kancelarii. P. Górski”. Dalej następował adres w ścisłym centrum Warszawy.

Wystukała: „Będę”, a potem skopiowała wiadomość i wysłała do Klary z dopiskiem: „Idziemy razem”. Miała nadzieję, że spotkanie z adwokatem przyniesie wreszcie jakiś zwrot w sprawie.

Matylda leżała w łóżku, wsłuchując się w równy oddech śpiącego obok Maćka. Sama nie mogła usnąć. Na elektronicznym budziku stojącym na szafce nocnej minuty zmieniały się w godziny, a ona nie mogła uspokoić strumienia myśli, którego intensywność nie pozwalała na sen.

Był taki stary dowcip, często opowiadany przez jej ojca: co to są mieszane uczucia? Mieszane uczucia są wtedy, kiedy twoja teściowa ginie w wypadku, roztrzaskując twoje nowiutkie porsche. Matyldzie jakoś nie wydawało się to zabawne, za to Maćkowi – bardzo.

A teraz nagle okazało się, że jej uczucia do dowcipu ojca pasują idealnie. Porażka i euforia, zysk i strata, dwie strony jednego medalu.

Bardzo chciała napisać artykuł o Justynie do biuletynu. Bardzo. Czuła, że to może być dla niej zawodowy przełom. Opracowywanie sprawozdań z posiedzeń rady miasta, ofert konkursowych, nawet przygotowywanie kroniki kryminalnej było działaniem odtwórczym, rutynowym i – nie oszukujmy się – niezbyt ciekawym. Teraz nagle stanęła przed szansą zrobienia porządnego materiału, niczym prawdziwy dziennikarz. A jak fantastycznie zyskałby na tym biuletyn! Widziała już oczami wyobraźni gazetkę znikającą z półek i pochwalne posty na facebookowej grupie, wrzucane przez poruszonych lekturą czytelników.

Oczywiście miała świadomość tego, jak delikatnej dotyka materii, ale była gotowa się z tym zmierzyć. Trochę mniej była gotowa na konfrontację z burmistrzem, ale liczyła na to, że dobry tekst sam się obroni i kiedy Skorupski przeczyta artykuł, da jej zielone światło.

Tak więc jeszcze kilka godzin temu pucowała swoje porsche i pielęgnowała wizję podwojenia nakładu gazetki, a teraz, po wizycie u Wysockiej, na samą myśl, że miałyby pisać artykuł o Justynie, chciało jej się płakać. Informacje, jakie udało im się uzyskać, przytłoczyły ją. Były tak bolesne, tak intymne, że konieczność skorzystania z nich Matyldę przerażała. Porsche jej marzeń rozwalilo się z hukiem o ścianę w momencie, w którym Wysocka zaczęła szlochać nad szarlotką.

Za to była naprawdę dumna z Gai. List znaleziony przez nią rzucał zupełnie nowe światło na sprawę. Choć może właśnie nie nowe, tylko stare? Gaja mogła sobie wymyślać przeróżne teorie, ale Matylda była pewna, że „N” w podpisie oznaczało Nikodema i że list napisał Peszek, żeby wywabić Justynę z domu i ją zamordować. Widocznie przeraził się, że związek z uczennicą za daleko zaszedł. Strach rodzi agresję i potrafi być wyjątkowo silną motywacją.

„Strach rodzi agresję...” Matyldzie przypomniał się nagle Mejza i jego wściekłe, nienawistne spojrzenie. Justyna wykrzyczała matce podczas kłótni, że ojczym jest złym człowiekiem. A on pasierbicę nazwał małą dziwką. Motyw... strach... te dwa słowa połączyły się w głowie Matyldy w jedną frazę.

Czy to możliwe, żeby Mejza miał coś wspólnego ze śmiercią Justyny? Brzmiało to absurdalnie. Nawet jeżeli jego imię również zaczynało się na N i podpis pod listem mógł należeć do niego, co sugerowała Gaja, to skąd wzięłby szalik Peszka? A jeżeli jego motywem miałyby być strach, to przed czym?

„Muszę jutro porozmawiać o tym z Gają – pomyślała Matylda. – Koniecznie!”

I chwilę potem usnęła.

A następnego dnia, kiedy o siódmej rano na dźwięk budzika zerwała się w pośpiechu z łóżka, o niczym już nie pamiętała.

ROZDZIAŁ 50

Radiowozy nie budziły u Gai pozytywnych skojarzeń. W czym chyba nie była odosobniona. Ileż to razy wlokła się w sznurze aut jadących z przepisową prędkością tylko dlatego, że żaden kierowca nie miał odwagi wyprzedzić policji. Zawsze też, kiedy widziała radiowóz we wstecznym lusterku, denerwowała się. Dlatego dzisiaj, parkując z własnej i nieprzymuszonej woli między dwoma policyjnymi hyundaiami, poczuła się nieswojo.

Wyłączyła silnik i rzuciła szybkie kontrolne spojrzenie w lusterko. Odkąd przestała jeździć do pracy, właściwie się nie malowała, ale ponieważ dzisiaj pojawił się pretekst w postaci spotkania z adwokatem, spędziła przed lustrem pracowity kwadrans. Musiała przyznać, że efekty były co najmniej zadowolające.

Ostrożnie otworzyła drzwiczki, tak żeby czasem nie zarysować srebrnego lakieru stojącego po lewej stronie auta, chwyciła torebkę i wysiadła. Za półtorej godziny powinna być już w Warszawie, więc to, co miała do załatwienia, chciała załatwić szybko.

Podeszła do drzwi komendy, które automatycznie się przed nią rozsunęły. Za ladą, po prawej stronie od wejścia siedział młody funkcjonariusz i mieszał łyżeczką znajdujący się w kubku napój o kolorze mocnej herbaty, który jednak, sądząc po zapachu, był słabą kawą.

– Do komendanta – powiedziała Gaja.

Chłopak obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem.

– Jest pani umówiona?

– Nie. Ale to zajmie pięć minut.

– Pani nazwisko?

– Stawska. To ja znalazłam zwłoki tej dziewczyny w Krysinie – dodała, słusznie zakładając, że podniesie w ten sposób rangę swojej osoby w oczach funkcjonariusza.

Chłopak sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Panie komendancie, pani przyszła. Ta, co znalazła denatkę. – Słuchał przez chwilę. – Tak jest! – Wyprostował się służbiście.

– Pan komendant zaraz będzie – powiedział do Gai, odkładając słuchawkę.

Przyzwyczajona, że „zaraz” w słowniku jej córki potrafi trwać godzinę, Gaja usiadła na metalowym krzeselku pod ścianą i sięgnęła do torby po telefon. Nie zdążyła go nawet wyciągnąć, bo usłyszała ironiczne:

– Witam panią detektyw...

Już te trzy słowa wystarczyły, żeby ją zdenerwować.

Podniosła wzrok. Stał nad nią, ubrany w czarne dżinsy i błękitną koszulę, a od jego łysej czaszki odbijało się światło migoczących pod sufitem jarzeniówek. Sprawiał wrażenie raczej znudzonego urzędnika niż dzielnego stróża prawa.

Gaja podniosła się z miejsca i z satysfakcją zauważyła, że w szpilkach jest od komendanta o kilka centymetrów wyższa. Patrząc na niego z góry choć przez chwilę – bezcenne.

– Chyba już sobie tę kwestię wyjaśniliśmy? – zwróciła mu uwagę.

– Ma pani na myśli to mętne tłumaczenie, którym mnie pani poczęstowała, kiedy poprosiłem panią o licencję?

– Nie musiał mnie pan upokarzać na oczach tylu ludzi. – Zaczynała być naprawdę zła.

– Byliśmy na miejscu zbrodni, a tam liczą się fakty. Poza tym nie zamierzałem pani upokarzać. Skąd mogłem wiedzieć, że jest pani kłamczuchą?

Mówił to wszystko, patrząc jej w oczy i uśmiechając się grzecznie, tak jakby przeprowadzali miłą konwersację, a nie próbę sił.

Gaja pierwszy raz nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy raczej wiedziała, ale gdyby pozwoliła sobie na taki komentarz, skończyłoby się awanturą.

Jeden zero dla niego.

– Pani przyjaciółka też zresztą kłamie, tylko mniej umiejętnie. Próbowала mi wmówić, że to ona zrobiła zdjęcia zwłokom. Tylko dlaczego w takim razie otworzyła mi je z pani Messengera? – Widząc minę Gai, która nie wróżyła dobrze dalszej konwersacji, uniósł dłonie w pojednawczym geście. – Dobrze. Zostawmy to. Co panią do mnie sprowadza?

Jeszcze pięć minut temu Gaja wręczyłaby mu znaleziony w pokoju Justyny list i wyjaśniła, jak weszła w jego posiadanie. Teraz tylko wzruszyła ramionami.

– Zapomniałam – powiedziała.

A potem odwróciła się na pięcie i wyszła.

ROZDZIAŁ 51

Klara leżała na łóżku, oparta na łokciu, i przyglądała się śpiącemu obok Damianowi. Był przystojny, miał świetne ciało i potrafił w seks. Posiadał też inne cechy, obiektywnie pozytywne: luz, poczucie humoru i zamożnych starych.

A jednak czuła, że coś jest z nim nie tak...

Chłopak musiał wyczuć na sobie jej wzrok, bo zaczął się budzić. Najpierw kilka razy poruszył nosem, jak królik, potem otworzył oczy i uśmiechnął się do Klary.

„Powie »cześć, kocie«”, pomyślała.

– Cześć, kocie – powiedział ciepło.

I w tym momencie Klarę olśniło. Damian był już za długo.

Przez następną godzinę kochali się, potem wzięli razem prysznic i zjedli śniadanie. Kwadrans po dziesiątej Klara pocałowała chłopaka na pożegnanie, pogłaskała kota, chwyciła kask z komody i wyszła. Dzisiaj wołała nie ryzykować spóźnienia.

Choć już kilka razy zdarzało się, że zostawiała Damiana samego w domu, teraz nagle poczuła się z tym dziwnie. Tak jakby każda godzina spędzona przez chłopaka w jej mieszkaniu zwiększała niebezpieczeństwo tego, że zostanie na zawsze. A tego by nie zniosła.

Znała ten symptom u siebie bardzo dobrze. Oznaczał, że zbliża się rozstanie.

Na razie jednak postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy. Wsiadła na Bandytę i popędziła na spotkanie z adwokatem Nikodema Peszka.

Ponieważ specjalnie wyjechała wcześniej, zamiast jak zwykle spóźniona, dotarła do kancelarii dwadzieścia minut przed czasem.

Adres był prestiżowy: świeżo odnowiona kamienica przy Mokotowskiej. Na parterze rozgościły się dwa butiki ekskluzywnych marek odzieżowych, a resztę budynku zajmowały firmy, których nazwy na złotych tabliczkach przy wejściu budziły szacunek.

Klara wtoczyła motocykl na podwórko i wbiegła po schodach na drugie piętro. W swoim skórzanym kombinezonie i z kaskiem pod pachą nie bardzo pasowała do pastelowych dywanów, staroświeckich żyrandoli, grubych zasłon i obrazów w złotych ramach, które z pewnością nie były reprodukcjami, jednak nie zamierzała się tym przejmować. Wiedziała z doświadczenia, że im większy kontrast, tym lepiej dla niej, a gorzej dla tła.

Tylko jedna myśl nie dawała jej spokoju. To ekskluzywne wnętrze oznaczało, że stawki pracujących tu prawników muszą być kosmiczne. Jakim cudem Peszka stać było na wynajęcie adwokata z tak wysokiej półki?

W pokoju tuż obok wejścia siedziała młoda, przystojna kobieta w białej bluzce i granatowym żakiecie, która z blond włosami upiętymi w gładki kok przypominała zabłąkaną tu przez przypadek stewardesę. Musiała być nadzwyczaj kompetentna, bo na widok Klary w wersji *easy rider* nawet jej nie drgnęła powieka.

Sekretarka zaprowadziła ją do niewielkiej sali konferencyjnej, której środek zajmował owalny stół z jasnej czeczoty. Otaczające go krzesła miały tapicerowane siedzenia, pokryte materiałem w kremowo-bordowe pasy. W rogu pokoju stał jeszcze mniejszy, okrągły stolik i dwa głębokie fotele.

– Kawa, herbata? – spytała sekretarka.

– Nie, nie, dziękuję. Wie pani, jak się pije, to się sika. – Klara uśmiechnęła się tak ujmująco. – A jak niby sikać w tym? – pokazała na swój kombinezon.

Kobieta nie wyglądała na zdziwioną.

– Czy mogę w takim razie? – wyciągnęła ręce w kierunku Klary.

Klara posłusznie oddała jej kask, a kiedy sekretarka zniknęła za drzwiami, podeszła do jednego z foteli i opadła na niego, wyciągając nogi daleko przed siebie.

– Dzień dobry – rozległ się za nią męski głos.

Obejrzała się i zobaczyła przystojnego bruneta z idealnie przyciętym, lekko szpakowatym zarostem, ubranego tak, jakby właśnie zszedł z planu *W garniturach*. Przyglądał się Klarze z bezosobowym, zawodowym uśmiechem, w którym brały udział wyłącznie jego usta.

Wstała, żeby się przywitać. Mężczyzna położył na stole teczkę z dokumentami i dopiero potem do niej podszedł.

– Paweł Górski – wyciągnął rękę na powitanie.

Miał mocny, konkretny uścisk, a ponieważ Klarze natychmiast włączył się tryb flirtu, cofając dłoń, pozwoliła, żeby jej palce delikatnie przesunęły się po jego palcach.

– Klara Kamińska. Agencja Czajka.

Rzucił szybko okiem na zegarek, za który można by kupić niezłej jakości auto.

– Za pięć jedenasta. Czy pani Stawska się pojawi?

Klara odrzuciła do tyłu włosy efektownym, wystudiowanym gestem.

– Trudno powiedzieć... – zrobiła taką minę, jakby Gaja miała w zwyczaju spóźniać się na każde spotkanie. – Ale spokojnie możemy zacząć bez niej.

– W takim razie zapraszam – odsunął krzesło przy dużym stole.

Klara przeszła tak blisko niego, że prawie się o niego otarła. Dawno nie podrywała dojrzałego, ustawionego mężczyzny, więc nie była pewna, czy zachowania rodem z baru się sprawdzą, ale co jej szkodziło spróbować?

Usiadła bokiem, zakładając nogę na nogę.

Górski mógł usiąść obok niej, a jednak wybrał miejsce naprzeciwko, wyraźny znak, że jej uroda robiła na nim wrażenie – wolał zachować dystans, żeby się nie rozpraszać.

Teraz, z bezpiecznej odległości, przyglądał się jej i kręcił z niedowierzaniem głową.

Klara oparła łokcie na stole i nachyliła się do mężczyzny.

– Przepraszam, czy coś jest ze mną nie tak? – spytała bezczelnie.

Gdyby okoliczności były inne, Górski zapewne wybuchłby śmiechem. Teraz pozwolił sobie jedynie na lekki grymas ni to uśmiechu, ni to ironii.

– Po prostu się zastanawiam, jak ktoś tak przyciągający wzrok jak pani może pracować jako prywatny detektyw – powiedział, zaskakująco szybko wychodząc z konwencji.

„Bingo – pomyślała Klara, zadowolona. – Mam go!” Bardzo pozytywne zaskoczenie, bo była pewna, że zbajerowanie go zajmie jej dużo więcej czasu.

Nie skomentowała komplementu, pozwalając, by na dłużej zawisł w powietrzu. A kiedy po chwili chciała kontynuować flirt, otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzała sekretarka.

– Jest pani Stawska.

Cofnęła się, przepuszczając Gaję.

Klara poczuła ukłucie irytacji, że im przerwano, ale szybko uświadomiła sobie, że obecność szefowej niewiele zmienia. Gaja, konkretna i zasadnicza, według Klary dysponowała raczej atrybutami nauczycielki niż uwodzicielki. I choć nie powinna stanowić w związku z tym żadnego zagrożenia, zlustrowała ją szybkim, kontrolnym spojrzeniem.

No cóż, musiała przyznać, że szefowa wyglądała dzisiaj zaskakująco korzystnie. „Umalowała się czy co?”, pomyślała Klara, obserwując, jak Gaja rusza w ich stronę, poprawiając zsuwający się z ramienia pasek torebki. Dopiero kiedy podeszła do stołu, podniosła wzrok i spojrzała na Górskiego. I zamarła, zupełnie jakby ktoś nacisnął stop-klatkę. Stała, z rozchyłonymi ze zdziwienia ustami, wpatrując się w mężczyznę.

Klara poczuła, że coś jest tutaj nie tak. Zwłaszcza że Górski zareagował identycznie – wcześniej zdążył wstać od stołu i teraz tkwił bez ruchu, patrząc na Gaję z wyrazem twarzy kogoś, kto właśnie zobaczył kosmitę.

Ta cała pantomima trwała na szczęście tylko kilka sekund. Pierwszy ocknął się Górski.

– Gaja? – powiedział lekko zachrypniętym głosem.

– Paweł... – Gaja pokręciła głową z niedowierzaniem.
„O, szlag”, pomyślała Klara.

ROZDZIAŁ 52

Gaja i Górski dłuższą chwilę stali na swoich miejscach, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu mężczyzna zrobił krok w kierunku Gai, a ona – w jego kierunku. W filmie taka scena powinna się skończyć padnięciem sobie w ramiona, oni jednak nadal zachowywali dystans. Po kilku niezręcznych półgestach, z których żaden nie został sfinalizowany, w końcu tylko podali sobie ręce. I znowu stali, i patrzyli na siebie. Żadne z nich nie cofnęło dłoni.

– Zmieniłaś nazwisko – powiedział on.

– A ty się podpisałeś inicjałem imienia. Nie skojarzyłam...

Znowu się zawiesili, więc Klara uznała, że czas wkroczyć.

– Wy się znacie? – spytała bez skrępowań.

Gaja wzdrygnęła się, jakby czar minął, i wyrwała dłoń z dłoni Górskiego.

– Kiedyś się znaliśmy – wyjaśniła, siadając za stołem.

„Sądząc z tego powitania, to chyba dość blisko”, pomyślała Klara.

– Dwadzieścia lat temu – dodał Górski. – Kto by pomyślał.

Dwadzieścia lat? Musiało być między nimi naprawdę grubo. Klara już po kilku miesiącach miewała problemy z rozpoznaniem na ulicy swoich byłych.

Gaja wzięła kilka głębokich, resetujących oddechów i powiedziała głosem, który miał chyba zabrzmieć obojętnie.

– Tak, zaskakujące spotkanie. Co nie zmienia faktu, że nie jesteśmy tu towarzysko. Mamy kilka kwestii do omówienia...

Oboje natychmiast gładko wskoczyli w buty profesjonalistów, jakby przed chwilą nic się nie stało.

– Mój klient poinformował mnie, że tuż przed aresztowaniem wynajął agencję Czajka w celu... – Górski zajrzał do teczek z materiałami – zebrania dowodów, że nie zamordował Justyny Wysockiej. Na jakim etapie są panie w tej chwili?

Klara uznała, że najwyższy czas zacząć odrabiać straty, choć po tym spektaklu, który rozegrał się na jej oczach, nie była już taką optymistką w kwestii poderwania Górskiego.

– Bez problemu możemy udowodnić, że ją zabił. Mamy tonę dowodów przeciw niemu – oznajmiła.

– Nie tylko panie – skwitował Górski. – Policja również.

– No właśnie – włączyła się Gaja. – Na jakiej podstawie Peszek został aresztowany?

– Między palcami ofiary znaleziono włosy. Analiza DNA wykazała, że należały do mojego klienta.

– Tak myślałam – mruknęła pod nosem Gaja. – Mają coś jeszcze?

– Szalik, zdaje się zresztą, że to ty go zidentyfikowałaś – pierwszy raz w tej rozmowie Górski zwrócił się bezpośrednio do Gai, i natychmiast powróciło to dziwne emocjonalne napięcie między nimi.

– Nie ja, tylko koleżanka – wyjaśniła lekko drżącym głosem. – To wszystko?

– Świadkowie zeznają, że dziewczyna kochała się w Peszku i narzucała mu się. Prawdopodobnie ze sobą sypiali.

– Nie prawdopodobnie, tylko na pewno – sprostowała Klara. – Dotarliśmy do kogoś, kto widział nagrany filmik, na którym uprawiają seks.

Ta informacja zaskoczyła Górskiego.

– Mój klient stanowczo twierdzi, że nie mieli żadnej relacji poza szkołą. Czy to nagranie jest gdzieś dostępne?

– Niestety nie. Justyna wysłała je na Snapchacie, już zniknęło z aplikacji – odpowiedziała Klara.

– Jedyne miejsce, gdzie pewnie nadal się znajduje, to telefon ofiary – zauważyła Gaja. – Czy policja go znalazła?

– Nie, przy ciele go nie było – stwierdził Górski i dodał: – Jeżeli rzeczywiście taki filmik wypłynie, no cóż, nie ukrywam, że to skomplikuje sprawę. Porozmawiam o tym z klientem.

– Myśli pan, że on się tak panu po prostu przyzna, że uprawiał z tą dziewczyną seks? – Klara oczywiście położyła nacisk na ostatnie słowo. – Podobno klienci kłamią swoim adwokatom jak z nut.

Górski spojrzał na Klarę niechętnie. „Szlag, chyba palnęłam jakąś bzdurę”, pomyślała.

– Mnie nie okłamię. Przyjaźnimy się. Od dawna. Dlatego wziąłem jego sprawę. No tak, to wyjaśniało kwestię honorarium.

– Jest jeszcze coś – odezwała się Gaja. – Zabójca obciął ofierze paznokcie. Policja podejrzewa, że Justyna, broniąc się, podrapała go i sprawca chciał w ten sposób usunąć swoje DNA. Następnego dnia Peszek przyszedł do szkoły z ranami na policzku. Mógłbyś go o to zapytać?

Adwokat skinął głową.

– Oczywiście.

Gaja położyła przed Górskim torebkę śniadaniową z Ikei, zamykaną na suwak. Suwak był żółty, a na torebce nadrukowana była uśmiechnięta krowa. Przez przeźroczyste fragmenty prześwitywał jakiś papier.

– To jest list do Justyny – wyjaśniła. – Ktoś, prawdopodobnie morderca, zaprasza ją na spotkanie w Krysinie. W podpisie jest litera N, co znowu wskazuje na Peszka. Zapytaj, czy go napisał.

Adwokat wziął torebkę do ręki.

– Tylko nie wyjmuj – ostrzegła Gaja. – Dowód rzeczowy.

Górski docisnął torebkę do kartki, żeby odczytać treść listu.

– Skąd go masz? – zapytał wstrząśnięty.

– Poszłyśmy porozmawiać z matką Justyny – wyjaśniła. – Powiedziała nam, że w dniu zaginięcia córki ktoś wrzucił do ich skrzynki list. Był zaadresowany do

Justyny, bez stempla pocztowego. Uznałam, że to ciekawe, przeszukałam jej pokój i go znalazłam.

Klara, która jeszcze o tej akcji nie słyszała, pierwszy raz popatrzyła na Gaję z uznaniem.

– Wiesz, że takie rzeczy natychmiast trzeba oddawać policji? – spytał spokojnie Górski, choć widać było, że wewnątrz kipi.

– Oczywiście, że wiem – wzruszyła ramionami. – I właśnie dlatego ci go przyniosłam. Gdybyś był tak miły i przekazał to kryminalnym z Grodziska...

Adwokat patrzył na Gaję zafascynowany.

– Masz w zanadrzu jeszcze jakieś sensacje?

– Ja już nic. A... ty?

Rozmawiając, nie odrywali od siebie wzroku i Klara czuła się jak piąte koło u wozu. A ponieważ bardzo nie lubiła się tak czuć, postanowiła zwrócić na siebie uwagę.

– Ktoś go wrabia – powiedziała pozornie obojętnym tonem, natychmiast osiągając zamierzony efekt. Paweł i Gaja jednocześnie na nią spojrzeli.

– Mówisz o Peszku? – upewniła się Gaja.

– A o kim? – wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, to jest jedyne logiczne wytłumaczenie – przyznał adwokat.

– Wszystkie dowody wskazują na niego – ciągnęła Klara, chcąc za wszelką cenę utrzymać zainteresowanie Górskiego. – W dodatku są takie... ostentacyjne. Każdy średnio rozgarnięty widz Netflix'a wie, że nie powinno się dusić ofiary własnym szalikiem, a jeżeli już, to nie należy go potem zostawiać na zwłokach. No i te włosy, i list z podpisem... – rozkręcała się. – Wszystko na tacy, a Peszek mimo to twierdzi, że nie zabił. I wydaje pieniądze na wynajęcie agencji, tak jakby wierzył, że rzeczywiście znajdziemy coś, co go oczyści z zarzutów. Mówię wam, ktoś to morderstwo zwała na niego, żeby odsunąć podejrzenie od siebie. Na stówkę.

Korzystając z tego, że Górski patrzył teraz na nią, poprawiła zalotnie włosy, ale w jego wzroku nie pojawił się nawet cień zainteresowania.

– Albo chce zniszczyć Peszka – dodała Gaja.

– Fiu, fiu – gwizdnęła Klara. – To naprawdę musiałyby komuś podpaść. Tyle fatygi, żeby gościa wsadzić do kicia? I tak by pewnie szybko wyszedł za dobre sprawowanie.

– Więzienie rujnuje życie, więc ja bym tego jednak nie bagatelizowała – zwróciła jej uwagę Gaja. – Może też chodzić o to, żeby się go pozbyć.

– To nie lepiej by było zabić jego zamiast Justyny? – zauważyła Klara rozsądnie.

– Jutro z nim porozmawiam – obiecał Górski. – Zapytam o osoby, z którymi jest w konflikcie i które mogłyby chcieć mu zaszkodzić.

Zapadła cisza, którą Gaja potraktowała jako sygnał do zakończenia spotkania.

– W takim razie jesteśmy w kontakcie – powiedziała oficjalnym tonem i podniosła się z miejsca.

Klara wstała również, czujnie monitorując sytuację między tą dwójką. Poziom emocji, który podczas spotkania niedostrzegalnie narastał, osiągnął już chyba stan krytyczny i była bardzo ciekawa, jak będzie wyglądała erupcja.

– Ja również dziękuję. – Adwokat obszedł stół i zatrzymał się przed nimi.

– Miło było poznać – uścisnął rękę Klary w bezosobowy i niezaangażowany sposób, a potem zwrócił się do Gai. – Zostaniesz chwilę?

Gaja pokręciła głową.

– Nie mogę. Jestem poumawiana.

Górski uśmiechnął się sztucznie.

– Oczywiście. Jak tylko będę miał jakieś informacje od klienta, przekażę.

Gaja odwróciła się na pięcie i nie zegnając się, wyszła. Wykorzystując okazję, Klara posłała adwokatowi jeden ze swoich najpiękniejszych uśmiechów. Ta jego relacja z Gają, czymkolwiek była, na oko nie rokowała. Za dużo melodramatu. Dlatego nie zamierzała odpuszczać. Ziarno wrzucone w glebę czasami kiełkuje

dopiero po wielu miesiącach. „Trzeba być cierpliwym”, pomyślała obłudnie, bo cierpliwość była ostatnią cechą, którą mogła sobie przypisać.

Sprawnie wyłuskała z bocznej kieszeni skórzanych spodni swoją wizytówkę i położyła na stole.

– Gdyby chciał się pan skontaktować z agencją, a Gaja by nie odbierała, to tu jest mój prywatny numer.

I ruszyła w kierunku drzwi z zaskakującą świadomością, że mężczyzna, który zostaje w pokoju, nie odprowadza jej wzrokiem. Nie mogła sobie przypomnieć, czy już jej się to kiedyś zdarzyło.

ROZDZIAŁ 53

Była dziesiąta czterdzieści.

Można powiedzieć, środek dnia.

Parkowanie w centrum Warszawy o tej porze wymagało bystrego wzroku, refleksu i żelaznych nerwów. Gaja, pomimo posiadania wszystkich tych cech, już po raz trzeci w żółwym tempie okrążała okolicę, wypatrując wolnego miejsca. Ktoś na nią zatrąbił, że za wolno jedzie, ktoś, wyprzedzając, pokazał jej środkowy palec, ale miała to gdzieś. Jeżeli nie uda jej się zaparkować, spóźni się na spotkanie. A to nie wchodziło w grę. Nie po to zrobiła ostatnim razem awanturę Klarze w kwestii punktualności, żeby teraz przyjść po czasie.

Zdesperowana postanowiła, że w najgorszym razie zostawi auto na środku jezdni na światłach awaryjnych, trudno.

Objechała plac Konstytucji i skręciła w prawo, w Koszykową. Już z daleka zauważyła, że w jednym z parkujących przed biblioteką samochodów zapaliły się światła cofania. Zatrzymała się kilka metrów wcześniej i czekała, aż grafitowa toyota wytoczy się na ulicę i odjedzie, a potem z pewnym trudem wcisnęła się na jej miejsce. Stąd do kancelarii, w której była umówiona na spotkanie, miała jeszcze kawałek drogi, ale jeżeli się pospieszy, powinna zdążyć.

Szła szybko, stukając obcasami i rozpamiętując idiotyczne spotkanie z komendantem. Była na niego wściekła i nie mogła zrozumieć, dlaczego w kontakcie z nim nie potrafi zachować zimnej krwi. Działał na nią jak płachta na byka. Nigdy w stosunku do nikogo nie zdarzyło jej się reagować w tak impulsywny, nieprzemyślany sposób, nikt nie wyzwał w niej takiej fali natychmiastowej irytacji. „Muszę się trzymać od niego z daleka – ustaliła sama ze sobą. – Co zresztą nie powinno być trudne”.

Za pięć jedenasta stanęła przed kamienicą, w której mieściła się kancelaria Świdnicki, Górski i partnerzy. W głębi podwórka zauważyła motocykl Klary i poczuła coś na kształt ulgi. Ciągłe nie miała pewności, na ile wypadek rodziców dziewczyny był prawdziwy, ale jej obecność oznaczała, że zamierzała dzisiaj pracować. A to już coś.

W eleganckim wnętrzu elegancka sekretarka odebrała od Gai płaszcz, spytała, czy przygotować coś do picia, i zaprowadziła ją do – jak to określiła – salki konferencyjnej.

– Jest pani Stawska – zaanonsowała Gaję i wpuściła do środka.

W tak samo gustownie jak reszta kancelarii urządzonym pokoju przy owalnym stole zobaczyła Klarę, wygiętą w nienaturalnej pozie, która natychmiast skojarzyła się Gai ze sposobem eksponowania nóg pewnej telewizyjnej dziennikarki. Naprzeciwko niej siedział mężczyzna w garniturze, zapewne Górski, ale zanim zdążyła mu się przyjrzeć, poczuła, że pasek od torebki zsuwa się jej z ramienia. Poprawiając go, podeszła do stołu i zatrzymała się naprzeciwko mężczyzny.

A potem spojrzała na niego i poczuła, że za chwilę zemdleje.

Przed nią stał Paweł. Jej pierwsza prawdziwa, wielka miłość. Mężczyzna, za którym tęskniła jeszcze wiele lat po rozstaniu. Mężczyzna, za którym tak naprawdę tęskniła do dzisiaj.

Zmienił się. Zapuścił brodę, spoważniał. A jednocześnie miała wrażenie, że wygląda identycznie jak dwadzieścia trzy lata temu.

On też był wstrząśnięty. I tak samo jak Gaja nie wiedział, jak się zachować. Być może gdyby przypadkowo wpadli na siebie na ulicy, ich spotkanie wyglądałoby inaczej. Bardziej spontanicznie? Ale tutaj, w kancelarii i w obecności Klary, oboje starali się trzymać dystans i nie okazywać emocji.

Więc zamiast o sobie, rozmawiali o morderstwie Justyny, o Peszku i o obciążających go dowodach, i dużo to Gaję kosztowało. Im dłużej trwało spotkanie, tym było jej trudniej, a jego zakończenie powitała z ulgą.

– Zostaniesz chwilę? – zapytał Paweł.

Oczywiście jakaś jej część chciała zostać, rozmawiać, wyjaśniać i pytać. A może nawet – dotykać? Ale bała się, że tego nie uniesie. Więc skłamała, że nie może, i prawie wybiegła z pokoju. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem, pomyśleć, jakoś to w sobie poukładać. I przygotować się na kolejne spotkanie. Bo było jasne, że nastąpi.

ROZDZIAŁ 54

Sklep rodziców Matyldy mieścił się na tyłach głównej ulicy Milanówka, w ciągu parterowych pawilonów, obok fryzjera, kwiaciarni i ciuchlandu. Matylda nie zaglądała tu zbyt często, bo dużo bliżej, po swojej stronie torów miała kilka niezłe zaopatrzonych spożywczych i dwa warzywniaki, ale dzisiaj rodzice poprosili ją o pomoc. Jedna z dwóch ekspedientek wzięła dzień wolny, a druga musiała nagle odebrać ze szkoły dziecko z bólem brzucha i choć mama Matyldy natychmiast stanęła za ladą, okazało się, że nie nadąża z obsługą.

Matylda urwała się więc z ratusza pół godziny przed końcem pracy i teraz uwijała się między skrzynkami, wsypując do toreb ziemniaki, marchew, cebulę, zagadując do stałych klientów i odpowiadając na zwyczajowe pytania o dzieci.

– A jak ci się pracuje w urzędzie? – zapytała w pewnym momencie jedna z kobiet, której Matylda nakładała właśnie pół kilku kiszonych ogórków. – U tego hochsztaplera?

Matylda wyprostowała się i spojrzała zaskoczona na klientkę.

– U jakiego hochsztaplera, pani Stasiu? – spytała.

– No jak to u jakiego? U burmistrza! – odpowiedziała kobieta. – To przecież oszust jest!

Plusk! Trzymany przez Matyldę w drewnianych szczypcach ogórek wyśliznął się i wpadł z powrotem do beczki.

– Skąd ten pomysł? – Matylda poczuła się zaintrygowana, ale i osobiście dotknięta.

– A dlaczego on się tak przy tej kurzej fermie upiera? – pani Stasia nachyliła się i powiedziała scenicznym szeptem: – Zysk na tym będzie miał i tyle. Ludzie

mówią, że bierze łapówki od inwestorów. Że mu płacą, żeby tylko te kurniki stanęły.

Matylda poczuła, że robi jej się słabo.

– Przecież to nieprawda! – powiedziała wstrząśnięta.

– Prawda, prawda! – odezwał się jeden z obecnych w sklepie mężczyzn. – Wszyscy to wiedzą. Kombinuje na prawo i lewo, żeby tylko te kurniki postawić. Będziemy mieli dzięki niemu brud, smród i gówno kurze w wodzie! Nikt tego tutaj nie chce, tylko on! Gdyby nie te demonstracje przed ratuszem, pewnie by już dawno wydał zgodę. Na taczkach go wywieziemy i tyle.

Wśród ludzi stojących w kolejce nagle zapanował gwar, klienci zaczęli mówić jeden przez drugiego. Matylda przez chwilę próbowała protestować, ale kiedy się okazało, że tak naprawdę nikt jej nie słucha, obsłużyła pospiesznie panią Stasię, przeprosiła matkę i wyszła na zaplecze, żeby ochłonąć. A kiedy już się uspokoiła, zaczęła analizować to wszystko, co usłyszała przed chwilą. I poczuła dziwny niepokój.

Bo podobno w każdej plotce tkwi ziarno prawdy.

Wróciła do domu po osiemnastej, zmęczona i psychicznie zmaltratowana. Zarzuty formułowane pod adresem burmistrza w jakimś sensie godziły w nią samą, a to nie było przyjemne.

Sprawdziła, czy Maciek nie zapomniał dać dziewczynkom obiadu, co mu się czasami zdarzało, potem podgrzała sobie kapuśniak, gęsty i kwaśny, i pochłonęła porządną porcję, uznając, że wystarczy jej jednocześnie za pierwsze i drugie danie. Oraz kolację.

Chwilę potem do drzwi zadzwoniła Gaja.

Matylda natychmiast zauważyła, że przyjaciółka jest blada i ma w oczach strach. Nie zdążyła jednak o nic zapytać, bo Gaja wydusiła przez ściśnięte gardło:

– Widziałam Pawła.

Przez następnych kilka minut Matylda podawała Gai chusteczki higieniczne, a kiedy się skończyły – listki papierowego ręcznika – i patrzyła z krwawiącym sercem, jak przyjaciółka próbuje zdusić w sobie jakieś straszne, demoniczne emocje, jednak z zerowym skutkiem.

Było to o tyle szokujące, że w takim stanie nie była nawet, gdy przyłapała Artura na zdradzie, ani kiedy mąż zagroził jej odebraniem domu. Dzielna, odważna, silna Gaja nagle kompletnie się rozkleiła. Czy to możliwe, żeby ktoś, z kim chodziła zaledwie przez kilka miesięcy, w dodatku dwadzieścia lat temu, wyzwolił w niej aż takie emocje?

Kiedy przyjaciółka w końcu się trochę uspokoiła, Matylda naląła miskę zupy i postawiła przed nią na stole.

– Pomoże ci – powiedziała.

Gaja zaczęła bez zapału wiosłować łyżką w talerzu.

– Co to? – spytała z zaciekawioną, wyławiając z zupy niewielki brązowy fragmencik.

– No jak to co? – zdziwiła się Matylda. – Skwarka.

W momencie gdy wypowiedziała to słowo, uświadomiła sobie *faux pas*, jakie popełniła, podając wegetariance mięso, nawet w tak skromnym wydaniu.

– O, Jezu, Gajuś, zapomniałam! – jęknęła przerażona. – Ale tego nie było w tej zupie dużo – próbowała ratować sytuację.

Gaja nabrała skwarkę na czubek łyżki, przyjrzała jej się uważnie, a potem powiedziała spokojnie.

– A tam, pieprzę! – I włożyła kawałek mięsa do ust.

Przegryzła go, ale zamiast połknąć, skrzywiła się strasznie i pozbyła się go gwałtownym splunięciem.

– Przepraszam – powiedziała.

– Daj spokój, to ja przepraszam. Kompletnie zapomniałam o tych skwarkach.

– Przepraszam za ten cyrk – uściśliła Gaja. – Totalnie mnie to rozjechało.

– Spotkanie z Pawłem?

– Tak. Nie. Wspomnienia. Ostatni raz widziałam go na pogrzebie rodziców. Nagle wszystko wróciło. Taką falą.

– Może... – zaczęła Matylda ostrożnie. – Może powinnaś pójść z tym do psychologa?

Trochę się bała, że przyjaciółka się obrazi albo zdenerwuje, ale Gaja pokręciła tylko zdecydowanie głową.

– Nie, coś ty. Przecież chodziłam. I wszystko przepracowałam.

Matylda zorientowała się ze zdziwieniem, że Gaja najzwyczajniej w świecie zakłamuje rzeczywistość. Tak jakby ten szloch przed chwilą w ogóle się nie wydarzył.

– Tu blisko, koło kortów tenisowych mieszka moja znajoma, Agnieszka Soboń, bardzo dobra terapeutka – spróbowała mimo to. – Mogę was umówić.

Gaja wzięła głęboki oddech, potem usiadła prosto i oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Żadnych terapeutów. Wszystko pod kontrolą. Chcesz posłuchać, czego się dowiedziałyśmy od Pawła? Widzisz? Wymawiam jego imię i nie ryczę!

I jak gdyby nigdy nic zaczęła jej streszczać to, o czym rozmawiali na spotkaniu. A kiedy opowiedziała o koncepcji Klary, że ktoś chce zrobić Peszka w morderstwo, Matyldzie coś się przypomniało.

– Ja chyba wiem, komu podpadł – powiedziała powoli. – Pamiętasz zdjęcie, na którym rozpoznałam szalik? Ono było zrobione podczas protestów przeciwko budowie kurzej fermy. I to Peszek te protesty organizował. Pisał też petycje, zbierał podpisy, rozsyłał to potem wszędzie, gdzie się dało. Podobno gdyby nie on, budowa już by dawno ruszyła. Dziś usłyszałam plotki, że burmistrz bierze łapówki od inwestorów i dlatego oni go cisną, żeby te kurniki powstały. Tylko że to jednak mało prawdopodobne. Znaczą te łapówki. Bo od burmistrza niewiele zależy.

– W sensie?

– Dzisiaj akurat czytałam materiały do tego artykułu, który u mnie zamówił. Więc przede wszystkim konieczna jest opinia Regionalnej Dyrekcji Ochrony

Środowiska, a na nią burmistrz nie ma żadnego wpływu, i druga rzecz – plan zagospodarowania przestrzennego, który akurat dla tych terenów jeszcze nie został uchwalony. Plan uchwała rada miasta, w której zdaje się ostatnio burmistrz ma mniejszość i żadnego przełożenia na jej decyzje. Chodzi mi o to, że gdyby inwestorzy chcieli kogoś przekupić, to raczej poszliby z kasą do Ochrony Środowiska albo do radnych. Na pewno nie do burmistrza. On na tym nie zarabia.

– Nie rozumiem kompletnie twojego toku myślenia – uprzedziła Gaja. – Czyli komu te protesty Peszka mogły zaszkodzić?

– Temu, kto najwięcej traci na tym, że budowa nie rusza. Inwestorom.

ROZDZIAŁ 55

– Myślałem, że wszystko załatwimy przez prawników?

Spotkali się w McDonalddie w Pruszkowie. To był wybór Gai, który Artura zaskoczył i zirytował, ale się uparła. Nie zamierzała pchać się aż do Warszawy. Strata czasu. Poza tym nie miała pojęcia, jak Artur zareaguje na to, o co go chciała zapytać, a w tłocznym i gwarnym Maku czuła się bezpiecznie.

– Świetnie wyglądasz – odpowiedziała, i była to absolutnie szczerza uwaga, ponieważ jej mąż, właściwie prawie były mąż, przez te kilka tygodni od rozstania bardzo się zmienił. Miał krócej niż zwykle ostrzyżone włosy, był opalony – czyżby krótki urlop z nową dziewczyną w tropikach? – i wyglądał na wypoczętego i zadowolonego z życia do tego stopnia, że nawet napięcie spowodowane ich spotkaniem nie zaburzyło tej jego nowej, pozytywnej aury.

– W przeciwieństwie do ciebie – nie omieszkał jej dogryźć.

Miała na końcu języka: „Ty chuju”, ale się powstrzymała.

– Dlaczego jesteś na mnie zły, że cię nakryłam z Olgą? – spytała grzecznie. – Przecież powinieneś się cieszyć. Tyle rzeczy ci ułatwiłam. Żadnych trudnych rozmów, awantur, depresji. Szybkie cięcie i z głowy. Jesteś wolny, masz cudowną dziewczynę, żyć nie umierać. Więc czemu mi dosrywasz?

Artur bawił się przez ten czas swoim iPhone’em, tak jakby chciał podkreślić, że to, co mówi Gaja, kompletnie go nie interesuje.

– Po co się chciałaś zobaczyć? Nie mam za dużo czasu.

– To dobrze, bo ja też nie – zgodziła się. – Chciałam cię zapytać, czy pamiętasz, co robiłeś wieczorem dwudziestego ósmego stycznia. To była niedziela.

Zmrużył oczy i wbił w nią złośliwe spojrzenie.

- A nie było mnie wtedy w domu?
- O ile pamiętam, to nie.
- Czyli pewnie zdradzałem cię z Olgą – powiedział obojętnie.

Zabolało. No jednak zabolalo.

Sięgnęła po swój telefon i zaczęła, tak jak Artur, przesuwać go po blacie tylko po to, żeby zająć czymś ręce. Nie mogła zrozumieć, jak doszło do tego, że człowiek, z którym żyła przez tyle lat pod jednym dachem w całkiem znośnym, przynajmniej w jej mniemaniu, małżeństwie, zamienił się w obcego, złośliwego trolla. Ale nie zamierzała pozostawać mu dłużna.

– Właśnie, co tam u niej? – spytała z żywym zainteresowaniem. – Czy ciągle jak dochodzi, wydaje takie śmieszne odgłosy? Jak wombat? – Widząc, że Artur zaciska z całej siły palce na oparciu krzesła, dorzuciła jeszcze bez troski: – Czasami jak chcę się pośmiać, to sobie puszczam ten wasz filmik z sypialni.

Chyba udało się mu dowalić, bo poczerwieniał.

– Nie pozwolę, żebyś ją obrażała – wysyczał, a Gaja odniosła wrażenie, że język na końcu mu się rozdważy. – Nie masz prawa...

– A ty nie miałeś prawa mnie zdradzać – odpowiedziała stanowczo. – Ale do rzeczy. Twierdzisz, że dwudziestego ósmego byłeś u Ołgi?

– Nie wiem! – Wzruszył ramionami zirytowany. – To jakieś przesłuchanie czy co?

– W pewnym sensie. Pracuję właśnie nad sprawą...

Artur parsknął śmiechem.

– Boże, czyli ty się serio bawisz w detektywa?

– Jakoś muszę zarabiać na życie.

– A co się stało dwudziestego ósmego?

– W tym starym domu naprzeciwko nas została zamordowana siedemnastoletnia dziewczyna.

Gaja, mówiąc to, patrzyła na Artura uważnie. Właśnie zarzuciła mu morderstwo i była bardzo ciekawa, jak zareaguje. Nie do końca wierzyła, że mógł

mieć coś wspólnego ze śmiercią Justyny, mimo to uważała, że ten trop trzeba sprawdzić. W końcu jej mąż był jednym z inwestorów tej cholernej kurzej fermy.

Artur znowu zaczął się bawić komórką. Odezwał się dopiero po chwili, kiedy ciężar zarzutów do niego dotarł.

– Ja miałbym zamordować jakąś siedemnastolatkę? Gaja, co ty bredzisz? Po co???

– Ktoś chce w tę zbrodnię wrobić nauczyciela z liceum, który jest organizatorem protestu przeciwko budowie kurników. Może komuś zależało, żeby go uciszyć? Wyeliminować? Komuś, kto zamierza na tej inwestycji zarobić?

Artur zamrugał szybko, tak jakby do oka wpadła mu mucha.

– Jestem w szoku. Naprawdę pomyślałaś, że to mógłbym być ja? Większego absurdu nie słyszałem. Poza tym czy nie sądzisz, że gdyby ktoś rzeczywiście chciał tego gościa wyeliminować, to by go po prostu zabił, zamiast w cokolwiek wrabiać?

Gaja była na taką uwagę przygotowana.

– Nie, bo gdyby zginął, zostałby męczennikiem za sprawę. To by wam raczej nie pomogło.

– Świetne – parsknął. – Męczeństwo w imię kurników! Zresztą nieważne. Zły adres.

– W jakim sensie?

– Wycofuję się z tego interesu. Za dużo problemów.

Dopił kawę i wstał.

– Idę. Powodzenia z agencją.

Wziął kurtkę z krzesła obok i zaczął się ubierać. „Teraz albo nigdy”, pomyślała Gaja.

– Ostatnie pytanie. Dlaczego mnie zdradziłeś?

Artur zamarł z ręką do połowy wsuniętą w rękaw.

– Świetne miejsce na taką rozmowę – rzucił ze złością. – Może trzeba było jeszcze poprosić o megafon?

– Odpowiedz, proszę.

Załoczył kurtkę do końca, położył dłonie na oparciu krzesła i nachylił się do Gai.

– Strasznie trudno się żyje z kimś tak silnym i niezależnym jak ty – powiedział. – Ale to może bym jeszcze zniósł. Przerosła mnie ta wielka czarna otchłań, którą w sobie hodujesz od dwudziestu lat. Przestraszyłem się, że mnie pożre.

Patrzyła, jak wychodzi na parking i wsiada do mercedesa.

Wielka czarna otchłań...

Nagle usłyszała charakterystyczne bzyczenie komórki przełączonej na wibracje. Leżący na stole telefon zaczął się trząść i lekko przesuwać po blacie.

Gaja wzięła go do ręki i natychmiast się zorientowała, że iPhone nie jest jej. Artur, wychodząc, musiał się pomylić i zabrać ze sobą komórkę Gai, a zostawił swoją.

Telefon ciągle wibrował, popatrzyła więc na ekran, żeby sprawdzić, kto tak natarczywie dobija się do jej męża.

Nazwisko, które zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie.

ROZDZIAŁ 56

– Mamusiu, pani powiedziała, żebyśmy były punktualnie o drugiej!

– Wiem, kochanie, pamiętam.

– Bo się musimy przebrać do występu. I pani powiedziała, żebyś mi zaplotła warkocz. Bo najlepiej pasuje.

– Dobrze, zaplotę.

– A wyprasowałaś mi sukienki? Bo pani powiedziała, że...

Do uroczystych obchodów święta szkoły podstawowej numer dwa imienia Mikołaja Kopernika dziewczynki szykowały się od kilku tygodni. Ula miała wziąć udział w przedstawieniu przygotowywanym przez nauczycielkę polskiego i bardzo była tym faktem podekscytowana. Trudno się zresztą dziwić, skoro w bajce o Kopciuszku miała grać Kopciuszka, postać niewątpliwie pierwszoplanową.

Przygotowania do roli zaabsorbowały wszystkich, łącznie z Maćkiem, który poprzedniego dnia wieczorem pracowicie oklejał sandałki córki srebrną folią. Za to Matylda musiała na występ wykonać aż dwa kostiumy. Wykorzystała do tego celu letnie sukienki Uli, na jednej naszywając łąty, na drugiej – wstążki i koronki. Świetnie się przy tym bawiła.

Ale w związku ze świętem na Matyldę czekało jeszcze jedno zadanie. Obiecała przynieść ciasto do kawiarenki, z której dochód miał być przeznaczony na zakup sprzętu sportowego dla szkoły.

Spojrzała na zegar wiszący nad stołem w kuchni. Była dziesiąta, najwyższy czas, żeby zabrać się do pieczenia. Wymyśliła, że zrobi kopiec kreta, ciasto nie tylko efektowne, ale też uwielbiane przez dzieci.

Wystawiła na blat wszystkie potrzebne składniki, otworzyła piekarnik, żeby wyjąć tortownicę, i zamarła z ręką w powietrzu. Tortownicy nie było.

Każda pani domu zna to uczucie, kiedy starannie zaplanowane działania nagle biorą w łeb z powodu jakiegoś nieprzewidzianego, pozornie drobnego braku, na przykład soli, mąki, jajek czy cukru. Takie sytuacje Matyldzie również się czasem zdarzały. Ale tym razem była pewna, że ma wszystko. Jak to się mogło stać, że tortownica zniknęła?

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. Wystarczyło sobie przypomnieć, że ostatnim wypiekiem Matyldy była szarlotka, którą zaniósła w prezencie matce Justyny. Zazwyczaj, kiedy obdarowywała kogoś ciastem, pilnowała, żeby zabrać potem blachę z powrotem ze sobą, jednak tym razem tempo, w jakim opuszczały dom Wysockiej, na to nie pozwoliło.

Brak tortownicy nie byłby problemem, gdyby miała w planie jakiegokolwiek inne ciasto, większość z nich można było z powodzeniem upiec w zwykłej, prostokątnej blaszce. Jednak kopic kreta wymagał okrągłej formy. Koniec, kropka.

Miała teraz dwa wyjścia. Mogła podjechać do sklepu i kupić nową, mogła też spróbować odzyskać starą. Pierwsze rozwiązanie wydawało się szybsze i prostsze. Matylda wiedziała jednak, że jeżeli teraz nie odbierze tortownicy od Wysockiej, nie zrobi tego już nigdy. A trochę by jednak było szkoda.

Zirytowana niespodziewanymi komplikacjami sięgnęła po telefon...

Artur wrócił po iPhone po dziesięciu minutach. Gaja czekała na niego na parkingu. Podjechał tak blisko, że prawie musnął kołami jej stopy. Kiedy otworzył okno, podała mu jego komórkę, a odebrała swoją. A potem nabrała powietrza i wypaliła:

– Skąd znasz Norberta Meję?

Artur najpierw zajął się umieszczeniem komórki w uchwycie na desce rozdzielczej i dopiero kiedy telefon znalazł się na swoim miejscu, spojrzał na Gaję niechętnie.

– A dlaczego cię to interesuje? – odpowiedział pytaniem na pytanie, klasyczny sposób, żeby zyskać na czasie.

– Dzwonił do ciebie przed chwilą.

– Jest moim klientem, to dzwoni.

Zabrzmiało to interesująco, więc Gaja nachyliła się do okna samochodu i zapytała:

– Czyli inwestujesz w jego imieniu?

– No raczej. To moja praca. – Położył palec na sterowniku szyby. – Mogę cię przeprosić? Spiesz mi się.

Ale Gaja dopiero się rozkręcała.

– Ciekawe... Czyżby jego pieniądze też poszły w kurniki?

Na policzkach Artura pojawił się rumieniec gniewu.

– Nawet jeżeli, to co? – wycedził

– To nic – Gaja oparła się łokciami o otwarte okno. – Złożyłeś mi, mam nadzieję, kondolencje?

– Jakie kondolencje, do kurwy nędzy? – wściekł się Artur. – O co ci chodzi?

Jego zdziwienie trochę Gaję zaskoczyło.

– To ty nie wiesz, że ta zamordowana dziewczyna była jego pasierbicą? – spytała.

Najwyraźniej nie wiedział, bo trudno by mu było udać aż takie zdziwienie.

– Żartujesz? – wydusił z siebie.

Przez chwilę wyglądał tak, jakby w gardle utkwiała mu bardzo tłusta i ruchliwa żaba.

– Nie, to niemożliwe... – powiedział w końcu, uspokojony. – Coś ci się musiało pomylić.

– Dlaczego uważasz, że to niemożliwe? – drążyła Gaja.

– Bo przez ostatni miesiąc wiele razy z nim rozmawiałem telefonicznie, mieliśmy też dwa czy trzy robocze spotkania. W ogóle nie wyglądał na kogoś, kto przeżywa taką tragedię – Artur kręcił głową z niedowierzaniem.

– Bo może nie przeżywał? – zwróciła mu uwagę Gaja. – Z tego, co wiem, nie przepadał za Justyną. – A korzystając z szoku, w jakim ciągle jeszcze znajdował się jej mąż, rzuciła jeszcze: – Czy on się też wycofał z inwestowania w kurniki?

– Nie, chociaż mu to rekomendowałem. Uparł się, jego sprawa.

Pewne fakty właśnie zaczęły się łączyć i obserwacja tego procesu była ekscytująca.

– Może dostał polecenie z góry – zauważyła Gaja.

– Co masz na myśli?

– Jego żonę. To ona mogła mu kazać ciągnąć temat.

Artur parsknął śmiechem.

– Przecież ona nie ma pojęcia, co on robi z jej pieniędzmi.

I nagle zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

– Nie słyszałaś tego! – rzucił, ze złością naciskając guzik. Szyba od strony Gai zasunęła się bezszelestnie, mercedes odjechał.

Gaja wsiadła do swojego auta i ruszyła w stronę Milanówka. Jechała wolno, bo chciała na świeżo ułożyć sobie w głowie to, czego właśnie dowiedziała się od Artura. Informacji nie było dużo, nie były też wstrząsające, ale w kontekście Mejzy, zyskiwały nowe znaczenie. Porywczy cham, udający światowca i inwestujący olbrzymie pieniądze żony bez jej wiedzy, do tego zazdrosna o matkę nastolatka, ciągłe konflikty i to, co najbardziej zabolalo Gaję – żadnego smutku po śmierci dziewczyny. Do tego niewątpliwa korzyść, jaką musiało być dla jego biznesu zniknięcie Peszka z horyzontu. Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu... to powiedzenie pasowało tutaj jak ulał.

Tylko jak on to zorganizował? Skąd wziął szalik i włosy?

Właśnie mijala Biedronkę w Otrębusach, kiedy ją olśniło. Może wcale nie musiał się specjalnie wysilać? Przecież Justyna kochała się w Peszku na zabój. Może to ona podprowadziła nauczycielowi szalik, może to ona zbierała jego włosy, czasami zakochane dziewczyny robią różne dziwne rzeczy.

Gaję przeszył dreszcz. Poczula, że musi się jak najszybciej podzielić tym wszystkim z Matyldą. Sięgnęła po telefon i wybrała jej numer, ale po dziesięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa. Spróbowała więc jeszcze raz, z takim samym skutkiem.

„Jest sobota, środek dnia, dlaczego ona nie odbiera?”, pomyślała zirytowana. Wykorzystując to, że na skrzyżowaniu w Podkowie właśnie zapaliło się czerwone światło, otworzyła kontakty, znalazła numer Maćka i zadzwoniła do niego.

– Hej, sorry, że ci przeszkadzam! – zaczęła, kiedy odebrał. – Masz tam gdzieś pod ręką Matyldę? Bo nie mogę się do niej dodzwonić.

– Przed chwilą wyszła – wyjaśnił. – Powiedziała, że jedzie odebrać tortownicę i zaraz wróci. Ale telefon na pewno ze sobą wzięła. Próbuj!

Gaja nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Maciek jak na informatyka mówi wyjątkowo dużo. Jeden szczegół ją zainteresował.

– Odebrać tortownicę? Nie wiesz skąd?

Maciek musiał chwilę pomyśleć.

– Od jakiejś Wysockiej.

Kiedyś w galerii handlowej Matylda postanowiła wejść w górę po popsutych schodach ruchomych, a one, kiedy była w połowie drogi, ruszyły w dół. Nigdy nie zapomni tego rozpaczliwego przebierania nogami i poczucia, że mimo ogromnego wysiłku cały czas stoi w miejscu.

Teraz czuła się podobnie. Czas płynął, święto szkoły zbliżało się wielkimi krokami, a ona siedziała w samochodzie przed willą Wysockiej, co chwila wybierając jej numer. W ciągu kwadransa wykonała już cztery próby, jednak telefon za każdym razem był zajęty. Zastanawiała się nawet, czy nie podejść po prostu do furki, ale trochę się krępowała pojawiać bez uprzedzenia. Poza tym domofon mógłby odebrać Mejza, a tego by nie przeżyła.

Już chciała sobie odpuścić i pojechać do przemysłowego po nową tortownicę, kiedy nagle komórka, którą odłożyła na siedzenie pasażera, zaczęła dzwonić. Matylda natychmiast sięgnęła po telefon, ale chwyciła go tak nieszczęśliwie, że wysunął się jej z palców i wpadł między siedzenie a drążek zmiany biegów. Dzwonił dalej, a ona próbowała go wyjąć, usiłując wcisnąć dłoń w wąską szparę.

Telefon umilkł, ale Matylda walczyła dalej. W końcu zrozumiała, że ma zdecydowanie za mało miejsca. Pomogłoby, gdyby odsunęła do tyłu fotel pasażera.

Coraz bardziej zdenerwowana, szarpnęła dźwignią ulokowaną pod siedzeniem.

Stara toyota Matyldy miała mnóstwo zalet, za które ją kochała, ale miała też sporo wad. Przede wszystkim była modelem archaicznym, miejscami nadgryzionym zębem czasu i niesprawnie funkcjonującym. Toteż kiedy fotel nawet nie drgnął, Matylda nie była zdziwiona.

Telefon zaczął dzwonić ponownie. Matylda wyskoczyła więc z samochodu, przebiegła na drugą stronę i usiadła na miejscu pasażera. Zaparła się nogami o podłogę, ponownie nacisnęła dźwignię i fotel z metalicznym piskiem przesunął się do tyłu.

Komórka ucichła.

Od drugiej strony dostęp do szpary był rzeczywiście dużo łatwiejszy i Matyldzie po chwili udało się wydobyć telefon. Spojrzała na ekran pewna, że zobaczy nieodebrane połączenia od Wysockiej, a jednak nie. To dzwoniła Gaja.

Matylda wybierała się do Wysockiej!

Gaja natychmiast przyspieszyła, choć i tak podejrzewała, że może już być za późno. Nie, nie bała się o przyjaciółkę, w końcu Matylda jechała tam po tortownicę, a nie oskarżać Meję o morderstwo. Ale w głowie Gai zrodził się pomysł, banalny i błyskotliwy jednocześnie, który mógł im pomóc w zdemaskowaniu zabójcy. Tyle że do zrealizowania tego pomysłu koniecznie trzeba było się znaleźć w domu Wysockiej. A Matylda właśnie tam szła.

Matylda zawahała się. Poczucie obowiązku kazało jej natychmiast oddzwonić do przyjaciółki, jednak w tak pechowym dniu jak ten było prawie pewne, że kiedy tylko wybierze numer Gai, natychmiast zacznie się do niej dobijać Wysocka. Dobra, bez przesady, zdyscyplinowała się. Przecież nie będziemy z Gają rozmawiać godzinę.

– Jesteś już u niej?! – wyrzuciła z siebie Gaja zamiast powitania. – U Wysockiej?!

– Skąd wiesz, że do niej idę? – zdziwiła się Matylda.

– Od Maćka. Mówiesz!

Matylda poczuła się odrobinę urażona ponagląjącym tonem przyjaciółki.

– Jeszcze nie weszłam, bo się nie mogę dodzwonić. Siedzę w aucie przed domem i czekam. Ale to trochę nie ma sensu, więc...

– Matylda, słuchaj, to się idealnie składa! – Gaja prawie krzyczała z emocji. – Ja właśnie wjeżdżam do Milanówka. Czekaj tam na mnie! Zahaczę tylko o dom i za pięć minut jestem. No, może siedem.

Matylda poczuła, że fatum tego dnia jej nie opuszcza.

– Ale ja nie mogę czekać – jęknęła. – Obiecałam upiec ciasto na święto szkoły, nie mam tortownicy i chyba pojedę kupić nową... – zaczęła się rozklejać.

– Ani mi się waż! – Gaja najwyraźniej nie była w nastroju do dyskusji. – Siedź tam! Zaraz jestem!

I rozłączyła się.

Matylda z westchnieniem oparła czoło o kierownicę. „Dlaczego ja jej zawsze ulegam?”, pomyślała, bardzo na siebie zła.

Jedno musiała Gai przyznać – przyjaciółka pojawiła się, tak jak obiecywała, po siedmiu minutach. Jej wielki czerwony land rover zatrzymał się z toyotą zderzak w zderzak i Gaja, zaskakująco pełna energii, wyskoczyła na chodnik.

– Słuchaj, Artur zna Mejzę – rzuciła, podekscytowana, a potem w kilku zdaniach streściła Matyldzie to, czego dowiedziała się od męża.

– Według mnie absolutnie Mejza może być sprawcą. Mógł wrzucić list do skrzynki, wywabić dziewczynę do Krysina i tam ją udusić – podsumowała. – A ty jak myślisz?

Matylda słuchała nieuważnie, cały czas zastanawiając się, czy uda jej się zdążyć ze wszystkim przed drugą.

– Gaja, nie wiem – odpowiedziała niepewnie. – Nawet jeżeli masz rację, to przecież mu się tego nie udowodni.

– No właśnie – Gaja pstryknęła palcami. – I dochodzimy do sedna! Patrz!

Gaja wyjęła z kieszeni długopis i trzymając go ostrożnie w dwóch palcach, podsunęła Matyldzie pod nos.

– Wiesz, co to jest?

– No długopis.

– Nie! Podśluch! – oznajmiła Gaja z dumą. – W końcu jesteśmy agencją detektywistyczną. Kupiłam go, żeby mieć na wyposażeniu, i proszę! Jak znalazł!

– Co będziesz z tym robić? – spytała Matylda ostrożnie, czując przez skórę nadciągające kłopoty.

– Nie ja. Ty! – sprostowała Gaja, a widząc w oczach przyjaciółki popłoch, dodała: – Nie martw się, to żadna robota. Po prostu jak będziesz odbierać tortownicę, to gdzieś tam ten długopis zostawisz i tyle.

Matylda potarła palcami skronie.

– Czyli chcesz, żebym podrzuciła podśluch?! – upewniła się wstrząśnięta.

– Tak – potwierdziła spokojnie Gaja. – Jakiś problem?

– A jak mnie nakryją?! I wydadzą policji?!

– To zrób to tak, żeby cię nie nakryli – poradziła Gaja. – Najlepiej go zostaw gdzieś w salonie. Mikrofon zbiera z dziesięciu metrów, więc nie obejmie całego parteru, ale zakładam, że na kanapie czasami siadają.

Matylda zrobiła nieszczęśliwą minę, co tylko nakręciło Gaję jeszcze bardziej.

– Popatrz na to tak: a jeżeli ten gość jest mordercą i chodzi sobie beztrąsko na wolności? I jeszcze nie daj boże zrobi komuś krzywdę? Nie możemy do tego dopuścić!

Zamilkła, czekając na reakcję przyjaciółki.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła Matylda, wyciągając rękę po długopis. – Gdyby nie ta tortownica, w życiu bym tam nie poszła.

Sięgnęła po telefon i po raz kolejny wybrała numer Wysockiej. Tym razem o dziwo nie był zajęty i po kilku sygnałach kobieta odebrała.

– Dzień dobry, Matylda Żukowska – przedstawiła się tonem grzecznej uczennicy. – Byłam kilka dni temu u pani, właściwie byłyśmy z koleżanką, zrobić

wywiad...

– Kojarzę, oczywiście – przerwała jej. – Dobrze, że pani dzwoni, bo zaczęłam mieć wątpliwości. Norbert uważa, że powinnam pani zabronić publikacji. Będę to musiała przemyśleć.

Matylda poczuła, że robi jej się słabo.

– Rozumiem – bąknęła. – Ale ja z inną sprawą. Przyniosłam wtedy szarlotkę.

– Och, no przecież! Była wspaniała! – Ton Wysockiej stał się słodki jak rozsmarowana na naleśniku nutella. – Ile ja jestem pani winna?

– Nic, ciasto było w prezencie – sprostowała Matylda. – Tylko czy ja bym mogła odzyskać tortownicę? Bardzo jej potrzebuję.

– Oczywiście. Proszę wpadać, kiedy pani wygodnie.

– A teraz mogę? Właśnie stoję pod furtką i...

– Już otwieram!

Gaja podniosła dwa kciuki w górę.

– Trzymaj się – szepnęła. – Powodzenia!

Matylda posłała jej niechętnie spojrzenie, pchnęła furtkę i zniknęła w ogrodzie willi.

ROZDZIAŁ 57

Matylda spędziła w domu Wysockiej całe dziesięć minut, a kiedy wyszła, z tortownicą w ręku, była zdenerwowana i zła.

– Czy ty kiedyś podrzucałaś podsłuch? – spytała zaczepnie.

– Udało ci się? – chciała wiedzieć Gaja.

Matylda pomachała tortownicą.

– Udało. Idę piec ciasto. I sobie zaparzę meliski.

– Ja się pytam, czy się udało podzucić?

– Tak, ale nie w salonie, nie miałam żadnego pretekstu, żeby tam pójść. Zostawiłam w kuchni.

– Gdzie konkretnie?

– Włożyłam do tego wazonika, który ulepiła Justyna. Tylko mam jedną prośbę. Nie każ mi tam po to wracać, dobrze?

Gaja uśmiechnęła się nieszczercze, bo oczywiście to właśnie Matyldę planowała wysłać po odbiór podsłuchu.

– Nie no, coś ty, poradzę sobie. Dziękuję ci, jesteś kochana i dzielna! Gdybyś była zdjęciem, dałabym ci serduszko.

Matylda popukała się w głowę.

– A Mejza w domu? Nie wiesz? – zapytała jeszcze szybko Gaja.

– Chyba tak. Słyszałam jakiś ruch na górze, to pewnie on. – Matylda wsiadła do toyoty. – Jedno mnie tylko interesuje. Jaki ten podsłuch ma czas pracy?

– Dwadzieścia cztery godziny.

– No właśnie... To skąd wiesz, czy akurat w ciągu tego czasu Mejza będzie mówił rzeczy, które pozwolą go oskarżyć o morderstwo?

Gaja uśmiechnęła się tajemniczo.

– Po pierwsze, nagrywanie aktywuje się dźwiękiem, więc ta bateria potrzyzyma dużo dłużej niż doba, a po drugie, mam pewien pomysł, ale ci go zdradzę dopiero wtedy, gdy zadziała.

Matylda przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Przyjdziecie z Helenką na występ Uli? – spytała. – Zaczyna się o drugiej trzydzieści.

– Postaram się wpaść. A jeśli chodzi o Helenę, to nie wiem, ona ostatnio zaczyna chodzić własnymi drogami.

– I bardzo dobrze! – zauważyła Matylda. – Trzymaj kciuki, żebym zdążyła z tym kopcem kreta!

Pieniądze nigdy nie stanowiły dla Klary motoru napędowego. Lubiła je mieć i uwielbiała wydawać, jednak zależność między posiadaniem a zarabianiem wydawała jej się nudna i mało seksowna. Zgadzała się na nią, nie miała innego wyjścia, jednak najważniejsze było dla niej, żeby praca, którą zmuszona będzie z tej okazji wykonać, posiadała jak najwięcej pozytywnych stron.

W pracy detektywa takim właśnie pozytywem miało być nagromadzenie przygód i niebezpieczeństw, czyli w skrócie – zastrzyków adrenaliny. Tyle że jak na razie na nic takiego się nie zanosilo. Do tej pory zdążyła wypić kawę z nauczycielką w średnim wieku, zjeść pizzę z siedemnastolatką, była też świadkiem romantycznego spotkania po latach, na wspomnienie którego ją mdliło. Zero adrenaliny, zero przygody.

Kolejnym rozczarowaniem okazało się to, że pracy było tyle co kot napłakał.

Co prawda jeden dzień wycięła sobie na własne życzenie, wyskakując do Torunia, ale i tak za dużo czasu spędzała, kiwając palcem w bucie. Na przykład teraz, zamiast śledzić jakichś niewiernych małżonków, popijała sobie leniwie wedlowską czekoladę w Blue City i rozmyślała, czy czasem te przestoje nie odbijają się jakoś na jej zarobkach.

Najprościej byłoby to sprawdzić w umowie, ale Klara, przeczytawszy ją dość pobieżnie, gdzieś ją wetknęła i teraz nie potrafiła znaleźć. Chyba trzeba będzie ten temat poruszyć na najbliższym spotkaniu z Gają.

A na razie postanowiła wykorzystać czas wolny i pobiegać po sklepach. Nie, żeby miała zamiar coś kupować, po wyjeździe do Torunia i wydatkach na prezenty dla rodziców naprawdę nie miała kasy. Ale w przymierzalni świetnie się cyka foty na Instagrama. Atrakcyjnie i bezkosztowo.

Telefon zadzwonił, kiedy właśnie wciągnęła na siebie efektowną, bardzo krótką sukienkę w kolorze czerwonego wina. Kiecka była tak obcisła, że Klara wyglądała w niej jak owinięta bandażem, w dodatku zakrwawionym, ale bardzo jej się ten efekt podobał.

Odebrała połączenie, cały czas analizując swoje odbicie w lustrze i zastanawiając się, pod jakim kątem zrobić zdjęcie.

– Hej, jak rodzice? – zaczęła obcesowo Gaja.

Klara westchnęła. Coś czuła, że ta ściema będzie się za nią ciągnęła jak ogon zdechłego szczura.

– W porządku – powiedziała lekko. – Dzisiaj wychodzą ze szpitala.

– Świetnie! To kiedy najszybciej możesz być w Milanówku?

W głosie Gai słychać było podekscytowanie i Klara poczuła, że chyba tym razem adrenalina jej nie ominie.

– Za pół godziny – rzuciła, zbierając swoje rzeczy i wpychając je na chybił trafił do torby.

– Super! – ucieszyła się Gaja. – Czekam!

Gaja siedziała na parapecie okna w gabinecie z lornetką w dłoni i czekając na Klarę, podpatrywała skaczące po ulicy sroki. Z powodu ostatnich wydarzeń i szalonego tempa, w jakim pędziło jej życie, dramatycznie zaniedbała swoje hobby, dlatego nawet te kilka minut, które mogła teraz poświęcić na obserwację, było bezcenne.

Mimo to nie czuła ani tej radości, ani satysfakcji co zwykle, bo jej myśli zaprzętał Paweł. Była o to na siebie wściekła – nawet zdrady męża nie przeżywała tak jak spotkania z byłym chłopakiem.

Jedynym ratunkiem, żeby nie pogrążyć się we wspomnieniach, było działanie. Między innymi dlatego umówiła się na spotkanie z Arturem, co okazało się bardzo dobrym pomysłem. Po pierwsze, nie mogła przecież, siedząc naprzeciwko męża, tęsknić za Pawłem, a po drugie – dzięki temu w śledztwie pojawił się obiecujący nowy wątek. I pretekst, żeby wezwać Klarę.

Gaja czuła, że to prawdopodobnie najlepszy ruch, jaki mogła wykonać. Klara jak nikt potrafiła ją zirytować i podnieść jej ciśnienie, dlatego bardzo jej teraz potrzebowała. Klin klinem.

Jedną z rzeczy, która ją w Klarze najbardziej denerwowała, obok jej bezczelności i kłamstw, był motor. Gaja generalnie za motocyklami nie przepadała. Uważała motocyklistów za najbardziej niebezpiecznych i nieprzewidywalnych użytkowników dróg, a hałas, jaki im towarzyszył, doprowadzał ją do pasji, bo potrafił spłoszyć ptaki z naprawdę dużej odległości. I to właśnie teraz nastąpiło. Sroki odleciały na długo przed tym, nim motocykl zatrzymał się przed bramą.

– Czy ty byś się nie mogła przesiąść na auto? – spytała niechętnie Gaja, kiedy Klara pojawiła się w gabinecie.

– Dlaczego? – zdziwiła się Klara.

– Bo motocykle są głośne i niebezpieczne.

Klara parsknęła śmiechem.

– No i właśnie dlatego na nich jeżdżę – wyjaśniła i natychmiast dorzuciła pozornie niewinnym tonem: – A ten twój adwokat się odezwał?

Gaja zignorowała zaczepkę.

– Matylda podrzuciła w domu Wysockiej podsłuch – poinformowała Klarę. – Teraz my musimy sprowokować Meję.

Klara przysiadła na biurku, o mało nie zrzucając stojącej na nim lampy.

– U jakiej Wysockiej? – spytała z grzecznym uśmiechem. – Jakiego Meję?

Dopiero teraz Gaja się zorientowała, że Klara nic nie wie o tym, co się wydarzyło dwa dni temu. Po wizycie u Wysockiej widziały się tylko raz, na spotkaniu z Pawłem, więc jedyne, co Klara mogła kojarzyć, to że w pokoju Justyny został znaleziony list. Jakoś później nie miały czasu, żeby porozmawiać.

Teraz zresztą też go nie miały, bo jeżeli podczas podkładania podsłuchu Mejza był w domu, powinny jak najszybciej zacząć działać.

– Wszystko ci opowiem, ale później. Idziemy.

Ulica, którą jechały, kończyła się na torach. Wsiadły z auta. Gaja wyjęła z bagażnika niewielki plecak oraz składaną drabinę i ruszyły ścieżką wzdłuż nasypu. Sto metrów dalej weszły w niewielki zagajnik, który kończył się wysokim, białym murem.

– Jesteśmy na tyłach domu Wysockiej – oznajmiła.

Rozejrzała się, wybrała odpowiednie miejsce i rozstawiła drabinę. Oparła się o szczeble, żeby nóżki wbiły się w ziemię, i sprawdziła stabilność.

– W porządku – zdecydowała.

Weszła na drabinę i ostrożnie wyjrzała zza muru. Z miejsca, w którym stała, rozciągał się widok na ogród i dom, którego tylna elewacja w dużej części składała się z wielkich, idealnie przejrzystych szyb. Z prawej strony spomiędzy świerków wynurzał się garaż, Gaja dostrzegła także stojący na podjeździe samochód.

– Dasz mi lornetkę? – spytała szeptem. – Jest w plecaku.

Klara wyjęła lornetkę i podała szefowej. Gaja poprawiła ostrość i przez chwilę sprawdzała, na ile wyraźnie widać wewnątrz domu.

– Dobra, może być – orzekła i zeskoczyła z drabiny. – Całe szczęście, że firanki wyszły z mody.

A potem zwięźle i logicznie wytłumaczyła Klarze, czego od niej oczekuje.

ROZDZIAŁ 58

Pierwszy raz Gaja potraktowała Klarę jak pracownika.

Kiedy szefowała fundacji, z delegowaniem obowiązków nie miała żadnych problemów. Jej pozycja wydawała się oczywista, i to wcale nie dlatego, że była żoną sponsora. Miała wiedzę i kompetencje, przez lata budowany autorytet, zaufanie osób, które zatrudniała, i najważniejsze – zaufanie do samej siebie. Wiedziała, jak organizować pracę i czego się po kim spodziewać, działała skutecznie i z wprawą.

Jednak teraz, na zupełnie nowym zawodowym polu, jej doświadczenie okazało się do niczego nieprzydatne. Nie miała pojęcia, jak prowadzić agencję detektywistyczną ani jaka jest specyfika zawodu. Wszystkie decyzje podejmowała intuicyjnie, co powodowało, że ich efektów nie była w stanie przewidzieć. Nie ufała samej sobie. Poruszała się po omacku, miała też niepokojącą świadomość, że pierwsza sprawa w jej karierze prywatnego detektywa ją przerasta. Jedyne, czym dysponowała, to entuzjizm neofity, tyle że na samym entuzjazmie daleko się nie zajędzie.

Jej karkołomny plan otwarcia agencji opierał się na założeniu, że detektyw, którego przyjmie do pracy, będzie się znał na robocie. Niestety Klara o pracy detektywa nie wiedziała praktycznie nic i teraz na Gaję spadła podwójna odpowiedzialność. Nie dość, że musiała sama ogarniać stronę organizacyjną, to jeszcze dodatkowo kontrolować Klarę, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały warunki. Do tej pory niemal wszystko robiły razem, wiedziała jednak, że w którymś momencie będą musiały się rozdzielić.

Dlatego teraz z całym rozmysłem podjęła decyzję o zostawieniu dziewczyny samej.

Uznała, że obserwacja domu Wysockiej nie jest zadaniem na tyle skomplikowanym, żeby angażować w nią dwie osoby. Wytłumaczyła więc Klarze dokładnie, co ma robić, wsiadła w samochód i wróciła do siebie.

Była bardzo ciekawa wyniku tego eksperymentu.

Leczo najlepiej smakuje jesienią, kiedy papryka, bakłażany i cukinia mają w sobie najwięcej słońca. We wrześniu i w październiku Gaja robiła je bardzo często, również dlatego, że Helena za nim przepadała. Kilka solidnych porcji lądowało też wtedy w zamrażarce, gotowych do użycia w sytuacjach awaryjnych. Czyli dokładnie takich jak dzisiaj.

Gaja zdążyła wyjąć dwa pudełka zamrożonych warzyw, przerzucić je do garnka i włączyć pod nimi palnik, kiedy zadzwoniła Klara.

– Jest w kuchni! – zameldowała.

– Gdzie żona?

– Na kanapie przed telewizorem. Ledwo doszła. Wcześniej wykończyła butelkę wina.

– Fantastycznie! – ucieszyła się Gaja. – Nie spuszczań go z oka! Będę za dziesięć minut.

Zmniejszyła gaz pod garnkiem do minimum, krzyknęła Helenie, że musi na chwilę wyjść, i pobiegła do samochodu.

Kiedy dotarła pod mur posesji Wysockiej, Klara siedziała na najniższym szczeblu drabiny i przeglądała internet.

– Przecież miałaś go cały czas obserwować! – zaatakowała ją Gaja.

Klara przybrała minę męczennicy.

– Zmarzłam! – oznajmiła oskarżycielsko. – I nogi mnie rozbolały!

Gdyby Gaja umiała zgrzytać zębami, krzesałaby iskry.

– Ale to było ważne!

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Pierwsza skapitulowała Klara.

– Wyluzuj – roześmiała się. – Nabieram cię. Odpuściłam sobie, bo on wyszedł.

Gaja właściwie nie wiedziała, czy ta informacja ją cieszy, czy martwi. Skłonność Klary do konfabulacji zaczynała być irytująca.

– Co się działo po tym, jak do mnie zadzwoniłaś? – spytała oschle.

– Ktoś zadzwonił do niego.

– Wiem, to byłam ja.

– Ty? – zdziwiła się Klara. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Właśnie, dlaczego jej nie powiedziała? Chyba dlatego, że nie uważała za konieczne jej wszystkiego wyjaśniać. A może po prostu nie chciała, żeby Klara zakwestionowała jej pomysł?

Gaja zapożyczyła go z jakiegoś serialu kryminalnego i prawdę mówiąc, nawet jej samej wydawał się naiwny. Miało być tak: Klara obserwuje Mejzę i daje znać Gai, kiedy mężczyzna znajdzie się w zasięgu mikrofonu. Gaja dzwoni do niego (jak dobrze, że przepisała numer Mejzy z komórki Artura), sugeruje, że to on zamordował Justynę, i zaczyna go wypytywać, co robił w dniu morderstwa. A potem się rozłącza.

W serialu odpowiednik Mejzy natychmiast zaczynał dzwonić po ludziach i załatwiać sobie lewe alibi. Jeżeli Mejza był winny, też powinien tak zrobić. Proste, prawda?

– Czy po rozmowie ze mną telefonował do kogoś? – spytała Gaja. – Czy się nie przyglądałaś za bardzo?

Klara przewróciła oczami.

– Trzeba mi było wytłumaczyć wszystko na początku, a nie teraz mieć pretensje – zwróciła uwagę Gai. – Zarządzanie ludźmi nie polega na wydawaniu poleceń, tylko na omawianiu zadań! – To ostatnie zdanie wzięła z jakiegoś wykładu dla managerów, podczas którego pracowała jako hostessa. Pasowało tutaj jak ulał.

– Telefonował czy nie? – naciskała Gaja.

– Nie wiem. Ale cały czas miał komórkę przy uchu. A potem wyszedł.

– Z kuchni?

– Nie, z domu. Widziałam, jak wyjeżdża takim zajebistym żółtym porszakiem. I chyba był trochę wkurzony, bo palił gumy. Idziemy stąd? – spytała. – Naprawdę mi zimno.

W domu na Modrzewiowej przywitał je gęsty i apetyczny pomidorowo-czosnkowy aromat.

– Jezu, jaka jestem głodna! – wyrwało się Klarze.

– Zjesz z nami? – spytała Gaja bez specjalnego entuzjazmu, ale Klara nie była czuła na niuanse.

– Pewnie! Tylko siku zrobię.

Gaja pokazała Klarze łazienkę, a sama poszła do kuchni nakładać obiad.

Właśnie wyjmowała talerze z szafki, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś intensywnie czerwona postać i dopiero po chwili Gaja zorientowała się, że to Klara, która pozbyła się swojego czarnego skórzanego kombinezonu i teraz miała na sobie ultrakrótką i ultraobcisłą sukienkę z dekoltem, przez który mogłaby się podrapać w pepek.

– Powiedz mi, jaki jest sens wkładania pod kombinezon takiej kiecki? – spytała, w jakiś masochistyczny sposób zafascynowana.

Klara machnęła ręką bagatelizująco.

– Gdy zadzwoniłaś, akurat ją przymierzałam. I pomyślałam sobie, że zamiast tracić czas na przebieranie, po prostu ją kupię.

Do kuchni weszła Helena i na widok Klary oniemiała.

– Cześć – Klara podeszła do niej i podała jej rękę. – Jestem Klara. Pracuję z twoją mamą.

Helena przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Dżizas, ale pani jest... – wyraźnie nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa. – Wystrzałowa!

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – Klara uśmiechnęła się do dziewczyny szeroko.

– I to pani motocykl stoi w ogrodzie? – Helena patrzyła na Klarę z coraz większym podziwem.

– Tak, mój. – Zaczęła ruszać nosem jak królik. – To co z tym jedzeniem? Bo wam tu zaraz padnę z głodu.

Leczo okazało się wyjątkowo smaczne – czosnkowe i aromatyczne. Pochłaniały je szybko i w skupieniu, zwłaszcza że nie bardzo było o czym rozmawiać. Sprawy agencji nie nadawały się do omawiania przy Helenie, a innych wspólnych i bezpiecznych tematów na razie nie miały.

Kończyły jedzenie, kiedy Gai coś się przypomniało.

– Ula dziś występuje w przedstawieniu – poinformowała Helenę. – Wpół do trzeciej u niej w szkole. Chcesz iść?

– Nie wiem – odpowiedziała dziewczyna.

Wyjęła komórkę i w zawrotnym tempie, używając kciuków, wystukała na klawiaturze wiadomość. Ten proces niezmiennie Gaję fascynował. Nie była w stanie pojąć, jak połączenia nerwowe są w stanie tak szybko przesyłać informacje.

Dwie sekundy później na ekranie wyskoczyła odpowiedź.

– Dobra, idę! – ożywiła się dziewczyna.

Gaja autentycznie się ucieszyła.

– W takim razie za kwadrans ruszamy – uprzedziła córkę.

Helena popatrzyła na nią, zaskoczona.

– Nie musisz mnie zawozić, poradzę sobie – oznajmiła, wstając od stołu.

– Ale ja myślałam, że pójdziemy razem! – zaprotestowała Gaja.

Helena przewróciła oczami.

– Mamcia, ale jak razem? – spytała tonem, jakim matki zwracają się do niesfornych dzieci, i nie czekając na odpowiedź, na którą zresztą nie liczyła, wstawiła talerz do zmywarki i pobiegła na górę.

Gaja już od jakiegoś czasu obserwowała wybijanie się córki na niepodległość. Helena coraz rzadziej dawała się namówić na wspólne spędzanie czasu, coraz mniej opowiadała o szkole i przyjaciółkach, zadawała natomiast więcej pytań dotyczących funkcjonowania świata. A jednak takie kategoryczne postawienie sprawy Gaję zabolalo. Poczula, że musi uporządkować emocje, więc wstała i – zaczęła porządkować kuchnię.

Klara obserwowała ją z lekkim uśmiechem.

– Nie bierz tego do siebie – zwróciła jej życzliwie uwagę. – Nastolatki takie są. Bezwzględne. To, co zrobiła twoja córka, to się nazywa piłowanie pępownicy tępym nożem. Mało przyjemne uczucie. Zwłaszcza dla ciebie teraz.

Gaja odwróciła się do Klary gwałtownie.

– Co masz na myśli, bo nie rozumiem? – spytała zaczepnym tonem.

– To, że zostaliście tylko we dwie – wyjaśniła spokojnie Klara. – I boisz się, że ona też cię zostawi.

Gaja chciała się oburzyć, zaprotestować, ale w głębi duszy poczuła, że Klara ma rację. Choć wydawało jej się, że rozstanie z Arturem zniosła całkiem nieźle, to jednak było to ROZSTANIE. I tym trudniej było jej się pogodzić z faktem, że relacja z córką również zaczyna ulegać rozchwianiu. No ale taka jest kolej rzeczy, pewne procesy są nieuniknione.

– Kawy? – zaproponowała.

– O, kawusia koniecznie – ucieszyła się Klara. – A fajny ten jej chłopak chociaż?

„Ona ma wyjątkowy dar zadawania niewygodnych pytań”, pomyślała Gaja, a głośno powiedziała:

– Skąd ty wiesz o chłopaku?

– Pisała z nim. Podejrzałam na telefonie.

– Nie wiem, czy fajny. Raz ich widziałam, w przelocie. Farbuje włosy na niebiesko.

– Czyli fajny – orzekła Klara. – Odważny i oryginalny. Gdyby farbował na blond, tobym się obawiała, że narcyz. Co z tą kawą?

ROZDZIAŁ 59

Wproszenie się na obiad do Gai było ruchem idealnym. Nie dość, że jedzenie okazało się świetne, to jeszcze udało się Klarze skutecznie zmiękczyć relację szefowa–pracownik, która nagle zaczęła ją bardzo uwierać.

Gaja, zostawiając Klarę samą na tej kretyńskiej drabince, wyraźnie jej dzisiaj pokazała, kto tu rządzi. I choć obiektywnie to naprawdę była praca dla jednej osoby – Klara rzadko potrafiła być obiektywna w sprawach, które dotyczyły jej samej – niesmak pozostał.

Siedziała na drabinie prawie godzinę, zmarzła i wynudziła się setnie, ponieważ w domu Wysockiej prawie nic się nie działo. Gdyby nie to, że motocykl został u Gai w ogrodzie, byłaby już dawno z powrotem w Warszawie. A najbardziej złościło ją, że musiała tam tkwić, bo Gaja KAZAŁA. Niestety każde polecenie, nieważne przez kogo wydane, wywoływało w Klarze odruch buntu, co na dłuższą metę nie wróżyło dobrze ich stosunkom służbowym.

Dlatego trzeba było z nich jak najszybciej uczynić stosunki prywatne.

Bo na płaszczyźnie towarzyskiej Klara radziła sobie świetnie.

Po zjedzeniu obiadu i krótkiej rozmowie na temat problemów z nastolatkami Gaja przygotowała kawę i przeniosły się do salonu.

Pokój był urządzony dość swobodnie; drogie, designerskie meble mieszały się tutaj z Ikeą i Duką. Uwagę Klary zwróciły wbudowane w ściany białe regały pełne książek. Podeszła do nich, zaintrygowana, i zaczęła przebiegać tytuły wzrokiem: Dostojewski, Szekspir, Sienkiewicz, Norman Davies i Harari. Ale najwięcej miejsca zajmowały kryminały. Klara wypatrzyła Läckberg, Cobena, Geritsen i Chmielarza, ale najbardziej imponująco prezentowała się seria książek Agathy Christie, zajmująca dwie półki.

– Dżizas, ile tego jest? – spytała, zafascynowana.

– Tam masz na tomach numery.

Klara rzuciła okiem na ostatni grzbiet.

– Osiemdziesiąt pięć? No bez jaj...

– Sporo pisała...

– Taki ówczesny Mróz.

– Fani Agathy spuściliby cię za ten tekst w kiblu.

Klara wzięła do ręki tom z numerem jeden.

– *Morderstwo w Orient Ekspresie*. Mogę pożyczyć?

Gaja nie odpowiedziała od razu.

– Dobrze – zgodziła się, sięgając po telefon. – Zapozuj mi z tym – poleciała, przełączając komórkę na aparat.

A widząc zdziwienie Klary, wyjaśniła:

– No co, po prostu jestem do nich przywiązana. – Pstryknęła zdjęcie. – W ten sposób będę pamiętała, że pierwszy tom jest u ciebie. Za dwa tygodnie chcę go widzieć z powrotem.

Klara przyłożyła dwa palce do czoła.

– Tak jest! – i opadła na kanapę obok Gai.

– Twoja kawa – Gaja podsunęła jej filiżankę. – Powiem ci, że jestem bardzo ciekawa, czy ta nasza dzisiejsza akcja się udała. To znaczy, czy Mejza dał się sprowokować. No ale tego się dowiemy dopiero, jak przesłuchamy nagranie. O ile w ogóle coś się nagrało.

W ten sposób Gaja wróciła do spraw agencji. Klarze, dopóki w grę nie wchodziły polecenia służbowe, to nie przeszkadzało.

– A jak zamierzasz odzyskać podsłuch? – zainteresowała się.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami Gaja. – Akumulator wystarcza na dwadzieścia godzin pracy, więc na razie niech się nagrywa. Potem będę kombinować.

– Miałaś mi opowiedzieć, jak wyglądała ta wasza pierwsza wizyta. I o tym liście – przypomniała Klara.

Gaja upiła łyk kawy.

– Ta wizyta to był *hardcore*, naprawdę. Wysocka w strasznym stanie. Sporo mówiła o Justynie, wspomniała też, że w niedzielę w skrzynce pocztowej znalazła list adresowany do córki. Bez znaczka. Pomyślałam, że warto by go było odnaleźć, ale kiedy weszłam do niej do pokoju, zwątpiłam. Pokoje nastolatek to nie są miejsca łatwe do przeszukania. Popatrz, jak to wyglądało...

Wzięła do ręki telefon, odnalazła zrobione w pokoju Justyny zdjęcia i zaczęła je pokazywać Klarze, jedno za drugim: zbliżenie na ciuchy, na biurko, na toaletkę...

– Chwila! – ożywiła się nagle Klara. – Możesz cofnąć?

Wróciły do fotografii przedstawiającej toaletkę Justyny. Klara dotknęła ekranu palcami i rozsunęła obraz. Na powiększonym fragmencie widać było rozrzucone w nieładzie kosmetyki: podkłady, tusze, szminki, palety cieni, pędzle do makijażu i – wypełnioną przezroczystą substancją buteleczkę. Klara stuknęła w nią paznokciem.

– Patrz na to... – powiedziała zaskoczona. – Collodion... Dziwne.

– Collodion? – Gai ta nazwa z niczym się nie kojarzyła. – A co to jest?

– Preparat do symulacji blizn – powiedziała powoli Klara, wpatrując się w ekran telefonu.

– Słucham?

– Taki profesjonalny produkt do robienia sztucznych blizn albo ran. Używa się tego na planach filmowych. Smarujesz tym płynem skórę, on wysycha i tworzy coś, co wygląda zupełnie jak blizna. Potem to wystarczy podkolorować... A właśnie, poczekaj.

Zaczęła się uważnie przyglądać pozostałym kosmetykom pokrywającym blat toaletki.

– Są! Są farbki do ciała! Aquacolor Kryolanu! Widzisz?! – pokazała Gai prostokątną granatową paletę.

– Widzę, tylko co z tego?

– Nikt takich rzeczy na co dzień nie używa – tłumaczyła coraz bardziej podekscytowana Klara. – Po co zwykłej siedemnastolatce sztuczna blizna? Pachnie mi tu niezłą ściemą.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi – Gaja była wyraźnie zdezorientowana.

– Już ci tłumaczę. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy z tą koleżanką Justyną, Dominiką? Ty wtedy wcześniej wyszłaś, a myśmy jeszcze jadły pizzę i gadały. Wypytywałam ją o to nagranie na Snapie. Powiedziała, że było ciemne, niewyraźne i w sumie niewiele na nim było widać. Więc się spytałam, skąd w ogóle wie, że to Justyna i Peszek. I teraz uważaj: okazuje się, że twarzy Peszka nie widziała, bo kamera go pokazywała od tyłu. Rozpoznała go po bliźnie na ramieniu. Podobno ma taką wielką, charakterystyczną, brzydką bliznę. I akurat ją było widać idealnie.

Gaja patrzyła na Klarę z naganą.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tej bliźnie? Przecież to mega ważna informacja.

– Ale wtedy wcale nie wyglądała na ważną – Klara machnęła lekceważąco ręką.

– No dobrze... Czyli myślisz, że Justyna wcale nie była w łóżku z Peszkiem, tylko z jakimś innym mężczyzną, któremu namalowała tę bliznę, żeby go udawał?

Klara pstryknęła palcami.

– Bingo!

Na chwilę obie zamilkły, próbując na nowo ułożyć sobie w głowach tę historię.

– Wysocka mówiła, że Justyna była bardzo uzdolniona plastycznie – przypomniała sobie Gaja. – Chodziła na różne kursy, zdaje się też makijażu i charakteryzacji... Więc spokojnie mogła taką bliznę spreparować.

– A to by znaczyło, że Peszek nie kłamie i naprawdę nic go z Justyną nie łączyło – Klara była coraz bardziej podekscytowana. – I jeszcze coś: jeżeli dziewczyna namówiła jakiegoś faceta, żeby udawał Peszka, to musiała być z nim w dobrych układach. Może on ma jakieś informacje? Może wie coś, co mogłoby

się nam przydać? Może mu się na przykład zwierzała, jak wyglądały jej relacje z ojczymem?

– Koniecznie musimy go znaleźć! – Podekscytowanie Klary udzieliło się Gai. – Tylko jak go namierzyć?

– Zapytajmy Dominikę! – zasugerowała Klara.

W tym momencie do salonu wpadła Helena. Wyglądała jakoś inaczej i dopiero po chwili Gaja zorientowała się, że córka zrobiła sobie makijaż.

– To ja się żegnam! – podbiegła do Klary i przytuliła się do niej szybkim ruchem.

Klara obrzuciła ją taksującym spojrzeniem.

– Zajebicie wyglądasz – stwierdziła.

Helena popatrzyła na nią czujnie.

– Naprawdę tak pani myśli? – spytała ostrożnie.

– Kotek, jaka pani. Klara jestem. A jeśli chodzi o make-up, to wiem, co mówię. Modelki się znajdują na takich sprawach.

– Pani... Jesteś modelką? – Helena o mało nie zemdląła z wrażenia.

– Tak się złożyło... – odparła skromnie Klara. – Więc makijaż sztos. Tylko szminki bym odrobinę ciemniejszej użyła, takiej wiesz, bardziej wyrazistej.

– Klara! – zdenerwowała się Gaja. – Może bez przesady, co? Ona ma czternaście lat!

– No właśnie. Jakby miała piętnaście, to już ona doradzałaby mi – Klara puściła do Heleny oko i dodała: – Następnym razem przywiozę drugi kask i się przejedziemy. Co ty na to?

Helena aż jęknęła.

– Serio? Na motorze? Ale czad!

I wybiegła z salonu.

– Fajna ta twoja mała – powiedziała z uznaniem do Gai. – I taka do ciebie podobna.

– Wszyscy mi to mówią – skinęła głową Gaja. – A wiesz, co jest najśmieszniejsze?

– No?

– Helena jest adoptowana.

Klara pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Wkręcasz mnie!

– No coś ty.

Gaja z rozbawieniem obserwowała Klarę. Doskonale wiedziała, jakie będzie jej następne pytanie. Wszyscy je zadawali.

Nie pomyliła się.

– To ile miała lat, jak do was trafiła?

– Sześć tygodni.

– Sześć tygodni... – powtórzyła Klara. – Ty, to zajebicie!

– Zgadza się – przyznała Gaja, a potem, ucinając temat, sięgnęła po komórkę i zaczęła szukać numeru Dominiki.

Adopcja to temat rzeka i Gaja bała się, że jeżeli teraz zaczną o niej rozmawiać, to nie skończą do niedzieli.

– Wysłałam ci telefon tej dziewczyny – uprzedziła. – Komórka Klary zabręczała cicho sygnałem przychodzącego esemesa. – Chyba że chcesz, żebym ja z nią porozmawiała?

– Nie, nie. Ja – zdecydowała Klara. – Jadłyśmy razem pizzę, to jak braterstwo krwi.

A jednak okazało się, że braterstwo krwi czasami nie wystarcza.

Dominika nie chciała się spotkać.

– Ja już wszystko powiedziałam. Nic więcej nie wiem, naprawdę – stwierdziła, a Klara natychmiast wychwyciła w jej głosie jakiś nowy ton.

– Ty się czegoś boisz? – spytała zaskoczona.

Dominika nie odpowiedziała od razu.

– Ktoś z klasy widział mnie z wami w pizzerii – przyznała się po dłuższej chwili milczenia. – Dopytywali. Nie chcę, żeby myśleli, że jestem kablem.

Klara natychmiast zrozumiała, w czym problem.

– Nie musimy się spotykać na mieście – powiedziała szybko. – Możemy wpaść do ciebie do domu.

Ten pomysł też nie przypadł dziewczynie do gustu.

– Wolałabym nie rozmawiać przy rodzicach.

– Jasne – zgodziła się Klara. – A gdybyśmy podjechały pod bramę, wysłabyś do nas? To nie zajmie więcej niż pięć minut, obiecuję! Bez ciebie nie rozwiążemy tej sprawy! – zaszantażowała ją bezczelnie.

Dominika, przyparta do muru, skapitulowała.

– No dobrze... – zgodziła się niechętnie. – Tylko proszę nie dzwonić. Będę wyglądać przez okno. Jak was zobaczę, to wyjdę.

– Dzięki! Jesteśmy za... – Spojrzała pytająco na Gaję, która pokazała jej rozłożone palce obu rąk. – Za dziesięć minut.

ROZDZIAŁ 60

Gaja nie miała żadnego problemu, żeby mówić o adopcji, ale robiła to już tyle razy, że przebieg każdej kolejnej rozmowy potrafiła przewidzieć z dokładnością co do przecinka. Kiedy ją wzięliście? Kim byli jej rodzice? Czy wie, że jest adoptowana? Na każde z tych pytań można było odpowiedzieć jednym zdaniem, jednak ci, którzy je zadawali, oczekiwali od Gai, że nie poprzestanie na suchych informacjach, ale zabierze ich w piękną, emocjonalną podróż, na końcu której będą mogli uronić łzę wzruszenia.

Niestety Gaja musiała ich rozczarować. Dla niej adopcja była po prostu macierzyństwem i oprócz kilku technicznych kwestii, takich jak to, że nie karmiła Heleny piersią czy że oczekiwanie na nią trwało dwanaście, a nie dziewięć miesięcy, wszystko zamykało się w zwykłej relacji matka–córka. Nie była bohaterką, jak wiele osób chciałoby o niej myśleć. Nie miała misji. Miała dziecko, które kochała i które chciała dobrze wychować, jak każdy rodzic. To wszystko.

Teraz, kiedy Klara już o adopcji wiedziała, było jasne, że prędzej czy później temat wróci. Ale na razie musiały się zająć pracą.

Dominika mieszkała po drugiej stronie torów, przy Warszawskiej. Gaja zaproponowała, żeby pojechały tam razem jej autem, ale Klara uparła się, że weźmie motor.

– Potem sobie od razu bryknę do domu – wyjaśniła.

– A jeżeli dowiemy się od niej czegoś, co będzie wymagało sprawdzenia? – zaprotestowała Gaja.

– To sprawdzisz. Ja muszę wracać – Klara uśmiechnęła się przeproszająco, jakby urywała się wcześniej z nudnego wernisazu. – Zapomniałam na śmierć, że się

dzisiaj umówiliśmy ekipą na bungee.

– Bungee? – zdziwiła się Gaja. – To było modne wieki temu... Nie boisz się, że im liny sparciały?

– Boję się. I o to chodzi. Jedziemy?

Droga zajęła im dziesięć minut. Dom, w którym mieszkała Dominika, był piętrowym, nieotynkowanym klockiem z czerwonej cegły z płaskim dachem i dobudowaną na zewnątrz klatką schodową, co sugerowało, że składa się z dwóch osobnych mieszkań. Prawdopodobnie dlatego na podwórko, przedzielone niskim płotem, prowadziły dwie furtki i dwie bramy.

Gaja zaparkowała auto na wysokości sąsiedniej posesji, Klara postawiła motocykl obok jej land rovera i wysłała do Dominiki esemesa z informacją, że już są.

Dziewczyna pojawiła się prawie natychmiast. Musiała czekać na dworze, bo chociaż miała na sobie ciepłe buty, kurtkę i czapkę, wyglądała na zmarzniętą. Podeszła do bramy, która znajdowała się po jej stronie podwórka, ale nie wyszła na ulicę.

– Cześć, Domi – Klara od razu zaczęła skracać dystans. – Dzięki, że znalazłaś chwilę.

Dziewczyna obejrzała się w stronę domu, tak jakby sprawdzała, czy ktoś ich czasem nie obserwuje.

– Zaraz muszę wracać – uprzedziła. – Co panie chciały wiedzieć?

Klara przysunęła się do bramy.

– Podejrzewamy, że mężczyzna na filmiku na Snapie to nie był Peszek.

Dominika patrzyła na Klarę, zaskoczona.

– Nie, to był on! – zaprzeczyła stanowczo. – Na pewno! Przecież widziałam bliznę!

– No właśnie o tę bliznę chodzi – wyjaśniła Klara. – Odkryliśmy, że Justyna miała specjalny preparat, którym można taką bliznę zrobić. Jesteśmy prawie

pewne, że blizna była sztuczna, a Justyna poprosiła kogoś, żeby zagrał Peszka. Jak myślisz, kto to mógł być?

Dominika lekko się spłoszyła.

– Jejku, no nie wiem... Naprawdę chciałabym pomóc, ale...

– Zastanów się. Może kręcił się koło niej jakiś chłopak? Kolega? Nikogo nie kojarzysz?

– Nie. Ja się z nią naprawdę nie kumpłowałam. Ja ją tylko uczyłam matmy – tłumaczyła się dziewczyna.

– Jeżeli ten chłopak się zgodził na udział w czymś takim, to albo mu zależało na Justynie, albo chciał zaszkodzić Peszkowi – Gaja postanowiła włączyć się do rozmowy. – Spróbuj sobie przypomnieć, z kim ją ostatnio widywałeś, proszę!

W tym momencie kątem oka zarejestrowała jakiś ruch na chodniku. Kiedy spojrzała w tamtą stronę, zauważyła chudego, czarnego kota z żółtymi oczami, który zbliżał się ostrożnie do bramy. Dominika również go zauważyła.

– Czy to możliwe... – powiedziała cicho. – ... żeby to był... – i nagle zaczęła wydawać radosne okrzyki: – Bilbo!!! Kici, kici!!! Bilbo!!!

Kot usłyszał wołanie i puścił się biegiem. Minął Gaję i Klarę, i przecisnął się na podwórko między prętami bramy. Dominika ukucnęła, a kot jednym susem wskoczył dziewczynie w objęcia.

– Wróciłeś! Wróciłeś! – szeptała, ocierając się policzkiem o kocie futro.

Kot łąsił się do niej, mrużąc i trącając nosem jej szyję, a dziewczyna całowała go po łebku i zaglądała mu w oczy. Było w tym ich powitaniu tyle czułości, że Gai przyszła do głowy zaskakująca myśl: może Helenie też by się przydało jakieś zwierzę? Nie kot, bo koty zabijają ptaki, ale na przykład... świnka morska?

– Nie mogę uwierzyć! Nie było go od stycznia! – Dominice głos drżał ze wzruszenia. – Myśleliśmy, że już nie wróci! Kotuś kochany!

Klara wyjęła z kieszeni kombinezonu komórkę i sprawdziła godzinę.

– Czyli żaden chłopak nie przychodzi ci do głowy?? – spytała dla porządku, ale dziewczyna była zbyt zajęta kotem, żeby odpowiedzieć. – Dobra, to ja się

zbieram – zwróciła się do Gai. – Jak coś się będzie działo, dawaj znać.

– Tylko nie próbuj ruszać tutaj motorem, bo kot znowu ucieknie – pouczyła ją Gaja. – Przepchnij go gdzieś dalej czy co?

Klara parsknęła śmiechem.

– A próbowałaś kiedyś pchać motocykl? Ale dobra, postaram się nie narobić siary.

Klara zdążyła odejść zaledwie kilka metrów, kiedy Dominice coś się przypomniało.

– Justyna chodziła na dodatkową siatkówkę – rzuciła. – Tam jest kilku chłopaków. Może któryś z nich?

Klara zawróciła i podeszła z powrotem do bramy.

– Co to za chłopcy? – zapytała, zaciekawiona.

– Różni. Z różnych klas. Nie znam ich. – Dominika wzruszyła lekko ramionami.

– Kiedy mają treningi?

– Chyba w poniedziałki i w czwartki. Albo we wtorki i w czwartki? Powinno być na stronie szkoły.

– No i bomba! – ucieszyła się Klara. – Piąteczka! – przełożyła rękę między prętami bramy, chcąc przybić piątkę z Dominiką, ale dziewczyna miała obie ręce zajęte kotem.

W tym momencie na ulicy pojawił się samochód – mały, srebrny opel – i podjechał pod drugą bramę, należącą do posesji, na której mieszkała Dominika. Za kierownicą siedziała jakaś kobieta.

– To twoja mama? – spytała czujnie Gaja.

– Nie, ciocia – wyjaśniła Dominika. – Mieszka nad nami.

Ciotka Dominiki, szczupła, drobna kobieta ubrana na szaro, wysiadła z auta i ruszyła w ich kierunku.

– Ciociu! – krzyknęła cicho dziewczyna. – Bilbo wrócił!!!

W tym momencie kot, wydając z siebie jakieś dziwne, buczące dźwięki, zaczął się gwałtownie wrywać. Gdyby nie to, że Dominika trzymała go naprawdę mocno, uciekłby.

– Bilbuniu, już, spokojnie – dziewczyna przytuliła go z całej siły. – Zaraz dostaniesz jedzonko. Jakiś ty chudy! Muszę iść! – powiedziała do Gai i Klary. – Do widzenia! – I pobiegła do domu.

Gaja patrzyła za nią, dopóki nie zniknęła za drzwiami. W tym czasie ciotka Dominiki zdążyła otworzyć sąsiednią bramę i wróciła do auta, żeby wprowadzić je na posesję.

– Czyli jednak czegoś się dowiedziałyśmy – zauważyła Klara. – Kiedy się bierzemy za tych kolesi z siatkówki?

– Jak najszybciej. Sprawdzę, kiedy mają najbliższy trening, i ci napiszę. Aha, Agathy mi nie zgub.

– No co ty! Ja? Zgubić? – prychnęła oburzona Klara, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć, co zrobiła z książką i czy w ogóle ją zabrała od Gai.

Rozeszły się. Klara podeszła do motocykla, założyła kask i ruszyła, stawiając na nogi całą okolicę. Gaja wsiadła do land rovera i sprawdziła godzinę. Był kwadrans po trzeciej.

Włączyła silnik i ruszyła w kierunku szkoły. Co prawda przedstawienie Uli zapewne właśnie dobiegało końca, ale na oklaski powinna zdążyć. I może uda jej się namierzyć wśród publiczności Helenę z błękitnowłosym?

Jednocześnie gdzieś z tyłu głowy coraz natrętniej kołatała się myśl: „Dlaczego Paweł nie dzwoni?”.

ROZDZIAŁ 61

– Poproszę kawałek. Ale cienki. Może ten? – mama Kajetana z trzeciej A prawie wbiła palec w ciasto. – Bo wie pani, pani Matyldo, muszę dbać o linię.

„Jak się dba o linię, to się nie je kopca kreta”, pomyślała Matylda, nakładając ciasto. I natychmiast sobie uświadomiła, że jest ostatnią osobą, która ma prawo rzucać kamieniami w kogoś, kto nie trzyma diety. Sama co chwila podejmowała walkę z nadprogramowymi kilogramami, zawsze z zerowym skutkiem. Ze-ro-wym. Lubiła jeść, lubiła karmić, a jej silna wola miała muskułki wróbla. Dużo prostsze okazało się maskowanie, więc zamiast w diety pudełkowe, Matylda inwestowała w szerokie spódnice i luźne swetry. Starczały na dłużej.

Z uśmiechem podała kobiecie talerzyk i korzystając z tego, że przy jej stanowisku nie było żadnego klienta, poszła na drugi koniec stołu, gdzie stały termosy z kawą i herbatą. Po chwili wahania wybrała kawę i nalała jej sobie do plastikowego jednorazowego kubeczka, notując w pamięci, żeby na następnym zebraniu rady rodziców poruszyć temat naczyń biodegradowalnych. Wracając na swoje miejsce, zauważyła Gaję, która kręciła się między ludźmi, najwyraźniej za kimś się rozglądając.

– Hej, tutaj jestem! – machnęła do przyjaciółki.

Gaja podeszła do stołu z ciastami.

– Nie widziałaś Heleny? – spytała.

– Była na przedstawieniu. Z chłopakiem.

– Miał niebieskie włosy?

– Miał czapkę. Widziałaś występ?

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Sorry, nie zdążyłam. Musiałyśmy z Klarą coś załatwić. – Rozejrzała się szybko dookoła. – Lecę szukać dzieciaka.

Matylda poczuła się w obowiązku zareagować.

– No coś ty! – zaprotestowała. – Chyba nie chcesz jej narobić obciachu?

– Nie, ale wolę ją mieć na oku.

– W pewnym wieku trzeba pozwolić dzieciom na samodzielność! – wygłosiła złotą myśl wszystkich matek.

Gaja uśmiechnęła się z wyższością.

– Porozmawiamy, jak twoja starsza córka skończy czternaście lat. Ale dobrze. Opuść ją, bo muszę pogadać z tobą. Mam biznes – oświadczyła. – W sensie zadanie. Czy ten artykuł o Justynie dałabyś radę napisać na jutro?

Matylda przysunęła sobie krzesło i ciężko na nie opadła.

– Nie wierzę własnym uszom – powiedziała. – Artykuł o Justynie? Naprawdę myślisz, że po tym, co usłyszałyśmy, napiszę o niej artykuł?

– A dlaczego nie? – zdziwiła się Gaja.

– Bo informacje, które zebrałyśmy, raczej się na artykuł o zmarłej nastolatce nie nadają.

Gaja przez chwilę analizowała wypowiedź przyjaciółki.

– No dobrze. Masz trochę racji. Ale przecież nie musisz pisać prawdy.

Matylda patrzyła na Gaję z coraz większym zdziwieniem.

– To znaczy co mam napisać według ciebie?

– Wszystko jedno. Nie chodzi o treść, chodzi o pretekst. Artykuł będzie potrzebny, żebyś mogła z nim pójść do Wysockiej po autoryzację. A przy okazji zabierzesz podsłuch.

„Tak czułam – pomyślała Matylda. – Ona nigdy nie odpuszcza”.

– Przecież cię uprzedzałam, że nie odbiorę tego podsłuchu – zaprotestowała. – Nie zmusisz mnie!

Ich rozmowa coraz bardziej przypominała kłótnię i bardzo to Matyldę martwiło. Rzadko pozwalała sobie na takie słowne utarczki, ale tym razem czuła,

że musi się bronić. Bo chociaż uwielbiała Gaję i zrobiłaby dla niej wszystko, to od „wszystko” istniały jednak pewne wyjątki: nie wzięłaby na przykład do ręki tarantuli, nie przejechała się rollercoasterem i – na Boga – nie odebrałaby podsłuchu z domu Wysockiej! Dlaczego? Po prostu dlatego, że się bała. Bała się spotkania z Mejzą, bała się jego fizycznej agresji, bała się tego, że mógłby ją zdemaskować. I – co przerażało ją najbardziej – że mógłby zgłosić całą sprawę na policję.

Jednak Gaja zachowywała się tak, jakby w ogóle tego nie rozumiała.

– Oczywiście, że cię nie zmuszę – przyznała. – Mogę cię tylko prosić. Bo widzisz, tak jakby nie mamy innego wyjścia.

Matylda miała ochotę chwycić przyjaciółkę za ramiona i mocno nią potrząsnąć.

– Gaja! Jakie „my”? Ja nie pracuję w twojej agencji!

– I właśnie dlatego chcę ci zaproponować, żebyś zaczęła – wyjaśniła Gaja. – Znasz wszystkich w mieście, dociera do ciebie każda najmniejsza plotka, i jeszcze w dodatku ludzie ci wierzą, więc możesz im wcisnąć każdą ściemę.

– Ja nie wciskam ściem! – uniosła się Matylda.

– Ale gdybyś chciała, tobyś mogła. Potrzebuję takiej osoby jak ty. Zastanów się. Nie mówię: rzuć etat w ratuszu, tylko: pracuj tam sobie spokojnie, a u mnie zostań wolnym strzelcem. Umowa zlecenie, te rzeczy. Zwłaszcza że ekstra pieniądze na pewno by się wam przydały.

– Przecież tu nie chodzi o pieniądze! – zaprotestowała Matylda tak głośno, że kilka osób stojących niedaleko obejrzało się na nie z ciekawością.

– A o co?

– O wszystko! – wypaliła. – Ja nie jestem taka hop do przodu jak ty! Nie potrzebuję adrenaliny, jak Klara! To nie jest praca dla mnie!

– No akurat z tym się nie zgodzę! – zaprotestowała żywo Gaja. – Nie widziałas swojej miny po tym, jak zabrałyśmy podsłuch z mieszkania Olgi. I pamiętasz, jak się śmiałyśmy po wizycie u Wysockiej? Świetnie sobie radzisz i super się bawisz,

a jednocześnie wmawiasz sobie, że się nie nadajesz... To się nazywa, moja droga, hipokryzja.

Jak zwykle Gai udało się bezbłędnie odczytać emocje Matyldy. W niczym to jednak nie pomogło. Wręcz przeciwnie – doprowadziło to Matyldę na skraj wytrzymałości, co zakończyło się katastrofą.

– Nie jestem hipokrytką – oznajmiła płaczliwie. – Po prostu nie umiem mówić nie. A ty to wykorzystujesz!

Kiedy dotarło do niej, że się zagalopowała, już było za późno.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała Gaja, przyglądając się przyjaciółce uważnie. – Że cię wykorzystuję?

Matylda rozpaczliwie szukała słów, którymi mogłaby załagodzić nieprzyjemne wrażenie. Ale zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, Gaja odwróciła się i wyszła.

– Co ja zrobiłam? - jęknęła przerażona Matylda. – Przecież ja tak wcale nie myślę!

Czuła, że powinna pobiec za przyjaciółką, przeprosić ją, wytłumaczyć... W tym momencie tuż obok niej odezwał się energiczny, znajomy głos.

– A gdybym chciała ciasto na wynos, to mi pani spakuje?

Przy stole pojawiła się znowu mama Kajetana, fanka diet i kopca kreta.

– Jasne. Zaraz poszukam jakiegoś pudełka. – Uśmiechnęła się do niej słabo.

Kiedy skończyła obsługiwać kobietę, na poszukiwanie Gai było już za późno i Matylda została z denerwującym uczuciem, że jej świat rozpada się na kawałki – i choć powinna ten proces zatrzymać, to kompletnie nie wie jak.

ROZDZIAŁ 62

„Czy ja Matyldę wykorzystuję?”, zastanawiała się Gaja, przekładając pranie z pralki do suszarki i popijając czerwone wino ze szklanki do whisky, solidniejszej i bardziej stabilnej od kieliszka. Kwestia wygody.

Choć na oskarżenie przyjaciółki Gaja zareagowała impulsywnie, to przecież nie czuła się urażona jej słowami. Potraktowała je raczej jako sygnał, że nic nie jest dane raz na zawsze. Zwłaszcza relacje. I choćby nie wiadomo jak dobrze funkcjonowały, trzeba o nie dbać.

„Czy ja ją wykorzystuję?”, myślała.

Na początku, kiedy sprowadzili się z Arturem do domu po rodzicach, obecność Matyldy była dla niej jak tlen. Spędzały ze sobą mnóstwo czasu, Matylda pomagała Gai oswoić na nowo Milanówek, ludzi, których kiedyś znała, i miejsca, w których bywała. Gaja doceniała tę pomoc, ale gdy poczuła się na tyle pewnie, żeby stanąć na własnych nogach, zrobiła to. Wiedziała, że Matylda powita to z ulgą, bo w jakimś sensie odzyska własne życie.

Jednocześnie Gaja cały czas czuła, że ma wobec przyjaciółki dług wdzięczności. Starła się go spłacać, pokazując Matyldzie, jak ważna jest samodzielność, pewność siebie, wiara we własne siły. To dzisiejsze spięcie między nimi również było w tym kontekście istotne. Gaja świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że jeżeli przyjaciółka przełamie strach i odkryje, że potrafi być sprawcza i skuteczna, gdzieś to kiedyś zaprocentuje.

Nie martwiła się tą sytuacją jakoś bardzo, bo wiedziała, że prędzej czy później wszystko sobie z Matyldą wyjaśni. Dużo bardziej przejmowała się wydobyciem podsłuchu od Wysockiej.

Próbując w to wrobić Matyldę, poszła po linii najmniejszego oporu. Myślała, że swoją propozycją raczej przyjaciółkę rozbawi, niż zdenerwuje, a przy okazji problem zostanie rozwiązany. Pomysł pójścia do Wysockiej z artykułem do autoryzacji wydawał się sprytny, wręcz błyskotliwy, bo wykorzystywał narzędzie, które stworzyły przy okazji poprzedniej wizyty. Ale skoro nie da się go zrealizować, trzeba będzie wymyślić coś innego.

I bardzo dobrze. Lepiej zająć głowę tym niż analizowaniem powodów, dla których Paweł milczy już dwadzieścia dziewięć godzin.

Z tych dwudziestu dziewięciu godzin zrobiło się czterdzieści osiem, a Gaja ciągle nie wiedziała, jak wydobyć podsłuch z domu Wysockiej. Dopiero kiedy niedzielne południe przeszło w popołudnie, olśniło ją.

Włączyła komputer, otworzyła nowy dokument tekstowy i wystukała na górze strony: „Nasza Justyna. Wspomnienie”. Prawdopodobieństwo, że Wysocka kojarzy, która z nich miała pisać artykuł, było zerowe.

Starła się, naprawdę się starła. Kiedy się nie ma prawie żadnych danych, napisanie więcej niż dwóch zdań na czyjś temat nie jest łatwe, a jednak Gaja łała wodę tak, że chlustało na klawisze. Po godzinie miała już trzy strony, co prawda z maksymalną interlinią i czcionką dwunastką, ale kilka kartek zawsze wygląda lepiej niż jedna. Wydrukowała je, włożyła do teczki i pojechała pod dom Wysockiej. Raz kozie śmierć.

Wysiadła z auta. Teczkę z „artykułem” przycisnęła do piersi na takiej wysokości, żeby była dobrze widoczna przez kamerkę domofonu, i podeszła do furtki. Naciskając srebrny guzik, wykrzywiła twarz w grymasie, który miał być szerokim, życzliwym uśmiechem, ale wyszedł tak, jakby ją bolała górna szóstka.

Panel po chwili ożył i z głośnika popłynął zirytowany głos Wysockiej.

– Kto tam?

– Dzień dobry, Gaja Stawska – przedstawiała się grzecznie. – Byłyśmy u pani z koleżanką. Chodziło o artykuł na temat Justyny. Właśnie go napisałam – zbliżyła teczkę do oka kamery – i chciałam dać pani do autoryzacji.

– Artykuł? – zdziwiła się Wysocka. – Następny?

– Jak to następny? – spytała ostrożnie Gaja.

– Już jeden dzisiaj autoryzowałam. Tej pani koleżanki. Bardzo piękny jej wyszedł.

Gaja, zaskoczona, kompletnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie... – wydusiła z siebie, ale nie zdążyła dodać nic więcej, bo Wysocka jej przerwała.

– To je sobie wyjaśnijcie między sobą. Do widzenia.

I wyłączyła się.

Gaja stała jeszcze przez chwilę, patrząc na swoje odbicie w srebrnym panelu na furtce.

– Bravo! – powiedziała cicho do siebie i wróciła do auta.

Paweł ciągle nie dzwonił.

Matylda włożyła kurtkę, owinęła szyję grubym zielonym szalikiem i lekko kłapiąc kapciami, wyszła z domu. Trochę się bała tego, co miało za chwilę nastąpić, ale jednocześnie rozpierała ją duma. Bo w prawej dłoni ścisnęła długopis z zamontowanym podsłuchem, który godzinę wcześniej wykradła z domu Wysockiej.

Cała akcja okazała się zaskakująco prosta i bezproblemowa, a Matylda obiecała sobie, że już nigdy w życiu nie da się oszukać swojej lękliwej wyobraźni. Wysocka, choć przywitała ją oschle, zdecydowała się jednak przeczytać artykuł. Z każdym kolejnym zdaniem łagodniała, a na koniec podziękowała Matyldzie, że tak pięknie opisała jej córkę.

W czasie gdy Wysocka pogrążona była w lekturze, Matylda wśliznęła się na sekundę do kuchni, wyjęła podsłuch z wazonika i niepostrzeżenie wróciła do salonu, a wszystkie jej wcześniejsze obawy okazały się płonne. Gdyby od początku myślała pozytywnie, cała ta awantura z Gają nie miałaby miejsca.

Teraz musiała ją przeprosić. Tylko czy Gaja będzie chciała te przeprosiny przyjąć?

– Myśl pozytywnie! – szepnęła do siebie cicho i otworzyła furtkę w płocie.

Odkąd Artur się wyprowadził, Matylda często wchodziła do Gai bez pukania, jednak dzisiaj nacisnęła dzwonek i pełna obaw czekała, aż przyjaciółka jej otworzy.

Chwilę później w drzwiach stanęła Gaja. Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa, a potem Matylda wyciągnęła w jej stronę długopis.

– Wiesz, że bez tego też bym cię wpuściła? – spytała Gaja, odbierając od niej podsłuch.

– Ale nie wiem, czy ja bez tego miałabym odwagę przyjść – odpowiedziała Matylda z ulgą.

Poszły prosto do biura. Gaja rozkręciła długopis. Górna, grubsza część kończyła się wtyczką USB, którą Gaja podłączyła do laptopa.

Na dole ekranu pokazało się okienko informujące o zawartości urządzenia. Wystarczyło tylko przenieść plik z dyktafonu na pulpit i mogły go zacząć odsłuchiwać.

Przewijały nagranie powoli, bojąc się, że coś im umknie, ale przez dłuższy czas z głośników dochodziły jedynie odgłosy kroków i lejającej się w zlewozmywaku wody. Dopiero w drugiej godzinie zabrzmiał dzwonek telefonu.

Po dwóch sygnałach Mejza odebrał rozmowę.

– *Halo!* – rzucił do słuchawki. – *Tak, przy telefonie* – w jego głosie wyczuły wahanie. – *Agencja detektywistyczna? A w jakiej sprawie?* – miejsce wahania zajęła irytacja.

Gaja zapauzowała.

– Powiedziałałam mu, że równolegle z policją prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Justyny, i spytałam, co robił wieczorem tego dnia, kiedy została zamordowana.

Włączyła ponownie odtwarzanie.

– *Nie mam obowiązku odpowiadać na pani pytania. – (pauza) – Co pani z tym alibi? Moja sprawa, czy mam, czy nie mam. Dość tego, rozłączam się. Jak jeszcze raz pani zadzwoni, to zgłoszę na policję stalking.*

Na nagraniu na moment zapadła cisza.

– *Kurwa, kurwa, kurwa!* – zaczął się nagle wściekać Mejza. – *Ja pierdolę...*

Rozległ się stukot, jakby mężczyzna kopnął w coś z całej siły, bo aż syknął z bólu.

– *Ciekawe, co robi teraz* – szepnęła Gaja.

Chyba odkręcił kran, bo w tle pojawił się jednostajny szum lecącej wody. A potem zapanowała cisza. Nie wiedziały nawet, czy Mejza został w kuchni, czy może z niej wyszedł. Dopiero po chwili znowu go usłyszały.

– *Cześć, Anka, to ja!* – rozpoczął następną rozmowę telefoniczną. – *Nie, nie stęskniłem się. Mam problem! Zadzwoniła jakaś idiotka z agencji detektywistycznej i zaczęła mnie wypytywać o alibi na ten dzień, kiedy zginęła Justyna. Oczywiście nic jej nie powiedziałem, ale nie podoba mi się, że węszy. Jeżeli ona mnie z tym połączyła, to policja też mnie zaraz zacznie szarpać. Więc proszę mam. Weź popytaj swoich znajomych, czy ktoś by za pieniądze nie zeznał, że był ze mną tamtego wieczoru. Gdzie? Wszystko jedno. W jakimś klubie? Czy na siłowni? Albo że z nim triathlon uprawiałem. Cokolwiek, kurwa. Szczegóły dogadamy. Dobrze zapłacę.*

Gaja znowu wcisnęła pauzę.

– *Niesamowite! Udało się! Załatwia sobie lewe alibi!* – Gaja pokręciła głową z niedowierzaniem. – *Ależ mamy szczęście!*

Matylda patrzyła na przyjaciółkę z uznaniem.

– *Powinnaś to jak najszybciej pokazać policji* – powiedziała.

– *Oczywiście! Mam nadzieję, że go wsadzą na dożywocie. Co za skurwiel... Zamordować dzieciaka żony...*

Puściła nagranie dalej.

– *Kurwa, dlaczego ty komplikujesz sprawę!* – Zdenerwowany głos Mejzy znowu wypełnił przestrzeń pokoju. – *Myślisz, że jestem głupi? Przecież wiem, że*

wtedy byłem u ciebie! Tylko nie mogę tego nikomu powiedzieć, bo jakby się moja żona dowiedziała, toby mnie wyjebała z domu na zbity pysk.

Matylda i Gaja spojrzały na siebie, zdezorientowane.

– Anka, słuchaj uważnie – ciągnął Mejza. – *Masz mi znaleźć kogoś, kto mi sfabrykuje alibi. Za kasę. To wszystko. Aha, i nie dzwoń do mnie. Ja się skontaktuję. Cześć!*

– Nie wierzę – jęknęła Gaja, wstrząśnięta. – Czyli jest dokładnie odwrotnie? On ma alibi, tylko nie może się do niego przyznać? Jasna cholera! Byłam pewna, że to on!

– Ja też – przyznała Matylda. – A tu się okazuje, że co prawda jest obleśnym, kłamliwym typem, zdradza żonę i tak dalej, ale Justyny nie zamordował.

Przez chwilę siedziały w ciszy, przetrawiając to, czego się dowiedziały.

– No dobrze – odezwała się w końcu Gaja. – Plusy są takie: podsłuch się sprawdził, jeden z podejrzanych wyeliminowany, ty się rozkręcasz...

Odłączyła wtyczkę, zakręciła długopis i wrzuciła go do szuflady, po czym wpisała w Google frazę: „Liceum Milanówek”, a kiedy otworzyła się strona szkoły, kliknęła zakładkę Sport.

– I co teraz planujesz? – spytała niepewnie Matylda.

– Trening siatkówki – odpowiedziała Gaja.

ROZDZIAŁ 63

Na parkingu przed liceum nie było ani jednego wolnego miejsca, ale nawet gdyby był pusty, Klara i tak zaparkowałyby tuż przed głównym wejściem do budynku. Lubiła robić wrażenie, a jej suzuki bandit nadawało się do tego idealnie.

Były umówione z Gają na piętnastą trzydzieści. Klara przyjechała kilka minut przed czasem, w co sama nie mogła uwierzyć. Dokładnie w momencie, w którym wyłączyła silnik, w budynku zabrzmiał dzwonek. Odczekała, aż otworzą się drzwi szkoły, i kiedy na dziedziniec wysypał się kolorowy tłum młodzieży, zdjęła kask, potrząsnęła głową, żeby rozpuścić włosy, i ruszyła w kierunku wejścia. Zrobiła to z całą premedytacją, wiedząc, że przyciąga wzrok niczym dziewczyna Bonda.

Młodzież w drzwiach rozstąpiła się, żeby ją przepuścić, i Klara znalazła się w holu budynku. Nie zdążyła jednak przejść nawet pięciu kroków, kiedy tuż przed nią wyrosła niska, pulchna kobieta w błękitnym fartuchu i z mopem w ręku.

– Pani do kogo? – spytała niezbyt życzliwie.

Klara oceniła woźną jednym rzutem oka. Wyglądała na taką, która bez skrupów wyrzuciłaby ją ze szkoły, gdyby tylko Klara dała jej do tego pretekst.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się grzecznie. – Szukam dodatkowych zajęć siatkówki.

Jeżeli myślała, że takie tłumaczenie wystarczy, to się pomyliła.

– Po co? – burknęła woźna.

Klara zatrzepotała nerwowo rękami.

– Szukam chłopca, który chodzi na te treningi – zaczęła tłumaczyć. – Mam do niego sprawę. Prywatną.

Woźna zacisnęła wojowniczo palce na kiju od mopa.

– A nie za młody dla pani? – spytała złośliwie.

Ta rozmowa nie szła w dobrą stronę i Klara była tego coraz bardziej świadoma. Szukała rozpaczliwie w głowie jakiejś dyplomatycznej odpowiedzi, kiedy nagle tuż obok niej pojawiła się Gaja.

– Dzień dobry, jak się możemy dostać na salę gimnastyczną? – spytała miłym, ale stanowczym tonem.

Woźna obejrzała ją od góry do dołu. Najwyraźniej elegancki krótki wełniany płaszcz i torebka Louis Vuitton budziły większe zaufanie niż czarny skórzany kombinezon Klary, bo po chwili wahania kobieta skapitulowała.

– Prosto i w prawo – rzuciła niechętnie.

– Dziękuję pani!

Gaja uśmiechnęła się łaskawie, chwyciła Klarę pod łokieć i pociągnęła we wskazanym kierunku.

– Jaki ty masz plan? – zainteresowała się Klara, kiedy zatrzymały się pod salą. – Bo ja myślę, że mogłybyśmy tam wejść od razu, a jak skończą, to ty byś strzeliła mówkę typu: „Jesteśmy z agencji detektywistycznej, czy któryś z was kolegował się z Justyną Wesołą... to dla nas bardzo ważne... bla, bla, bla”.

– Nie, no błagam – jęknęła Gaja. – To może od razu zapytam: „Czy ktoś z was kręcił z Justyną film erotyczny i udawał na nim Peszka?”. Tu jednak trzeba delikatniej. Dyskretniej.

Klara usiadła na niskiej, długiej ławeczce stojącej pod ścianą, identyczne pamiętała jeszcze ze swojej szkoły. Ławka była tak wąska, że kiedy położyła na niej kask, sturlał się na ziemię.

– Spoko. Ty tu rządzisz.

Gaja podeszła do drzwi, schyliła się i zajrzała do środka przez dziurkę od klucza.

– Skończyli – szepnęła. – Schodzą z boiska.

Czekały, aż gracze zaczną wychodzić, ale – nic się nie działo.

– Hej, co jest? – zainteresowała się Klara.

Wstała z ławeczki, uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

– Nikogo nie ma – zauważyła, zdziwiona.

Rzeczywiście, sala była pusta. Ale po drugiej stronie boiska zauważyły dwa wejścia do szatni, jedno z napisem „dziewczeta”, drugie – z napisem „chłopcy”.

– Są w szatni – stwierdziła. – Ciekawe, czy tam jest drugie wyjście.

Było. Przeszły korytarzem naokoło i znalazły je dokładnie po drugiej stronie sali, we wnęce, której sporą część zajmował rozłożony stół pingpongowy. Właśnie drzwi od męskiej szatni się otworzyły i zaczęli wychodzić uczestnicy treningu.

– Hej – Klara zaczepiła pierwszego z nich, chudego dryblasa z dłuższymi, kręconymi włosami zebranych w kitkę. – Pamiętasz Justynę Wysocką? Trenowała z wami.

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Wiem, kto to, ale jej nie znałem. Zacząłem grać, jak jej już nie było.

W tym czasie Gaja podeszła do innego chłopaka, który właśnie wciągał na siebie dżinsową kurtkę.

– Kojarzysz może Justynę Wysocką?

Chłopak zatrzymał się i zamiast założyć bluzę, zdjął ją.

– Pewnie, że kojarzę. Zresztą teraz wszyscy ją kojarzą – dodał gorzko. – A o co chodzi?

– Znaliście się z Justyną bliżej? – pytała dalej Gaja, obserwując chłopaka uważnie.

Powiedziała to na tyle głośno, że pozostali chłopcy wychodzący z szatni również musieli to usłyszeć. I nagle jeden z nich, ubrany w czarne dżinsy i dresową bluzę, rzucił się do ucieczki, rozpychając kolegów.

Kiedy zorientowały się, co się dzieje, chłopak był już w połowie korytarza.

– Za nim! – krzyknęła Gaja.

Pobiegły. Nastolatek miał nad nimi podwójną przewagę. Po pierwsze, znał teren, po drugie – był młody i wysportowany. Przeciął główny hol, wypadł ze szkoły i popędził chodnikiem w kierunku centrum. Kiedy Gaja i Klara wybiegły na zewnątrz, zobaczyły już tylko jego sylwetkę niknącą za zakrętem.

Gaja zatrzymała się, zdyszana. Nie było sensu gonić go dalej.

W tym momencie Klarę olśniło.

– Motor! – krzyknęła, i gratulując sobie w duchu, że zaparkowała tak blisko szkoły, podbiegła do maszyny i wskoczyła na siodełko. Kiedy Gaja ulokowała się z tyłu, Klara odpaliła silnik i ruszyły śladem chłopaka.

Wydawało się, że zaraz go dogonią, nie mógł przecież uciec daleko. A jednak nie było go ani na głównej drodze, ani w żadnej z bocznych uliczek. Kamień w wodę.

Klara okrążyła jeszcze dla pewności skwer przy torach, przejechała obok kościoła i urzędu miasta, ale chłopak jakby się zapadł pod ziemię.

Nie było sensu dłużej go szukać. Podjechały z powrotem pod szkołę i Gaja zeskoczyła z siodełka.

– Myślisz, że to był on? – spytała Klara.

– Na pewno. Jaki mógłby mieć inny powód, żeby uciekać?

– W takim razie musimy go namierzyć – oświadczyła stanowczo Klara. – Chodź, zapytamy tych jego kolegów z siatkówki.

– Teraz już ich nie znajdziemy, na pewno dawno wyszli – zauważyła Gaja. – Następny trening mają w środę, wtedy wrócimy.

Klara chciała jednak działać od razu.

– Dowiedzmy się, jak się nazywa ich trener. On zna tych chłopaków, na pewno się zorientuje, który to, jak mu opiszemy, jak wyglądał.

– A pamiętasz jak? Bo ja na przykład nie.

Klara zamyśliła się.

– No w sumie ja też nie bardzo. To co w takim razie robimy, szefowo?

Gaja już miała odpowiedzieć, kiedy w głębi jej torby rozdzwonił się telefon.

– Pewnie Helena – rzuciła, szukając komórki.

A kiedy ją w końcu znalazła i spojrzała na wyświetlacz, zbladła.

– Adwokat Peszka – powiedziała zmienionym głosem. – Przepraszam na chwilę.

Odeszła kilka kroków i dopiero wtedy odebrała rozmowę.

Klara patrzyła na nią z jakimś rodzajem współczucia. „Ten facet ją przeczołga – pomyślała. – A może ona jego? W każdym razie komplikacje będą z tego na pewno”.

ROZDZIAŁ 64

– Przywal mocniej! – pokrzykiwał trener. – Dawaj! Co ty, baba jesteś?

Ćwiczyli w parach przyjęcia piłki i na szczęście to był już ostatni element treningu. Marek nie przepadał za siatkówką. Grał w nią tylko dlatego, że ojciec kazał mu uprawiać jakiś sport. W podstawówce zrobił podejście do koszykówki, ale nie wzbudziła w nim entuzjazmu, potem próbował biegać – bieganie okazało się nudne – w końcu dwa lata temu zaczął przygodę z siatkówką. Też bez zachwyty.

Ostry gwizdek zasygnalizował upragniony koniec. Marek chwycił wiszący na drabinkach ręcznik, przetarł twarz i ruszył do szatni, zastanawiając się, czy warto ciągnąć te treningi do końca roku szkolnego, czy już teraz dać sobie spokój.

O tym, żeby zrezygnować z gry, myślał już jesienią, ale wtedy pojawiła się Justyna. Była ładna, bezczelna i świetnie radziła sobie na boisku. Kiedy zgłosiła się do trenera, odesłał ją do drużyny żeńskiej, ale okazało się, że drużyny żeńskiej nie ma, bo nie znalazło się wystarczająco dużo chętnych. Dlatego, choć z oporami, zgodził się na przyjęcie dziewczyny, a to sprawiło, że Marek wytrzymał na siatkówce kilka miesięcy dłużej, niż planował.

Teraz, kiedy Justyny nie było, nie widział sensu męczyć się dwa razy w tygodniu tylko po to, żeby ojciec mógł mówić: „Mój syn trenuje siatkówkę”.

W szatni jak zwykle prawie z nikim nie gadał. Wiedział, że uważają go za antypatycznego snoba, ale lał na to szerokim łukiem. Przeczesał włosy, spakował rzeczy do torby i wyszedł z szatni razem z innymi. Jego myśli były już przy wieczorze, który tak jak wszystkie inne wieczory w swoim nieskomplikowanym życiu zamierzał spędzić przy komputerze, kiedy do jego uszu dotarło niespodziewanie: „Justyna Wysocka. (...) Znaliście się bliżej?”.

Marek zamarł. Kto to powiedział?

Zaczął się nerwowo rozglądać, a serce tłukło mu się w piersi jak szalone.

Kilka metrów przed sobą zobaczył jakieś dwie kobiety, które zaczepiały jego kolegów z drużyny, wypyując o Justynę.

Natychmiast zrozumiał, że sprawa jest poważna. Mogło być tylko jedno wytłumaczenie tej sytuacji: policja czegoś się dowiedziała o nagraniu. Przez chwilę nie mógł oddychać z przerażenia, a potem zadziałał instynktownie – zaczął uciekać.

Choć był zmęczony po treningu, adrenalina dodała mu energii. Biegł, ile sił w nogach, przerażony, bliski hysterii. Wypadł ze szkoły na ulicę i po sekundzie wahania skręcił w prawo, w kierunku centrum. Po jakichś dwustu, trzystu metrach zatrzymał się zdyszany i obejrzał za siebie. Kobiety dopiero wybiegły przed szkołę i rozglądały się w poszukiwaniu Marka. „Już mnie nie dogonią”, pomyślał z ulgą.

Powoli uspokajał oddech, kiedy nagle gdzieś od strony szkoły dobiegł potężny huk, a potem warkot motocyklowego silnika. W tym momencie przypomniał sobie, że jedna z goniących go kobiet miała na sobie motocyklowy kombinezon, a pod pachą trzymała kask. „Motor, one mają motor!”, pomyślał spanikowany i zaczął się rozpaczliwie rozglądać za jakąś kryjówką.

Jego wzrok padł na stojący po drugiej stronie skrzyżowania budynek urzędu miasta.

Bez namysłu przebiegł przez jezdnię, wpadł do ratusza i skierował się w stronę prowadzących na piętro schodów. Pokonał je, przeskakując po dwa stopnie, i znalazł się na korytarzu pierwszego piętra. Zdyszany podbiegł do drzwi, na których widniała metalowa tabliczka z wygrawerowanym napisem: „Burmistrz”. Odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić, i wszedł do środka.

Sekretarka próbowała go zatrzymać, ale Marek ruszył prosto do drzwi gabinetu burmistrza i nie zawracając sobie głowy pukaniem, nacisnął klamkę. Skorupski, który właśnie rozmawiał z kimś przez telefon, poderwał się z miejsca, a na jego twarzy pojawiła się irytacja.

– Przepraszam pana! – rzucił do słuchawki. – Mamy tutaj nagłą awarię...
oddzwonię, jak tylko się uporamy! – rozłączył się.

– Co ty tu robisz? – zapytał chłopaka ze złością.

Nagle cała odwaga Marka wyparowała.

– Tato... ja ci muszę coś powiedzieć – powiedział drżącym z emocji
i zmęczenia głosem.

ROZDZIAŁ 65

Gaja miała ten numer zapisany w komórce pod hasłem „Adwokat Peszka”. Później, kiedy się okazało, kim naprawdę jest jego właściciel, z rozmysłem nie zmieniła opisu. Bała się, że gdyby na ekranie wyświetlał jej się napis „Paweł Górski”, za każdym razem mdlałaby. Ale nawet pomimo tych środków ostrożności odebranie połączenia dużo ją kosztowało.

– Tak, słucham – odezwała się oficjalnym tonem.

– Cześć – już to jedno słowo sprawiło, że ugięły się pod nią kolana. – Nie dzwoniłem wcześniej, bo nie miałem informacji – zaczął.

„Oczywiście”, pomyślała Gaja. Przecież ich relacja jest zawodowa. Oboje są profesjonalistami, a profesjonalści rozmawiają wyłącznie o pracy. Szkoda, że o tym zapomniała, przez cały weekend czekając na jego telefon.

– Właśnie wracam ze spotkania z klientem – zakomunikował. – Wypytałem go o to wszystko, o co prosiłaś. Historia z podrapaną twarzą wyglądała następująco. Nikodem mieszka na parterze. Późnym wieczorem tamtej niedzieli, kiedy zginęła Justyna, ktoś zapukał w parapet. Nikodem wyjrzał na zewnątrz, nikogo nie zobaczył. Za chwilę pukanie się powtórzyło. Pomyślał, że pewnie uczniowie robią sobie jakieś jaja. Otworzył okno, żeby ich pogonić, i w tym momencie ktoś rzucił mu w twarz kota. Kot wczepił mu się pazurami w policzek i poważnie go zranił.

– Nie widział sprawcy? – upewniła się Gaja.

– Niestety nie. Na dworze było ciemno, postać była ciemna, kot był ciemny.

– Wierzysz mu? – spytała.

– Wierzę. Dlaczego miałbym nie wierzyć? – zdziwił się.

– Bo to brzmi naiwnie?

– Prawda czasami bywa mało spektakularna – zwrócił jej uwagę. – Jeśli chodzi o list, zapraszający Justynę na spotkanie, Nikodem stanowczo zaprzecza, żeby go pisał. Jeżeli będzie taka potrzeba, chętnie się podda badaniu grafologicznemu, żeby udowodnić, że podpis nie jest jego.

– Wątpię, czy na podstawie jednej litery w ogóle taką ekspertyzę można zrobić – zauważyła Gaja.

– Sprawdzę to. A teraz ostatnia rzecz, najważniejsza. Chciałaś, żebym zapytał, czy są jakieś osoby, które mają do niego żal.

– Żal? – zdziwiła się Gaja. – Jak ktoś ma do kogoś żal, to mu to mówi, ewentualnie go unika, a nie próbuje zrobić w morderstwo.

– Dobrze. Osoby, które go nienawidzą. Nikodem twierdzi, że jest ktoś taki. To chłopak z maturalnej klasy, jego uczeń. Mało zdolny i bardzo leniwy. Miał kłopoty z matematyką już w zeszłym roku, ale teraz prawie zupełnie się przestał uczyć. Nikodem nie chce go dopuścić do matury, a chłopak twierdzi, że nauczyciel się na niego wziął ze względu na ojca. Odgrażał się też wiele razy, że narobi Nikodemowi problemów. Bywał agresywny, złośliwy, chamski. Zrobiła się z tego w szkole potężna afera, zwłaszcza że dyrekcja nie stanęła po stronie Nikodema, tylko tego chłopaka.

– Nieźle – przyznała Gaja. – To czym on jest synem?

– Burmistrza Skorupskiego.

Gaja przez chwilę oswajała się z tą informacją.

– Cholera – odezwała się w końcu. – Ciekawe.

– Dzieciak miał możliwości – ciągnął Górski. – Spokojnie mógł ukraść szalik, bo Nikodem często zostawiał swoje rzeczy w sali matematycznej. Tak samo z włosami. Wystarczyło zebrać kilka z kołnierza kurtki, czy nawet z biurka.

– Czy tych informacji nie powinieneś czasem przekazać policji?

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Nie, nie powinienem – odpowiedział Paweł po chwili. – Oni już mają sprawcę. Są pewni, że zabił mój klient. Zajmują się teraz wyłącznie szukaniem

dowodów na potwierdzenie tej tezy. Gdyby sytuacja była inna, powiedziałbym: „Idźcie z tym prosto na policję”. Ba, sam bym poszedł. Ale jest, jak jest. Jeżeli wy w tym nie pogrzebiecie, nikt się tym śladem nie zainteresuje.

Gaja pomyślała, że Paweł ma rację. Koncepcja, że Justynę mógł zamordować nastolatek szukający zemsty na swoim nauczycielu, wydawała się co najmniej karkołomna, a szansa, że policja się nią przejmie – zerowa.

– Dobrze. Sprawdzimy to. Cześć!

– Cześć – odpowiedział, po czym dodał: – Daj później znać, co zdziałyście.

Gaja rozłączyła się i sprawdziła czas trwania rozmowy. Cztery minuty. Niesamowite, że w tak krótkim czasie można jednocześnie tyle powiedzieć i tyle nie powiedzieć...

ROZDZIAŁ 66

Matylda jeszcze raz przebiegła wzrokiem artykuł. Nie był długi, ale ponieważ rozbiła go zdjęciami terenów, na których miała powstać ferma, rozrósł się aż na dwie szpalty. Poprawiła ostatnią zabłąkaną literówkę i kliknęła „Drukuj”.

Zwykle teksty, które wymagały akceptacji burmistrza, wysyłała mu mejlem, ale ten zamierzała pokazać mu osobiście. Liczyła się z tym, że szef nie będzie zadowolony. Liczyła się nawet z tym, że nie pozwoli go umieścić w gazetce. Ponieważ to, co napisała, nie przypominało laurki. Żeby nie wiadomo jak się starała, o tej inwestycji nie potrafiłaby napisać nic dobrego. Większość argumentów za powstaniem fermy była naciągana lub po prostu nieprawdziwa, w przeciwieństwie do wielu solidnych argumentów przeciw.

Ale postanowiła zaryzykować. Bo nawet jeżeli Skorupski każe jej wyrzucić artykuł do kosza, to będzie miała satysfakcję, że nie poddała się bez walki.

Wyjrzała przez okno na parking dla pracowników ratusza, żeby sprawdzić, czy auto burmistrza jeszcze stoi. Stało, czyli Skorupski był ciągle w pracy.

„Raz kozie śmierć”, pomyślała, chwyciła wydruk i wyszła z pokoju. Już na korytarzu przypomniała sobie, że się nie uczesała, wstąpiła więc do damskiej toalety. Kiedy spojrzała w lustro, przeraziła się. Jej włosy, które zawsze miały tendencję do życia własnym życiem, dzisiaj wyglądały na wyjątkowo pogubione. Sterczały w przeróżne strony, poskręcane jak sprężynki, co prawdopodobnie oznaczało nadchodzący deszcz. Zirytowana zebrała je w kok i spięła klamrą, którą nosiła przy pasku spódnicy, po czym opuściła łazienkę i ruszyła w stronę gabinetu burmistrza.

– Pssst! Matylda... – usłyszała nagle za sobą.

Odwróciła się, zaskoczona. Od strony schodów zbliżały się Gaja i Klara. Ich obecność tutaj była tak abstrakcyjna, że Matylda zamknęła na chwilę oczy, bo przestraszyła się, że ma przywidzenia. Jednak kiedy je otworzyła, dziewczyny były tuż przy niej.

– Co wy tu robicie? – syknęła.

– Idziemy porozmawiać z burmistrzem – oznajmiła Gaja. – Jest?

– Jest. A co się stało?

W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się energicznie i wyszedł przez nie Skorupski, a tuż za nim jego syn Marek. Chłopak wyglądał na przybitego. Był skulony, miał opuszczone ramiona, pochyloną głowę, a ręce wbite w kieszenie dresowej bluzy. W wąskim korytarzu nie sposób się było minąć, zatrzymali się więc naprzeciwko kobiet.

– Pani Matyldo, ja znikam – rzucił burmistrz. – Jeżeli coś pilnego, proszę zostawić sekretarce, podpiszę rano.

– Burmistrz Skorupski? – odezwała się Gaja. – Chciałybyśmy porozmawiać o pana synu.

– Zaraz, moment. Kim panie są? – natychmiast zdenerwował się Skorupski. – Pani Matyldo, pani zna te panie?

– Tata, chodźmy już! – poprosił Marek płacząco.

Matylda patrzyła zafascynowana, jak Klara szybkim ruchem rozpina kieszeń kombinezonu, wyjmując z niej licencję detektywa i podsuwa ją Skorupskiemu pod nos.

– Nigdzie się pan stąd nie ruszy, dopóki nie porozmawiamy! – oświadczyła stanowczo.

Stała na środku korytarza w lekkim rozkroku, z kaskiem pod pachą, i nie wyglądała na kogoś, kto się cofnie. Gdyby burmistrz chciał przejść, musiałby ją odepchnąć. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dobrze – skapitulował Skorupski. – Tylko nie tutaj. Proszę do mnie.

Razem z synem zawrócili do gabinetu. Matylda chciała iść z nimi, ale Gaja chwyciła ją za ramię.

– Nie, ty nie – powiedziała szeptem. – Lepiej, żeby nie wiedział, że pracujemy razem.

Więc choć Matyldę zżerała ciekawość, potulnie wróciła do siebie, rozłożyła na biurku wydrukowany artykuł i zaczęła go czytać po raz nie wiadomo który.

– Od początku. Kim jesteście i czego chcecie od mojego Marka?

Siedzieli w czwórkę wokół biurka. Burmistrz zajął swój fotel, obok niego na krześle wiercił się jego syn, zdenerwowany i niepewny, Gaja i Klara wylądowały naprzeciwko nich, na miejscach dla interesantów.

– Gaja Stawska, Klara Kamińska, Agencja Detektywistyczna Czajka. Mamy kilka pytań do pana syna dotyczących Justyny Wysockiej. – Gaja starała się brzmieć konkretnie i profesjonalnie.

– Pani żartuje – prychnął Skorupski. – Skąd w ogóle pomysł, że mój syn miał cokolwiek wspólnego z Justyną? Poza tym o ile wiem, nie ma takiego obowiązku, żeby odpowiadać na pytania prywatnym detektywom, prawda?

– Oczywiście, że nie ma obowiązku – zgodziła się Gaja. – W takim układzie my prześlemy temat policji i wtedy oni was wezwą – jej słowa zabrzmiały jak groźba.

Perspektywa składania zeznań na policji nie przełamała jednak oporu burmistrza.

– Z tego, co wiem, tą sprawą zajmuje się wydział kryminalny z Grodziska, więc nie będziemy musieli daleko jeździć – zauważył ironicznie. – A teraz panie pozwolą, że się pożegnamy.

Nie miały żadnych argumentów, żeby go przekonać. Gaja już się zaczęła podnosić z miejsca, kiedy nagle odezwał się chłopak.

– Ja nie chciałem tego robić – powiedział cicho. – Nie chciałem się na nim mścić. I to w taki debilny sposób. Strasznie mi głupio. Serio.

- Marek, siedź cicho! – huknął na niego ojciec, ale było za późno.
- Co ty powiedziałeś? – spytała z niedowierzaniem Klara. – Że ci jest głupio?
- No tak... – bąknął młody Skorupski.

Dla Klary tego już było za dużo. Poderwała się z miejsca i nachyliła do chłopaka.

– Głupio ci? Zabiłeś dziewczynę i jest ci głupio? – wycedziła.

– Zaraz, pani myśli, że ją zabiłem? – Marek wyglądał na autentycznie przerażonego.

– Proszę zostawić mojego syna! – burmistrz, czerwony na twarzy, zerwał się z miejsca.

– Klara, daj spokój... – Gaja chwyciła ją za ramię i odciągnęła od biurka.

– Ale przecież to nieprawda! – jęczał młody. – Ja nic Justynie nie zrobiłem! Nie mógłbym! Ona mi się podobała! Nie zabiłem jej! Ja tylko z nią nagrałem taki filmik...

Po ostatnim zdaniu zapanowała cisza. Klara z powrotem usiadła i przeczesła palcami włosy.

– A więc to ty uciekałeś teraz przed nami – stwierdziła Gaja. – I ty udawałeś Peszka.

– Pani widziała nagranie? – Chłopak aż się skulił ze strachu.

– Nie. Ale słyszałam o nim. Justyna przesłała je koleżance. Dlaczego to zrobiłeś?

– Justyna mnie namówiła – niechętnie przyznał chłopak. – Wiedziała, że mam z Peszkim na pieńku, i zapytała, czy chcę się na nim zemścić. Posmarowała mi rękę takim czymś, potem to pomalowała, wyglądało identycznie jak jego blizna. Udawaliśmy, że się kochamy, ona to nagrała i miała rozesłać ludziom. Cały czas się bałem, że to gdzieś wypłynie, że ktoś mnie rozpozna i się zrobi afera. Zwłaszcza teraz, jak ona nie żyje. I jak dzisiaj po treningu usłyszałem, że ktoś pyta chłopaków, czy się kolegowali z Justyną, to się przestraszyłem, że policja mnie szuka.

– Żal dupę ściska, jakiś ty głupi – stwierdziła z politowaniem Klara.

– Proszę się liczyć ze słowami! – warknął burmistrz.

– Czy ty się z nią przyjaźniłeś? – zapytała Gaja.

– Trudno powiedzieć – w głosie Marka pojawiło się wahanie. – Nie widywaliśmy się za często, ale dużo gadaliśmy przez telefon.

– To mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego ona nagrała ten film? Wszyscy mówią, że się w Peszku kochała. Dlaczego chciała mu zaszkodzić?

Syn Skorupskiego wzruszył ramionami.

– Bo ją wkurzył. Ona od września za nim łąziła, a on nic. W końcu pojechała z nim specjalnie do Warszawy na protest klimatyczny, który organizował. Wracali potem razem pociągiem, a on na nią w ogóle nie zwracał uwagi, tylko gadał z jakimiś dziewczynami z innej klasy. Więc wróciła wściekła i od razu do mnie zadzwoniła, że musimy zrobić coś, co go zniszczy. Była bardzo zawzięta.

– A ty? Ty bywasz zawzięty? – spytała niewinnie Gaja.

– Ja? Dlaczego pani pyta?

– Powiedziałaś, że chciałaś się zemścić na Peszku. Zastanawiam się, jak daleko mógłbyś się posunąć? Czy granicą było nagranie filmiku, czy może morderstwo i podrzucenie dowodów?

W oczach chłopaka znowu pojawił się strach.

– Jakich dowodów? Nie rozumiem...

– Justyna została uduszona szalikiem należącym do Nikodema Peszka, na zwłokach znaleziono jego włosy – mówiąc to, Gaja obserwowała Marka uważnie. – Czy to by nie była najlepsza zemsta? Wrobić go w morderstwo?

– Pani zwariowała! – Burmistrz uderzył dłonią w stół. – Dostyc tego! Co to za idiotyczne insynuacje?

– Przecież już powiedziałem: ja jej nie zabiłem! Proszę mi dać spokój! – Chłopak był na granicy płaczu.

Gaja poczuła, że emocje za chwilę wymkną się spod kontroli.

– Chodźmy, nic tu po nas – zwróciła się do Klary i wstała.

Ale Klara miała inne plany.

– Czyli ty uważasz, że jak ktoś mówi, że nie zabił, to nie zabił, tak? – spytała z przekąsem.

Gaja zmrużyła oczy, zaskoczona jej słowami. Uwaga Klary wydała jej się co najmniej nie na miejscu.

– O co ci chodzi? – spytała chłodno.

– Przyszliśmy tutaj, bo Peszek uważa, że ten gówniarz miał powody, żeby się na nim zemścić. No i co? I nico. Chłoptaś ci mówi, że jest niewinny, a ty na to: „Spoko, jasne, nie ma sprawy, przepraszamy, że zawracałyśmy głowę”...

Gaja poczuła, że wzbiera w niej gniew. W jakimś sensie musiała się z Klarą zgodzić. Nie miała żadnego powodu, żeby chłopakowi wierzyć. Żadnego. Poza intuicją. Tą samą, która już kilka razy wskazała bezbłędnie, że Klara kłamie.

Ale niezależnie od tego Klara nie miała prawa wszczynać jakichkolwiek dyskusji przy obcych. Na zewnątrz powinny tworzyć wspólny front. To, co teraz zrobiła, było totalnie nieprofesjonalne.

Gaja zastanawiała się gorączkowo, jak wyjść z tej sytuacji z twarzą, kiedy odezwał się Skorupski.

– Może powinienem wam pozwolić dalej się kłócić, ale szkoda mi czasu. Dlatego dam wam radę. Za darmo. Następnym razem, zanim zaczniecie rzucać oskarżenia o najcięższe zbrodnie, proponuję najpierw zapytać o alibi. Bo gdybyście to zrobiły kwadrans temu, to byście się dowiedziały, że w dniu, w którym zamordowano Justynę, Marek był na lodowisku pod Pałacem Kultury. Wrócił po dwudziestej drugiej. – Burmistrz patrzył na nie z politowaniem. – To go chyba wyklucza, nie uważają panie? A gdyby przyszło wam do głowy dalej w tym grzebać, to wyklucza również mnie: byliśmy razem. – Burmistrz wstał. – Żegnam panie. A kwestii filmiku z udziałem syna na waszym miejscu raczej bym nie nagłaśniał. Nikt wam nie uwierzy, że coś takiego w ogóle istniało.

– Zgadza się, nikt nam nie uwierzy – uśmiechnęła się chłodno Gaja. – Właściwie już nawet same sobie nie wierzymy. Do widzenia.

ROZDZIAŁ 67

Pięć minut później szły korytarzem urzędu, nie odzywając się do siebie. Dopiero kiedy znalazły się na zewnątrz, Gaja wybuchła.

– Nigdy nie wolno ci robić takich rzeczy! Nie wolno ci kwestionować moich metod! Wyśmiewać mnie! To jest niedopuszczalne. Rozumiesz?

– No, rozumiem... – Klara nie wyglądała na specjalnie skruszoną. – Sorry... Ale przecież tak się robi, nie? Dobry i zły glina. W filmach to się sprawdza. Ja chciałam być tym złym.

Gaja jęknęła.

– Co ty wymyślasz? Jakim złym gliną? Przecież to zupełnie nie tak działa!

Pewnie kłóciłyby się tak jeszcze długo, ale z budynku ratusza wybiegła Matylda.

– No, jesteście! – ucieszyła się. – Bałam się, że już was nie złapię! I jak?

– Nijak – odpowiedziała Gaja ze złością.

– Nie poszło wam? – zmartwiła się Matylda. – Burmistrz bywa czasami bardzo nieprzyjemny...

– Nie chodzi o burmistrza, tylko o mnie – wyjaśniła Klara. – Pewne drobne różnice w podejściu do metod śledczych nam się pojawiły.

– Nie drobne, tylko zasadnicze – zareagowała natychmiast Gaja. – Jeżeli jeszcze raz zachowasz się tak nieodpowiedzialnie... – zawiesiła złowróźnie głos.

Klara skuliła się, udając przerażenie.

– No już, już. Będę grzeczna, obiecuję – zatrzepotała rzęsami jak jelonek Bambi, słodka i bezbronna.

Gaja ruszyła przed siebie energicznym krokiem, a Klara nachyliła się do Matylidy.

– Coś ją ugryzło – wyjaśniła szeptem. – Czy raczej ktoś. Emocje śmigają jak przed miesiączką...

„Byłoby niedobrze, gdyby się teraz rozstały takie pokłócone”, pomyślała Matylida. Więc zrobiła to, co wydawało jej się w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem.

– Słuchajcie, chodźcie do mnie! Mam ciasto francuskie, zrobię zapiekankę, a wy mi opowiecie, co tam się działo u burmistrza. Co wy na to?

Klary w ogóle nie trzeba było namawiać.

– No pewnie. Głodna jestem strasznie. Ostatnio mogłabym jeść bez przerwy.

– Może jesteś w ciąży? – zażartowała Matylida.

Klara popatrzyła na nią niechętnie.

– Wypluj to – zażądała. – I nigdy przy mnie o ciąży nie wspominaj, to przynosi pecha.

Matylida dogoniła Gaję i wsunęła jej rękę pod ramię. Szły tak przez chwilę obok siebie.

– To co, wpadniecie? – zapytała łagodnie.

– Klara niech sobie robi, co chce. Ja nie mogę. Muszę wracać do Heleny.

– Przecież Helena też może przyjść – powiedziała szybko Matylida.

– Nie wiem, czy będzie chciała.

– Jak jej powiesz, że zrobię zapiekankę z cukinią, przyleci na skrzydłach. No chodź, nie daj się prosić.

Matylida wyjęła z lodówki dwie rolki francuskiego ciasta, dwie cukinie, cebulę, paprykę i żółty ser. Cukinie położyła na stole przed Gają, a cebulę i paprykę dała Klarze.

– Poproszę cienko – zaznaczyła, wręczając im deski do krojenia i noże.

Gaja bez słowa zabrała się do pracy. Klara najpierw obejrzała paprykę dokładnie, z kilku stron.

– Coś z nią nie tak? – zainteresowała się Matylda.

– Nie wiem – stwierdziła Klara. – U mnie zawsze ma takie brązowe plamy.

Matylda przewróciła oczami.

– Krój.

Sama rozciągnęła na blasze rolkę francuskiego ciasta i posmarowała je grubo keczupem. Najlepszy był taki z Biedronki, z dodatkiem miodu, czosnku i tymianku, ale ponieważ go nie miała, zadowolila się zwykłymi pudliszkami.

– Mówcie! – poprosiła, wyciągając z szuflady tarkę. – Od początku!

– No więc na początku do Gai zadzwonił adwokat... – zaczęła Klara, puszczając oko do Matyldy. – I przekazał info od Peszka, że jedyna osoba, która może mu źle życzyć, to syn burmistrza. Więc poszliśmy to zweryfikować.

Matylda zaczęła trzeć ser.

– Powiem tak: odważne to było. Burmistrz bywa... no cóż, mało sympatyczny – zauważyła.

– My na szczęście tego nie wiedziałyśmy. Co i tak nie zmienia faktu, że nic ta wizyta nie dała. Poza tym, że teraz mamy pewność, że to nie oni, bo mają alibi. Gaja, dodasz coś?

Gaja w skupieniu kroїła cukinię na półplasterki.

– Do historii o burmistrzu nic. Ale tak generalnie mam cały czas wrażenie, że nic tutaj do niczego nie pasuje. Straszny bałagan.

– Masz na myśli samo morderstwo? – zainteresowała się Matylda, posypując serem posmarowane keczupem ciasto.

– Ej, a ten ser to nie powinien być na wierzchu? – zainteresowała się Klara.

– Nie. Tak jest lepiej, chociaż nie wiem właściwie dlaczego – Matylda zabrała od Gai już pociętą cukinię i zaczęła ją wykladać na ser.

– Żeby znaleźć mordercę, potrzebny jest motyw – Gaja mówiła powoli, z namysłem. – Doszliśmy do wniosku, że ktoś zabił Justynę po to, żeby w to

morderstwo zrobić Peszka i na nim się zemścić. No i w tym momencie to mi przestaje stykać. Bo gdzie znalazłyśmy ciało?

– W Krysinie – odpowiedziała Matylda.

– No właśnie, we wnętrzu domu. Za zamkniętymi drzwiami. W miejscu, do którego zimą nikt nie zagląda. Latem prędzej, bo kręcą się tam żule, chociaż do domu też raczej nie włączają. Przesiadują w ogrodzie albo na tarasie, nie widziałam, żeby ktoś się pchał do środka. Dlaczego w takim razie ciało leżało właśnie tam?

– Ten dom należy do miasta – przypomniała jej Matylda. – Może sprawca chciał symbolicznie połączyć to morderstwo z burmistrzem?

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Naciągane. Poza tym wystarczyłoby wtedy zostawić zwłoki w ogrodzie, tak żeby szybko ktoś je znalazł. Ogród też należy do miasta. Po co morderca schował ciało?

Klara wzruszyła ramionami.

– No chyba najprostsza odpowiedź jest taka, żeby nie leżało na wierzchu.

– No właśnie, i to jest bez sensu! – orzekła Matylda. – Przecież jeżeli ktoś z takim trudem wrabiał Peszka w morderstwo, to znaczy, że chciał, żeby został aresztowany. W takim razie dlaczego ukrył ciało? To jest kompletnie nielogiczne. Tyle wysiłku! Musiał ukraść Peszkowi szalik, podrzucić włosy... No i ten kot! Po co to wszystko, skoro nie było ciała? Czyli nikt nie wiedział, że Justyna nie żyje, i nikt nie wiedział, że miała obcięte paznokcie, czyli że podrapała mordercę. Gdyby nie papuga, te zwłoki leżałyby tam do dziś. I może jeszcze kilka miesięcy albo lat. Po co ktoś tak się stara zrzucić na kogoś winę i potem ukrywa ciało???

Matylda zaczęła posypywać zapiekankę pokrojoną przez Klarę papryką i cebulą.

– Ale wiesz, jaki jest z tego wniosek? – spytała, wkładając blachę do piekarnika. – Że mordercą jest Peszek.

– Nie, błagam! – jęknęła Klara. – Tylko nie wracajmy do punktu wyjścia, dobrze? Tak się czuję, jakbym zapierdziałała na karuzeli. Cały czas te same widoki,

mdli mnie i za chwilę puszcze pawia. Naprawdę stać nas tylko na to?

Już drugi raz tego dnia Klara zirytowała Gaję. I to tak porządnie.

– A rzygaj sobie, bardzo proszę. Myślisz, że ja nie mam dosyć? – spytała ze złością. – Założyłam agencję, żeby zarobić na życie. Myślałam, że klienci będą walić drzwiami i oknami. A my mamy jedną jedyną sprawę, z którą kompletnie nie dajemy sobie rady, nie zarabiamy i nie wiem, kiedy się pojawią jakieś pieniądze.

– Zaraz, moment – przerwała jej Klara. – Przecież mówiłaś, że według umowy nasze honorarium nie jest powiązane z wynikiem!

– Bo nie jest! Ale jeżeli nie wydostaniemy Peszka z aresztu, to i tak nie będzie miał nam kto zapłacić. Jego matka nie ma takich pieniędzy. Więc mi nie opowiadaj, że cię mdli czy coś, bo to, kurwa, nie pomaga.

Gwałtownie odsunęła krzesło i wstała.

– Smacznego! – rzuciła ściekła i wybiegła z kuchni.

ROZDZIAŁ 68

– To jest zajebicie pyszne! – powiedziała niewyraźnie Klara, przełykając kolejną kęs zapiekanki.

– Cieszę się. Tylko jakbyś mogła nie wyrażać się tak przy dzieciach... – zwróciła jej uwagę Matylda.

Helena, Ala i Ula jednocześnie parsknęły śmiechem.

– Mamo, przecież tata tak ciągle mówi – wsypała ojca Ala.

– No chyba nie ciągle – oburzył się Maciek. – Może raz czy drugi mi się wyrwało.

– Mojej mamie też się wyrwa – do dyskusji dołączyła Helena. – I wszystkim. Czy jeśli wszyscy takiego słowa używają, to ono dalej jest brzydkie?

Matylda chwyciła pustą blachę i wstała od stołu, żeby przynieść drugą. Nie czuła się na siłach prowadzić teraz dyskusji na temat wulgaryzmów w języku polskim.

– A właśnie, gdzie jest mama? – zreflektowała się Helena.

– Musiała wyjść – wyjaśniła szybko Klara. – Dostała jakiś bardzo ważny telefon w związku ze sprawą, którą prowadzimy, i wyleciała jak z procy.

Tylko druga część tej wypowiedzi była zgodna z prawdą, ale Klara wiedziała z doświadczenia, że im więcej, kłamiąc, poda się szczegółów, tym ludzie szybciej uwierzą.

Zawartość drugiej blachy wyparowała równie szybko jak pierwszej, a potem zadowoleni i najedzeni domownicy zaczęli się rozchodzić. Maciek poszedł znowu do siebie do warsztatu, dziewczynki – do swojego pokoju kończyć lekcje. Helena zaoferowała pomoc przy sprzątnięciu kuchni, ale Matylda jej nie przyjęła.

– Coś ty, nastawię zmywarkę i z głowy. A poza tym jest Klara. Śmigaj do domu, pewnie też masz jeszcze lekcje do zrobienia.

– Mam – przyznała Helena. – To kiedy pojeździmy na tym motorze? – zwróciła się do Klary.

– W tygodniu, obiecuję! – Klara teatralnym gestem położyła rękę na sercu.

Helena wyszła, usatysfakcjonowana, a Matylda zaczęła zbierać talerze. Nagle jeden wysunął jej się z rąk i uderzył o podłogę, roztrzaskując na drobne kawałki. Przez chwilę patrzyła bezradnie pod nogi.

– Ajajaj – westchnęła Klara. – Coś wszyscy dzisiaj nie w sosie. Gdzie masz śmietniczkę?

Po dramatycznym wyjściu Gai nie zdążyły zamienić słowa, bo w kuchni najpierw pojawiły się Ala, Ula i Helena, a chwilę później mąż Matyldy. Na szczęście był tak zamyślony i oderwany od rzeczywistości, że na Klarę w ogóle nie zwrócił uwagi. I bardzo dobrze, bo sposób, w jaki dziewczyna działała na mężczyzn, nie sprzyjał przyjaźnieniu się z ich kobietami.

Dopiero teraz, po skończonej kolacji, mogły omówić zachowanie Gai.

– Słuchaj, co jej odwaliło? – zapytała Klara, zbierając z ziemi skorupy. – Myślisz, że to tylko ten gość cudem odnaleziony, czy coś jeszcze?

– Ona jest dzielna – zaczęła ostrożnie Matylda. – Dzielna i silna. Ale chyba faktycznie pojawienie się Pawła ją przerosło. Co o nim wiesz?

– Nic. Widziałam tylko, jak się spotkali. Czysty melodramat – zrobiła zniesmaczoną minę. – Tam jakaś miłość wielka musiała być, prawda? Że ona tak to teraz przeżywa.

Matylda włączyła zmywarkę i opadła na krzesło naprzeciwko Klary.

– Miłość? W sumie też...

– Poczekaj, niech zgadnę... Straciła z nim dziewictwo! – Klara patrzyła na Matyldę wyczekująco.

– Tak. Ale to nie wszystko.

– Zaszła z nim w ciążę? – próbowała się dalej domyślać Klara. – I usunęła! I dlatego teraz nie może mieć dzieci i adoptowała Helenę!

Matylda patrzyła na nią, skonsternowana.

– Co ty wymyślasz? Nie wiem, czy ja w ogóle powinnam ci o tym mówić – zawahała się.

– Daj spokój, przecież to jest tylko do mojej wiadomości – zapewniła ją Klara. – Pracujemy razem, powinniśmy wiedzieć o sobie wszystko. Ja też jej mogę powiedzieć, kto był moim pierwszym facetem. Taki jeden gość z klasy wyżej, tylko cholera nie pamiętam, jak miał na imię.

– Akurat w przypadku Gai to wszystko jest dużo bardziej skomplikowane. Chociaż zaczęło się normalnie. Chodzili ze sobą, kiedy ona była w drugiej klasie liceum, a on na pierwszym roku studiów.

– Jak się poznali?

– Ojciec Pawła miał jakąś dużą prywatną firmę i ojciec Gai dla niego pracował. Ich rodziny się przyjaźniły, spotykali się, spędzali razem czas. Gaja знаła się z Pawłem właściwie od dziecka. Na długo zanim on w ogóle zaczął w niej dostrzegać dziewczynę, ona już się w nim kochała. Taki wiesz, filmowo-książkowy schemat.

– No dobra, to gdzie tu dramat?

– Zaraz będzie. Dwadzieścia trzy lata temu Gaja razem z rodzicami wyjechała na ferie zimowe, na narty. Strasznie chciała, żeby zabrać też Pawła, ale on nie mógł, miał akurat sesję. Pojechali w czwórkę: Gaja, jej rodzice i ciotka Julia, czyli młodsza siostra matki. Przy czym ojciec miał je tam tylko zawieźć i następnego dnia wracać, jakieś ważne sprawy zawodowe mu wypadły, nie mógł ich przełożyć. Ale już na miejscu mama Gai zwichnęła nogę tak fatalnie, że prawie nie mogła chodzić. Więc ponieważ i tak by na nartach nie pojeździła, zdecydowali, że mama wróci razem z ojcem do Milanówka, a Gaja zostanie na tych feriach z ciotką. – Matylda mówiła coraz ciszej i z coraz większym trudem. – Tamtej nocy, kiedy wrócili, w ich domu wybuchł pożar. Oboje zginęli.

Klara patrzyła na nią, osłupiała.

– Dżizas... – westchnęła. – Ale to nie był ten dom tutaj? – Klara wyjrzała przez kuchenne okno w kierunku domu Gai.

– Owszem, ten sam. Odbudowali go.

– No dobrze, i co dalej? – Klara przysunęła się do Matyldy, zafascynowana historią. – Co z Gają? Co z tym facetem?

– Gaja o mało nie umarła z rozpaczy. Strasznie kochała rodziców, zwłaszcza ojca. Była z nim bardzo zżyta. On był chemikiem, Gaja dzięki niemu też polubiła chemię. Poszła do klasy biol-chem i rozwaliała tam system. Jej tata zrobił sobie laboratorium w piwnicy, często tam razem pracowali. I to właśnie w laboratorium zaczął się pożar... – Matylda westchnęła. – No nic... Po wypadku Gaja zamieszkała u ciotki w Warszawie, zmieniła szkołę, zmieniła profil, poszła na humanistyczny... Tak jakby chciała wszystko, co było, wykasować.

– Dobra, a co z tym Pawłem?

– No właśnie. On ją bardzo wspierał. Myślę, że dlatego, że był przy niej, nic sobie nie zrobiła. A potem nagle, kilka tygodni po pożarze, wyjechał. Z dnia na dzień. Do Stanów na jakieś stypendium. Podobno musiał. Podanie złożył jeszcze przed tą tragedią, i rozpatrzono je pozytywnie. To była dla niego ogromna szansa. Jego rodzice naciskali... Nie miał wyjścia.

– Zostawił ją samą? W takim momencie? – Klara zrobiła wielkie oczy. – No chuj złamany!

– Dokładnie nie wiem, jak to ich rozstanie wyglądało – zastrzegła Matylda. – Ja się już wtedy z Gają nie widywałam. Ona się kompletnie odcięła od Milanówka. Nie przyjeżdżała tutaj, nawet na grób rodziców. Ty wiesz, że myśmy się nie widziały dwanaście lat? Dopiero jak przez przypadek wpadłyśmy na siebie w Galerii Mokotów, zaczęłyśmy się na nowo kontaktować.

– Bosz... co za historia... – Klara była pod wrażeniem.

– A wracając do Pawła, to on jej teraz otworzył te wszystkie rany, o których ona myślała, że są zabliźnione. Strasznie musi jej być ciężko...

ROZDZIAŁ 69

„Dlaczego morderca ukrył ciało Justyny w Krysinie? – zastanawiała się Gaja, obserwując przez okno ciemną bryłę budynku. – Dlaczego nie porzucił go na zewnątrz?” Zmuszała swój mózg do wysiłku, żeby go czymś zająć i nie myśleć o żenującej wizycie u burmistrza, o wyskoku Klary i ich rozmowie u Matyldy.

Nienawidziła czuć się bezsilna. Bała się, że jeżeli choć na chwilę przestanie kontrolować rzeczywistość, ta rzeczywistość się rozsypie. Już sama ucieczka z kuchni Matyldy była niepokojącym objawem. W normalnej sytuacji nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Obrażanie się i ostentacja? Nie znosiła takich zachowań i uważała je za wyraz niedojrzałości.

Od kilku dni czuła, że coraz mniej panuje nad sobą. Miała wrażenie, jakby pojawienie się Pawła naruszyło zbroję, w której od dwudziestu trzech lat się chroniła. Jeszcze niedawno była pewna, że jej pancerz jest twardy jak stal i nietykalny, że zatrzyma każdą broń, która w niego uderzy. Atakowała, walczyła, rozwiązywała problemy, strach był jej obcy. A teraz nagle zaskoczona odkryła, że ten pancerz to nie stal, tylko kiepsko wypalona glina, i ślad od uderzenia rozchodzi się po jego powierzchni siatką pęknięć. Jeszcze chwila i pęknięcia zamienią się w rysy, coraz głębsze i głębsze, fragmenty zbroi zaczną odpadać i Gaja zostanie naga i kompletnie bezbronna.

Dlaczego morderca ukrył ciało? Dlaczego?

Na dole trzasnęły drzwi, to na pewno Helenka wróciła od Matyldy. Gaja posłała ostatnie spojrzenie w stronę willi po drugiej stronie ulicy i wyszła z pokoju.

Dziewczynka właśnie wbiegała na górę.

– Ta cioci zapiekanka to najpyszniejsza jest – oznajmiła, zadowolona. – Może byś się od niej nauczyła taką robić?

– Od cioci nauczyłam się robić placki z jabłkami. I sałatkę z ziemniaków. Nie mogę wszystkiego podgapić – zaoponowała Gaja.

– Dlaczego nie?

Gaja zastanowiła się.

– W sumie nie wiem – przyznała. – Dobrze, jeżeli tak ci smakuje, poproszę Matyldę o przepis.

– Super! – ucieszyła się Helena. – I wcale się nie musisz martwić, że ci nie wyjdzie taka dobra jak u cioci.

– Dasz się przytulić? – poprosiła Gaja.

Helena jęknęła, ale podeszła do matki, objęła ją w pasie, uściśnęła mocno i uciekła do swojego pokoju.

Rozmowa o zapiekance sprawiła, że Gaja poczuła głód. Zeszła do kuchni, otworzyła lodówkę, a widok pustych półek uświadomił jej, że jest poniedziałek i po weekendzie niewiele jedzenia zostało. Wzięła więc torby ze spiżarni i poszła do holu. Chwyciła kluczyki do auta, a sięgając po torebkę, zauważyła, że coś w niej świeci. Zaskoczona zajrzała do środka i zobaczyła swoją komórkę, na którą właśnie ktoś dzwonił. Nie było nic słyszać, bo kiedy wchodziła do gabinetu burmistrza, wyciszyła telefon.

Wyjęła komórkę z torebki, żeby sprawdzić kto to.

Matylda?

Po chwili wahania odebrała.

– Cześć – usłyszała ostrożny głos przyjaciółki. – Sprawdzam tylko, jak się trzymasz.

– Świetnie! – Gaja starała się, żeby jej głos brzmiał mocno i energicznie. – Sorry, że wyszłam wcześniej. Klara mnie wkurzyła. – To było bardzo powierzchowne ujęcie tematu, ale nie chciała teraz tej sprawy rozgrzebywać. – Dzięki, że mi nakarmiłaś dziecko. Kazała mi wziąć od ciebie przepis na zapiekankę.

– Jutro ci podam.

– Super! Muszę kończyć, pa!

I rozłączyła się.

Matylda była kochana, dobra i miękka, potrafiła otulać jak polarowy koc, ale Gaja nie chciała koca. Kawałki jej połamanej zbroi tylko grzechotałyby w nim nieprzyjemnie. Gaja potrzebowała kleju Super Glue, którym posklejałaby swój pancerz i znowu mogła normalnie funkcjonować. Ale co mogłoby by być tym superklejem, nie miała pojęcia.

Odblokowując dzwonek w telefonie zauważyła, że ma nieodebraną rozmowę od adwokata Peszka.

Wzięła głęboki oddech, po czym schowała telefon z powrotem do torebki. Była na siebie zła. Nigdy wcześniej nie stosowała takich metod, unikanie nie było w jej stylu. Ale teraz czuła, że druga rozmowa z Pawłem tego samego dnia to dla niej zbyt wiele.

„Jeżeli to coś ważnego, zadzwoni jeszcze raz”, pomyślała i wyszła z domu.

Ledwo samochód Gai zniknął za zakretem, otworzyły się drzwi domu Matyldy.

– Dzięki za kolację. I w ogóle! Trzymaj się! – Klara cmoknęła gospodynię w policzek i pobiegła do motocykla.

Była poruszona historią Gai. Głęboko i szczerze. Dopiero teraz zrozumiała, co jej szefowa musi przeżywać, przestała być na nią zła, a zaczęła jej współczuć.

Nie należała do osób, które narzucają się z pomocą, właściwie w ogóle nie była z tych, którzy pomagają innym, ale tym razem poczuła, że nie wolno jej przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Dlatego zamiast wsiąść na motocykl i odjechać do domu, przetoczyła go na posesję Gai i podeszła do drzwi jej willi, układając sobie w głowie wspierającą, a może nawet przepraszającą przemowę.

Nacisnęła dzwonek. Po chwili oczekiwania otworzyła jej Helena.

– To znowu ja – uśmiechnęła się Klara. – Zastałam mamę?

Helena pokręciła przecząco głową.

– Właśnie wyszła. Może pani poczeka?

Klara pogroziła dziewczynie palcem.

– Nie! Nie! Masz do mnie mówić po imieniu! Jeszcze raz!

Helena parsknęła śmiechem.

– Sorry... Chcesz poczekać? – poprawiła się.

Klara uniosła kciuk w górę.

– No i widzisz, to nie boli.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

– Myślisz, że matki długo nie będzie? – spytała.

– Pół godziny? Pojechała na zakupy.

– Pół godziny to jest bardzo dużo czasu – zauważyła Klara z błyskiem w oku. –

Myślę, że wiem, jak go możemy wykorzystać...

Gaja z trudem wkładała ciężkie torby do samochodu. Właśnie złamała niepisaną zasadę, żeby nie robić zakupów spożywczych na głodniaka, i wyraźnie widziała tego efekt – jedzenia, które kupiła, wystarczyłoby dla pięcioosobowej rodziny na miesiąc.

Za jej plecami rozległ się wściekły ryk silnika. Obejrzała się odruchowo. Na światłach po przeciwnej stronie ulicy właśnie zatrzymał się motocykl. Gaja nie potrafiła rozróżnić modelu, poza tym częściowo zasłaniał go żywopłot rosnący wokół parkingu, ale kolor pojazdu wydał się jej podobny do tego, którym jeździła Klara. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć.

Zapaliło się zielone światło i motor wyskoczył do przodu szalonym zrywem, jak koń wyścigowy wypuszczony z maszyny startującej. Tyle tylko że konie tak nie hałasują. Pojazd z potężnym wizgiem przemknął Gai przed nosem. Zdążyła zauważyć, że pasażer motoru miał na sobie identyczną żółtą kurtkę jak ta, którą kupiła na zimę Helenie...

Nagle coś ją tknęło. Przedarła się przez żywopłot i wyskoczyła na chodnik w momencie, w którym motocykl zniknął za zakrętem. Zdążyła zobaczyć tylko jego potężną rurę wydechową i swoją córkę, bez kasku na tylnym siodełku.

Gaja poczuła, że robi jej się słabo. Rzuciła się w kierunku swojego land rovera, o mało nie przewracając jakiegoś przechodnia. Wskoczyła do auta i po chwili pędziła już główną ulicą Milanówka, zaciskając z całej siły dłonie na kierownicy.

– Niemożliwe... – jęczała, załamana. – Ona nie może być aż tak głupia...

Przeskoczyła wiaduktem na drugą stronę torów i na zakręcie przy kościele gwałtownie zwolniła. Mogła teraz pojechać albo w prawo, albo prosto. Skręciła w prawo i chwilę później we wstecznym lusterku zobaczyła motocykl, przecinający skrzyżowanie, które właśnie przejechała.

– Cholera jasna!

Na wjeździe do najbliższej posesji zawróciła, ale manewr trwał zbyt długo i jednoślada już nigdzie nie było widać. „To nie ma sensu”, pomyślała ze złością i ruszyła w kierunku domu.

Powiedzieć, że była wściekła na Klarę, to nic nie powiedzieć.

Natomiast Klara, nie mając pojęcia, jak czarne chmury zbierają się nad jej głową, świetnie się bawiła, obwoząc Helenę po Milanówku. Najpierw jeździła zygzakiem po wąskich uliczkach, niezbyt szybko, bo miały przecież tylko jeden kask. Chciała, żeby to Helena go włożyła, ale dziewczynka zaprotestowała tak gwałtownie, że Klara skapitulowała. Zwłaszcza że doskonale wiedziała, skąd się bierze ten sprzeciw. Heleny w kasku nikt by przecież nie rozpoznał. A w tej zabawie chodziło głównie o to, żeby jutro po szkole rozniosła się plotka, że ktoś widział Helenę na motorze.

Więc pozwoliła jej jechać bez kasku i przez większość drogi pamiętała o tym, żeby uważać. Jednak pod koniec okrzyki radości pasażerki, obejmującej Klarę kurczowo w pasie, sprawiły, że trochę ją poniosło i zrobiła rundkę po mieście w swoim normalnym tempie.

Kiedy w końcu podjechała pod dom Gai, żeby odstawić zachwyconą nastolatkę, najpierw zobaczyła zaparkowanego przed bramą czerwonego land rovera, a zaraz potem prawie tak samo czerwoną jak lakier auta trzęsącą się z wściekłości Gaję.

– Mamo, bosko było!!! – Helena zeskoczyła z siodełka i podbiegła do matki. – Musisz koniecznie spróbować! Klara, przewieziesz mamę?

– Do domu! – warknęła Gaja. – Już!

Helena, zdziwiona, obejrzała się na Klarę, która dyskretnym ruchem dłoni dała jej znak, żeby zniknęła. Czuła, że za chwilę może się tutaj zrobić niezbyt przyjemnie.

– Czyś ty zwariowała?! – Gaja wyglądała tak, jakby zaraz miała się rzucić na Klarę z pięściami. – Wozić dzieciaka na motorze bez kasku? Ty w ogóle masz mózg? Przecież gdybyście się przewróciły, albo gdyby ktoś w was uderzył... Chryste...

Nawet jeżeli do Klary docierało, że nie postąpiła zbyt mądrze, to przecież nie zamierzała się kajać. Wzruszyła więc tylko ramionami i powiedziała lekko:

– Przesadzasz. Nic się nie stało.

– Ale mogło!!! – krzyknęła Gaja.

– Ale się nie stało! – powtórzyła Klara, coraz bardziej zirytowana atakiem. – Weź wyluzuj! Nigdy więcej już jej nie wezmę na motor bez kasku, obiecuję. W porządku?

Gaja zacisnęła pięści w bezsilnej złości, a Klarze się przypomniało, po co się tu w ogóle znalazła.

– Widzisz, bo ja wpadłam do was, żeby cię przeprosić! – oświadczyła pojednawczym tonem. – Znaczy się pogodzić. Bo tak szybko wyszłaś od Matyldy i w sumie...

Gaja otworzyła bagażnik, wyszarpnęła z niego siatki i ruszyła w kierunku domu.

– Hej, no! – krzyknęła za nią Klara, ale w tym momencie Gaja zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Ale z niej histeryczka – powiedziała do siebie Klara. – Dobrze, że chociaż dzieciak miał *fun*.

ROZDZIAŁ 70

- O której kończysz?
- Po siedmiu lekcjach. A potem basen. Nie zapomnisz?
- No coś ty! Jak bym mogła zapomnieć? Żarcik. Leć, bo się spóźnisz!

Helena trzasnęła drzwiczkami i pobiegła w kierunku szkoły. Gaja odprowadzała ją wzrokiem, dopóki dziewczynka nie zniknęła w budynku, po czym ruszyła w kierunku Królewskiej. Na skrzyżowaniu obok Biedronki odstała chwilę na światłach, a kiedy zapaliło się zielone, skręciła w prawo, w stronę Grodziska. Miała tam jedną ważną sprawę do załatwienia.

W nocy, zdenerwowana po aferze z Klarą, długo nie mogła zasnąć, a bezsenność potrafiła być niebezpieczna. Dlatego broniąc się przed najczarniejszą otchłanią wspomnień, znowu zaczęła analizować sprawę morderstwa Justyny.

Czas płynął, a one dreptały w miejscu, prawie w ogóle nie posuwając się do przodu, i Gaja miała coraz silniejsze przekonanie, że agencji już nic więcej nie uda się osiągnąć. Wczorajsza rozmowa z synem burmistrza, która mogła wreszcie przynieść jakiś przełom, rozczarowała. Gaja po cichu naprawdę liczyła na to, że chłopak okaże się sprawcą. Ale już w pierwszym momencie, kiedy zobaczyła przerażonego, słabego, rozpieszczonego dzieciaka, zrozumiała, że nie może być mordercą. I znowu zabuksowały w błocie. Kolejny trop prowadzący donikąd.

Jednak w nocy, kiedy przeanalizowała wszystko jeszcze raz, na spokojnie, doszła do wniosku, że udało im się jednak zdobyć ważną informację – z tego, co powiedział młody Skorupski, wynikało niezbitie, że Peszek nie romansował z Justyną. Nie sypiał z nią. Nie miał więc żadnego powodu, żeby ją zabić. I właśnie tą wiedzą postanowiła podzielić się z policją.

Budynek komendy powiatowej w Grodzisku z zewnątrz przypominał szkołę i być może dlatego Gaja, wchodząc do środka, poczuła się jak przed klasówką. W dyżurce zgłosiła, że chce się widzieć z oficerem prowadzącym sprawę morderstwa Justyny Wysockiej. Policjant uprzedził ją, że będzie musiała chwilę poczekać, bo właśnie trwa odprawa, więc usiadła w korytarzu i żeby nie myśleć, zaczęła przeglądać Facebooka.

Jadąc tutaj, liczyła się ze stratą czasu, nie miała jednak wątpliwości, że Grodzisk to odpowiedni adres. Jej ostatnia wizyta na komendzie w Milanówku była totalnym nieporozumieniem, którego nie zamierzała powtarzać.

Po mniej więcej dwudziestu minutach pojawił się na dole szczupły, czterdziestoletni mężczyzna o zaskakująco sympatycznej powierzchowności.

– Komisarz Jacek Sikora – przedstawił się. – Podobno ma pani jakieś informacje w sprawie tego zabójstwa w Milanówku? – Kiedy potwierdziła, otworzył szeroko drzwi prowadzące do głównej części budynku. – Zapraszam.

Gabinet komisarza mieścił się na pierwszym piętrze i był zabałaganioną, duszną klitką. Policjant podsunął Gai krzesło, z którego wcześniej zdjął pudełko po butach wypełnione jakimiś metalowymi częściami, a sam ulokował się po drugiej stronie biurka. O tym, że to biurko, świadczyły wyłącznie wystające spod sterty papierów nogi, bo ani jeden fragment blatu nie był widoczny. Z góry dokumentów inspektor wyłowił czystą kartkę, udało mu się również odnaleźć długopis.

– Pani imię i nazwisko poproszę na początek.

– Gaja Stawska – przestawiła się. – To ja z przyjaciółką znalazłam ciało.

Inspektor zapisał te informacje starannie, drukowanymi literami.

– Dobrze... Z czym pani do nas przychodzi?

– Wiem, że o zabójstwo dziewczyny podejrzewacie Nikodema Peszka. Słyszałam o szaliku i włosach... – zaczęła.

– Zaraz, moment – przerwał jej zaskoczony komisarz. – Przecież nie przekazywaliśmy tych informacji prasie? Więc skąd...

Gaja wzruszyła lekko ramionami.

– Cały Milanówek o tym mówi – zbyła go. – Dowody wyglądają na solidne. Ale jaki według pana Peszek mógłby mieć motyw?

Policjant zaczął kręcić długopis między palcami.

– Podobno ma pani dla mnie jakieś informacje. Więc może by mi je pani przekazała, zamiast wypytywać o szczegóły śledztwa?

– Moje informacje są ściśle powiązane z motywem – wyjaśniła. – Ale skoro pan nie chce mówić, powiem, co myślę. Według mnie uważacie, że Peszek zabił dlatego, bo sypiał z Justyną i ona zaczęła mu w pewnym momencie przeszkadzać. Może nie potrafiła być dyskretna albo go szantażowała... Zgadza się?

Po minie komisarza odgadła, że tak.

– A ja się dowiedziałam, że nic ich nie łączyło. Co prawda dziewczyna się w nim kochała, ale on ją trzymał na dystans. Dlatego chciała mu dopiec i nagrała filmik, na którym uprawia seks z kimś, kto wygląda jak Peszek, tyle że nim nie jest.

– Moment! – Policjant wyprostował się gwałtownie. – Jaki filmik?

Po drodze na komendę Gaja zastanawiała się, ile z tego, co wie, zdradzić policji, a ile zachować dla siebie. Doszła do wniosku, że jeżeli nie powie o nagraniu, trudno jej będzie wytłumaczyć, skąd wzięła pewność, że Peszek nie sypiał z Justyną. Dlatego teraz krótko i zwięźle przedstawiła policjantowi całą historię, wspominając przy okazji o agencji i o tym, że zostały wynajęte przez Peszka, żeby udowodnić jego niewinność.

Inspektor przez cały czas robił notatki, starając się w żaden sposób nie pokazać po sobie, że jest zdziwiony. Kiedy skończyła, przejrzał szybko zapiski, mruczając pod nosem:

– Bardzo ciekawe, bardzo ciekawe...

– Nie uważa pan, że w takiej sytuacji powinniście się zacząć rozglądać za innym sprawcą? Peszek nie zamordował Justyny. Nie miał powodu.

Komisarz Sikora zaczął się gładzić po brodzie, klasyczny gest wykorzystywany w filmach rysunkowych, żeby podkreślić, że ktoś się nad czymś zastanawia.

– Pani Gaju, niestety nie mam dla pani dobrych wieści. Rozumiem, że wierzy pani w niewinność klienta i że ma pani swój interes w tym, żeby to nie on okazał się sprawcą, ale muszę panią rozczarować. Właśnie przygotowujemy akt oskarżenia i dawno żaden nie był tak dobrze udokumentowany jak ten. Pan Peszek nie ma alibi, a wszystkie dowody wskazują jednoznacznie na niego.

– Ale przecież panu powiedziałam! – Gaja podniosła nieznacznie głos. – Nie miał motywu! Morderca musi mieć motyw!

– A ja właśnie chciałem pani podziękować, bo przyniosła mi pani informacje, z których wynika, że miał motyw jak złoto.

Gaja jęknęła.

– Pan żartuje, prawda?

– Ależ skąd. Każdy fakt jest wielowymiarowy i wygląda różnie w zależności od tego, z jakiego punktu się na niego patrzy. Pani wierzy w niewinność Peszka, ja nie. Dlatego to, że ofiara nagrała film, na którym udaje seks z podejrzanym, według mnie świadczy o tym, że mogła potem pani klienta tym filmem szantażować. Mogła mu grozić, że roześle go do innych nauczycieli, do dyrekcji szkoły... I zanim by udowodnił, że to nie on jest na nagraniu, po jego reputacji nie zostałyby kamień na kamieniu.

Gaja, słuchając tego wywodu, czuła się tak, jakby na środku basenu nagle złapał ją skurcz i zaczęła tonąć. Ale choć woda wlewała jej się już do płuc, cały czas próbowała walczyć.

– Pan odwraca kota ogonem! – oświadczyła stanowczo. – Poza tym żaden morderca nie dusi ofiary swoim własnym szalikiem i nie zostawia go potem na miejscu zbrodni. Przecież to bez sensu! Na kilometr widać, że ktoś go próbuje zrobić!

Inspektor pokiwał ze współczuciem głową.

– Gdyby pani popracowała w policji chociaż tydzień, to pozbyłaby się pani złudzeń co do inteligencji sprawców – zauważył. – A poza tym morderca ukrył zwłoki i pewnie liczył na to, że nikt ani zwłok, ani tego całego szalika nie znajdzie.

Mogłyby tam leżeć latami, gdyby nie pani. Swoją drogą: czy to nie zabawne, że pani klient wpadł właściwie przez panią?

ROZDZIAŁ 71

Koło południa zaczął padać deszcz. Nie był mocny, ale z powodu wiatru – uporczywy, i Gaja, wysiadając z samochodu, zarzuciła na głowę kaptur. Podeszła do furtki domu z numerem siedem przy ulicy Baśniowej. Gdy zadzwoniła, drzwi otworzyły się prawie natychmiast i stanęła w nich matka Nikodema Peszka. Starsza pani miała na sobie pikowany błękitny szlafrok, a na włosach – czepek, spod którego wystawały nawinięte na wałki siwe włosy. Na widok Gai bardzo się ożywiła.

– O, to pani! Proszę wchodzić, proszę!

Gaja pchnęła furtkę i ruszyła w stronę otwartych drzwi, a każdy krok przybliżał ją do rozmowy, przed którą bardzo chciała uciec.

Gospodyni posadziła ją przy stole w kuchni, naląła herbaty z mlekiem i poczęstowała sucharkiem, co trochę Gaję zaniepokoiło.

– Jak pani sobie daje radę organizacyjnie? – spytała. – I przepraszam, że spytam... finansowo?

Starsza kobieta poklepała ją bezceremonialnie po dłoni.

– Nie musisz się martwić, dziecko – uspokoiła ją. – Stać mnie nie tylko na sucharki. Mam dobrą emeryturę, a do sklepu stąd dwa kroki. Nikodem kupił mi w Ikei torbę na kółkach, idealnie się sprawdza. Ja po prostu jakoś ostatnio apetytu nie mam. – Odchrząknęła. – To z czym, kochana, przychodzisz?

– Jako agencja nie jesteśmy w stanie wypełnić zobowiązania zawartego w umowie – słowa z trudem przechodziły Gai przez gardło.

Matka Peszka patrzyła na nią zaskoczona.

– A co to konkretnie znaczy? – spytała.

– Że nie potrafimy udowodnić niewinności pani syna. Naprawdę się starałyśmy, ale... Byłam dzisiaj na policji, przekazałam to, czego się dowiedziałyśmy. Mimo to oni chcą go oskarżyć. Twierdzą, że mają niepodważalne dowody. Już nic więcej nie możemy zrobić w tej sprawie.

Starsza pani sięgnęła po imbryk z zaparzoną herbatą i zaczęła lać płyn do filiżanki. Ręka drżała jej tak, że część płynu znalazła się na porcelanowym spodeczku.

– Czyli uważasz, że on zabił tę dziewczynę? – Głos również jej drżał.

– Nie! – oświadczyła Gaja stanowczo. – Uważam, że on tego nie zrobił! Ale nie mam jak tego udowodnić. Przykro mi.

Otworzyła teczkę i wyjęła z niej umowę, którą kilka dni temu podpisały, oraz wydrukowany na dodatkowej kartce aneks.

– Tutaj jest dodatkowy paragraf, w którym anulujemy honorarium. Ponieważ nie osiągnęliśmy oczekiwanych efektów, nic nam pani nie płaci.

Starsza kobieta podniosła wzrok znad filiżanki i popatrzyła na Gaję z takim smutkiem w oczach, że zachciało jej się płakać.

– Tylko co ja mam teraz zrobić? – powiedziała cicho. – Jak ja mam go z tego więzienia wyciągnąć? Nie zostawiaj mnie z tym samej, błagam cię...

Gaja czuła, że pęka jej serce. Mimo to wstała od stołu, energicznie odsuwając krzesło.

– Przykro mi, nie wiem. Może adwokat pomoże? Muszę już iść... Do widzenia.

I najzwyczajniej w świecie uciekła.

Deszcz przestał padać, ale na szybie samochodu ciągle szklily się drobne krople. Gaja wsiadła do auta. Przez chwilę bezmyślnie patrzyła przed siebie, w końcu uruchomiła wycieraczki i w poczuciu totalnej klęski ruszyła w kierunku domu.

Kiedy skręciła w Modrzewiową, ze zdziwieniem zauważyła na wysokości Krysina dwie ciężarówki, z których kilku mężczyzn w pomarańczowych

odblaskowych kamizelkach zdejmowało jakieś metalowe konstrukcje i wносиło je na posesję willi.

Gaja ostrożnie wyminęła samochody, wjechała na swoje podwórko i poszła sprawdzić, co się dzieje na działce naprzeciwko.

Najpierw rzuciło się jej w oczy, że dwóch ludzi nakłada na dziurawy płot panele z dykty, odgradzając w ten sposób ogród od ulicy. Mimo to weszła do środka i podeszła pod dom. O ścianę willi stały oparte dwie długie drabiny, a metalowe elementy do budowy rusztowań, przenoszone z ciężarówek, leżały sprzymowane tuż obok.

Wyglądało na to, że ktoś wreszcie zabiera się do remontu niszczonego budynku.

– Przepraszam, ale tu nie wolno chodzić! – krzyknął do niej mężczyzna pchający taczkę pełną jakichś narzędzi.

– Dzień dobry, jestem sąsiadką – wyjaśniła. – Chciałam sprawdzić, co tu się dzieje.

Mężczyzna zatrzymał się i z ulgą postawił taczkę, która musiała być bardzo ciężka, bo jej nóżki wbiły się głęboko w ziemię.

– Dach wymieniamy – wyjaśnił. – A pani gdzie mieszka? Tu naprzeciwko?

Gaja skinęła głową.

– No to będzie pani miała na nas oko – uśmiechnął się. – Ale my mili jesteśmy, grzeczni, pani się nie martwi.

– Nie martwię się – uspokoiła go. – Super, że coś się wreszcie dzieje z tym domem. Pewnie burmistrz znalazł jakieś pieniądze w budżecie. Myśli pan, że środek też będzie robiony?

– Na pewno. Już jakaś firma jest umówiona, ale myśmy się spóźnili, to i oni też później zaczną.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Gaję.

– Nie, dziękuję. Nie palę.

– A ja owszem. W sumie to dużo szczęścia mieliśmy – zaciągnął się dymem. – Bo podobno w tym domu leżał trup. Gdybyśmy weszli, jak było planowane, tobyśmy go znaleźli. A tak podobno jakieś babeczki na niego wlażyły.

Gaja najpierw pomyślała, że to zabawne, stać się częścią miejskiej legendy. Zaraz potem zdała sobie jednak sprawę, że w tym, co powiedział mężczyzna, pojawiło się coś interesującego...

– Moment. Czyli te prace przy dachu miały się zacząć wcześniej? Pamięta pan może kiedy?

– Jakoś pod koniec stycznia. Mieliśmy umowę podpisaną z urzędem miasta, wszystko już było dograne z działem technicznym, ale akurat jak na złość dwa dni wcześniej w dach, który kończyliśmy na innej budowie, przypieprzyło drzewo, i cała robota od nowa. Nie mogliśmy tamtego zostawić, więc szef załatwił w urzędzie, że tutaj nam przesuną termin. Chociaż, powiem pani, łatwo nie było. Co chwila telefonowali z referatu, poganiiali, straszili karami, kazali wchodzić jak najszybciej. W sumie dopiero niedawno odpuścili.

Gaja miała ochotę rzucić się facetowi na szyję.

– Dziękuję! – krzyknęła podekscytowana. – Bardzo mi pan pomógł. Nawet pan nie wie jak bardzo!

ROZDZIAŁ 72

Matylda od rana usiłowała umówić się z burmistrzem, ale Skorupski był cały czas zajęty. Z tych nerwów nie bardzo potrafiła zająć się czymkolwiek innym, siedziała więc przed komputerem, scrollując bezmyślnie Facebooka, pijąc kawę za kawą i próbując jednocześnie ułożyć sobie w głowie strategię rozmowy na temat artykułu o kurzej fermie.

Okolo pierwszej zadzwoniła do sekretariatu po raz kolejny i po raz kolejny usłyszała, że szef nie ma dla niej czasu.

Chwilę potem jej komórka, którą położyła na biurku obok klawiatury, zaczęła się trząść, wyraźny znak, że ktoś próbuje się dodzwonić. Wzięła telefon do ręki i odebrała połączenie, nawet niesprawdziwszy, kto dzwoni.

– Cześć, to ja! – Gaja nie mówiła, tylko krzyczała. – Już wiem, dlaczego zwłoki były w środku!

Tak podekscytowanej przyjaciółki Matylda dawno nie słyszała.

– No dlaczego?

– Do Krysina miała wejść ekipa remontująca dach, tylko coś im wypadło i przesunęli termin! Gdyby zaczęli remont tak, jak było zaplanowane, znaleźliby zwłoki od razu! Morderca musiał wiedzieć o remoncie, rozumiesz?! Ukrył ciało w budynku, bo był pewny, że zaraz tam wejdą robotnicy i je znajdą!!!

– Wow! – powiedziała z podziwem Matylda. – Brawo!

– Więc teraz pytanie: kto wiedział o remoncie? Jak możemy to sprawdzić?

– Takie informacje najprędzej będą mieli w referacie technicznej obsługi miasta...

– Jestem u ciebie za pięć minut!

Gaja zaparkowała z piskiem opon przed ratuszem, wpadła do środka i popędziła na piętro, prosto do pokoju Matyldy.

– Nareszcie to mamy! – ekscytowała się. – To jest ten element układanki, którego nam brakowało, rozumiesz? Wszystko nabiera sensu! Morderca naprawdę chciał, żeby to wyglądało tak, jakby zabił Peszek. Dlatego ukrył zwłoki. Przecież żaden zabójca nie zostawiłby ich na widoku. Ale wiedział, że zaraz zostaną znalezione przez ekipę od dachu. – Przysiadła na krześle, chwyciła kubek Matyldy z resztką kawy i wypła do dna. – Teraz musimy tylko sprawdzić, kto mógł to wiedzieć.

– Na pewno burmistrz – zauważyła Matylda.

– Też o nim pomyślałam – przyznała Gaja. – Niestety ma alibi na ten wieczór, kiedy zginęła.

– Sama mówiłaś, że czasu śmierci Justyny nie da się określić dokładnie – zwróciła jej uwagę Matylda.

– Wiem. Ale to raczej nie on. Kto jeszcze mógł wiedzieć?

– Chodźmy do referatu. Tam nam pomogą, zobaczysz.

Wyszły na korytarz, minęły sekretariat burmistrza i zatrzymały się przed następnymi drzwiami.

– Ja rozmawiam! – uprzedziła Matylda i nacisnęła kłamkę.

Pokój był tej samej wielkości co ten Matyldy, teoretycznie jednoosobowy, a jednak udało się tu wcisnąć dwa biurka. Za większym, stojącym pod oknem, siedziała tęga brunetka w okularach i fioletowym sweterku, wyglądająca na osobę kompetentną i pozbawioną kompleksów. Kobieta zajmująca drugie biurko, skromna i nijaka, wydała się Gai znajoma, nie mogła sobie jednak przypomnieć, skąd ją kojarzy.

– Hej, dziewczyny! – przywitała się Matylda energicznie. – My tylko na chwilę. To moja przyjaciółka, Gaja. Gaju, to Renata Adamiec, kierowniczka – wskazała na kobietę w fiolecie – i nasza Bożenka Klich, podpora referatu. Mamy

pewien problem i zastanawiam się, czy mogłabyś nam pomóc – zwróciła się do kierowniczk.

Kobieta popatrzyła na nie życzliwie.

– A co tam się stało, kochana? Mów!

– Chodzi o Krysin. Dzisiaj tam weszła ekipa od dachu, ale podobno mieli zacząć pracę wcześniej. Wiesz może kiedy?

Renata sięgnęła po klasyczny papierowy terminarz w żółtej, lekko przybrudzonej okładce i zaczęła przerzucać strony.

– Mam tu wpisane: dwudziesty dziewiąty stycznia.

Gaja z trudem się powstrzymała, żeby nie okazać radości. Justyna została zamordowana dwudziestego ósmego wieczorem. Ta zbieżność dat mogła oznaczać tylko jedno – były na dobrym tropie.

– Dzięki. To teraz drugie pytanie – ciągnęła Matylda. – Kto wiedział o tym, że tego dnia ma się zacząć remont?

– No ja wiedziałam, Bożenka wiedziała – pokazała palcem na siedzącą przy sąsiednim biurku Klich. – A po co ci ta informacja?

Matylda machnęła ręką bagatelizująco.

– Gaja mieszka naprzeciwko Krysin. Dziś się tam pojawiła ekipa i tak się jakoś zgadało. – Ta odpowiedź nie wyjaśniała niczego, ale Matylda miała nadzieję, że kierowniczka referatu nie będzie dalej dopytywać.

– Czeka, kto jeszcze... – zastanawiała się kobieta i nagle pstryknęła palcami. – Kochana, wszyscy wiedzieli, przecież ta informacja poszła u ciebie w biuletynie!

– O, nie! – jęknęła Matylda. – Faktycznie!

Gaja nie zrozumiała.

– Jak to w biuletynie? – spytała szybko.

Matylda rozłożyła bezradnie ręce.

– Zamieszczamy w nim wszystkie tego typu informacje. Czyli o tym, że w Krysinie dwudziestego dziewiątego stycznia rozpoczynają się prace remontowe, wiedziało pół miasta.

Gaja poczuła, że za chwilę zemdleje. Te wszystkie gigantyczne napięcia, które przeżywała od rana, nagle się skumulowały. Aż jej się zakręciło w głowie i musiała się oprzeć o biurko.

– Gaja, co się dzieje?! – przeraziła się Matylda.

Podsunęła przyjaciółce krzesło i pomogła jej usiąść.

– Bożenka, wody! – poprosiła siedzącą przy sąsiednim biurku urzędniczkę. – I błagam, otwórz okno.

Bożenka posłusznie otworzyła okno, nalała wody do szklanki i podała Gai.

„Skąd ja ją znam?”, przemknęło znowu Gai przez głowę. Wypiła wodę do dna, odetchnęła kilka razy głęboko i wstała.

– Przepraszam za zamieszanie. Miałam dzisiaj kiepski dzień, to dlatego – wytłumaczyła. – I bardzo dziękuję za pomoc! Do widzenia!

Wyszły z pokoju.

– Fatalnie z tym biuletynem – stwierdziła, kiedy tylko zamknęły za sobą drzwi. – Byłam pewna, że to będzie jakieś wąskie grono osób, które sprawdzimy i wśród których wytypujemy mordercę, a tu taki przypał.

Zatrzymały się przed pokojem Matyldy.

– Chodź, zrobię ci kawy – zaproponowała przyjaciółce.

– Nie, polecę. Helena niedługo wraca, a ja nie mam obiadu. No i muszę w spokoju pomyśleć nad tym, czego się dowiedziałyśmy.

– Słuchaj, a może to jest ktoś z tej firmy remontowej? – podsunęła Matylda.

– No co ty. Gdyby morderca dla nich pracował, to przecież by wiedział, że nie wejdą do Krysina.

– Miałam na myśli raczej kogoś związanego z nimi, nie wiem, może kogoś z administracji, jakąś księgową czy kogoś takiego... – zastanawiała się głośno Matylda. – Spróbuj ich podpytać. Tak delikatnie.

– Nie sądzę, żeby dało się kogoś delikatnie podpytać o to, czy ktoś z jego otoczenia nie wygląda na mordercę – stwierdziła sceptycznie Gaja.

Matylda machnęła ręką.

– Na pewno nie chcesz kawy? – Gaja pokręciła przecząco głową. – To ja idę do roboty. Daj znać, jak na coś wpadniesz.

Dokładnie w momencie kiedy Matylda weszła do pokoju, na jej biurku rozdzwonił się wewnętrzny telefon. W dwóch susach znalazła się przy nim i podniosła słuchawkę.

– Tak! – rzuciła energicznie.

Była pewna, że usłyszy sekretarkę burmistrza, i nie pomyliła się.

– Matylda, sorry, szef pojechał do powiatu, już dziś nie wróci.

– Ale obiecałaś, że mnie do niego wciśniesz! – Matylda nie potrafiła udawać, że nic się nie stało.

– No wiem, ale nie wyszło. Wpisuję cię jutro na dziewiątą. To już na sto procent.

Matylda usiadła przy biurku. Przez chwilę patrzyła na porozkładane na blacie wydruki artykułu, potem odsunęła je energicznie i sięgnęła po myszkę. Otworzyła folder, w którym trzymała makiety kolejnych numerów biuletynu. „Kiedy ogłaszaliśmy budżet miasta na ten rok?”, zastanowiła się. Listopad? Grudzień? Czasami w miesiącu wypuszczała dwa numery gazetki, czasami jeden. W listopadzie wyszły dwa. Otworzyła pierwszy z nich i uważnie, akapit po akapicie, zaczęła przeglądać treść.

Gaja pojechała prosto do domu, a w jej głowie pomysły na schwytanie mordercy walczyły o pierwszeństwo z poszukiwaniem koncepcji na szybki obiad.

Ciężarówka firmy od dachów zniknęła, pojawiła się za to żółta furgonetka z kolorową reklamą: „Pokrycia dachowe Kostrzewa szybka realizacja najwyższa jakość konkurencyjne ceny”. Gaja spojrzała na zegarek. Do powrotu Heleny została godzina. Na przygotowanie obiadu z trzech dań trochę mało, ale makaronu z pesto – aż nadto. Przy furgonetce kręciło się jakichś dwóch mężczyzn, przy czym jeden z nich miał na sobie odblaskową kamizelkę, drugi – puchową kurtkę i dżinsy,

i na zwykłego robotnika nie wyglądał. „Może by go faktycznie podpytać o ludzi z firmy – pomyślała. – W sumie co mi szkodzi?...”

Podeszła do samochodu.

– Dzień dobry! Widzę, ruszacie z remontem? – zagadnęła.

Mężczyzna w odblaskowej kamizelce wyjął z samochodu gruby zwój folii, zarzucił sobie na ramię i odszedł w stronę willi.

– Kostrzewa, właściciel – ten drugi, w puchówce, z dumą poklepał nazwę firmy, namalowaną na boku furgonetki. – Faktycznie, będzie się działo.

Gaja odchrząknęła.

– To super! Zawsze mi było szkoda tego domu, że tak niszczeje... – zawiesiła głos. – Słyszałam, że mieliście zacząć prace już w styczniu?

Powiedziała to lekkim, konwersacyjnym tonem, nie spodziewając się, jaki wywoła efekt. Bo Kostrzewa nagle poczerwieniał, jakby ktoś natarł mu twarz śniegiem.

– A pani co? – warknął, z trudem hamując wściekłość. – Kontrola jakaś? Z urzędu miasta? Klich panią nasłała?!

Gaję zatkało.

– Nie, absolutnie, z żadnego urzędu! – zaprotestowała gwałtownie. – Tak spytałam... Przepraszam, nie chciałam pana zdenerwować! Naprawdę!

Kostrzewa natychmiast spuścił z tonu.

– A, to w takim razie ja przepraszam. Strasznie się ostatnio nerwowo zrobiłem przez tę idiotkę. Non stop telefony, o każdej porze, nawet w nocy. Żona to już myślała, że ja z nią romans mam – burczał.

– Z tą Klich? – upewniła się Gaja. – Ale dlaczego? Co się stało?

– Jak to co? Poganiała nas, żebyśmy zaczęli robotę. Wydzwaniała, awanturowała się, sądem straszyla. Kazała natychmiast wchodzić na budowę. No ale co ja poradzę, wypadek losowy. Nie dało rady przeskoczyć. Miesiąc w tę czy w tamtę w budowlance to norma jest, a ta kretynka tak się zachowywała, jakby

premię miała dostać za to, że nas zmusi. – Nagle się zreflektował. – Mam nadzieję, że to nie jest jakaś pani rodzina czy znajoma?

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Nie, na szczęście nie – zapewniła. – Ale skoro zaczynacie pracę, to może da panu wreszcie spokój?

– Już się jakiś czas temu odczepiła. Jak tu te zwłoki znaleźli. Dobra, lecę – wskoczył do furgonetki. – I przepraszam jeszcze raz za te nerwy. Rozumie pani...

– Rozumiem. – Bo rzeczywiście rozumiała bardzo dobrze.

Do domu wróciła prawie biegiem, wstawiła wodę na makaron i wybrała numer Matyldy. Przyjaciółka odezwała się prawie natychmiast.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Przejrzałam biuletyny. I posłuchaj, tam nie było daty! W tej notce o remoncie nie było daty rozpoczęcia! Tylko informacja o tym, że jest planowany, o kosztach i o przetargu, ale nie było daty. Poczekaj, przeczytam ci: „(...) remont poszycia dachu willi ma się rozpocząć w pierwszej połowie roku, dokładne daty zostaną wskazane po zakończeniu przetargów”. Czyli to nie jest tak, że wszyscy w mieście wiedzieli, kiedy ta firma tam wchodzi.

– A więc jednak! – ucieszyła się Gaja. – Super, że to sprawdziłaś. Ale ja też coś mam. Rozmawiałam z szefem tej firmy. I wyobraź sobie, że ktoś z ratusza ich cały czas strasznie poganiał, chciał ich zmusić, żeby tam jak najszybciej weszli. I wiesz, kto to był?

– Kierowniczka referatu?

– Nie! Ta druga, co mi wodę podawała! Klich! Nie uważasz, że to podejrzane?

Teraz Matylda musiała się zastanowić.

– Szczerze mówiąc, nie. Pewnie Renata jej kazała. Jest zwykłą urzędniczką, wykonuje polecenia, to wszystko.

Gaja westchnęła. Niestety to, co powiedziała Matylda, miało sens.

– No dobra, pewnie masz rację. Skąd ja ją mogę znać? – dodała po chwili: – Bo strasznie mnie to męczy. Dałabym sobie głowę uciąć, że skądś ją kojarzę.

– Znać to ją możesz z widzenia, bo mieszka w Milanówku, tylko po drugiej stronie torów, przy Warszawskiej.

Gaja potarła palcami czoło.

– Przy Warszawskiej? My tam ostatnio byliśmy z Klarą u tej dziewczynki, koleżanki Justyny... Wiem! – krzyknęła nagle. – Już wiem! Ona jest jej ciotką! No przecież! Klich jest ciotką Dominiki! Mieszkają w tym samym domu! Nie uważasz, że to jednak dziwne? Ona wiedziała o tym, że wejdą robotnicy, potem do nich wydzwaniała i kazała im jak najszybciej rozpocząć remont, no i do tego jest ciotką koleżanki Justyny.

Matylda cmoknęła z dezaprobatą.

– Gaja, coś ty. Przecież mówimy o Bożence. To niemożliwe. Ona jest taka... żadna. I wycofana. I gapowata. Poza tym nie ma nic wspólnego z Peszkiem.

I nagle coś sobie przypomniała.

– Kurczę, przecież oni się znają! – prawie krzyknęła w telefon. – Bawili się razem na sylwestra.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Gaja.

– U nas w urzędzie pracuje taki Igor, jest fotografem. Kiedyś przeglądałam fotki w jego aparacie i na jednej była Bożenka w takiej odjazdowej kiece. Powiedział, że to z sylwestra. A potem chciał, żebym napisała artykuł o Peszku, przygotował nawet kilka jego zdjęć, i jedno było z tej samej imprezy. Na sto procent! Muszą się znać!

– To trzeba koniecznie wyjaśnić – przyznała Gaja. – Poproszę Pawła.

– Jak chcesz, mogę do niego zadzwonić – zaoferowała się Matylda.

– Dzięki, dam radę – zapewniła ją Gaja. – I wiesz co? Mam przeczucie, że nareszcie coś się ruszyło. Trzymaj kciuki!

Rozłączyła się i bez zastanowienia wybrała numer „adwokata Peszka”. Sprawa była zbyt ważna, żeby przejmować się jakimiś tam sentymentami.

ROZDZIAŁ 73

Paweł odebrał prawie natychmiast. I znowu, słysząc jego głos, poczuła, jak zalewa ją fala tęsknoty i złości. Na szczęście podekscytowanie tym wszystkim, czego się przed chwilą dowiedziała, pozwoliło jej te emocje opanować.

– Cześć – zaczęła, ale Paweł natychmiast jej przerwał.

– Dzwoniłem wczoraj do ciebie.

– Wiem – przyznała. – Sorry, nie dałam rady oddzwonić. Mam ważną sprawę. Bardzo mi zależy, żebyś wypytał Peszka o jedną osobę. Nazywa się Klich. Bożena Klich. Dowiedz się od niego, czy ją zna. A jeśli tak, to jakie ma z nią relacje, dobrze? To bardzo ważne.

– Cholera, właśnie od niego wyszedłem – zmartwił się. – A jutro jestem cały dzień poza Warszawą. Spróbuję ci to załatwić w czwartek.

– Trudno. Jeżeli nie możesz wcześniej... – Nie chciała, żeby pomyślał, że się obraziła, ale no cóż, właśnie tak to zabrzmiało.

– Gaja, uważam, że powinniśmy porozmawiać – powiedział, zanim się rozłączyła.

– Wiem – przyznała. – Ale jeszcze nie teraz.

Lubiła ten specyficzny, panujący na basenie hałas. Plusk wody, pokrzykiwania trenera, śmiech chlapiących się w brodziku dzieci. Te wszystkie odgłosy, odbijające się od wysokich ścian zamkniętego pomieszczenia, miały w sobie specyficzną energię, która uruchamiała w Gai wspomnienia. Te dobre wspomnienia.

Właśnie usiadła na trybunach, żeby obserwować trening córki, kiedy zadzwonił telefon. Napis „advokat Peszka” pulsował na ekranie niecierpliwie, dopóki nie odebrała.

- Coś się stało? – spytała, zaskoczona.
- Rozmawiałem z Nikodemem – w głosie Pawła wyczuła napięcie.
- Przecież miałeś być u niego dopiero w czwartek?
- Tak, ale zmieniłem plany. Musimy się zobaczyć. Natychmiast.

Gaja popatrzyła w dół, na poruszające się w wodzie postaci.

– No nie wiem... – zawahała się. – Jestem na basenie w Pruszkowie, Helena właśnie zaczyna trening.

- Helena?
- Moja córka. Nie mam jak się stąd ruszyć.
- Gdzie cię znajdę na tym basenie?
- Siedzę na trybunach.
- Będę za kwadrans.

To nie był łatwy kwadrans, ale jakoś go przetrwała. Dokładnie po piętnastu minutach Paweł wszedł na trybuny i usiadł przy niej. Wyglądał na zmęczonego, a jednocześnie pełnego energii. „Co za paradoks”, pomyślała, łapiąc się na tym, że jego widok mimo wszystko ją cieszy.

– Jak to się stało, że się widziałeś z Peszkiem? – wolała zacząć rozmowę z poziomu zawodowego.

– Z Nikodemem rozstałem się dziesięć minut przed twoim telefonem. Więc pomyślałem, że w sumie nic się nie stanie, jak do niego wrócę.

– Rozmawialiście o Klich?

– Tak. Właśnie dlatego musiałem się z tobą zobaczyć. To jest strzał w dziesiątkę.

Gaja patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Serio?

– Cholernie serio.

– O, Boże... – Gaja nachyliła się do niego i chwyciła za rękaw marynarki. – Mów szybko!

– Moment.

Górski wyjął z kieszeni dyktafon.

– Miałem nosa, wszystko nagrałem. – Rozejrzył się. – Znajdziemy tu gdzieś jakieś cichsze miejsce?

Restauracja na najwyższej kondygnacji basenu nie była specjalnie przytulna, ale nie szukali intymności, tylko miejsca, w którym mogliby w spokoju wysłuchać nagrania. Wybrali stolik na samym końcu, za niewielkim przepierzeniem. Usiedli i Paweł włączył odtwarzanie.

– Bożena Klich? Dlaczego o nią pytasz? – Z głośnika popłynął trochę zniekształcony głos Peszka.

– Gaja wpadła na jakiś trop – odpowiedział Górski. – Znasz tę kobietę?

– Niestety znam. Chodziła do tego samego liceum, tylko dwie klasy niżej. Dzieciuch, w ogóle nie zwracałem na nią uwagi. Potem jakoś się wkręciła do naszej paczki, zaczęła się pojawiać na imprezach. Nie była popularna, z tego, co pamiętam, w ogóle się nie odzywała, za to zawsze przynosiła ze sobą jakieś dobre żarcie, więc ją tolerowaliśmy. Po maturze straciłem ją z oczu, pamiętasz, mieszkałem przez jakiś czas w Warszawie, dopiero kiedy wróciłem na stałe do Milanówka i zacząłem pracować w szkole, przez przypadek na siebie wpadliśmy. I jakoś tam ten kontakt odżył. Lubiłem ją, ale nic więcej. Może nawet nie lubiłem, tylko tolerowałem? Bo ona mi się strasznie narzucała. Na przykład zapraszała mnie do kina. Najczęściej odmawiałem pod pretekstem, że nie mam czasu, ale raz czy drugi jednak poszedłem. Trochę mi jej było szkoda. Przynosiła mi też jedzenie. Nie patrz tak, serio. Gotowała różne dobre rzeczy i przynosiła. Przecież jak ktoś stoi pod drzwiami z sernikiem, to go nie wyrzucisz z domu, prawda?

– Nigdy o niej nie wspominałeś... – zauważył Górski.

– Bo nie było o czym. Teraz, jak o niej mówię, to może się wydawać, że to było jakieś intensywne, ale nie. Widywaliśmy się raz na jakiś czas. Zwykła znajoma.

– I to wszystko?

– No, niezupełnie. Spędziliśmy razem ostatniego sylwestra. To znaczy nie poszliśmy razem, nie. Po prostu jak przyszedłem do znajomych, ona już tam była. I nawet dość atrakcyjnie wyglądała... No i tak jakoś wyszło...

– Nie mów mi, że się z nią przespałeś!

– Stary, raczej to ona się przespała ze mną. Sporo wypilem, a ona to wykorzystwała. Wyobraź sobie, budzę się rano, a ta u mnie w domu, w mojej koszuli podaje mi śniadanie do łóżka. Szok! Prawie jak w komedii romantycznej, tylko zero romantyzmu jak dla mnie. Pierwsza myśl: uciekać. I trzeba było, bo ona się zaczęła rozkręcać. Patrzy na telewizor i mówi: „Powinniśmy go przewiesić na tamtą ścianę, żeby był dalej od kanapy”. Mówię, że tak jest dobrze, że lubię tak, a ona: „Ale ja nie lubię, wzrok mi się szybko męczy”. I że w oknach trzeba powiesić firanki... Dżizas... Jeszcze dwie, trzy takie uwagi i się zorientowałem, że dziewczyna chce mi się wprowadzić do mieszkania! Po jednej nocy. W dodatku cały czas podkreślała, że to takie symboliczne, ten sylwester, i skoro razem zaczęliśmy nowy rok, to tak jakbyśmy zaczęli nowe wspólne życie. Jeszcze chwila i zaczęłaby wybierać imiona dla naszych dzieci. I psa.

Po chwili ciszy odezwał się Górski.

– No dobrze, i co było dalej? Bo przecież z tobą nie zamieszkała?

– Przeprosiłem ją bardzo, wytłumaczyłem, że to za wcześnie i że ja jeszcze nie dojrzałem do tak poważnej relacji. Później po prostu zacząłem jej unikać. A jak kiedyś przyszła do mnie do domu, z jakimś bigosem czy z czymś, porozmawiałem z nią szczerze, powiedziałem, że to łóżko to była pomyłka i niestety żadnego związku z tego nie będzie.

– Jak to zniosła?

– Zaskakująco dobrze. Z taką... pobłażliwością? Jakbym był dzieckiem, któremu się wybacza różne fanaberie. Wiesz, niech sobie pokrzyczy i potupie nóżkami, zaraz mu przejdzie. Tak jakby zakładała, że prędzej czy później do niej przyjdę z przeprosinami i będziemy razem. No ale nie przyszedłem i jakoś się to rozeszło po kościach. Tyle mam do powiedzenia.

– Wow... – odezwał się Górski. – Powiem ci, że jestem pod wrażeniem. Przecież ona wygląda na klasyczną psychopatkę! Dlaczego ani słowem o niej nie wspomniałeś, kiedy pytałem cię o ludzi, którzy mogą ci źle życzyć?!

– Bo nie myślałem, że mi źle życzy! Serio! Zawsze była dla mnie miła. W jakimś sensie ją lubiłem. A poza tym ona jest taka... niezaradna. Nie sądzę, żeby udało jej się ogarnąć to wszystko. Myślę o morderstwie, podrzuconych dowodach. To nie w jej stylu.

Adwokat jęknął.

– Nie w jej stylu... Nikodem! Nie mam słów. Przecież ona miała dostęp do wszystkiego. Mogła ci ukraść szalik, mogła zdobyć twoje włosy. I miała motyw!

– Naprawdę myślisz, że byłaby do tego zdolna?

Górski wyłączył dyktafon. Gaja, podekscytowana, ledwo mogła usiedzieć na miejscu. Wszystko w tej historii pasowało, wszystko.

– To ona! Jestem pewna! – miała ochotę rzucić się mężczyźnie na szyję.

– Ja też tak uważam. Odwołuję jutrzejszy wyjazd i umawiam się z tym komisarzem, który prowadzi śledztwo.

Gaja nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Żartujesz? – jęknęła. – Chcesz z tym iść na policję? A mam ci przypomnieć, co mówiłeś, kiedy wyszła historia z młodym Skorupskim? Twój wykład, że oni już mają sprawcę i nie przyjmą do wiadomości nic innego?

– Moment, moment! Mówiłem tak, to prawda, ale akurat historia z tym chłopakiem była dość naciągana. Teraz jest inaczej. Wszystko wskazuje na to, że Klich jest mordercą. Zostawmy to kompetentnym ludziom, dobrze?

– Jakim kompetentnym ludziom? Co ty gadasz? Paweł, nie możemy z tym pójść na policję. Oni nic z tym nie zrobią, uwierz mi!

– Gaja, nie upieraj się, proszę, to dziecinne – powiedział Górski karcącym tonem.

Dziecinne... Podobne słowa usłyszała od niego, kiedy dwadzieścia trzy lata temu prosiła, żeby nie wyjeżdżał do Stanów. Na chwilę zamilkła, żeby przeczekać

nagły skurcz gardła.

– Paweł, posłuchaj. Rozmawiałam wczoraj z tym komisarzem. On jest betonowy. Uważa, że morderstwo popełnił Peszek, koniec kropka. To nie są bystrzy i dzielni bohaterowie seriali kryminalnych. To są zwykli urzędnicy, zawaleni po uszy robotą i biurokracją. Im się nie chce. Mają rozwiązanie, proste i oczywiste, po co mieliby szukać innego? Poza tym to, z czym chcesz do nich pójść, to są tylko domysły, nie fakty. Nie mamy żadnego dowodu na winę Klich. Jeżeli ją przesłuchają, to tylko ją spłoszą.

– Co w takim razie proponujesz? – spytał Górski ostrożnie.

– Daj nam czas do końca tygodnia. Znajdziemy dowody. A wtedy ty pójdziesz z nimi na policję. Możemy się tak umówić?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze – powiedział z ciężkim sercem. – Tylko bądźcie, proszę, ostrożne, to może być niebezpieczne. Gdyby coś wam się stało, wyrzuty sumienia by mnie zjadły.

Tego Gaja już nie wytrzymała.

– Żeby mieć wyrzuty sumienia, przydałoby się sumienie – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Gaja, to nie fair! – zdenerwował się. – Nie możesz mnie oceniać przez pryzmat jakiejś historii sprzed dwudziestu lat! Poza tym nie wiesz, co się wtedy naprawdę stało, bo nie chciałaś wysłuchać moich argumentów.

– O ile pamiętam, to ty nie chciałaś wysłuchać moich – zwróciła mu uwagę Gaja. – Ale dobrze, zostawmy to.

Górski wstał. Był wściekły. Wziął dyktafon ze stołu i chciał go schować do kieszeni, kiedy Gaja wyciągnęła po niego rękę. Oddał go jej niechętnie.

– Macie czas do końca tygodnia. W poniedziałek idę na policję. Cześć – rzucił oschle i ruszył w stronę schodów.

Gaja odczekała chwilę i również wyszła z restauracji. Choć zakończenie ich spotkania do najprzyjemniejszych nie należało, czuła się świetnie. Historia

z Bożeną Klich była prawdziwą rewelacją i otwierała zupełnie nowe możliwości. Oczywiście udowodnienie kobiecie morderstwa nie będzie łatwe, ale Gaja wierzyła, że sobie poradzą. Poczwała tę samą energię i zawziętość jak wtedy, kiedy nakryła Artura na zdradzie. „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”, pomyślała. Zwłaszcza że niepostrzeżenie pojawił się dodatkowy element motywacyjny. Górski nie wierzył, że im się uda. Więc ona zamierzała mu udowodnić, że się myli.

ROZDZIAŁ 74

Klara nie cierpiała ponosić porażek – a już na pewno przyznawać się do nich – dlatego kiedy tylko coś zaczynało się psuć, natychmiast uruchamiała jeden ze swoich wypróbowanych mechanizmów obronnych, który niepowodzenie miał zamienić w sukces.

Praca w agencji, po której tyle sobie obiecywała, rozczarowała ją. Po pierwsze – była nudna. Jedyne ekscytujące wydarzenie, czyli pogoń za synem burmistrza, trwało coś około kwadransa. Jak na dwa tygodnie pracy to mało.

Zgłaszając się do agencji detektywistycznej, Klara wyobrażała sobie pościgi motocyklowe, uwalnianie zakładników, nawet strzelaniny – choć przecież nie miała pozwolenia na broń – a okazało się, że jedynym realnym niebezpieczeństwem, na jakie do tej pory została narażona, był upadek z metrowej drabinki. W dziewczynie narastały więc rozczarowanie i frustracja.

Po drugie, ostatnia historia z Gają, czy raczej – z Heleną i z Gają, nie polepszyła jej notowań u szefowej. Co prawda później do tego tematu już nie wracały, ale Klara czuła bijący od Gai dystans.

Na to wszystko nałożył się dodatkowo kryzys czysto organizacyjny. Gaja oznajmiła mianowicie, że musi się wycofać z umowy z Peszkiem.

– Nie uda nam się udowodnić, że jest niewinny – powiedziała. – Nie możemy brać pieniędzy za nic.

– Zaraz, czyli to znaczy, że mi nie zapłacisz? – spłoszyła się Klara.

– Zapłacę, nie martw się. Tak, jak się umawialiśmy. Tylko nie bardzo wiem, co dalej. Nie pojawił się żaden nowy klient.

– Może w takim razie powinniśmy się zająć reklamą? – zasugerowała Klara. – Znam kilku niezłych fotografów, mogliby nam zrobić sesję. Taką wiesz, z bronią.

Albo z lupą, jak wolisz. Założymy profile na fejsie i na insta, będziemy wypuszczać sponsorowane posty, zobaczysz, rozhulamy internet na maksa.

Ale Gaja nie była w nastroju bojowym.

– Pomyślę – powiedziała tylko. – Dziś i jutro masz wolne, zaczniemy działać w czwartek.

W głosie szefowej Klara wyczuła silną nutę pesymizmu, co sprawiło, że sama natychmiast poczuła chęć ucieczki.

„Ta agencja to tylko strata czasu – zaczęła sobie tłumaczyć. – Nie rozwijam się, nie zdobywam nowych umiejętności i co najważniejsze, mało zarabiam. Muszę się rozejrzeć za czymś sensowniejszym”, postanowiła.

I właśnie teraz, kiedy siedziała sobie na kanapie z kotem na kolanach, piła zimnego żywca prosto z puszki i przeglądała oferty pracy na praca.pl, zadzwoniła komórka.

Tak się pechowo złożyło, że zostawiła ją w kuchni, więc żeby odebrać, powinna wstać i przejść mniej więcej cztery metry. Przez chwilę lenistwo walczyło w niej z ciekawością, w końcu jednak zrzuciła Scarlett z kolan, podniosła się i zgarnęła telefon z deski do krojenia. Był cały w okruchach chleba i zanim go otrzepała, przestał dzwonić. Jedno połączenie nieodebrane: „Gaja”, wyświetliło się na ekranie. „A ona czego chce? – pomyślała Klara niechętnie, wracając na kanapę. – Przecież dała mi na dzisiaj wolne. Sama z siebie”.

Dla porządku postanowiła oddzwonić.

– Jakby co, to jestem po piwie i nigdzie się nie ruszam – uprzedziła na wstępie.

– Cholera – reakcja Gai świadczyła o tym, że szefowa rzeczywiście chciała ją ściągnąć do Milanówka. – Dobrze. W takim razie my wpadniemy do ciebie.

Klarę niełatwo było zaskoczyć, a jednak Gai się ta sztuka udała. Wpadną? Do niej? Rozejrzała się po pokoju, zabałaganionym tak równomiernie, że ciężko się było po nim poruszać. Rozgrzebane łóżko, porozrzucane ciuchy i zlew pełen brudnych naczyń – to miejsce zdecydowanie nie nadawało się do przyjmowania gości.

– Hej, zaraz, przecież jest późno! – zaprotestowała gwałtownie.

– Jest ósma – uświadomiła jej Gaja. – Nie wmówisz mi, że chodzisz spać przed dziewiątą. Będziemy za czterdzieści minut.

Wizja miłego, pierwszego od kilku tygodni samotnego wieczoru – Damiana wyrzuciła zaledwie wczoraj – prysła jak mydlana bańka, ale Klara wyczuła, że próba odmówienia Gai i tak na nic by się nie zdała. Wypiła więc piwo do końca i zła zaczęła zbierać z podłogi ubrania, bieliznę i pudełka po jedzeniu na wynos.

Gaja i Matylda pojawiły się po czterdziestu pięciu minutach. Wyglądały na podekscytowane.

– Wiemy, kto zabił Justynę – oznajmiła Gaja triumfująco.

– Ja pierdolę – wyraziła swój podziw Klara. – Kto?

Opowiedziały jej o ekipie remontowej, która pojawiła się w starej willi, o wizycie w referacie technicznej obsługi miasta i o Bożence, a kiedy na koniec Gaja puściła jej z dyktafonu rozmowę adwokata z Peszkiem, Klara nagle poczuła, że może jednak praca w agencji nie jest takim złym rozwiązaniem, jak myślała jeszcze przed godziną.

– No miazga – podsumowała. – Tylko co teraz?

– Trzeba jakoś zdobyć dowody przeciwko niej – oznajmiła Gaja.

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć – odezwała się z namysłem Matylda. – Przecież ona jest taka... bezbarwna i nijaka. Znam ją od kilku lat i w życiu bym nie pomyślała, że ma w ogóle jakieś emocje. Takie w dodatku destrukcyjne.

– Destrukcyjne emocje... – powtórzyła w zamyśleniu Gaja. – A może powinniśmy je wykorzystać?

– Emocje to zawsze jest klucz – zauważyła przytomnie Klara. – Co konkretnie chcesz z nimi zrobić?

– No cóż... przyszła mi do głowy kukułka – odpowiedziała Gaja.

– Kukułka? W sensie ptak? – zdziwiła się Matylda.

– Owszem – Gaja poprawiła się na kanapie i zaczęła wykład. – Na pewno wiecie, że kukułka jest pasożytem lęgowym. To znaczy składa jajka do cudzych gniazd. Kiedy mała kukułka się wykluje, wyrzuca pozostałe pisklaki za burzę, zostaje sama i przyrodni rodzice karmią już tylko ją.

– Dobra, Gaja, do brzegu – upomniała ją Klara.

– Najtrudniejszy punkt całego tego przedsięwzięcia to podrzucenie jajka. Żeby się udało, kukułki muszą działać w parze – opowiadała Gaja z coraz większym zaangażowaniem. – Wykorzystują to, że samiec kukułki w locie przypomina krogulca, czyli drapieżnika. Zaczyna krążyć nad gniazdem, prowokując gospodarzy do obrony. Samiczka podrywa się z jajek i na chwilę zostawia gniazdo puste. W tym czasie samica kukułki ląduje tam, składa jajko i gotowe.

– Bardzo ciekawe – zauważyła bez zapału Matylda. – Tylko jak to się ma, przepraszam, do Bożenki?

– Prowokacja! – oświadczyła z dumą Gaja. – Jeżeli w niej się kłębią emocje, to tym łatwiej będzie ją sprowokować!

– Ale do czego? – Matylda nie bardzo rozumiała.

– Do tego, żeby się sama wsypała.

– Ale wiesz, że to może być niebezpieczne? – zwróciła jej uwagę Matylda.

– Jak niebezpieczne, to ja biorę – ożywiła się Klara. – Tylko pytanie, czy mam wywabiać, czy składać jajo?

– Będziesz wywabiać. Nadajesz się do tego idealnie.

ROZDZIAŁ 75

– To nie jest dobry pomysł – mamrotała pod nosem Gaja, trochę do siebie, a trochę do idącej obok Matyldy.

Im były bliżej numeru dwadzieścia trzy, tym Gaja bardziej zwalniała, a w pewnym momencie prawie w ogóle przestała iść. Kiedy Matylda zorientowała się, że przyjaciółki nie ma, zatrzymała się i odwróciła.

– Ty idziesz czy nie? – spytała zirytowana.

Gaja zbliżyła się do niej niechętnie.

– To nie jest dobry pomysł – powtórzyła oskarżającym tonem.

– A mnie się bardzo podoba – oświadczyła stanowczo Matylda. – Poza tym trochę nie mamy wyjścia...

Z tym akurat Gaja musiała się zgodzić.

Kiedy na naradzie u Klary ustaliły, że przeprowadzając prowokację, powinny mieć jednak wsparcie policji, Gaja natychmiast zaproponowała, że porozmawia z kryminalnymi z Grodziska. Zrobiła to jednak chyba zbyt gorliwie, bo Matylda wzięła jej reakcję pod lupę.

– Przecież mówiłaś, że ten Sikora jest nieprzemakalny – przypomniła.

– Oj tam, zaraz nieprzemakalny. Miał swoją koncepcję po prostu. Teraz, kiedy zrozumie, że się pomylił...

– A na jakiej podstawie uważasz, że nagle weźmie i zrozumie? – drażyła Matylda.

– Bo mu wszystko elegancko wytłumaczę – Gaja przewróciła oczami.

– I przeżyje nagłe oświecenie... Akurat – prychnęła Matylda. – Według mnie dużo sensowniej byłoby porozmawiać z Lewinem. On mógłby chcieć utrzyć nosa

tym z Grodziska, a to by zadziałało na naszą korzyść. Mówię ci. Na twoim miejscu poszłabym do niego.

– Daj spokój, co on może? – Gaja wzruszyła lekceważąco ramionami.

I niepotrzebnie, bo ten pozornie niewinny gest w jakiś niezrozumiały sposób ją zdemaskował.

– Już wiem, o co chodzi! – oświadczyła triumfalnie Matyllda. – Ty się go po prostu boisz!

Gaja roześmiała się lekko.

– Jego? Chyba żartujesz. Co to w ogóle za pomysł?

Ale Matyllda wiedziała swoje.

– Znam cię.

– Jeżeli mnie znasz, to wiesz, że ja się generalnie nikogo nie boję.

– W takim razie pogadaj z nim. Co ci szkodzi?

Gaja miała już dosyć tej żenującej przepychanki.

– Dobrze, pójdę do niego. Ale pod jednym warunkiem – zastrzegła.

– Jakim?

– Że ty, cwaniaro, pójdziesz ze mną.

I w ten sposób wylądowały obie na ulicy Parkowej. A właściwie najpierw na komisariacie, gdzie przyjęła ich ciotka Matylldy, Zdzisława.

– Ciociu, my do pana komendanta – oznajmiła grzecznie Matyllda. – Mamy bardzo ważną sprawę.

– To trzeba było zadzwonić i się umówić – zwróciła jej uwagę Zdzisława. – Bo już go nie ma.

– Jak to? – zdziwiła się Gaja. – Przecież dopiero wpół do czwartej?

Ciotka Matylldy posłała jej niechętne spojrzenie.

– No i co? Rano przyszedł wcześniej, to i wcześniej wyszedł. Psa musiał wyprowadzić. Taki obowiązek.

Gai nieobecność komendanta za bardzo nie zmartwiła. Prawdę mówiąc – wręcz jej ulżyło. Odwróciła się i już chciała wyjść z komisariatu, kiedy usłyszała

przymilny głos swojej przyjaciółki.

– Ciociu kochana, a ty wiesz może, gdzie on mieszka?

Ciotka niestety wiedziała.

– To nie jest dobry pomysł! – powtórzyła Gaja co najmniej po raz trzeci.

– Jak myślisz, jakiego on ma psa? – spytała Matylda.

– Labradora – parsknęła Gaja.

Wizja komendanta prowadzącego na smyczy taką wielką, potulną kluczę bardzo ją rozbawiła.

– No weź – zaprotestowała przyjaciółka. – Raczej wilczura. Albo takiego do walk, to pitbulle są, nie?

I w tym momencie go zobaczyły.

Lewin szedł w ich stronę wolnym krokiem, trzymając w ręku smycz. Tyle tylko, że na jej końcu nie było żadnego psa, przynajmniej na początku tak myślały. Dopiero kiedy podszedł bliżej, zorientowały się, że obok komendanta, tuż nad ziemią płynie maleńki biały obłoczek na czterech cieniutkich łapkach.

Gaja zamrugła oczami z niedowierzaniem.

– No bez jaj... – szepnęła.

Piesek, o ile oczywiście to był piesek, a nie na przykład kłęb waty cukrowej, zatrzymał się i zaczął coś z dużym zaangażowaniem obwąchiwać.

– Beza, no chodź! – usłyszały odrobinę zirytowany głos komendanta.

Najwyraźniej miał dosyć czekania, bo wziął pieska pod pachę, odwrócił się w ich stronę i zamarł. Stał tak, zaskoczony, a spod pachy wystawał mu maleńki biały łepiek. Gaja musiała włożyć wiele wysiłku w to, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Dzień dobry, panie komendancie! – zareagowała przytomnie Matylda. – Co za zaskakujące spotkanie!

Lewin ocknął się błyskawicznie.

– Właśnie miałem powiedzieć to samo – uśmiechnął się nieszczercze.

Podeszły bliżej.

– Jaki uroczy! – zaćwierkała Matyllda. – Jaka to rasa?

– Pomeranian – odpowiedział Lewin.

Matyllda wyciągnęła rękę w kierunku psa. W tym momencie z białego kłębka wydobył się dźwięk przypominający terkot elektrycznej szczoteczki do zębów, który zapewne był warczeniem.

– Wielki charakter w małym ciele – wyjaśnił komendant.

– A ja słyszałam, że psy upodabniają się do swoich właścicieli... – nie mogła sobie darować Gaja.

Lewin zmrużył oczy i odpowiedział powoli.

– No cóż, to pies mojej żony.

Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Matyllda miała wrażenie, że przestrzeń między nimi wypełnia seria wyładowań elektrycznych.

Postanowiła to przerwać.

– Tak się zastanawialiśmy, czy byłby pan zainteresowany złapaniem prawdziwego zabójcy Justyny... – zagaiła tonem miłej konwersacji.

Komendant poprawił psa pod pachą.

– A trochę więcej szczegółów?

ROZDZIAŁ 76

Bożena stała przed lustrem i krytycznie przyglądała się swojemu odbiciu. Miała na sobie cienki czarny golf i wąską spódnicę przed kolano w biało-czarną pepitkę. Do tego założyła czarne rajstopy, czarne mokasyny na grubej podeszwie i jasnoszary sweter. Wyglądała jak zwykle, to znaczy nie rzucała się w oczy. Gdyby szła do pracy, jej strój byłby idealny. Tyle że Bożena nie szła do pracy. Szła na imprezę.

Impreza, na którą się wybierała, odbywała się z okazji Dnia Kobiet i Bożena nie mogła uwierzyć, że zgodziła się wziąć w niej udział. Kiedy Matylda wpadła do nich do pokoju i zaprosiła je na ósmego marca do siebie, powinna powiedzieć: „Nie, nie lubię imprez, nie lubię ludzi, nie lubię hałasu, a Dzień Kobiet mam głęboko w nosie”, ale nie potrafiła. Zapytała tylko grzecznie, na którą ma przyjść i co ze sobą przynieść.

Posłała ostatnie, zrezygnowane spojrzenie w kierunku lustra, chwyciła swoją jedyną wizytową torebkę, czarną, lakierowaną, i poszła do kuchni po garnek curry, które przygotowała.

Zewnętrznymi schodami zeszła na podwórko. Kiedy przechodziła obok okna mieszkania na parterze, zajmowanego przez rodzinę siostry, zauważyła siedzącego za szybą czarnego kota. Kot również ją dostrzegł. Wygiął grzbiet, najeżył ogon i wściekle prychnął, kilka razy uderzył łapami w okno. Nie lubił jej i właściwie trudno było mu się dziwić.

Matylda sugerowała, żeby przyjść na piechotę, ale Bożena miała do przetransportowania garnka, postanowiła więc jechać autem. Dzięki temu będzie mogła bezkarnie odmawiać alkoholu, za którym nie przepadała.

Impreza miała się rozpocząć o siódmej, a ponieważ Bożena bardzo sobie ceniła punktualność, za minutę siódma zaparkowała przed domem Matyldy. Wyjęła

z bagażnika garnek z curry i już miała zadzwonić do furtki, kiedy jej wzrok powędrował w kierunku Krysina. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak blisko tego miejsca mieszka Matylda.

I kiedy tak stała i patrzyła na czarną bryłę budynku, nagle, zupełnie nieproszone, powróciły wspomnienia.

Ten moment, kiedy zobaczyła tę małą dziwkę, stojącą pod ścianą willi z komórką w dłoni. To poczucie ulgi i satysfakcji, że głupia dała się nabrać i przyszła. I wszechmoc, kiedy dziewczyna, uderzona przez nią w głowę kawałkiem chodnikowej płyty, opadła na kolana i klęcząc, patrzyła na nią, przerażona. Mogła z nią wtedy zrobić wszystko. I zrobiła.

Przypomniała też sobie, jak ciężkie było jej ciało, kiedy wciągała je do wnętrza willi, i jakie to było dziwne uczucie, kiedy wciskała między jej zaciśnięte palce włosy Nikodema, które wcześniej zdjęła z jego szalika. Przypomniała sobie, jak bardzo ją szczypały policzki, podrapane przez walczącą o życie Justynę, i przerażenie, że jej skóra pod paznokciami dziewczyny może ją zdradzić, potem szaleńczy rajd autem do domu i powrót z nożyczkami, którymi w pośpiechu i z rosnącym obrzydzeniem obcinała paznokcie swojej ofierze.

Przypomniała sobie, jak wyjmowała kartę z jej komórki, łamała ją i spuszczała w toalecie, a następnego dnia rozbitą tasakiem obudowę wrzucała do stawu w Grodzisku. Tyle zła, wszystko przez niego. Bo to Nikodem był winny temu, co zrobiła.

Plotki o tym, że mężczyzna, którego kocha, ma coś wspólnego z tą nastolatką, docierały do niej już od jakiegoś czasu. Nie były intensywne, ale wystarczająco bolesne. Kilka razy usłyszała też rozmowy swojej siostrzenicy z tą gówniarą. Dominika miała denerwujący zwyczaj przełączania komórki na głośnik i akurat tak się złożyło, że Bożenie wpadły w ucho zdania, których słyszeć nie powinna. O tym, jak pan profesor zajebiście całuje i jaki jest dobry w łóżku. To właśnie wtedy jej miłość do Nikodema zaczęła zamieniać się w nienawiść.

Nie myślała, że coś takiego może się w ogóle zdarzyć. Przecież kochała go przez całe swoje życie. Najpierw, jeszcze za czasów podstawówki, widywała go w kościele. Chodził z matką na dwunastą trzydzieści, a Bożena z rodzicami na jedenastą i czasami, kiedy wcześniejsza msza się przedłużała, mijali się na kościelnym dziedzińcu. On oczywiście nie zwracał na nią uwagi, ale to jej nie przeszkadzało. Bo Bożena była cierpliwa. Bardzo cierpliwa. I miała tylko jedno marzenie – wyjść za Nikodema za mąż. Więc czekała.

W liceum nadal jej nie zauważał. Zaczęła szukać jakiegoś z nim kontaktu, co w sytuacji kiedy on chodził do trzeciej klasy, a ona do pierwszej, nie było łatwe. Ale kropla drąży skałę, więc udało jej się w końcu wkręcić do towarzystwa, w którym Nikodem się obracał, parę razy nawet ze sobą porozmawiali.

Niestety zaraz po maturze Nikodem zniknął. Zaczął studiować w Warszawie, zamieszkał tam na stacji. Do Milanówka wpadał rzadko, przestała go widywać, ale nie przestała kochać. Nosiła w portfelu jego zdjęcie, marzyła, snuła plany. Nikomu się z nich nie zwierzała, bo kiedy raz wspomniała o Nikodemie swojej siostrze, bardzo ostrożnie i w samych ogólnikach, siostra ją wyśmiała.

– Zwariowałaś? – spytała, patrząc na Bożenę z politowaniem. – Ten przystojniak? Myślisz, że on się tobą zainteresuje?

Więc natychmiast się wycofała, powiedziała, że to był tylko taki żart, a później bardzo uważała, żeby nikt się nie zorientował, jak bardzo jej na nim zależy.

A potem Nikodem wrócił. Zdecydował się zamieszkać ze swoją matką, pomógł jej odremontować starą willę i zrobił w niej sobie osobne mieszkanie.

Bożena chyba nigdy nie była taka szczęśliwa. Wystawała wieczorami pod jego domem i marzyła, żeby któregoś ranka obudzić się obok niego i podać mu do łóżka śniadanie.

Coś, co kiedyś wydawało się mrzonką, zaczęło się stawać realne. Bożena powoli, ostrożnie zdobywała pole. Najpierw niby przypadkiem na niego wpadała, potem zaproponowała kino, raz, drugi, trzeci, i w końcu się zgodził. I choć

Nikodem nigdy nie zrobił żadnego gestu w jej stronę, nigdy jej nie pocałował ani nawet nie dotknął, ich relacja powoli się zacieśniała.

A potem przyszedł sylwester, spędzona razem noc i wymarzony poranek. Niestety jej ukochany był do tej sytuacji nastawiony trochę mniej entuzjastycznie niż ona. Zaczął się wycofywać, przeproszać, sugerować przyjaźń... Po tych frazesach zorientowała się, że Nikodem po prostu boi się bliskości. Boi się, że jeżeli pozwoli sobie na miłość, zostanie zraniony. Bożena wyczytała w internecie, że to coraz powszechniejszy problem współczesnych mężczyzn, dlatego w ogóle się tym nie przejęła. Była pewna, że miłością i cierpliwością, której miała w sobie mnóstwo, w końcu osiągnie sukces.

A jednak ta wspólna noc, zamiast ich do siebie zbliżyć, coś między nimi popsuka. Bożena czuła coraz większy opór z jego strony; w końcu poprosił ją o rozmowę. Powiedział, że nie może z nią być i że to nie ma nic wspólnego z samą Bożeną – po prostu on jeszcze nie dojrzał do związku. Zapewniła go, że nie ma sprawy, poczeka, ale kiedy chciała go pocałować, odsunął się. I kazał jej wyjść. Był zimny i obcy, i wtedy pierwszy raz poczuła, że jest na niego zła.

Zaraz potem po mieście zaczęły krążyć plotki o tej dziewczynie z liceum, powodując, że niechęć Bożeny do Nikodema narastała. Kulminacja nastąpiła pewnego wieczoru, który spędzała u rodziców. Matka urządzała imieniny, było trochę gości, Bożenka kręciła się między dużym pokojem a kuchnią, pomagając. Właśnie stawiała na stole kolejny półmisek, kiedy na leżący obok nakrycia siostrzenicy telefon przyszedł jakiś filmik. Dominika otworzyła go, nieświadoma, że Bożena stoi tuż za nią i wszystko widzi.

Wszystko, czyli nagą Justynę w łóżku z mężczyzną. I choć nie było widać twarzy, to blizna na ramieniu go zdemaskowała.

Dla Bożeny to był szok. Mogła wybaczyć Nikodemowi to, że nie chce z nią być, ale pójścia do łóżka z tą smarkulą wybaczyć nie mogła. Ani jemu, ani jej. Czuła, jak narasta w niej furia, ślepa, zimna furia. Nie wiedziała, którego z nich teraz nienawidzi bardziej. Chciała zadać ból i jemu, i jej. Nie mogąc z nim być, nie mogła znieść myśli, że ktoś inny jest z nim szczęśliwy.

Oszołomiona i zdruzgotana wróciła do domu. I wtedy zobaczyła leżący na komodzie szalik Nikodema, który zabrała ze sobą, wychodząc od niego po tej okropnej ostatniej rozmowie. Lubiła dotykać go i wąchać, zapach ulubionej wody toaletowej Nikodema, którym był przesiąknięty, przywoływał wspomnienia i dawał nadzieję, że kiedyś znowu będą blisko. Tak się nie stało, ale teraz widok szalika podsunął jej pomysł, który bezwzględnie i systematycznie wprowadziła w życie.

Wystarczyło napisać list, zwabić tę idiotkę do Krysina, zamordować i zostawić szalik przy zwłokach – jak podpis.

Kiedy patrzyła na śmierć dziewczyny, czuła satysfakcję. Ale dużo większą satysfakcję przyniosło jej aresztowanie Nikodema. Co prawda liczyła, że stanie się to dużo wcześniej, że firma od dachów wejdzie na teren willi już następnego dnia po zabójstwie, niestety wypadek losowy sprawił, że pojawili się tam kilka tygodni spóźnieni. Była nawet na siebie zła, że przesadziła z tym chowaniem zwłok, że może trzeba je było zostawić gdzieś na widoku. Jednak szybko sobie wytłumaczyła, że mimo wszystko to był dobry ruch – przecież gdyby to Nikodem dokonał morderstwa, nie byłby tak głupi, żeby zostawiać ciało na widoku.

A teraz siedział w areszcie i za każdym razem, kiedy Bożena o tym myślała, czuła się błogo. Świadomość, że złamała mu życie, była wspaniała. I absolutnie warta każdego wysiłku i każdego poświęcenia.

– Bożenka?

Podskoczyła, o mało nie upuszczając garnka.

Na chodniku kawałek dalej stała jej kierowniczką Renata z butelką wina w dłoni.

– Co tam przyniosłaś? – spytała.

– Curry – odpowiedziała spłoszona Bożena. – Z cieciorką, szpinakiem i batatem.

– No to chodź, nie będziemy tak tutaj stały.

I zadzwoniła do furtki.

ROZDZIAŁ 77

Matylda odebrała od Renaty wino, a od Bożeny garnek i zaprosiła je do niewielkiego salonu. Na stołach stały tace z „tradycyjnymi” kanapkami, jak je określiła Matylda, obok z połówek jabłek sterczały wykałaczki z nabitymi na nie kawałkami żółtego sera i papryki.

– Impreza z okazji Dnia Kobiet, więc wymyśliłam taki archaiczny klimacik – wytłumaczyła gospodyni i zaproponowała wino.

Bożena odmówiła i poprosiła o colę. Na początku było trochę drętwo, bo nie miały o czym rozmawiać, ale potem zaczęły się schodzić pozostałe dziewczyny, w większości koleżanki z ratusza, pojawiła się również ta sąsiadka Matyldy, z którą przysłała ostatnio do nich do referatu, wypytyując o Krysin. Ciekawe, po co jej była tamta informacja...

Przy stole zrobiło się tłoczno, pokój wypełnił gwar głosów.

Bożena nałożyła sobie na talerz kilka kanapek i usiadła z boku, przyglądając się tym wszystkim kolorowym, roześmianym kobietom z bolesną świadomością, że sama nigdy nie będzie taka. Jedyne, co ją pocieszało, to że Justyna również nigdy taka nie będzie.

Ostatni dzwonek rozległ się koło ósmej i Matylda wprowadziła do pokoju dziewczynę, której Bożena nie знаła. Miała bezczelnie rude, kręcone włosy i figurę modelki, wyeksponowaną dzięki czerwonej, obcisłej jak folia spożywcza sukience. Bożena, patrząc na nią, pomyślała, że to nieprzyzwoite być kimś tak atrakcyjnym.

– Hej! To jest Klara, moja przyjaciółka z Warszawy – obwieściła Matylda. – Bądźcie dla niej miłe!

Zaprowadziła rudą do stołu, nałożyła jej porcję curry, a potem podeszły do Bożeny.

– Poznajcie się, Bożena – Klara. Bożena zrobiła to przepyszne curry.

Ruda nabrała trochę jedzenia na widelec i spróbowała ostrożnie.

– Boskie! – zareagowała entuzjastycznie.

Bożena bardzo lubiła komplementy.

– Cieszę się, że ci smakuje – powiedziała skromnie.

Ruda pochłonęła jedzenie błyskawicznie.

– Pójdę sobie dołożyć – oznajmiła.

Kiedy odeszła, Matylda wzięła Bożenę pod łokieć i nachyliła się do jej ucha.

– Mam do ciebie prośbę. Klara może nie wygląda, ale jest w kiepskiej formie. –

Bożena zauważyła, że Matylda, mówiąc to, sama sprawia wrażenie lekko zdenerwowanej. – Zaprosiłam ją specjalnie, żeby się trochę rozruszała. Ma bardzo trudny czas. Mogłabyś się nią zająć?

Bożenie było dokładnie wszystko jedno, w jakiej formie jest ta obca, ruda dziewczyna, która zresztą nie sprawiała wrażenia specjalnie przygnębionej, ale ponieważ nie chciała robić przykrości Matyldzie, kiwnęła potakująco głową.

– Och, to dziękuję. Kochana jesteś – Matylda uśmiechnęła się nerwowo i zniknęła w kuchni.

Bożena usiadła na jednym z ustawionych pod ścianą krzeseł i obserwowała, jak ta cała Klara nakłada sobie jedzenie. Miała cichą nadzieję, że ktoś inny ją zaczepi, a ona wda się w rozmowę i zapomni o niej, ale tak się niestety nie stało i po chwili Klara, z pełnym talerzem, usiadła na krześle obok i zaczęła jeść.

– Zawsze jak się denerwuję, to jem – wytłumaczyła z pełnymi ustami. – A ty?

Bożenę to pytanie zaskoczyło.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Raczej odwrotnie. Nie mogę nic przełknąć. Ale ty się chyba w takim razie rzadko denerwujesz, prawda? – Obrzuciła wymownym spojrzeniem idealną figurę Klary.

– Och, ja spalam błyskawicznie, przemianę materii mam w genach – wyjaśniła szybko dziewczyna. – I całe szczęście, bo ostatnio jem bez przerwy. – Westchnęła

ciężko. – Z tych nerwów właśnie. Musiałam podjąć strasznie trudną decyzję i jestem psychicznie wykończona.

– Współczuję – powiedziała Bożenka ostrożnie.

– Dziękuję... – uśmiechnęła się słabo Klara. – Nikomu nie życzę takich wyborów. Wyobraź sobie, że możesz uratować czyjeś życie, ale wtedy zrujnujesz swoje...

Zabrzmiało to bardzo tajemniczo.

– To rzeczywiście trudna sprawa – powiedziała, a potem odruchowo dorzuciła zdanie, które znała z amerykańskich filmów: – Może chcesz o tym porozmawiać?

Ruda się ożywiła.

– Och, bardzo! Jak miło z twojej strony, że chcesz posłuchać! – nachyliła się do Bożenki. – Więc wyobraź sobie... Mężczyzna, którego kocham, został aresztowany!

Bożena drgnęła. „Co za niesamowity zbieg okoliczności”, pomyślała. Tyle tylko, że akurat w jej przypadku aresztowany został mężczyzna, którego nienawidziła...

– To bardzo przykre – pokiwała głową ze współczuciem.

– Przykre? Raczej tragiczne – jęknęła Klara. – Jestem jedyną osobą, która może mu pomóc, ale jeżeli mu pomogę, zaszkodzę sobie. Sprawa wygląda tak – dziewczyna odrzuciła włosy do tyłu. – On został oskarżony o zabójstwo, wszystkie dowody wskazują na niego, a ja jestem jedyną osobą, która wie, że tego nie zrobił.

Bożena słuchała coraz uważniej.

– Byłam z nim w tym czasie, więc mogę mu dać alibi. Problem w tym, że jestem mężatką i jak mój mąż się dowie, że go zdradzałam, to mnie zabije. Trudna decyzja, rozumiesz. Ale przecież nie mogę pozwolić, żeby Nikodem zgnił w więzieniu tylko dlatego, że ja okazałam się tchórzem.

Bożena poczuła się tak, jakby ktoś nagle podłączył jej prąd do skroni.

– Nikodem? – powtórzyła bezwiednie. – On ma na imię Nikodem?

– Tak, Nikodem Peszek. A wszystko się wydarzyło tutaj, w Milanówku. Jutro jadę na policję i złożę zeznania. Nikodem mi co prawda zabronił, powiedział, że nie mogę się narażać, ale ja muszę to zrobić. Dla niego... dla naszej miłości – zakończyła patetycznie.

Bożena z trudem przełknęła ślinę.

– Byłaś z Nikodemem? Tamtej niedzieli? – zapytała, zaszokowana.

Klara kiwnęła energicznie głową.

– Tak, całe popołudnie i wieczór, i noc. Mój mąż wyjechał na kilka dni do Niemiec, więc się przeniosłam do Nikodema i, no rozumiesz, korzystaliśmy – i zmrużyła porozumiewawczo oko.

Tego już było dla Bożeny za wiele.

– Nie! – powiedziała twardo. – To niemożliwe!

Klara spojrzała na nią, zdziwiona.

– Co niemożliwe? – spytała.

Bożena czuła, że zaczyna się wewnątrz trząść. Oczami wyobraźni zobaczyła Nikodema w łóżku z tą rudą lafiryndą i aż ją zemdliło.

– Nie byłaś u niego tamtej niedzieli – warknęła, coraz bardziej zdenerwowana.

– A ty niby skąd to wiesz? – zainteresowała się dziewczyna.

– Przejeżdżałam tamtędy! – Bożena mówiła coraz głośniej, z coraz większą histerią w głosie. – I żaden samochód nie parkował przed jego domem!

Klara przez moment wyglądała na zaskoczoną. A potem przewróciła oczami i powiedziała:

– Nie wiem, o co ci chodzi. Jaki samochód? Ja jeżdżę motorem. A u Nikodema zawsze go wprowadzam do ogrodu i stawiam przy studni.

Spojrzała na Bożenkę wyzywająco.

Bożenka zacisnęła zęby. Czuła, że jeszcze moment i wybuchnie, a na to tutaj, przy tych wszystkich ludziach, nie mogła sobie pozwolić. Poderwała się więc energicznie i prawie podbiegła do stołu. Musiała ochłonać. Drżącymi rękoma naląła coli do szklanki i wypila łąpczywie, choć szansa, że słodki napój

w czymkolwiek pomoże, była niewielka. Potem nałożyła sobie na talerzyk kanapkę i przeniosła się na drugi koniec pokoju, byle jak najdalej od tej rudej zdziry.

Usiadła w rogu i zaczęła się wpatrywać ponuro w plasterek żółtego sera próbując poradzić sobie z wściekłością, bólem i buntem, które teraz czuła. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że to nie wizja Nikodema uprawiającego seks z tą dziwką tak ją poruszyła, tylko fakt, że jeżeli ona rzeczywiście pójdzie na policję i da mu alibi, Nikodem wyjdzie z tego wszystkiego bez szwanku. Nie zostanie oskarżony, nie zostanie skazany. Nie spędzi reszty swojego życia w więzieniu. Nie będzie żadnej zemsty na nim za to, że ją odrzucił, że ją zdradził.

Nie będzie żadnej satysfakcji. Nic.

Oczami wyobraźni zobaczyła, jak szczęśliwy Nikodem opuszcza areszt, a ta ruda wywłoka, której zawdzięcza wolność, rzuca mu się na szyję. A potem żyją długo i szczęśliwie...

I zrozumiała, że pod żadnym pozorem nie może do tego dopuścić.

Tak, to była prawda. Klara, kiedy się denerwowała, jadła. Dlatego już dawno pochłonęła dokładkę curry i właśnie się zastanawiała, czy nie nałożyć sobie kolejnej. To, że danie wyszło spod ręki Bożeny, kompletnie jej nie przeszkadzało.

Mimo wszystko jednak się powstrzymała. Musiała być skupiona. Musiała być czujna. A jedzenie odwróciłoby jej uwagę od meritum. Czyli od planu.

Jego założenia nie były skomplikowane: chodziło tylko o to, żeby wyprowadzić Bożenkę z równowagi. Żeby ją sprowokować. I żeby, zdenerwowana i zła, powiedziała lub zrobiła coś, co ją zdekonspiruje. Na wszelki wypadek w piwnicy czekał komendant Lewin w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy, a Matylda ukryła w kieszeni spódnicy dyktafon.

Tyle tylko, że do niczego nie doszło. Klara pojechała po bandzie, opowiadając niestworzone rzeczy o swoim związku z Nikodemem, pewna, że oszalała z zazdrości Bożenka rzuci się na nią albo przynajmniej rozpocznie awanturę, podczas której w nerwach coś chlapnie.

Ale choć Klara widziała, że jej słowa ewidentnie Bożenkę ranią i kobieta jest bliska wybuchu, ta nagle się opanowała, wstała z miejsca i poszła do stołu, gdzie zaczęła nakładać sobie jedzenie, zupełnie jakby nic się nie stało.

Fatalna sprawa.

Klara jeszcze przez chwilę miała nadzieję, że Bożenka do niej wróci i może wtedy uda się ją sprowokować, ale nie. Kobieta wzięła talerz i usiadła najdalej od Klary, jak się dało.

I co teraz?

Na szczęście z kuchni właśnie wyłoniła się Matylda. Klara, starając się trzymać swojej roli, podeszła do niej niespiesznie.

– Nie udało się – powiedziała półgłosem. – Było blisko, ale się nie udało.

– Widziałam – szepnęła Matylda. – Uciekła od ciebie. I co teraz?

Tuż obok nich pojawiła się Gaja.

– Ty już tu nic nie wskórasz – zwróciła się do Klary. – Ona będzie cię unikać, wiem to. Powinnaś jej zejść z oczu. Teraz spróbuje Matylda.

– Ja? – Matylda popatrzyła na Gaję przerażona. – Przecież wiesz, że nie umiem!

– Nie musisz umieć – uspokoiła ją Gaja. – Po prostu do niej podejdiesz, usiądziesz obok i zagaisz rozmowę o Klarze. Jest szansa, że zaczniesz się na nią żalić. Na nią, na Peszka, na całą tę sytuację. A wtedy ty włączysz dyktafon...

Matylda pokręciła głową z powątpiewaniem.

– To, co robimy, to czystej wody amatorszczyzna – zauważyła z naganą w głosie.

– Może. Ale mamy inne wyjście?

– W takim razie ja znikam – oznajmiła Klara. I dodała ze smutkiem: – Strasznie żałuję, że się na mnie nie rzuciła z nożem.

– Tu nie ma noży – zwróciła jej uwagę Matylda. – Nie zauważyłaś? Specjalnie nie dałam.

Klara cmoknęła ją w policzek, chwyciła jeszcze na drogę kilka serowych koreczków i ruszyła do wyjścia, rozglądając się dyskretnie za Bożenką. Nigdzie jej jednak nie zauważyła.

Kiedy tylko ruda podniosła się i podeszła do gospodyni, Bożenka pomyślała, że prawdopodobnie zbiera się do wyjścia. Wstała więc ze swojego miejsca, dyskretnie opuściła salon, chwyciła kurtkę i szalik i niezauważona przez nikogo wyśliznęła się na dwór.

Przez ten czas, który spędziła u Matyldy, na dworze bardzo się oziębilo. Razem z nocą przyszedł mróz, ścinając stojące na podjeździe kałuże i bieląc szronem kikuty roślin w ogrodzie. Mimo to Bożenie było gorąco. Zazdrość, nienawiść i wściekłość, które w niej buzowały, dawały właśnie taki efekt. Efekt uwięzionej energii, która jeżeli się jej nie uwolni, eksploduje, siejąc zniszczenie.

Jedynym miejscem, gdzie mogła się schować, był szpaler tui rosnących wzdłuż ścieżki. Wsunęła się między drzewka i nie spuszczać wzroku z drzwi wejściowych, powoli odwinęła z szyi szalik...

Chwilę potem z domu wyszła ruda. Narzuciła na siebie krótką motocyklową kurtkę i zbiegła po schodkach tak lekko, jakby problem, z którego niedawno zwierzała się Bożence, zniknął bezpowrotnie. Stukając obcasami, ruszyła w stronę furtki. Kiedy ją mijala, Bożena poczuła zapach jej perfum, prawie tak samo intensywny jak wcześniej, kiedy rozmawiały. Natychmiast stanął jej przed oczami obraz dziewczyny, kiedy mówi z odrażającą pewnością siebie: „Mój mąż wyjechał na kilka dni do Niemiec... i, no rozumiesz, korzystaliśmy”...

Bezszelestnie wydostała się z żywopłotu i wyskoczyła na ścieżkę tuż za Klarą, a potem jednym ruchem zarzuciła jej szalik na szyję i pociągnęła gwałtownie do tyłu, przewracając ją. Znowu poczuła to samo co wtedy – siłę i władzę.

Ruda zaczęła się krztusić. Machała gwałtownie rękoma, zupełnie jak tamta, ale nie mogła dosięgnąć Bożeny.

– Ratunku! – udało jej się krzyknąć. – Ratunku!

Bożena mocniej zacisnęła szalik.

– Nie pójdiesz na żadną policję! Nie pozwolę ci! – wyrzuciła z siebie ze złością. – Nie po to zabiłam tę małą dziewczkę i wrobiłam Nikodema w morderstwo, żebyś ty mu teraz dawała wolność!

– Ratunku... – wycharczała słabo Klara.

– Nikt cię tu nie usłyszy – syknęła Bożena z satysfakcją. – A on zgnije w więzieniu. Będzie miał nauczkę za to, co mi zrobił! Nienawidzę go! Ciebie też nienawidzę!

Nagle kątem oka dostrzegła na ścieżce jakiś ruch, ale zanim zdążyła zareagować, tuż obok niej pojawiło się trzech mężczyzn. Dwóch z nich miało na sobie policyjne mundury.

Funkcjonariusze chwycili Bożenę za ręce tak mocno, że musiała wypuścić szalik, i odciągnęli ją od kaszłającej Klary. Poczowała, jak na jej nadgarstkach zaciskają się obręcze kajdanek. Próbowała się szarpać i wyrywać, ale policjanci trzymali ją mocno.

Więc przestała walczyć. Zrozumiała, że to już koniec.

ROZDZIAŁ 78

Umówiły się w tej samej meksykańskiej knajpie, w której Gaja odbyła z Arturem rozmowę o rozwodzie. Restauracja nie była ani najlepsza, ani najdogodniej położona, ale dla Gai w jakimś sensie symboliczna.

Przyjechały z Matyldą uberem i w taki sam sposób zamierzały wracać. Klara spóźniła się tylko kwadrans. Kiedy szła do ich stolika, wszyscy obecni na sali mężczyźni odprowadzali ją wzrokiem.

– To co, jakiś toaścik? – spytała, opadając na krzesło.

– Tak, oczywiście – powiedziała Gaja, unosząc kieliszek. – Za kobietą Agencję Detektywistyczną Czajka! Za nasze klęski, za nasze sukcesy!

– Za Czajkę! – Klara stuknęła się kieliszkiem z Gają i Matyldą. – Jesteśmy mega turbo team! Ta akcja z Dniem Kobiet sztos.

– Ja jestem w szoku, że się udało – przyznała Matylda. – Naprawdę myślałam, że Bożeny nie uda się sprowokować. Albo że się zorientuje, że kłamię...

– Uważam, że bardzo profesjonalnie ściemniałaś – pochwaliła ją Klara. – A na tym to ja się znam jak nikt.

– No tak, ty byłaś genialna. Mistrzynie – Matylda złożyła dłonie jak do modlitwy i schyliła głowę przed Klarą. – Chociaż wiedziałam, że to teatr, to i tak ci wierzyłam. Ten tekst o studni na przykład...

– Prawda? – ucieszyła się Klara. – Jak byliśmy z Gają w domu Peszka, zwróciłam na nią uwagę i proszę, jak się przydało. Do każdego kłamstwa dobrze jest dorzucić kilka prawdziwych szczegółów, brzmi wtedy bardziej wiarygodnie.

– Na przykład nazwisko znanego detektywa... – zauważyła Gaja.

Klara parsknęła śmiechem.

– Oczywiście. Łyknęłyście tego Rutkowskiego jak pelikan szprotkę. Znaczą działa.

– Boże, i znowu o ptakach – westchnęła Matylda.

– Nie rozumiem, co ty masz do ptaków. Pomysł z wypłaszaniem z gniazda przecież się sprawdził – zwróciła jej uwagę Gaja.

– Był boski! – ożywiła się Klara. – Do dziś mnie boli szyja. – Pokręciła ostrożnie głową.

– Gdyby ci policjanci nie pomogli, to nie wiem, jak by się to skończyło – Matylda zbladła na samo wspomnienie. – Widzisz, jak nam się Lewin sprawdził? – zwróciła się do Gai. – Ciotka mi od początku mówiła, że on jest w porządku.

– Mnie on się w ogóle wydaje interesujący – zauważyła Klara.

– Żartujesz? – Gaja popatrzyła na nią zaskoczona. – Pod jakim względem?

– Osobowościowym – wyjaśniła Klara. – Zresztą przystojny też jest. Ale przede wszystkim czuję w nim faceta. A to dzisiaj nieczęste.

– Przecież ty go widziałaś przez pięć minut!

– Mnie wystarczy pięć sekund – uśmiechnęła się Klara i nagle coś jej się przypomniało. – Dzięki! – położyła przed Gają *Morderstwo w Orient Ekspresie*. – Widzisz, oddaję! Całe i zdrowe!

Gaja przysunęła książkę do siebie i pogłaskała ją po okładce.

– I co, spodobało ci się?

– Fajne, ale przewidywalne – Klara wyduła lekceważąco wargi.

– Przewidywalne? *Morderstwo w Orient Ekspresie* przewidywalne? – Gaja była wstrząśnięta.

– Po prostu wystarczyło dodać dwa do dwóch...

– Och, przecież ja też coś mam! – ocknęła się Matylda.

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej dwa egzemplarze najnowszego numeru biuletynu i wręczyła je Gai i Klarze. Z okładki patrzył na nie Lewin.

– Chcesz mnie dobić? – wzdrygnęła się Gaja.

– Nie, coś ty. W środku jest mój artykuł o kurzej fermie – oznajmiła Matylda z dumą.

– Burmistrz zaakceptował? Przecież tam po nim jedziesz?

– Jadę po wszystkich. Może dlatego puścił.

Klara zaczęła kartkować gazetkę.

– Całkiem fajne pisemko – orzekła. – I jest też widzę coś o Justynie – pokazała Gai duże czarno-białe zdjęcie dziewczyny.

– Wahałam się, czy dawać to wspomnienie, ale jej matka nalegała. Bardzo jej się spodobało. To dla mnie największa satysfakcja...

– *À propos* satysfakcji, to kiedy zobaczymy pieniążki? – zainteresowała się Klara.

– Peszek przelał mi wczoraj pełną kwotę z umowy. Mam na wypłatę dla nas i na honorarium dla Matyldy. Księgowa wszystko ogarnie na początku tygodnia.

W tym momencie rozdzwonił się telefon Klary.

– O, mój nowy facet! – ucieszyła się i odebrała.

– Tak... tak... tak... – mówiła półgłosem. – Bosko! Będę za pół godziny!

Odstawiła kieliszek.

– Uciekam, sorry! Czekaj fajny seks!

– Przecież piłaś! – zwróciła jej uwagę Matylda.

– Pół kieliszka – Klara wzruszyła lekceważąco ramionami. – Spokojnie mogę dmuchać. Przelicznik promili znam na pamięć.

Zaczęła szybko zbierać swoje rzeczy.

– Ty to masz napęd... – W głosie Gai pojawiła się nuta podziwu.

– W ruchomy cel trudniej trafić – roześmiała się Klara i wybiegła z sali.

– No i po co myśmy się tutaj tłukły? – zauważyła Matylda. – Mogłyśmy się napić wina w domu.

Gaja zakręciła kieliszkiem i obserwowała, jak wino spływa po ściankach.

– Bardzo chciałam tu przyjść – powiedziała po chwili. – Podobno kiedy się spadnie z konia, trzeba koniecznie znowu na niego wsiąść. Odczarować tamtą

sytuację, pozbyć się strachu. Trochę tak miałam z tą knajpą. Była dla mnie symbolem porażki. Musiałam tu wrócić, żeby to odkręcić. Zmienić wektor. Zacząć od nowa.

Nagle ich spotkanie nabrało zupełnie innego sensu.

– Dobrze, że tu ze mną byliście. Sama bym chyba nie dała rady – wyznała Gaja. – Dziękuję.

Matylda uniosła kieliszek i stuknęła nim w kieliszek Gai.

– To jeszcze raz: za agencję Czajka!

Wypiły po łyku.

– I jak się teraz czujesz? – zapytała Matylda.

– Nieźle – przyznała Gaja. – Wracają mi siły. A będę ich potrzebowała, bo w przyszłym miesiącu pierwsza rozprawa rozwodowa. Moja pani adwokat mówi, że lekko nie będzie.

Matylda odchrząknęła.

– Ona jest dobra? Ta adwokatka?

– Bardzo dobra. Czemu pytasz?

– Może... Może Paweł mógłby ci pomóc?

Gaja wyprostowała się gwałtownie.

– Oszalałaś? Mam go poprosić, żeby mi poprowadził rozwód?

– Czemu nie?

Gaja pokręciła gwałtownie głową.

– Temu, że nie zamierzam utrzymywać z nim kontaktów. Żadnych. I uznajmy ten temat za skończony.

EPILOG

Kiedy Gaja weszła do sklepu rodziców Matyldy, w środku nie było żadnego klienta. Na jej widok ze stołka ustawionego za kontuarem podniosła się ekspedientka, młoda kobieta w granatowym fartuchu narzuconym na ciepły golf i dzinsy. Znały się z Gają z widzenia.

– Dzień dobry! – przywitała ją. – Co podać?

– Jajka wiejskie poproszę. Dziesiątkę – zaczęła Gaja. – Szczypior, sałatę i rzodkiewki – mówiła dalej. – I kilo szarej renety.

Drzwi za plecami Gai otworzyły się i zamknęły, do sklepu wszedł kolejny klient.

– Na szarlotkę? – dopytała ekspedientka, ważąc jabłka.

– Tak – potwierdziła Gaja.

– Ja robiłam w zeszłym tygodniu z przepisu z biuletynu. Bardzo dobra wyszła – pochwaliła się kobieta.

Gaja uśmiechnęła się pod nosem. Zamierzała skorzystać z tego samego przepisu, który tak naprawdę był przepisem Matyldy, umieszczonym przez nią w rubryce kulinarnej. Potrzebowała czegoś sprawdzonego. Zależało jej, żeby ciasto smakowało gościowi.

Bo gościem miał być Paweł.

Od zakończenia sprawy dzwonił prawie codziennie i z jej wcześniejszych stanowczych deklaracji, że nie zamierza utrzymywać z nim żadnych kontaktów, zostały marne wiórki.

I tak się jakoś porobiło, że zaprosiła go na obiad do Milanówka. Ryzykowna decyzja, ale wolała zobaczyć się z nim na swoim gruncie. U siebie czuła się

pewniej. U siebie to ona narzucała reguły gry. I tym razem nie zamierzała przegrywać.

– Jak pani znajduje na to wszystko czas? – usłyszała za sobą znajomy męski głos. – Łapanie przestępców, pieczenie szarlotek...

– Och, pan komendant! – ucieszyła się ekspedientka.

„Jeden, dwa, trzy, cztery...” Gaja, zamiast odpowiedzieć, zaczęła liczyć w myślach do dziesięciu. Była pewna, że gdyby teraz się do niego odezwała, skończyłoby się to kolejną awanturą.

– Pieczenie relaksuje – rzuciła niechętnie, ciągle stojąc do niego tyłem.

– Świetnie rozumiem, mnie również – potwierdził.

Gaja odwróciła się. Stał za nią, uśmiechając się wyzywająco.

– No proszę, a ja myślałam, że pan, żeby się zrelaksować, musi sobie rozdeptać butem kilka białych myszek – zauważyła kąśliwie.

– Ależ pani stereotypowo myśli o mężczyznach – westchnął.

Eskalacja konfliktu w tak niewielkim pomieszczeniu nie mogła się skończyć dobrze.

– Dziękuję, to wszystko – zwróciła się Gaja do ekspedientki. – Płacę kartą.

Odszukała portfel w torebce. Chciała stąd jak najszybciej wyjść.

– Dzisiaj przyszło do mnie pismo z wojewódzkiej w pani sprawie – oświadczył obojętnym tonem komendant.

– W mojej sprawie?

– W sprawie pani licencji. To tak wygląda, że jak kończy pani kurs na detektywa i składa podanie w komendzie wojewódzkiej, to oni później występują o opinię do policji lokalnej.

Gaja zbladła.

– I to pan będzie ją wystawiał? Tę opinię?

– Tak – odpowiedział z satysfakcją komendant, a z jego tonu wynikało jasno, że wcale nie musi być pochlebna.

Gaja drżącymi rękami przełożyła zakupy z lady do koszyka.

– Trudno. Niech pan pisze, co chce. Najwyżej przemelduję się do Warszawy, do ciotki, może tamtejszy komendant mnie oceni lepiej niż pan. Przepraszam!

Odsunął się, żeby przepuścić ją do wyjścia.

– Raczej nie będzie się musiała pani fatygować – powiedział, kiedy była już prawie za drzwiami. – Opinię odesłałem. Jest pozytywna.

Odwróciła się do niego, zaskoczona.

– Pozytywna?

– No cóż... Całkiem nieźle nam się współpracowało, musi pani przyznać. Właściwie nawet odnieśliśmy sukces. Dlaczego to, że się nie lubimy, miałyby wpłynąć na moją ocenę merytoryczną?

Przez chwilę walczyła ze sobą, a potem wydusiła z siebie:

– Dziękuję.

I wyszła, energicznie zamykając za sobą drzwi.

Kiedy tylko znalazła się na ulicy, przywiązany do płotu obok maleńki biały piesek zaczął ją obszczekiwać dziamgotliwym dyszkantem.

Przez chwilę przyglądała się stworzeniu z ciekawością. „Podobno psy upodobniają się do swoich właścicieli – przypomniała sobie tamto spotkanie przed domem Lewina. – Ciekawe, jaka w takim razie jest jego żona”.

– Beza, spokój!

Komendant właśnie wyszedł ze sklepu. „Coś za dużo to on chyba nie kupował”, pomyślała niechętnie.

– Przepraszam za niego – powiedział Lewin, odwiązując psa. – Od śmierci żony zrobił się bardzo nerwowy.

I odszedł.

A Gaja ruszyła w przeciwną stronę, do zaparkowanego przed piekarnią samochodu. Fakt, że komendant jest wdowcem, w jakiś zaskakujący sposób ją poruszył.

Wracając do domu, przejechała Baśniową. Kiedy mijala dom Peszka, zauważyła zaparkowany w ogrodzie motocykl. Dziwnie znajomy motocykl. „No nie mogę z tą Klarą”, pomyślała, trochę zła, a trochę rozbawiona.

Wprowadziła auto do garażu i poszła prosto do biura, musiała przygotować papiery dla księgowej na następny dzień. Właśnie wzięła z półki skoroszyt z dokumentami, kiedy zadzwonił telefon.

– Agencja Detektywistyczna Czajka – powiedziała do słuchawki.

– Dzień dobry – odezwał się zdenerwowany kobiecy głos. – Mam taką delikatną sprawę...

– Słucham panią – Gaja uświadomiła sobie, że podobnych telefonów w tym tygodniu miały już co najmniej ze trzy i zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie powinna przyjąć jeszcze kogoś do pracy, bo odkąd po mieście rozeszło się, że to one złapały mordercę Justyny, klienci zaczęli walić do agencji drzwiami i oknami.

– Wolałabym osobiście...

– W takim razie zapraszam do nas. Modrzewiowa osiem. Jutro o szesnastej?

– Tak, dziękuję, będę! – oznajmiła kobieta i rozłączyła się.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek do furtki. Gaja wyjrzała przez okno. Na ulicy przed domem stało zaparkowane zielone combi, a na chodniku zobaczyła niskiego, starszego mężczyznę ze szpakowatą brodą i w okularach. „Kłeska urodzaju” – pomyślała, naciskając domofon.

– Zapraszam do drugiego wejścia – powiedziała.

Po chwili mężczyzna stanął w drzwiach.

– Pan do agencji? – upewniła się.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Do agencji? Nie, skąd. Szukam pana Suchodolskiego. Jana Suchodolskiego.

Tak się nie robi. Nie przychodzi się znikąd i nie wypowiada słów, które rozwalają człowieka na tysiąc kawałków. Gaja zamknęła na chwilę oczy.

– Niestety ojciec nie żyje – powiedziała z trudem.

– Bardzo mi przykro – zmartwił się mężczyzna. – W takim razie zostawię to pani – podał jej jakiś kartonik w wyblakłej plastikowej okładce.

– Co to? – spytała, zaskoczona.

– Proszę zobaczyć – poradził mężczyzna.

Gaja ostrożnie rozchyliła okładkę. I zamarła, bo spod przezroczystej folii patrzył na nią jej ojciec. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że trzyma w ręku jego prawo jazdy.

– Skąd pan to ma? – spytała drżącym głosem.

– Znalazłem i pomyślałem, że odwiozę. To jednak dokument, nawet jeżeli już nieważny.

– Ale gdzie pan znalazł? – drążyła dalej, coraz bardziej zdenerwowana.

– Na klatce schodowej u nas w domu. Leżało na schodach, tak jakby ktoś przed chwilą zgubił.

Gaja ciągle nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

– Może mi pan podać adres?

– Oczywiście. Krucza trzynaście.

Mężczyzna odchrząknął.

– Na mnie czas. Muszę lecieć. Do widzenia.

– Dziękuję, bardzo dziękuję! – zreflektowała się Gaja. – Wie pan, tata zmarł dwadzieścia trzy lata temu i ja nie bardzo rozumiem, skąd to prawo jazdy się tam wzięło.

Mężczyzna rozłożył ręce bezradnie.

– Już więcej pani nie pomogę.

I odszedł.

A Gaja stała jeszcze przez chwilę w otwartych drzwiach, nie przejmując się tym, że chłodne powietrze wdziera się do wnętrza domu. Obracała w palcach prawo jazdy ojca i zastanawiała się, jak to możliwe, żeby tego kartonika nie strawił ogień, skoro ojciec z całą pewnością miał go przy sobie w czasie pożaru...

KONIEC

Spis treści:

Karta tytułowa

PROLOG

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60
ROZDZIAŁ 61
ROZDZIAŁ 62
ROZDZIAŁ 63
ROZDZIAŁ 64
ROZDZIAŁ 65
ROZDZIAŁ 66
ROZDZIAŁ 67
ROZDZIAŁ 68
ROZDZIAŁ 69
ROZDZIAŁ 70
ROZDZIAŁ 71
ROZDZIAŁ 72
ROZDZIAŁ 73
ROZDZIAŁ 74

ROZDZIAŁ 75

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

EPILOG

Karta redakcyjna

Projekt okładki

Alicja Beryt

Redakcja

Zbigniew Kowerczyk

Opieka redakcyjna

Dorota Gruszka

Redaktor prowadzący

Paulina Gwóźdź

Adiustacja

Anastazja Oleśkiewicz

Korekta

Marta Tyczyńska-Lewicka

Barbara Wójcik

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

Copyright © by Katarzyna Stachowicz-Gacek

ISBN 978-83-240-6483-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek